

LEE CHILD

JACK REACHER
Ostatnia sprawa

Child Lee

Jack Reacher

Ostatnia sprawa

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko: Jack Reacher (drugiego imienia nie ma)

Odnaczenia służbowe: Wysokie:

Srebrna Gwiazda,

Narodowość: za wzorową służbę

Amerykańska Service Medal, Legia Zasługi

Urodzony: Ze środkowej półki:

29 października 1960 roku Soldier's Medal, Brązowa

Charakterystyczne dane: Gwiazda, Purpurowe Serce

195 cm; 99-110 kg; Z dolnej półki:

127 cm w klatce piersiowej „Junk awards”

Ubranie:

Kurtka 3XLT, długość nogawki
mierzona od kroku 95 cm

Matka:

Josephine Moutier Reacher
ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Wykształcenie:

Szkoły na terenie
amerykańskich baz
wojskowych w Europie i na
Dalekim Wschodzie;

Ojciec:

Żołnierz zawodowy, korpus
piechoty morskiej , służył
w Korei i Wietnamie. zm. 1988

Akademia Wojskowa West
Point

Brat:

Joe, ur. 1958, zm. 1997;
5 lat w wywiadzie armii

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii
Stanów Zjednoczonych;

Stanów Zjednoczonych;

Departament Skarbu

Ostatni adres:

w 1990 zdegradowany

Nieznany

z majora do kapitana,

zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku;
dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

Pentagon z sześciuset tysiącami metrów kwadratowych powierzchni i dwudziestoma siedmioma kilometrami korytarzy jest największym kompleksem biurowym na świecie.

Pracuje w nim trzydzieści tysięcy osób, dla których przewidziano tylko trzy wejścia i wyjścia, a wszystkie prowadzą przez pilnie strzeżone hole wejściowe. Wybrałem wejście południowosходnie, ponieważ znajduje się najbliżej stacji metra i przystanku autobusowego i jest najczęściej używane przez cywilnych pracowników Pentagonu. Zależało mi na znalezieniu się w jak najgęściejszym tłumie, najchętniej w długiej, niekończącej się kolumnie, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy strzelać bez ostrzeżenia. Podczas próby aresztowania dochodzi do różnych nieprzewidzianych sytuacji - czasem przypadkowo, czasem celowo - wolałem więc mieć świadków. Chciałem czuć na sobie czyjeś obiektywne spojrzenie, przynajmniej na początku. Oczywiście pamiętam dokładnie datę: jedenastego marca 1997 roku. Wtedy po raz ostatni wchodziłem tam legalnie jako pracownik firmy, która ten gmach dla siebie zbudowała.

Bardzo dawno temu.

Warto też przypomnieć, że od tego dnia zostało jeszcze dokładnie cztery i pół roku do owego wtorku, który zmienił świat, tak więc jak wiele spraw przed tą datą także kontrola wchodzących na teren Pentagonu była inna. Podchodzono do niej poważnie, ale bez nadmiernej hysterii i moje pojawienie też jej nie wywołało. Przynajmniej z pozoru. Miałem na sobie czyściutki i starannie odprasowany paradny mundur, buty wyczyszczone na glans, na piersi baretki i odznaczenia zebrane przez trzynaście lat służby. Skończyłem trzydzieści sześć lat i byłem wysokim, szczupłym i prostym jak świeca modelowym majorem amerykańskiej żandarmerii wojskowej. Może poza ciut przydługimi włosami i pięciodniowym zarostem na twarzy.

W tamtych czasach za ochronę Pentagonu odpowiadali funkcjonariusze Defense Protective Service i już z czterdziestu metrów dostrzegłem aż dziesięciu

z nich w holu, co wydało mi się grubą przesadą i skłoniło do zastanowienia, czy wszyscy reprezentują DPS, czy może niektórzy z nich to nasi w przebraniu, którzy czekają tu na moje przybycie. Do większości takich przebieranek wykorzystuje się u nas chorążych, którym często przychodzi udawać kogoś innego. Potrafią się wcielać w pułkowników, generałów i szeregowców - praktycznie w każdego, bez względu na stopień, i są w tym świetni. Przebranie się w mundur funkcjonariusza DPS i zasadzenie się w tej roli na ofiarę byłoby dla nich czymś dziecinnie prostym. Z trzydziestu metrów wciąż nie byłem pewny. Wojsko to ogromna instytucja i do zasadzki na mnie na pewno użyto by ludzi, których wcześniej nie spotkałem.

Posuwałem się do przodu w tłumie idącym przez dziedziniec ku wejściu do głównego holu - w masie osób obojga płci w mundurach wojskowych, zarówno eleganckich wyjściówkach, jak i w polowych, których wówczas używaliśmy. Było wielu wojskowych po cywilnemu, ubranych w garnitury lub typowe uniformy biurowe, czyli w marynarkę i spodnie, ale także niemało cywilów. Każdy miał w ręce teczkę lub walizeczkę albo jakiś pakunek pod pachą.

Wszyscy stopniowo zwalniali i zaczynali dreptać niemal w miejscu, w miarę jak szeroka ludzka rzeka zwężała się najpierw do potoku, potem do pojedynczego lub co najwyżej dwuosobowego strumyczka, pozwalającego przecisnąć się przez prowadzące do holu drzwi.

Zrobiłem to samo i ustawiłem się w pojedynczym rzędzie za kobietą o białych niezniszczonych dłoniach i przed mężczyzną w lekko wyświeconej na łokciach marynarce.

Oboje wyglądali na cywilnych pracowników biurowych, czyli dokładnie takich, o jakich mi chodziło: obiektywnych świadków. Zbliżało się południe, na niebie świeciło słońce i w powietrzu czuć było ciepły powiew. Zaczynała się wiosna w Wirginii, sady wiśniowe za rzeką budziły się do życia. Jeszcze trochę, a wszystkie okryją się sławnym kwieciem.

Zapewne na biurkach w różnych zakątkach kraju leżały już wykupione

bilety lotnicze i aparaty fotograficzne przygotowane na zaplanowaną wycieczkę do stolicy.

Dreptałem do przodu w kolejce. Kawalek dalej funkcjonariusze DPS zajmowali się tym, czym pracownicy ochrony zwykle się zajmują. Czterech miało jakieś specjalne zadanie, dwóch siedziało za recepcyjnym kontuarem, dwóch innych stało przy kołowrotku w drzwiach i sprawdzało służbowe identyfikatory wchodzących. Ostatni dwaj ustawili się za szybą i czujnym wzrokiem lustrowali ludzką ciżbę. Czterej pierwsi stali w głębi holu w zbitej gromadce i nic nie robili. Wszyscy byli uzbrojeni.

Najbardziej niepokoiło mnie tych czterech w głębi holu. Niewątpliwie w roku 1997 Departament Obrony zatrudniał zbyt wiele osób w stosunku do ówczesnych potrzeb, ale nawet wtedy widok czterech funkcjonariuszy niemających kompletnie nic do roboty należał do rzadkości. Większość służb przynajmniej dbała o to, aby zbędny personel sprawiał wrażenie bardzo zajętego. Ci czterej wyraźnie nie mieli co robić. Wyciągnąłem szyję, próbując dojrzeć ich buty. Z butów można dużo wywnioskować. Przebieranki tajniaków zwykle nie sięgają butów, zwłaszcza wśród mundurowych. W zasadzie służba w DPS miała charakter policyjny i pełniący ją ludzie w miarę możliwości optowali za policyjnym obuwem: wygodnymi kamaszami, przystosowanymi do wielogodzinnego chodzenia i stania. Przebrani chorążowie żandarmerii wojskowej zapewne nosiliby wojskowe buty, a te od policyjnych nieco się różnią.

Jednak nie udało mi się ich dojrzeć. Wewnątrz było zbyt mroczno, a oni stali za daleko.

Kolejka posuwała się różnym tempem z czasów sprzed jedenastego września. Żadnych objawów zniecierpliwienia, żadnych lęków, żadnego zdenerwowania. Pełen spokój. Kobieta przede mną poperfumowała się przed wyjściem i czułem bijący od niej zapach. Całkiem przyjemny. Dwaj za szybą dostrzegli mnie z odległości dziesięciu metrów. Przyjrzeni się kobiecie, potem

mnie, zatrzymując wzrok o mgnienie oka za długo i szybko przenosząc go na faceta za mną.

A potem wrócili do mnie i otwarcie zlustrowali mnie od góry do dołu i od lewej do prawej, trzymając na celowniku przez dobre pięć sekund. Kolejka posunęła się do przodu, ja wraz z nią, a ich spojrzenia ponownie przesunęły się za mnie. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, nie dali nic po sobie poznać, nie podnieśli alarmu. To mogło oznaczać w najkorzystniejszej wersji, że wcześniej mnie nie widzieli i zwróciłem ich uwagę tylko dlatego, że wyróżniałem się wzrostem i wyglądem. Albo dlatego, że miałem na sobie mundur majora ze złotymi liśćmi dębowymi i baretkami poważnych odznaczeń, w tym Srebrnej Gwiazdy, niczym facet z plakatu reklamującego wstępowanie do wojska, a jednocześnie przydługie włosy i zarost jak u jaskiniowca. Z czystej ciekawości musieli mi się lepiej przyjrzeć. Służba wartownicza potrafi się dłużyć i wszelkie urozmaicenia są mile widziane.

Albo - i to była najmniej korzystna wersja - upewniali się, że oczekiwane przez nich zdarzenie właśnie się realizuje i wszystko przebiega zgodnie z planem. To znaczy, że wcześniej przestudiowali zestaw fotografii i teraz mówili sobie w duchu: dobra, już jest, dokładnie o czasie, więc czekamy jeszcze dwie minuty, aż wejdzie do środka, i wtedy go dopadamy.

Byłem oczekiwany i zjawiłem się o czasie. Umówiłem się na dwunastą z pewnym pułkownikiem w jego gabinecie na drugim piętrze kręgu C i byłem pewny, że nigdy tam nie dotrę. Świadome wchodzenie w sytuację grożącą aresztowaniem może się wydawać przejawem głupoty. Czasami jednak bywa tak, że jeśli człowiek chce się upewnić, czy płyta kuchenna jest gorąca, najlepiej jest jej dotknąć.

* * *

Mężczyzna znajdujący się w kolejce przed kobietą przede mną wszedł do środka, uniósł zawieszony na szyi identyfikator i został przepuszczony. Kobieta zrobiła krok do przodu i znieruchomiała, bo właśnie w tym momencie dwaj

stojący za szybą funkcjonariusze DPS postanowili przystąpić do akcji. Kobieta pozwoliła im wcisnąć się przed siebie, co naruszyło dotychczasową płynność przesuwania się kolejki. Chwilę potem ruszyła z miejsca, ominęła ich i weszła do środka, oni zaś zwarli szyk i znaleźli się tuż przede mną, tyle że zwróceni do mnie twarzami.

Stanęli obok siebie, blokując wejście i patrząc prosto na mnie. Byłem niemal pewny, że są prawdziwymi funkcjonariuszami DPS. Na nogach mieli policyjne kamasze, mundury były pozagniatane i dopasowane do sylwetek w sposób wskazujący na długotrwałe użytkowanie.

Nie byli przebierańcami, którzy wyjęli mundury z szaf i włożyli na siebie po raz pierwszy dziś rano. Przeniosłem wzrok nad nimi i spojrzałem na czterech facetów w środku, którzy nadal stali beczynnie. Spróbowałem ocenić ich mundury, ale z tej odległości było to trudne.

- Możemy w czymś pomóc, panie majorze? - odezwał się stojący po prawej.

- W czym? - spytałem.

- Dokąd się pan dziś wybiera?

- Muszę wam powiedzieć?

- Ależ skąd, panie majorze. Tyle że moglibyśmy panu pomóc w szybszym dotarciu na miejsce.

Zapewne potajemnym przejściem do małej salki bez okien, pomyślałem. Domyślałem się, że oni też zdają sobie sprawę z obecności cywilnych świadków.

- Nie ma potrzeby, zaczekam na swoją kolej. Zresztą już prawie dochodzę - rzuciłem beztrosko.

Żaden nie miał na to gotowej odpowiedzi i sytuacja stała się patowa. Amatorzy. Próba aresztowania mnie przy świadkach byłaby głupotą. Mogłem się wyrwać, skoczyć do tyłu i w mgnieniu oka zgubić się w tłumie. Wiedziałem, że nie spróbują strzelać, bo w takim tłumie byłoby za dużo przypadkowych ofiar. Przypominam, że był marzec 1997 roku.

Dokładnie jedenastego. Cztery i pół roku przed wprowadzeniem obostrzeń. Zdecydowanie woleli poczekać, aż znajdę się w środku. Wtedy dwaj przy wejściu mogliby zamknąć drzwi i wzięwszy mnie w cztery ognie, doprowadzić do kontuaru recepcji, gdzie zakomunikowano by mi złą wiadomość. Teoretycznie nawet wtedy mógłbym się jeszcze wyrwać i rzucić do wyjścia, ale musiałoby mi to zająć kilka sekund - wystarczająco długo, by stojący beczynnie czterej faceci zdążyli wpakować mi tysiąc kul w plecy.

Gdybym się rzucił do środka, mogliby mnie ostrzelać od przodu. Zresztą pomysł ucieczki do środka gmachu Pentagonu nie wydawał się rozsądny. Przecież to największy kompleks biurowy na świecie z trzydziestoma tysiącami zatrudnionych. Pięć poziomów nad i dwa pod ziemią i dwadzieścia siedem kilometrów korytarzy. Poszczególne kręgi łączy dziesięć promieniście rozchodzących się korytarzy i mówi się, że z każdego punktu do dowolnego miejsca można się dostać w ciągu maksimum siedmiu minut. Zapewne wyliczono to na bazie wojskowego marszu z prędkością sześciu i pół kilometra na godzinę. Gdybym puścił się biegiem, mógłbym dotrzeć do dowolnego miejsca w ciągu około trzech minut. Tylko dokąd?

Mógłbym się ukryć w schowku na szczotki i żywić się podkradanymi drugimi śniadaniem, przetrwać najwyżej dzień czy dwa. Mógłbym też wziąć zakładników i spróbować negocjować, lecz nie słyszałem, żeby komuś to się powiodło.

Dlatego postanowiłem nic nie robić.

- Życzę udanego dnia, panie majorze - powiedział funkcjonariusz DPS po prawej, po czym jakby nigdy nic wyminął mnie, jego kolega po lewej zrobił to samo. Obaj wolnym krokiem wyszli na dziedziniec, jakby ciesząc się, że mogą zaczerpnąć świeżego powietrza, porozglądać się i zająć kimś innym. Może jednak nie byli tacy głupi. Wykonywali zadanie, realizując wcześniej ustalony plan. Spróbowali zwabić mnie do zamkniętego pomieszczenia, lecz się nie udało. Trudno. Nie ma się czym przejmować. Przewracali w myślach stronicę

instrukcji postępowania i przechodzili do planu B: poczekać, aż znajdę się w środku i zamkną się za mną drzwi. Dopiero wtedy uruchomić procedurę zapanowania nad tłumem. Rozproszyc go i rozpędzić na boki, żeby uchronić ludzi przed konsekwencjami ewentualnej strzelaniny w budynku. Zakładałem, że szyby oddzielające dziedziniec od holu są kuloodporne, ale doświadczenie każe wątpić w to, czy cokolwiek, na co Departament Obrony wydaje pieniądze, odpowiada w pełni warunkom określonym w zamówieniu.

Drzwi znajdowały się tuż przede mną i były otwarte. Zacerpnałem powietrza i postąpiłem krok do przodu. Czasami bywa tak, że jeśli człowiek chce się upewnić, czy płyta kuchenna jest gorąca, najlepiej jest jej dotknąć.

Uperfumowana kobieta o białych dłoniach została przepuszczona i zdążyła się zagłębić w korytarz prowadzący z holu. Na wprost mnie był recepcyjny kontuar z dwoma funkcjonariuszami, po lewej stali dwaj inni, sprawdzający identyfikatory. Ramiona kołowrotka były złożone, a znajdujące się między strażnikami przejście było otwarte. Czterej w głębi holu nadal stali beczynnie i tylko rzucali na boki czujne spojrzenia. Nie uczestniczyli w akcji, jakby należeli do oddzielnej służby. Wciąż nie mogłem dojrzeć ich butów.

Ponownie zaczerpnąłem powietrza i ruszyłem w stronę kontuaru.

Jak jagnię do rzeźni.

Jeden z recepcjonistów spojrzał na mnie pytająco.

- Słucham.

W jego tonie było zmęczenie i zniechęcenie, a słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Jakbym go już o coś zapytał, a on odpowiadał. Był młody i wyglądał na dość rozgarniętego. Chyba prawdziwy funkcjonariusz DPS. Chorążowie żandarmerii wojskowej szybko się uczą, ale bez względu na zdolności aktorskie, raczej nie posadzono by ich w recepcji Pentagonu.

Recepcjonista nie spuszczał ze mnie pełnego wyczekiwania wzroku.

- Jestem umówiony na spotkanie o dwunastej - powiedziałem.

- Z kim?

- Z pułkownikiem Frazerem.

Zrobił taką minę, jakby po raz pierwszy słyszał to nazwisko. Ostatecznie to największy biurowiec na świecie, trzydzieści tysięcy zatrudnionych. Wziął do ręki skorowidz grubości książki telefonicznej i przerzucił kilka kartek.

- Czy chodzi o pułkownika Johna Jamesa Frazera z Biura Łączności z Senatem?

- Tak - odparłem.

Czyli: tak, to ja, przyznaję się.

Czterech facetów stojących nieco dalej po lewej przyglądało mi się bez

słowa. Żaden nawet nie drgnął. Jak dotąd.

Gość za ladą nie spytał mnie o nazwisko. Może dlatego, że go uprzedzono i pokazano zdjęcia.

A może dlatego, że zgodnie z przepisami na klapce prawej kieszeni bluzy miałem regulaminową plakietkę z nazwiskiem, pośrodku, górna krawędź plakietki dokładnie sześćdziesiąt cztery milimetry poniżej szwu.

Z siedmioma literami: REACHER.

Lub równie dobrze dwudziestoma: ARESZTUJCIE MNIE TERAZ.

- Biuro pułkownika Johna Jamesa Frazera znajduje się w trzy C trzysta piętnaście. Wie pan, co to oznacza? - zapytał recepcjonista.

- Tak - odrzekłem. Trzecie piętro, krąg C, korytarz numer trzy, moduł piętnasty. Pentagońska wersja współrzędnych geograficznych, niezbędnych do poruszania się po stu siedemnastu tysiącach metrów kwadratowych powierzchni biurowej.

- Życzę miłego dnia, panie majorze - powiedział recepcjonista i przeniósł wzrok na następnego w kolejce. Przez chwilę stałem nieruchomo. Naprawdę się starają, osiągają perfekcję. W prawie miarę odpowiedzialności karnej określa łacińska maksyma: *actus non facit reum nisi mens sit rea*. Z grubsza znaczy to: czyn nie musi być karalny, o ile nie popełniasz go świadomie. Występkowi musi towarzyszyć intencja. Chcieli, żebym ujawnił intencje. Czekali, aż minę kołowrotek i zanurzę się w labirynt korytarzy. To by tłumaczyło, dlaczego czterech frajerów czekało po tamtej stronie bramki, a nie po tej. Przekroczenie umownej granicy uwiarygodni całą sprawę. Może są jakieś ograniczenia prawne. Może zasięgnięto rady prawników. Frazer niewątpliwie chciał mi się dobrać do tyłka, jednocześnie chroniąc własny.

Raz jeszcze zaczerpnąłem powietrza i przekroczyłem magiczną linię, uwiarygodniając się w swojej roli. Minąłem sprawdzających identyfikatory funkcjonariuszy i precyzyjnie przeszedłem między złożonymi metalowymi ramionami kołowrotka. Przeszedłem na drugą stronę i zatrzymałem się. Czterech frajerów

znalazło się teraz po mojej prawej. Przyjrzałem się ich butom. Regulamin wojskowy jest zdumiewająco nieprecyzyjny w kwestii wojskowego obuwia. Gładkie czarne półbuty na sznurówki w typie oksfordów lub podobnych.

Konserwatywne w wyglądzie, bez żadnych ozdóbek, minimum po trzy pary oczek do sznurówek, całkowicie zabudowane czubki, najwyżej pięciocentymetrowe obcasy. Nic więcej w regulaminie nie ma. Ci czterej po prawej stosowali się do regulaminu i nie mieli na nogach policyjnych kamaszy. W przeciwieństwie do dwóch, którzy zostali na dziedzińcu. Wszyscy czterej mieli buty mieszczące się w wojskowym opisie. Wyglansowane, ściągnięte sznurówkami, niektóre już lekko podniszczone. Być może prawdziwi funkcjonariusze DPS, a może nie. Nie byłem w stanie tego ustalić. Jeszcze nie.

Patrzyłem na nich, oni patrzyli na mnie, ale nikt się nie odzywał. Wyminąłem ich, ruszyłem kręgiem E w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i skręciłem w lewo w pierwszy napotkany korytarz promieniowy.

Wszyscy czterej ruszyli w ślad za mną.

Trzymali się jakieś dwadzieścia metrów z tyłu, na tyle blisko, by nie stracić mnie z oczu, i na tyle daleko, żebym nie czuł na karku ich oddechów. Maksimum siedem minut między dowolnymi dwoma punktami budynku. Czuję się jak plaster wędliny w kanapce. Byłem pewny, że w pobliżu 3C315 lub w odległości, na jaką postanowili mnie dopuścić, czeka druga ekipa, ja zaś szedłem prosto na nich. Nie było gdzie uciekać ani gdzie się ukryć. Znalazłem się w kręgu D, po schodach dotarłem na trzecie piętro i właściwie tylko dla hecy zmieniłem kierunek obejścia na zgodny ze wskazówkami zegara. Minąłem promieniowy korytarz numer pięć, potem cztery. Po kręgu D kręciło się mnóstwo osób. Umundurowani pracownicy obojga płci ze stertami teczek w kolorze khaki i pustym wzrokiem maszerowali dziarskim wojskowym krokiem. Było ich tak wielu, że musiałem schodzić im z drogi, wymijać i przepychać się do przodu. Większość obrzucała mnie spojrzeniami. Długie włosy i zarost

budziły zdziwienie. Zatrzymałem się przy dystrybutorze, nachyliłem do kranika i łyknąłem wody. Ludzie mijali mnie w milczeniu. Zerknąłem do tyłu i ujrzałem, że moi czterej opiekunowie z DPS gdzieś się zgubili. Specjalnie mnie to nie zdziwiło, bo właściwie mogli sobie darować śledzenie. Wiedzieli, dokąd idę i o której mam dotrzeć do celu.

Wyprostowałem się i ruszyłem w dalszą drogę. Skręciłem w korytarz numer trzy i doszedłem do kręgu C. W powietrzu wisiał lekki zapaszek mundurów, pasty do linoleum i cygar.

Powłoka farby na ścianach była gruba i miała urzędową barwę. Rozejrzałem się na boki. Po korytarzu kręciło się kilka osób, lecz nie było grupki czekającej w pobliżu modułu piętnastego. Może czekają na mnie w środku. W końcu byłem pięć minut spóźniony.

Nie skręciłem w C. Trzymając się trójki, dotarłem do B, potem do A, czyli do najbardziej wewnętrznego kręgu, na którym kończą się wszystkie korytarze promieniowe - lub się zaczynają, zależnie od stopnia i perspektywy patrzącego. Za kręgiem A znajduje się tylko liczący ponad dwadzieścia tysięcy metrów kwadratowych pięciokątny otwarty dziedziniec, niczym dziura w kanciastym obwarzanku. Kiedyś nazywano to Ground Zero, bo wierzono, że Sowieci mają pięć największych i najlepszych wyrzutni raketowych, na stałe wycelowanych w ten punkt. Na wszelki wypadek pięć, gdyby pierwsze cztery zawiodły. Doświadczenie podpowiadało, że również Sowieci nie zawsze dostają dokładnie to, za co płacą.

Odczekałem do piętnaście po dwunastej. Niech lepiej zachodzą w głowę, gdzie się zgubiłem.

Może już mnie szukają. Może ci czterej właśnie dostają opieprz za to, że stracili mnie z oczu.

Raz jeszcze zaczerpnąłem głęboko powietrza, oderwałem się od ściany i wszedłem w korytarz promieniowy numer trzy. Dotarłem do kręgu B, potem do C, skręciłem i nie zwalniając kroku, ruszyłem w stronę modułu piętnastego.

Przed modulem piętnastym nikt na mnie nie czekał. Korytarz, jak okiem sięgnąć w obie strony, był pusty i cichy. Pewnie wszyscy dotarli tam, gdzie mieli dotrzeć, i spotkania umówione na dwunastą trwały.

Drzwi do modułu były otwarte. Zapukałem, by okazać grzeczność, zapowiedzieć się, ostrzec, i wszedłem do środka. Pierwotnie większość biur w Pentagonie mieściła się na tak zwanej otwartej przestrzeni, podzielonej szafami na mniejsze moduły (stąd nazwa), dopiero potem pojawiły się ścianki działowe i powstały obudowane gabinety. Gabinet Frazera oznaczony 3C315 wyglądał dość typowo: kwadratowy pokój z oknem bez widoku, dywan na podłodze, fotografie na ścianach, metalowe biurko będące obowiązkowym wyposażeniem w Departamencie Obrony, krzesło z poręczami udające fotel i dwa krzesła dla gości bez poręczy, komoda z szufladami oraz dwudrzwiowa szafka na dokumenty.

Poza siedzącym za biurkiem Frazerem w pokoju nie było nikogo. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Witaj, Reacher - powiedział.

Zerknąłem w lewo i w prawo. Rzeczywiście poza Frazerem nie było nikogo. Pokój nie miał szafy ani drzwi do prywatnej toalety. Nie było w ogóle żadnych drzwi. Korytarz za mną pozostawał pusty. W gigantycznym gmachu panowała cisza.

- Zamknij za sobą drzwi - rzekł Frazer.

Zamknąłem drzwi.

- Jak chcesz, to siadaj - dodał.

Usiadłem.

- Spóźniłeś się - dodał.

- Przepraszam - powiedziałem. - Był korek przy wejściu.

Frazer kiwnął głową.

- Dwunasta w tym gmachu to koszmar. Ludzie wychodzą na lunch,

przychodzi druga zmiana, wszystko naraz. Pożar w burdelu. Z zasady nie planuję wyjść na dwunastą. Na krok nie ruszam się z miejsca.

Miał około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu i dziewięćdziesięciu kilogramów wagi.

Szerokie bary, masywna klatka piersiowa, rumiana twarz, czarne włosy, po czterdziestce.

W jego żyłach płynęła duża domieszka krwi szkockiej, przefiltrowanej przez żyzną ziemię stanu Tennessee, skąd pochodził. Jako młody chłopak był w Wietnamie, jako mężczyzna w średnim wieku nad Zatoką. Cały był upstrzony śladami z pola walki, które wyglądały jak wysypka. Był starego typu wojownikiem, ale na szczęście dla siebie poza strzelaniem umiał też się śmiać i rozmawiać. Właśnie dlatego trafił do Biura Łączności z Senatem. Jego wrogami byli teraz faceci trzymający kasę.

- Co masz dla mnie? - spytał.

Nie odpowiedziałem, bo niczego nie miałem. Nie spodziewałem się, że dotrę aż tak daleko.

- Jakies dobre wiadomości, mam nadzieję - dodał.

- Nie mam żadnych wiadomości - odrzekłem.

- Żadnych?

- Żadnych. - Pokręciłem głową.

- Powiedziałeś, że masz dla mnie to nazwisko. Taką wiadomość mi zostawiłeś.

- Nie mam żadnego nazwiska.

- To dlaczego tak powiedziałeś? Po co chciałeś się ze mną widzieć?

Zawahałem się.

- Poszedłem na skróty - mruknąłem.

- W jakim sensie?

- Dałem do zrozumienia, że znam to nazwisko. Chciałem zobaczyć, kto zareaguje. Kto wypełźnie spod kamienia, żeby mnie uciszyć.

- I nikt nie wypełził?

- Jak dotąd nie, chociaż dziesięć minut temu myślałem, że coś się dzieje. W holu stało czterech facetów w mundurach DPS, którzy najpierw nic nie robili, ale potem poszli za mną.

Pomyślałem, że zamierzają mnie aresztować.

- Gdzie za tobą poszli?

- Kręgiem E aż do korytarza D. Na schodach ich zgubiłem.

Frazer znów się uśmiechnął.

- Masz przywidzenia - parsknął. - Wcale ich nie zgubiłeś. Jak mówiłem, o dwunastej przychodzi druga zmiana. Zjeżdżają się metrem, przez chwilę gadają o dupie Maryni i idą do sali odpraw, która mieści się na kręgu B. Wcale nie szli za tobą.

Nie odpowiedziałem.

- Kręcą się grupkami po całym gmachu. Wszyscy kręcą się grupkami. Zdecydowanie za dużo osób tu pracuje. Będą musieli coś z tym zrobić. To nieuniknione. W Kongresie wciąż się o tym mówi, dzień w dzień, od rana do wieczora. Nie możemy nic na to poradzić, ale powinniśmy mieć tego świadomość. Zwłaszcza tacy jak ty.

- Jak ja?

- W wojsku jest mnóstwo majorów. Przypuszczalnie zbyt wielu.

- Pułkowników też jest dużo.

- Ale mniej niż majorów.

Nie odpowiedziałem.

- Chcesz powiedzieć, że byłem na twojej liście podejrzanych, którzy mogą wypełznąć spod kamienia? - zapytał.

Nie byłeś na liście, pomyślałem. Ty byłeś tą listą.

- Byłem? - powtórzył.

- Nie - skłamałem.

Znów się uśmiechnął.

- Trafna odpowiedź. Gdybym chciał się ciebie pozbyć, kazałbym cię zabić na miejscu w Missisipi. Może nawet sam bym się pofatygował.

Milczałem. Przez chwilę mi się przyglądał, jego twarz powoli rozjaśnił uśmiech przechodzący w śmiech. Starał się nad nim zapanować, ale bezskutecznie. Głośny wybuch śmiechu zabrzmiał jak szczeknięcie lub kichnięcie i Frazer aż się odchylił i spojrzał w sufit.

- Co jest? - burknąłem.

Opuścił głowę i spojrzał na mnie.

- Przepraszam - powiedział, wciąż się śmiejąc. - Przypomniałem sobie pewne powiedzonko o facetach, którzy nawet nie zasługują na aresztowanie.

Nie zareagowałem.

- Okropnie wyglądasz. Są tu zakłady fryzjerskie. Mógłbyś z któregoś z nich skorzystać.

- Nie mogę - odrzekłem. - Tak mam wyglądać.

* * *

Pięć dni wcześniej moje włosy były o pięć dni krótsze, ale wciąż na tyle długie, by przyciągać uwagę. Leon Garber, który znów wtedy był moim dowódcą, wezwał mnie do siebie, a ponieważ jego wezwanie zawierało między innymi zdanie: „bez, powtarzam, bez poprawiania wyglądu osobistego”, uznałem, że chce to wykorzystać i od razu mnie opieprzyć, mając przed oczami namacalne dowody niesubordynacji. Rzeczywiście od tego zaczął.

- Przypomnij, który regulamin wojskowy określa wygląd zewnętrzny żołnierza? - zapytał, co z jego strony było draństwem.

Garber był bez wątpienia najbardziej niedbającym o wygląd oficerem, jakiego w życiu spotkałem. Należał do tych, którzy mogą wyfasować nowy paradny mundur i po godzinie wyglądać w nim tak, jakby wzięli udział w dwóch wojnach, przespali w nim nocę i uczestniczyli w trzech barowych mordobicjach.

- Nie pamiętam, który regulamin wojskowy określa wygląd zewnętrzny żołnierza - odparłem.

- Ani ja. Bez względu na to który, kwestię długości włosów i paznokci omówiono w rozdziale pierwszym, w paragrafie ósmym, o ile dobrze pamiętam. Mam to tak dokładnie przed oczami, że mógłbym ci odczytać. Przypominasz sobie, co tam jest napisane?

- Nie.

- Jest tam napisane, że dla zapewnienia jednorodnego wyglądu służb mundurowych niezbędne jest przestrzeganie norm długości włosów.

- Jasne.

- Opisano też te normy. Wiesz, co one mówią?

- Byłem bardzo zajęty. Dopiero co wróciłem z Korei.

- Słyszałem, że z Japonii.

- Zatrzymałem się w Japonii w drodze powrotnej.

- Na jak długo?

- Na dwanaście godzin.

- W Japonii są fryzjerzy?

- Jestem pewny, że tak.

- Czy przystrzyżenie włosów przez japońskiego fryzjera trwa dłużej niż dwanaście godzin?

- Jestem pewny, że nie.

- W rozdziale pierwszym, paragraf ósmy, punkt drugi jest powiedziane, że włosy na czubku głowy muszą być równo przystrzyżone, a długość i obfitość owłosienia nie może być nadmierna i nadawać głowie wyglądu niechlujnego, zaniedbanego czy ekstrawaganckiego.

Fryzura ma mieć kształt wymodelowany.

- Nie bardzo wiem, co to znaczy - wtrąciłem.

- Kształt wymodelowany oznacza fryzurę, której zewnętrzny obrys odpowiada kształtowi czaszki żołnierza i która w dolnej części karku zanika w sposób naturalny.

- Zajmę się tym - oświadczyłem.

- I żebyś mnie dobrze zrozumiał: to są wymogi, nie sugestie.
 - Jasne - powiedziałem.
 - Punkt drugi mówi też o tym, że po szesaniu włosy nie mogą zakrywać uszu ani brwi, nie mogą też stykać się z kołnierzykiem.
 - Jasne - powtórzyłem.
 - Czy swojej fryzury nie nazwałbyś niechlujną, zaniedbaną i ekstrawagancką?
 - W porównaniu z czym?
 - A jak wygląda u ciebie sprawa uszu, brwi i kołnierzyka po szesaniu?
 - Zajmę się tym.
- Garber się uśmiechnął i ton rozmowy uległ radykalnej zmianie.
- A w ogóle, to jak szybko włosy ci rosną? - spytał.
 - Nie wiem - odrzekłem. - Myślę, że w zwykłym tempie, jak każdemu. A bo co?
 - Bo mamy pewien problem na południu, w stanie Missisipi.

Garber poinformował mnie, że rzecz dotyczy dwudziestosiedmioletniej kobiety, Janice May Chapman, która zginęła gwałtowną śmiercią w zaułku na tyłach głównej ulicy miasteczka

Carter Crossing.

- Jedna z naszych? - spytałem.

- Nie, cywil - odrzekł Garber.

- To dlaczego jest naszym problemem?

- Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw rys historyczny. Carter Crossing to największe zadupie na świecie. Północnowschodni kraniec stanu, w pobliżu granic z Alabamą i Tennessee.

Biegnie tamtędy linia kolejowa północpołudnie, miejscowy gościniec krzyżuje się z nią prostopadle w pobliżu miejsca, gdzie przepływa strumyk. Parowozy zatrzymywały się, by uzupełnić zapas wody, pasażerowie wysiadali, żeby coś przekąsić, i miasteczko kwitło. Od zakończenia drugiej wojny światowej przejeżdżają tamtędy tylko dwa, trzy pociągi towarowe na dobę, pasażerowie zniknęli i miejscina zaczęła podupadać.

- Aż do?

- Aż do wysupłania funduszy federalnych. Sam wiesz, jak to wtedy wyglądało. Waszyngton nie chciał dopuścić, żeby duże obszary Południa zamieniły się w Trzeci Świat, wyasygnowano więc pieniądze. Mówiąc ściśle, mnóstwo pieniędzy. Zauważyłeś, że najgłośniejszą gardłują o lokalnym samorządzie politycy pochodzący z rejonów o największych dotacjach rządowych? Bez pomocy państwa padliby na mordę.

- I co dostało Carter Crossing? - spytałem.

- Carter Crossing dostało bazę wojskową Fort Kelham.

- Słyszałem o Fort Kelham, ale nie wiedziałem, gdzie się dokładnie znajduje.

- Plany były ogromne - mówił dalej Garber. - O ile wiem, budowę bazy rozpoczęto w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Pod względem wielkości mogła

stać się drugim Fortem Hood, w końcu jednak uznano, że leży za daleko na wschód od międzystanowej pięćdziesiątej piątej i za daleko na zachód od sześćdziesiątej piątej, żeby mógł być z niej pożytek. Trzeba kilometrami tłuc się po wąskich lokalnych drogach, żeby tam dojechać. A może politycy z Teksasu mają donośniejsze głosy od polityków z Missisipi. Tak czy inaczej, uwagę skupiono na Hood, a baza Kelham poszła w zapomnienie. Do końca wojny wietnamskiej jeszcze jakoś funkcjonowała, ale potem przekształcono ją w ośrodek szkoleniowy komandosów. Tak jest do dziś.

- Myślałem, że komandosów szkolą w Fort Benning.
- Siedemdziesiąty Piąty wysyła swoich najlepszych ludzi do Kelham. Nie mają daleko. A coś z tym terenem trzeba robić.
- Siedemdziesiąty Piąty jest pułkiem do zadań specjalnych.
- Też tak słyszałem.
- W Kelham przebywa wystarczająca liczba komandosów do zadań specjalnych, żeby całe miasto mogło z tego wyżyć?
- Prawie. - Garber się uśmiechnął. - To nie jest duże miasto.
- Do czego zmierzamy? Jeden z komandosów zabił Janice May Chapman?
- Wątpię. To raczej sprawka jednego z tamtejszych buraków.
- W Missisipi są pola buraczane?
- No to jednego z miejscowych włóczęgów. Mają wystarczająco dużo miejsca, żeby się włóczyć.
- Dobra, wszystko jedno. Dlaczego o tym rozmawiamy?

Garber wstał zza biurka, przeszedł przez pokój i zamknął drzwi. Był starszy ode mnie i dużo niższy, ale mniej więcej mojej postury. Pomyślałem, że sprawa musi być poważna. Rzadko się zdarzało, żeby siedział za zamkniętymi drzwiami, jeszcze rzadziej, by wytrzymał dłużej niż pięć minut bez wygłoszenia kazania, aforyzmu czy sloganu, co miało podkreślić nauki płynące z jego słów i ułatwić ich przyswojenie w uproszczonej formie. Wrócił za biurko i ciężko opadł na fotel.

- Słyszałeś o Kosowie? - zapytał.
- Bałkany. Tam, gdzie Serbia i Chorwacja.
- Szykuje się tam wojna, a podobno my staramy się jej zapobiec. Zapewne nam się nie uda.

Jak zwykle skończy się na tym, że będziemy zawzięcie bombardować jedną albo drugą stronę konfliktu.

- Zawsze warto mieć plan zapasowy - mruknąłem.
- Konflikt serbskochorwacki był katastrofą jak w Rwandzie. Całkowita klęska. Na litość boską, przecież mamy dwudziesty wiek.
- Według mnie to akurat nieźle pasowało do dwudziestego wieku.
- Podobno czasy się zmieniły.
- To poczekaj na dwudziesty pierwszy wiek. Wspomnisz moje słowa.
- Nie będziemy na nic czekać. Spróbujemy uporządkować sprawy w Kosowie.

- Cóż, życzę powodzenia. Ale nie licz na mnie, jestem tylko gliniarzem.
- Nasi już tam są. To znaczy wiesz, z doskoku. Pojawiają się i znikają.
- Kto taki?
- obrońcy pokoju - rzekł Garber.
- Znaczący kto, siły ONZ?
- Niezupełnie. Sami nasi.
- Tego nie wiedziałem.
- Nie wiedziałeś, bo nikt nie może o tym wiedzieć.
- Od jak dawna?
- Od dwunastu miesięcy.
- Od roku potajemnie angażujemy wojska na Bałkanach? - zdziwiłem się.
- Chodzi głównie o rozpoznanie sytuacji, o rekonesans - powiedział Garber.
- W razie gdyby później miało się coś dziać. Przede wszystkim staramy się uspokajać nastroje. Na miejscu występuje mnóstwo zwalczających się odłamów. Gdyby ktoś spytał, to możemy powiedzieć, że zaprosili nas ci drudzy. Dzięki

temu wszyscy sądzą, że ci drudzy cieszą się naszym poparciem. To działa odstrasżająco.

- I kogo tam wysłaliśmy? - spytałem.

- Kompanię komandosów.

* * *

Garber wyjaśnił, że Fort Kelham formalnie nadal jest ośrodkiem szkoleniowym komandosów, ale dodatkowo służy jako baza dwóch kompanii w pełni wykwalifikowanych żołnierzy, które wydzielono z Siedemdziesiątego Piątego Pułku Komandosów. Kompanie używają kryptonimów Alpha i Bravo, a ich żołnierze latają do Kosowa rotacyjnie na tajne miesięczne misje. Dzięki położeniu na poboczu Fort Kelham stał się idealną bazą dla tej operacji. Nie chodzi o to, podkreślił Garber, że chcemy coś ukryć. W operacji bierze udział garstka ludzi, którzy uczestnicząc w misji humanitarnej, kierują się najszlachetniejszymi motywami, ale jak to zwykle w Waszyngtonie, o pewnych sprawach lepiej nie mówić głośno.

- W miasteczku mają lokalną policję? - spytałem.

- Mają - odrzekł Garber.

- Niech zgadnę. Nie posunęli się ani o krok w dochodzeniu i postanowili szerzej zarzucić sieć, wpisać na listę podejrzanych kogoś z Kelham.

- Właśnie - potwierdził Garber.

- W tym kogoś z kompanii Alpha i Bravo.

- Otóż to.

- Chcą im zadać mnóstwo niewygodnych pytań.

- Owszem.

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby ktokolwiek o cokolwiek pytał, bo musimy utrzymać w sekrecie wszystkie tajne wyjazdy i powroty.

- Zgadza się.

- Policja ma konkretne podejrzenia?

Miałem nadzieję, że Garber zaprzeczy, ale on odparł:

- Tylko poszlaki.
 - Poszlaki? - powtórzyłem.
 - Chodzi o niefortunną zbieżność w czasie. Janice May Chapman została zabita trzy dni po powrocie żołnierzy kompanii Bravo z kolejnej misji w Kosowie. Przylatują do Kelham prosto z zagranicy, bo baza ma własny pas startowy. Jak wspominałem, to bardzo duża baza. Dla zachowania tajemnicy lądują w nocy, po czym przez dwa dni są trzymeni pod kluczem oraz poddawani debriefingowi.
 - A potem?
 - Począwszy od trzeciego dnia, wszyscy dostają tygodniowy urlop.
 - Który spędzają w mieście.
 - Na ogół.
 - W tym także w zaułkach na tyłach głównej ulicy.
 - Tam mieszczą się wszystkie bary.
 - A w barach trafiają się barowe kobiety.
 - Jak wszędzie.
 - Janice May Chapman była jedną z nich?
 - Nie była wrogo nastawiona.
 - Pogratulować.
 - Ktoś ją zgwałcił i zmasakrował - powiedział Garber.
 - Co to znaczy „zmasakrował”?
 - Nie pytałem o szczegóły. Wolałem nie wiedzieć. Miała dwadzieścia siedem lat. Dokładnie tyle, ile ma Jodie.
- Jodie, ukochana jedynaczka Garbera.
- A co u niej? - spytałem.
 - W porządku.
 - Gdzie jest teraz?
 - Jest prawniczką. - Powiedział to takim tonem, jakby to określało, gdzie, a nie kim jest.

Z kolei on spytał: - Co słyhać u brata?

- O ile wiem, wszystko dobrze.

- Wciąż w Departamencie Skarbu?

- Z tego, co mi wiadomo.

- Był przyzwoitym facetem. - W czasie przeszłym. Jakby wystąpienie z wojska uśmiercało człowieka.

Nie zareagowałem.

- Co, twoim zdaniem, należałoby zrobić w Missisipi? - zapytał.

Pamiętajmy, że był rok 1997.

- Nie da się zamknąć gęby miejscowym przedstawicielom prawa - odrzekłem. - Nie w tych okolicznościach. Nie możemy też od nich oczekiwać wiedzy i doświadczenia w takich sprawach. Dlatego powinniśmy zaoferować im naszą pomoc i wysłać tam kogoś z naszych.

W ten sposób uzyskamy dostęp do źródeł. Jeśli to zrobił któryś z żołnierzy z Kelham, to podamy go im na talerzu. Sprawiedliwości stanie się zadość, a my będziemy mogli ukryć to, co jest do ukrycia.

- Niestety, to nie takie proste. Jest coś jeszcze.

- Co?

- Kompanią Bravo dowodzi niejaki Reed Riley. Słyszałeś o nim?

- Nazwisko nie jest mi obce.

- I nie powinno być. Jego ojciec to Carlton Riley.

- O kurwa.

- Senator Riley. - Garber pokiwał głową. - Przewodniczący Senackiej Komisji Sił Zbrojnych. Zależnie od wiejących wiatrów może być albo naszym najlepszym przyjacielem, albo najgorszym wrogiem. Wiesz, jak to z takimi bywa. Syn kapitan w wojsku to milion głosów w wyborach. Jeśli syn jest bohaterem, ta wartość się podwaja. Wolę nie myśleć o tym, co będzie, jeśli ktoś z kompanii Reeda okaże się zabójcą.

- Musimy natychmiast wysłać kogoś do Kelham - powiedziałem.

- Właśnie dlatego o tym rozmawiamy - potwierdził Garber.
- Kiedy mam się tym zająć?
- Wcale nie chcę, żebyś się tym zajmował.

Garber oznajmił, że to nie mnie chce powierzyć pokierowanie Operacją Kelham, ale świeżo awansowanemu majorowi żandarmerii wojskowej, Duncanowi Munro. Munro pochodził z wojskowej rodziny ze Srebrną Gwiazdą i Purpurowym Sercem w dorobku i tak dalej, i tak dalej. Niedawno zakończył udaną misję w Korei i obecnie odnosił sukcesy w Niemczech. Był o pięć lat młodszy ode mnie i z tego, co o nim słyszałem, był taki sam jak ja przed pięciu laty.

Nie poznałem go osobiście.

- Wylatuje dziś wieczór - poinformował Garber. - Powinien być na miejscu przed południem.

- Twoja decyzja - odrzekłem. - Jak sądzę.

- To delikatna sprawa.

- Najwyraźniej dla mnie za delikatna.

- Nie rozczulaj się nad sobą. Jesteś mi potrzebny do czegoś innego, co, miejmy nadzieję, uznasz za równie ważne.

- Mianowicie?

- Tajna misja w cywilnym przebraniu. Dlatego cieszy mnie twoja niechlujna i zaniedbana fryzura. Przy tajnych misjach najczęściej zapominamy o włosach i butach. Buty da się kupić u Goodwilla, ale kudłatych włosów nie.

- Tajna misja gdzie?

- W Carter Crossing, oczywiście, w stanie Missisipi. Pojawisz się tam w roli trampa o wojskowych korzeniach. Znasz ten typ. Będziesz kimś, kto od razu poczuje się tam jak w domu, bo zna atmosferę i układy z dawnych lat, i to do tego stopnia, że będziesz chciał zostać na trochę. Zaprzyjaźnisz się z miejscowymi stróżami prawa i wykorzystasz to do upewnienia się, że wszyscy robią wszystko, jak należy. Zarówno policja, jak i Munro.

- Mam udawać cywila?

- To nie takie trudne. Z grubsza należymy do jednego gatunku. Poradzisz

sobie.

- Mam się aktywnie włączyć w dochodzenie?

- Nie. Masz tylko wszystko obserwować i raportować. Jakbyś z boku oceniał wyniki szkolenia. Już to robiłeś. Masz być moimi oczami i uszami. Trzeba z tego wybrnąć bez żadnej wpadki.

- Okay - powiedziałem.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Kiedy wyjeżdżam?

- Jutro o świcie.

- A jak brzmi twoja definicja „żadnej wpadki”?

Garber poprawił się w fotelu i nie odpowiedział.

* * *

Wróciłem do siebie, wziąłem prysznic, lecz się nie ogoliłem. Pełnienie tajnej misji w przebraniu wymaga aktorstwa sytuacyjnego. Garber miał rację; znałem ten typ człowieka.

Każdy żołnierz go zna. Miasta w pobliżu baz wojskowych są pełne ludzi, którzy z tych czy innych względów odpadli, ale nie oddalili się o więcej niż parę kilometrów. Jedni zostają na stałe, innych zmusza się do wyjazdu, ale ci drudzy zazwyczaj i tak trafiają do miasteczek w pobliżu innych baz. Tylko takie życie znają i tylko tu się dobrze czują. Zachowują resztki wojskowej dyscypliny, która działa na zasadzie przyzwyczajenia, niczym luźne nitki DNA.

Zwykle nie ma wśród nich nitek związanych z wojskową dbałością o wygląd zewnętrzny i modelowaniem fryzury. Rozdział pierwszy, paragraf ósmy, punkt drugi nie rządzi ich życiem. Dlatego się nie ogoliłem i nawet nie przeczesałem włosów po kąpieli. Zostawiłem je, żeby tak wyschły.

Nie musiałem jechać do Goodwilla po odpowiednie buty. Miałem parę, która akurat się nadawała. Dwanaście lat wcześniej byłem w Anglii i w małej miejscinie w sklepie dla dżentelmenów kupiłem parę brązowych buciorów z juchtowej skóry. Były wielkie, ciężkie i solidne. Przez cały czas dbałem o nie,

choć rzadko je nosiłem, były więc prawie jak nowe.

Położyłem je na łóżku i przez dłuższą chwilę stały na nim samotne. Nie miałem nawet nadających się skarpetek. W końcu z szuflady wygrzebałem stary bawełniany Tshirt, sprany, burooliwkowy, niegdyś z solidnej mięsistej tkaniny. Uznałem, że tramp mógł sobie coś takiego zostawić z okresu służby w wojsku. Potem pojechałem do wojskowego konsumu i rozejrzałem się po półkach, na które zwykle nie zwracałem uwagi. Znalazłem parę drelichowych spodni w kolorze błota i koszulę z długimi rękawami. Koszula była kasztanoworuda, ale po wypraniu materiał zmienił kolor i szwy przybrały różowawą barwę.

Nie byłem nią zachwycony, lecz w moim rozmiarze nie miałem wyboru. Zresztą była przeceniona i to też czyniło ją atrakcyjną. Widywałem gorsze ciuchy. Wyglądała na dość uniwersalną. Nie bardzo wiedziałem, jakich temperatur spodziewać się w marcu na północnowschodnim krańcu Missisipi. Jeśli będzie ciepło, podwinę rękawy, jeśli zimno, będę mógł je opuścić.

Wybrałem białą bieliznę i skarpetki w kolorze khaki i przeniosłem się do regału z przyborami toaletowymi, gdzie wypatrzyłem podróżną szczoteczkę do zębów. Była składana i od razu mi się spodobała. W stanie złożonym tkwiła w przezroczystej plastikowej obudowie, z której się ją wyciągało, prostowało i zatrząskiwało w pozycji gotowej do użycia. Po złożeniu bez trudu mieściła się w kieszonce. Mogłem ją cały czas przy sobie nosić, a główka pozostawała czysta.

Bardzo sprytnie pomyślane.

Ciuchy oddałem od razu do pralni, żeby nabrały bardziej zużytego wyglądu. Odzież nigdzie nie starzeje się szybciej niż w wojskowej pralni. Potem poszedłem na późny lunch do baru z hamburgerami, gdzie natknąłem się na Stana Lowreya, kumpla z żandarmerii. Wielokrotnie pracowaliśmy razem. Siedział przy stoliku nad tacą z żalonymi resztkami półfuntowca z frytkami. Wziąłem tacę z jedzeniem i wsunąłem się na kanapę naprzeciwko niego.

- Słyszałem, że wybierasz się do Missisipi - rzucił na przywitanie.

- Gdzie słyszałeś? - spytałem.

- Mój sierżant słyszał od sierżanta w biurze Garbera.
- Kiedy?
- Ze dwie godziny temu.
- Wspaniale. Dwie godziny temu sam o tym nie wiedziałem. Tak wygląda strzeżenie tajemnicy służbowej.

- Mój sierżant twierdzi, że będziesz tam grał drugie skrzypce.
- Twój sierżant się nie myli.
- Mówi też, że głównym dochodzeniowcem będzie jakiś smarkacz.

Skinąłem głową.

- Jadę jako jego babysitter.
- To śmierdzi, Reacher. Dasz na tym dupy.
- Tylko wtedy, gdy smarkaczowi się powiedzie.
- Co nie jest wykluczone.

Odgryzłem kawałek hamburgera i popiłem kawą.

- Nie bardzo wiem, jak komukolwiek może się powieść. Sytuacja jest delikatna, i to tak bardzo, że może nie być dobrego wyjścia. Może być tak, że Garber mnie chroni, a poświęca smarkacza.

- Mów do mnie jeszcze, kolego. Jesteś jak stara szkapą, którą Garber kopie w dupę i wpycha na głęboką wodę bez koła ratunkowego. Rodzi się nowa gwiazda. Ty należysz do przeszłości.

- Wobec tego ty też - odparłem. - Jeśli ja jestem starą szkapą, to ty stoisz w kolejce do fabryki kleju.

- Naturalnie. I to mnie martwi. Od dziś zacznę czytać ogłoszenia z ofertami pracy.

* * *

Przez resztę dnia właściwie nic się nie działo. Dostarczyli moje pranie, wymiętoszone i wybielone w gigantycznych maszynach pralniczych. Ubranie wyprasowano parą, mogłem więc mieć pewność, że po dniu spędzonym w podróży efekt zniknie bez śladu. Ułożyłem je na podłodze i dostawiłem parę

buciorów. A potem zadzwonił telefon i operatorka powiedziała, że łączy mnie z pułkownikiem Johnem Jamesem Frazerem z Pentagonu.

Przedstawił się jako oficer z Biura Łączności z Senatem, jednak wcześniej nie omieszkiał wspomnieć o swojej bojowej przeszłości, zapewne po to, żeby nie zaszufładował go jako typowego biurokraty. Następnie oznajmił stanowczym tonem:

- Jeśli się okaże, że istnieje choćby cień podejrzenia, najwątlesza poszlaka czy plotka w odniesieniu do kogoś z kompanii Bravo, muszę o tym od razu wiedzieć. Od razu, jasne?

Bez względu na porę dnia czy nocy.

- A ja chciałbym wiedzieć, jakim cudem miejscowa policja wie, że kompania Bravo stacjonuje w Kelham. Myślałem, że to tajemnica.

- Latają transportowcami C pięć. To bardzo hałaśliwe maszyny.

- Robią to pod osłoną nocy, a transportowce mogą wozić zaopatrzenie. Skrzynie z amunicją i fasolką konserwową.

- Miesiąc temu był problem z pogodą. Nad Atlantykiem szalały burze, przelot się opóźnił i wylądowali za dnia. Wtedy ich zauważono. Zresztą miasteczko od dawna sąsiaduje z bazą, więc wie pan, jak to jest. Przez miesiąc ludzie widzą jakieś twarze, które potem na miesiąc znikają, a na ich miejsce pojawiają się nowe. Miejscowi nie są głupi.

- Plotki i pogłoski krążą - powiedziałem. - Zbieżność czasowa daje pole do domysłów. A jak pan powiedział, mieszkańcy nie są głupi.

- Zbieżność czasowa może być przypadkowa.

- Miejmy nadzieję, że jest.

- Jeśli natrafił pan na coś, o czym kapitan Riley mógł lub powinien wiedzieć wtedy lub obecnie, to natychmiast muszę o tym wiedzieć - rzekł z naciskiem Frazer. - Cokolwiek by to było, jasne? Bezzwłocznie.

- Czy to jest rozkaz?

- To prośba starszego stopniem oficera. A jest jakaś różnica?

- Czy pan zalicza się do mojej hierarchii służbowej?
- Proszę przyjąć, że tak.
- Jasne - powiedziałem.
- Cokolwiek by to było - podkreślił ponownie Frazer. - Bezpośrednio do mnie, bezzwłocznie i osobiście. O każdej porze dnia i nocy.
- Jasne - powtórzyłem.
- Od tej sprawy bardzo dużo zależy. Rozumiemy się? Gramy o bardzo wysokie stawki.
- Jasne - rzuciłem po raz trzeci.

A wtedy Frazer dodał:

- Nie chciałbym jednak, żeby pan robił cokolwiek, z czym się nie zgadza.

* * *

Położyłem się do łóżka ze zmierzwioną czupryną i zarostem szeleszczącym na poduszce. Mój wewnętrzny zegar obudził mnie o piątej rano, dwie godziny przed świtem. Był piątek, siódmy marca 1997 roku. Pierwszy dzień reszty mojego życia.

Wziąłem prysznic i ubrałem się po ciemku: skarpetki, bokserki, spodnie, stary T-shirt i nowa koszula. Zasznurowałem buty, do kieszonki wsadziłem szczoteczkę do zębów, paczkę gumy do żucia i zwitek banknotów. Całą resztę zostawiłem w kwaterze. Nie wziąłem ze sobą dowodu tożsamości, portfela, zegarka, niczego. Aktorstwo sytuacyjne. Uznałem, że jeśli chcę poważnie to potraktować, to nie mam wyboru.

Po wyjściu z domu przeszedłem główną ulicą bazy i dotarłem do wartowni przy bramie.

Wyłonił się z niej Garber, który przyszedł oficjalnie mnie pożegnać. Musiał tam już na mnie czekać. O szóstej rano. Było jeszcze całkiem szaro. Miał na sobie mundur połowy. Pewnie włożył go niecałą godzinę wcześniej, ale wyglądał tak, jakby przez tę godzinę tarzał się w błocie. Staliśmy w blasku świecącej żółto lampy rtęciowej. Było bardzo zimno.

- Nie masz żadnego bagażu? - zdziwił się Garber.

- A po co mi bagaż?

- Ludzie zwykle podróżują z jakąś torbą.

- Po co?

- Na zapasowe ubrania.

- Nie mam zapasowych ubrań. To, co mam na sobie, musiałem specjalnie dokupić.

- I wybrałeś tę koszulę?

- Coś z nią nie tak?

- Jest różowa.

- Tylko miejscami.

- Jedziesz do Missisipi. Pomyślą, że jesteś pedałem. Zatluką cię tam na śmierć.

- Nie sądzę.

- A co zrobisz, jak te ciuchy się pobrudzą?

- Nie wiem. Pewnie kupię inne.
 - Jak zamierzasz dotrzeć do Kelham?
 - Postanowiłem dojść do miasta i złapać autobus do Memphis. Resztę drogi przejadę autostopem. Pewnie tak ludzie postępują.
 - Zjadłeś śniadanie?
 - Na pewno znajdę coś po drodze.
- Garber zamilkł i po chwili spytał:
- Dodzwonił się do ciebie John James Frazer? Z Biura Łączności z Senatem?
 - Tak.
 - Co ci powiedział?
 - Znajdziemy się w poważnym kłopotcie, o ile się nie okaże, że Janice May Chapman zabił cywil.
 - W takim razie miejmy nadzieję, że się okaże.
 - Czy Frazer należy do mojej hierarchii służbowej?
 - Chyba najbezpieczniej będzie przyjąć, że tak.
 - Co to za jeden?
 - Ktoś, na kim obecnie ciąży ogromna odpowiedzialność. Może się okazać, że pójdzie na marne pięć lat wysiłków, i to w chwili, gdy staje się to naprawdę ważne.
 - Powiedział, żebym nie robił niczego, z czym się nie zgadzam.
 - Bzdura! - zachnął się Garber. - Nie jesteś w wojsku po to, żeby robić tylko to, z czym się zgadzasz.
 - Jeśli któryś z chłopaków na przepustce spił się w barze i mu odbiło, to nie wina dowódcy kompanii.
 - Tak jest tylko w prawdziwym świecie - powiedział Garber. - W tym przypadku mamy do czynienia z polityką. - Zamilkł, jakby wiele myśli cisnęło mu się do głowy, a on się zastanawiał, od czego zacząć. W końcu ograniczył się do życzeń. - Szczęśliwej podróży, Reacher. I bądźmy w kontakcie, dobra?

* * *

Spacer do dworca autobusowego był nużący, ale łatwy. Wystarczyło stawiać nogę przed nogą. Wyprzedziło mnie kilka pojazdów, lecz żaden się nie zatrzymał i nikt nie zaproponował mi podwiezienia. Może byłoby inaczej, gdybym był w mundurze. Ludzie mieszkający w pobliżu baz w środkowych stanach są zwykle przyjaźnie nastawieni do ludzi w mundurach.

Ich niechęć do podwiezienia mnie uznałem za dowód, że wyglądam wiarygodnie jako cywil.

Było to jak zdany egzamin z nowej specjalności. Wcześniej nie udawałem cywila. Można by powiedzieć, że formalnie byłem cywilem przez pierwsze osiemnaście lat życia do czasu wstąpienia do West Point, ale z racji zawodu ojca przemieszkałem je w kolejnych bazach korpusu marines. Być członkiem rodziny wojskowej i mieszkać w bazie wojskowej nie ma nic wspólnego z życiem cywila. Absolutnie nic. I dlatego ten wczesny poranek był dla mnie nowym i odświeżającym doświadczeniem. Za moimi plecami wzeszło słońce, zrobiło się cieplej, ziemia pokryła się rosą, znad drogi uniosła się poranna mgła sięgająca do kolan.

Brodziłem w niej, myśląc o kumplu Stanie Lowreyu, który został w bazie. Byłem ciekaw, czy naprawdę zajrzał do ogłoszeń z ofertami pracy. Zastanawiałem się, czy powinien był to zrobić i czy nie należałoby pójść jego śladem.

* * *

Niecały kilometr od centrum miasta natknąłem się na knajpkę dla podróżnych i zatrzymałem się na śniadanie. Oczywiście zamówiłem kawę i jajecznicę. Czułem, że bez trudu wcielam się wizualnie i mentalnie w nową rolę i nie odstaję od reszty. W knajpce poza mną było sześć osób, sami mężczyźni po cywilnemu. Żaden z nich swym wyglądem nie spełniał standardów schludności, wymaganych przez regulamin wojskowy w celu zachowania jednorodności wizerunku sił zbrojnych. Wszyscy mieli na głowach czapki - ażurowe bejsbolówki z nazwami firm, zapewne dostawców sprzętu rolniczego lub ziarna

siewnego. Zastanowiłem się, czy nie powinienem też zaopatrzyć się w taką czapkę. Nie wpadłem na to wcześniej, zresztą w konsumie niczego takiego nie było.

Skończyłem śniadanie, zapłaciłem kelnerce i z gołą głową ruszyłem w stronę dworca autobusowego. Kupiłem w kasie bilet, usiadłem na ławce i pół godziny później jechałem autobusem na południowy zachód.

Na swój sposób podróż autobusem okazała się przeżyciem. Do przejechania miałem stosunkowo niewielki kawałek gigantycznego kontynentu, który na mapie ma niewiele ponad dwa centymetry, ale i tak zajęło mi to sześć godzin. Widok za oknem zmieniał się niezauważalnie, a jednak krajobraz u kresu podróży różnił się zasadniczo od jej początku.

Memphis okazało się miastem o mokrych ulicach i niskiej zabudowie w pastelowych kolorach, kipiącym niezwykłą podskórną aktywnością. Wysiadłem na dworcu autobusowym i przez chwilę stałem w popołudniowym słońcu, wsłuchując się w odgłosy miasta. Potem ustawiłem się prawym ramieniem do słońca i ruszyłem na południowy wschód. Pierwszym zadaniem było znalezienie szerokiej wylotowej ulicy, biegnącej w tym kierunku, drugim zjedzenie czegoś.

Znalazłem się w zakazanej dzielnicy, pełnej lombardów, sexshopów i kantorów oferujących sądowe kaucje, gdzie złapanie okazji było praktycznie niemożliwe. Ten sam kierowca, który byłby skłonny zabrać mnie na szosie, w tej części miasta nawet by się nie zatrzymał. W tej sytuacji postanowiłem odwrócić kolejność i wszedłem do zapyziałej kafejki. Wiedziałem, że będę miał trudności z dojazdem na miejsce. Powinienem stanąć na skrzyżowaniu z dużą zieloną tablicą, na której figurowałaby strzałka na wprost oraz nazwa Oxford albo Tupelo, lub Columbus. Ktoś ustawiony pod taką tablicą, z wyciągniętym kciukiem, nie budzi wątpliwości co do intencji i kierunku, w którym chce się udać. Nie musi niczego wyjaśniać, a kierowcy nie muszą o nic pytać, co znacznie upraszcza sprawę. Na ogół ludzie nie lubią odmawiać twarzą w twarz i aby tego uniknąć, wolą wcale się nie zatrzymać.

Po półgodzinie marszu dotarłem do skrzyżowania z takim właśnie drogowskazem. Przedemną rozciągała się pełna zieleni podmiejska dzielnica, co oznaczało, że za kierownicą dziewięćdziesięciu procent samochodów będą siedziały szacowne matrony, wracające do domów, a żadna z nich nawet na mnie nie spojrzy. Szanująca się kobieta nie wpuści do samochodu obcego

mężczyzny, gdy do przejechania został jej kilometr czy dwa. Z kolei pójście dalej byłoby pozornym postępowaniem w drodze do celu, rzekomą oszczędnością czasu.

Lepiej tracić go, stojąc bezczynnie, niż spalać energię. Uznałem, że jeśli nawet dziewięć na dziesięć samochodów minie mnie obojętnie, to i tak najdalej za godzinę będę jechał.

* * *

Miałem rację. Po dwudziestu minutach czekania zatrzymał się zdezelowany stary pickup, którego kierowca poinformował mnie, że jedzie do składu drewna po drugiej stronie Germantown. Musiał się zorientować, że niewiele mi to mówi, bo wyjaśnił, że jeśli się z nim zabiorę, to wysadzi mnie za miastem, skąd będę miał jedną drogę do północnowschodniej części stanu Missisipi. Wsiadłem i dwadzieścia minut później znów stanąłem na poboczu zakurzonej szosy, biegnącej prosto jak strzelił w pożądanym kierunku. Zatrzymał się starszy jegomość w równie starym osobowym buicku, którym przekroczyliśmy granicę stanu i pojechaliśmy sześćdziesiąt kilometrów na wschód. Potem napatoczył się gość w starym ciężarowym chevrolecie, którym wąską lokalną drogą przebyłem kolejne trzydzieści parę kilometrów na południe. Gość wysadził mnie na skrzyżowaniu z drogą, którą, jak mi oświadczył, powinienem dalej jechać. Zrobiło się późne popołudnie i słońce dość szybko wędrowało ku dalekiemu horyzontowi. Droga wiodła wśród niskich leśnych zarośli i ginęła w mrocznej oddali. Domyślałem się, że Carter Crossing leży przy niej jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów dalej na wschód, co oznaczało, że do zakończenia pierwszego etapu misji - dotarcia na miejsce - zostało mi niewiele. Drugim etapem miało być nawiązanie kontaktu z lokalną policją, co mogło się okazać znacznie trudniejsze. Nie było żadnego powodu, żeby umundurowana władza zaprzyjaźniała się z przypadkowym trampem. Nie istniał żaden oczywisty mechanizm nawiązania kontaktu poza doprowadzeniem do aresztowania, to jednak od razu ustawiłoby naszą znajomość na niedogodnej płaszczyźnie.

Na szczęście wyszło na to, że oba zadania udało się zrealizować za jednym udanym zamachem, bo pierwszym przejeżdżającym pojazdem okazał się zmierzający na wschód radiowóz policyjny. Wystawiłem kciuk i gliniarz się zatrzymał. Okazał się wracającym do Carter Crossing gadułą, a ja ograniczyłem się do słuchania i już po paru minutach zorientowałem się, że pewne szczegóły w relacji Garbera nie są zgodne z prawdą.

Gliniarz nazywał się Pellegrino, zupełnie jak ta woda mineralna, ale do tego nie nawiązał.

Pewnie w tej części Missisipi ludzie piją zwykłą kranówkę. Właściwie nie było nic dziwnego w tym, że się zatrzymał. Małomiasteczkowi gliniarze są z reguły ciekawi obcych, którzy przybywają na ich terytorium, a najprostszym sposobem zaspokojenia ciekawości jest ich wypytanie, do czego Pellegrino natychmiast przystąpił. Podałem mu nazwisko i w minutę opowiedziałem zmyśloną historię. Oświadczyłem, że jestem byłym wojskowym i jadę do

Carter Crossing szukać starego kumpla, który być może tam mieszka. Powiedziałem, że kiedyś kumpel służył w Kelham i mógł się tam zaczepić. Pellegrino nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia. Na sekundę odwrócił głowę, zmierzył mnie od góry do dołu taksującym spojrzeniem, po czym powrócił wzrokiem do drogi. Był dość niski i tęgi; zapewne miał włoskie lub francuskie korzenie. Miał krótko przystrzyżone czarne włosy, oliwkową cerę i popękane żyłki po obu stronach nosa. Ocenilem, że liczy sobie między trzydzieści a czterdzieści lat, i pomyślałem, że o ile radykalnie nie ograniczy jedzenia i picia, może nie dociągnąć do sześćdziesiątki.

Skończyłem swoją historyjkę i wtedy on się rozgadał. Na początku dowiedziałem się, że nie jest małomiasteczkowym gliniarzem i ściśle mówiąc, Garber się mylił. W miasteczku nie było policji. Carter Crossing leżało w okręgu Carter i władzę policyjną nad całym obszarem blisko tysiąca trzystu kilometrów kwadratowych sprawowało Biuro Szeryfa okręgu Carter. Tyle że na tym terenie poza fortem Kelham i Carter Crossing nie było nic więcej i dlatego biuro szeryfa właśnie tam miało siedzibę. W pewnym sensie Garber jednak miał rację. Niemniej Pellegrino nie był zwykłym gliniarzem, tylko jednym z zastępców szeryfa okręgowego, i widać było, że jest z tego dumny.

- Jak duże jest to wasze biuro? - spytałem.

- Nie za duże - przyznał Pellegrino. - Szeryf, śledczy, ja i jeszcze jeden

mundurowy, cywil od roboty papierkowej i dyspozytorka przy centralce. Z tym że śledczy od dawna ma zwolnienie lekarskie z powodu chorych nerek, więc tak naprawdę jest nas trójka.

- A ilu mieszkańców ma okręg Carter?

- Jakies tysiąc dwieście osób. - Pomyślałem, że to dość dużo, jak na trzech gliniarzy. Gdyby przyjąć tę proporcję w Nowym Jorku, musiałyby tam być o połowę mniej policjantów, niż jest.

- Łącznie z personelem bazy Kelham? - spytałem.

- Nie, ci są liczeni oddzielnie i mają własną policję.

- Chyba i tak macie masę roboty - powiedziałem. - Tysiąc dwustu mieszkańców na tysiącu trzystu kilometrach kwadratowych terenu.

- Akurat teraz mamy dużo na głowie - potwierdził Pellegrino, jednak ani słowem nie wspomniał o Janice May Chapman. Natomiast opowiedział o zdarzeniu z ostatnich godzin.

Wczoraj późnym wieczorem ktoś pod osłoną ciemności zostawił samochód na torze kolejowym. Jak się okazało, Garber w tej sprawie też się mylił. Mówił, że przez Carter Crossing przejeżdżają dwa lub trzy pociągi na dobę, w rzeczywistości tylko jeden. Z głośnym stukotem kół dokładnie o północy przejechał ponadkilometrowy skład wagonów towarowych, załadowanych w porcie Biloxi nad Zatoką Meksykańską i zmierzających na północ. Ten pędzący o północy pociąg wpadł na zostawiony na torze samochód, kompletnie go rozbił, pchał kawał drogi po szynach i odrzucił wrak w bok do lasu. Pociąg się nie zatrzymał, zdaniem niektórych nawet nie zwolnił, co by znaczyło, że maszynista nic nie zauważył.

Uderzając w coś, powinien się zatrzymać. Tego wymagały kolejowe przepisy. Pellegrino sądził, że najprawdopodobniej maszynista niczego nie widział. Byłem skłonny się z tym zgodzić. Tysiące rozpędzonych ton przeciwko jednej? Bez szans. Pellegrino wyglądał na bardzo przejętego tą historią.

- Kto mógł zrobić coś takiego i dlaczego? Kto stawia auto na torze?

- Może jacyś smarkacze? Dla zgrywy.
- Nigdy nic takiego się nie zdarzyło, a smarkacze zawsze tu byli.
- W samochodzie nie było nikogo?
- Dzięki Bogu, nikogo. Po prostu ktoś zostawił wóz, i tyle.
- Skradziony?
- Tego jeszcze nie wiemy. Za dużo z niego nie zostało. Sądzymy, że był niebieski. Spalił się, a wraz z nim trochę drzew wokół.
- Nikt nie zgłosił zaginięcia samochodu?
- Jak dotąd nie.
- I czym jeszcze się zajmujecie? - spytałem.

W tym momencie Pellegrino nabrał wody w usta, a ja się zląkłem, że uznał mnie za podejrzanego wścibskiego. Przemyślałem sprawę i jednak doszedłem do wniosku, że pytanie było w pełni uzasadnione. Służyło podtrzymaniu rozmowy. Gość mówi, że mają dużo pracy, przy czym wspomina tylko o samochodzie rozjechanym na torach, więc słuchacz ma prawo spytać, czym się policja zajmuje. Zwłaszcza jak się razem jedzie samochodem i panuje przyjazna atmosfera.

Szybko się okazało, że dyskrekcja Pellegrina brała się jedynie z jego uprzejmości i staromodnej gościnności ludzi Południa.

- No cóż, nie chciałbym pana przestraszyć, zwłaszcza że jest pan w naszych stronach po raz pierwszy, ale niedawno zamordowano u nas kobietę - wyjaśnił.

- Naprawdę?
- Dwa dni temu.
- Jak ją zamordowano?

Okazało się, że informacje Garbera znów nie były zbyt dokładne. Janice May Chapman nie została zmasakrowana. Poderżnięto jej gardło, i nic więcej. Zadanie śmiertelnej rany to nie jest zmasakrowanie, w żadnym sensie.

- Od ucha do ucha - dodał Pellegrino. - Naprawdę głęboko. Jedno potężne ciachnięcie.

Niezbyt miły widok.

- To znaczy, że ją pan widział - domyśliłem się.

- Z bliska i dokładnie. Widziałem kości sterczące w ranie na szyi.

Wykrwawiła się. Leżała na wznak w ogromnej kałuży. To było straszne. Miła kobieta, naprawdę ładna, wystrojona na wieczorne wyjście. Leżała w eleganckich ciuchach w kałuży krwi. Straszne.

Nie odezwałem się, żeby go nie zniechęcić.

- Została zgwałcona. Stwierdził to lekarz, kiedy ją rozebrał i ułożył na stole.

Inaczej trzeba by przyjąć, że w którymś momencie tak się rozbrykała, że szorowała gołym tyłkiem po żwirze.

Ja tego nie kupuję.

- Znał ją pan?

- Z widzenia.

- Kto to zrobił?

- Tego nie wiemy. Pewnie ktoś z bazy. Tak podejrzewamy.

- Dlaczego?

- Zadawała się z nimi.

- Skoro wasz śledczy ma zwolnienie, to kto prowadzi dochodzenie?

- Szeryf.

- A wasz szef ma doświadczenie w kwestii zabójstw?

- Tak naprawdę to szefowa. Szeryfem jest kobieta.

- Naprawdę?

- Ludzie ją wybrali. - W głosie Pellegrina słychać było rezygnację, jak w głosie kibica mówiącego o meczu przegranym przez ukochaną drużynę. Trudno, stało się.

- A pan nie ubiegał się o to stanowisko?

- Wszyscy się ubiegali. Poza śledczym, bo już wtedy miał kłopoty z nerkami.

Na tym poprzestałem. Samochód trząsał na wybojach, opony głucho dudniły

po wymołowanym żwirze, jakby goniły resztką sił. Przedwieczorny blask na horyzoncie rozpląnął się, ustępując miejsca wieczornemu mrokowi. Reflektory samochodu rozświetlały najbliższe pięćdziesiąt metrów, dalej była tylko ciemna pustka. Droga biegła idealnie prosto, niczym tunel w gęstwinie drzew. Drzewa były pokręcone i rachityczne, jakby setki lat temu same zasiały się na leżącej odłogiem ziemi ornej i musiały ze sobą walczyć o każdy promień słońca i każdą drobinę soli mineralnych. Pojawiały się w światłach samochodu jak zatrzymane w kadrze. Na jednym z nich dojrzałem przybity kawał blachy, pełen rdzawych plamek w miejscach, gdzie złuszczyła się farba. Umieszczony na blasze napis reklamował hotel o nazwie Toussaint's, wabiąc gości centralnym położeniem przy Main Street i pokojami o najwyższym standardzie.

- Wybrali ją przez nazwisko - odezwał się Pellegrino.
- Panią szeryf?
- O niej mówimy, nie?
- A czemu? Jak ona się nazywa?
- Elizabeth Deveraux.
- Ładnie - skrzywiłem się - ale nie ładniej niż, na przykład, Pellegrino.
- Jej stary był tu szeryfem. W pewnych kręgach bardzo lubianym. Myślimy, że część ludzi głosowała na nią z poczucia lojalności albo myślała, że wciąż głosuje na starego szeryfa.

Mogli nawet nie wiedzieć, że on nie żyje. W pewnych kręgach takie sprawy dość wolno docierają do świadomości.

- Carter Crossing jest na tyle duże, żeby mieć jakieś kręgi? - spytałem.
- Ściślej mówiąc, połówki. Jedna na zachód od torów, druga na wschód.
- Jedna dobra, druga zła?
- Jak zawsze.
- A po której stronie jest Kelham?
- Po wschodniej. Pięć kilometrów od toru po tej złej stronie.
- A po której jest hotel Toussaint's?

- A co, nie zatrzyma się pan u kumpla?
- Kiedy go odszukam. Jeśli go odszukam. Ale do tej chwili muszę gdzieś mieszkać.
- Toussaint's jest w porządku. Wysadzę pana pod wejściem.

* * *

Tak zrobił. Wyjechaliśmy z leśnego tunelu, droga nieco się poszerzyła, las ustąpił miejsca pojedynczym drzewom i gęstym zaroślom. Nawierzchnia drogi zmieniła się we wstęgę asfaltu, ciągnącą się po płaszczyźnie szerokości boiska do futbolu. W pewnej chwili szosa skręciła w prawo i stała się ulicą, prowadzącą pośród niskich budynków, zapewne główną ulicą miasteczka. Trudno było mówić o stylu architektonicznym mijanych starych, często drewnianych budynków o kamiennych cokołach. Minęliśmy budynek z napisem „Biuro Szeryfa okręgu Carter”, za nim pustą działkę, za nią knajpkę i podjechaliśmy pod wejście do hotelu Toussaint's. Widać po nim było ślady dawnej świetności. Pomalowany na zielono hotel miał ozdobne framugi okien i kute poręcze balkonów na pierwszym piętrze. Całość wyglądała jak kopia eleganckich starych budynków w Nowym Orleanie. Nad wejściem wisiał wyblakły szyld, na obrysie budynku ciągnął się rząd żarówek, z których trzy były przepalone i nie świeciły.

Pellegrino zatrzymał się pod wejściem. Podziękowałem za podwiezienie i wysiadłem. Zrobił nawrót przez całą szerokość ulicy i ruszył z powrotem, pewnie po to, by zaparkować przed budynkiem biura szeryfa. Wszedłem przez żartymi przez termity drewnianymi schodkami na skrzypiący drewniany ganek i pchnąłem drzwi wejściowe.

W środku ujrzałem niewielki hol i pustą recepcję. Podłogę tworzyły mocno wydeptane deski, częściowo przykryte dywanem o orientalnym wzorze. Kontuar recepcyjny był z twardego drewna, wyświeconego do połysku przez lata używania i czyszczenia. Na ścianie za kontuarem widniała tablica z przegródkami na klucze. Cztery rzędy, po siedem przegródek w każdym, i tylko w jednej brakowało klucza. W żadnej nie było listów ani kartek z wiadomościami.

Na kontuarze stał dzwonek, mosiężna kopałka z zielonkawymi ze starości brzegami i przyciskiem. Nacisnąłem dwukrotnie, zabrzmiało przyjemne dla ucha „dingdong”, lecz nikt się nie zjawił. Obok tablicy z przegródkami widać było drzwi. Zapewne wejście do kantorka, uznałem. I chyba też pustego. Nie mogłem zrozumieć, jak właściciel pozwala sobie przegapić okazję dwukrotnego zwiększenia liczby gości.

Jeszcze przez chwilę stałem bez ruchu, po czym otworzyłem drzwi po lewej stronie holu.

Ukazało się mroczne wnętrze salonu, z którego bił zapach pleśni, kurzu i wilgoci. W mroku było widać pionowe kształty, w których rozpoznałem oparcia foteli. W salonie panowała martwa cisza, nie było nikogo. Wróciłem do recepcji i raz jeszcze nacisnąłem dzwonek.

Nikt nie zareagował.

- Halo! - zawołałem.

Brak odpowiedzi.

Machnąłem ręką, wyszedłem na skrzypiący ganek i zszedłem schodkami na ulicę. Stałem na chodniku pod jedną ze słuczonych latarni i rozejrzałem się. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się rząd niskich budynków, zapewne sklepów. We wszystkich było ciemno, a za nimi zupełna czerń. Wieczorne powietrze było przejrzyste, suche i dość ciepłe. Marzec w Missisipi... Sądząc po pogodzie, mogło to być gdziekolwiek. Słysząc było daleki szelest liści na wietrze i szmer

podrywanego przez wiatr pyłu, a może termitów wgryzających się w drewno. Rozlegał się szum wentylatora umieszczonego w ścianie pobliskiej knajpy, ale poza tym panował spokój. Żadnych oznak życia. Żadnych ludzkich głosów, rozochoconych nawoływań, odgłosów ruchu ulicznego, muzyki.

Wieczór w miasteczku położonym tuż obok bazy woskowej.

Bardzo dziwne.

* * *

Od lunchu w Memphis nie miałem nic w ustach, ruszyłem więc do knajpy. Od frontu budynek był wąski, ale sięgał w głąb chyba przez całą szerokość kwartału, i do kuchni wchodziło się z sąsiedniej ulicy. Za drzwiami wisiał automat telefoniczny i stał pulpit hostess, dalej ciągnęło się długie przejście środkiem sali, po którego obu stronach ustawiono rzędy stolików: czteroosobowych po lewej i dwuosobowych po prawej. Były to zwykłe stoliki z dostawionymi krzesłami, a nie boksy z ławkami. Zupełnie jak w kawiarni. W całym lokalu była tylko para na oko dwa razy starszych ode mnie ludzi. Siedzieli naprzeciw siebie przy czteroosobowym stoliku, mężczyzna czytał gazetę, kobieta książkę. Widać było, że jest im tu dobrze i nigdzie się nie wybierają. Personel knajpy reprezentowała samotna kelnerka, krzątająca się w głębi, w pobliżu wahadłowych drzwiczek, zapewne prowadzących do kuchni.

Dojrzała mnie i podążyła przez całą salę, by mnie powitać i zaprowadzić do dwuosobowego stolika mniej więcej w połowie sali. Usiadłem twarzą do wejścia, plecami do kuchni.

Niestety, jednoczesne obserwowanie obu wyjść nie było możliwe.

- Coś do picia? - spytała.

- Kawę - odrzekłem. - Czarną, poproszę.

Odeszła i po chwili wróciła z dzbankiem kawy i menu.

- Pusto tu dziś - zauważyłem.

Kiwnęła ze smutkiem głową. Pewnie boleśnie odczuwała brak napiwków.

- Zamknęli bazę - powiedziała.

- Bazę Kelham? Nikogo nie wypuszczają?

Ponownie skinęła głową.

- Od dziś po południu. Wszyscy siedzą w środku i opychają się wojskowym żarciem.

- Często się to zdarza?

- Pierwszy raz.

- To przykre. Co pani poleca?

- Do czego?

- Do jedzenia.

- Wszystko jest smaczne.

- Poproszę o cheeseburgera.

- Pięć minut - rzuciła i oddaliła się w stronę kuchni.

Zabrałem ze sobą kawę i podszedłem do telefonu. Przeszukałem kieszenie i wygrzebałem trzy ćwierćdolarówki. W sam raz na krótką rozmowę. Nie byłem zwolennikiem długiego gadania przez telefon. Wybrałem numer Garbera, oficer dyżurny mnie przełączył i w słuchawce zabrzmiał głos szefa.

- Jesteś na miejscu? - zapytał.

- Tak - odparłem.

- Jak podróż?

- Bez przygód.

- Masz gdzie spać?

- O mnie się nie martw. Mam tylko siedemdziesiąt pięć centów drobnymi i cztery minuty do podania jedzenia, a chcę cię o coś spytać.

- Ładuj.

- Kto cię poinformował o tej sprawie?

W słuchawce zapadła cisza.

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekł po dłuższej chwili Garber.

- To ja ci powiem, że ktokolwiek by to był, nie jest przesadnie precyzyjny.

- To się zdarza.

- Zamknęli Kelham.

- Tak zdecydował Munro, jak tylko tam przyjechał.

- Dlaczego?

- Wiesz, jak to jest. Zawsze istnieje obawa powstania zadrażeń między miejscową ludnością a bazą. To rozsądne posunięcie.

- Tyle że jak przyznanie się do winy.

- No cóż, może Munro wie coś, czego ty nie wiesz. Nie przejmuj się nim. Twoim zadaniem jest sondowanie miejscowych gliniarzy.

- Już to robię. Jeden z nich mnie tu podwiózł.

- Uwierzył w twój kamuflaż?

- Wyglądało na to, że tak.

- To dobrze. Jak się zorientują, że masz z tym jakiś związek, od razu się zamkną.

- Chciałbym, żebyś się dowiedział, czy ktoś w kompanii Bravo ma niebieski samochód.

- Dlaczego?

- Gliniarz mi powiedział, że ktoś zostawił na torze niebieski samochód. Nocny pociąg go zmiażdżył. Mogło chodzić o zniszczenie dowodów.

- Gdyby tylko o to chodziło, po prostu by go spalili.

- Mogło chodzić o dowody, których ogień nie zniszczy. Na przykład wgnieciony zderzak czy coś w tym rodzaju.

- Jaki to ma związek z kobietą, którą zmasakrowano w jakimś zaułku?

- Nie zmasakrowano. Poderżnięto gardło. Nic więcej. Głębokie i szerokie cięcie.

Prawdopodobnie jedno pociągnięcie. Gliniarz, z którym rozmawiałem, powiedział, że widział w ranie kość.

Garber na moment zamilkł, po czym stwierdził:

- Tego uczą komandosów.

Nie odpowiedziałem.

- Jak to się łączy z samochodem na torze? - spytał.

- Nie wiem. Może nijak. Ale i tak sprawdź, dobrze?

- W kompanii Bravo służy dwustu chłopaków. Z czystego rachunku prawdopodobieństwa wynika, że mają z pięćdziesiąt niebieskich samochodów.

- I wszystkie one powinny teraz być na terenie bazy. Upewnijmy się, że żadnego nie brakuje.

- To musiał być cywilny samochód.

- Miejmy nadzieję, że był. Już ja się tym zajmę. W każdym razie chciałbym to wiedzieć.

- To Munro prowadzi dochodzenie, nie ty - burknął Garber.

- Chciałbym też wiedzieć, czy ktoś zgłosił się do ambulatorium ze skórą na dłoniach, kolanach, a może łokciach obtartą na żwirze. Chodzi o gwałt. Gliniarz powiedział mi, że Chapman miała takie obtarcia.

- To dochodzenie majora Munro.

Kątem oka zauważyłem wyłaniającą się z kuchni kelnerkę. Na tacy niosła talerz z ogromnym cheeseburgerem i górą cieniutkich frytek, wielką i splątaną jak gniazdo wiewiórki.

- Muszę kończyć, szefie. Zadzwoń jutro. - Odwiesiłem słuchawkę i powędrowałem z kawą do stolika, na którym kelnerka ceremonialnym ruchem postawiła talerz z jedzeniem.

Wyglądało i pachniało apetycznie.

- Dzięki - powiedziałem.

- Podać coś jeszcze?

- Nie, ale może mi pani podpowiedzieć, gdzie znaleźć nocleg. Potrzebny mi pokój, a w hotelu nikogo nie ma.

Kelnerka odwróciła głowę i popatrzyła na dwoje starszków. Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem. Oboje nadal czytali, nie podnosząc głów.

- Zwykle trochę tu siedzą, zanim wrócą do siebie - powiedziała. - To najlepszy moment, żeby ich złapać - dodała. Odwróciła się i odeszła.

Jadłem powoli, rozkoszując się każdym kęsem. Para siedziała, nie przerywając czytania.

Kobieta co chwila przewracała kartkę, mężczyzna dużo rzadziej szeleścił gazetą, składając ją, by ułatwić sobie czytanie. Przekładał kolejne stronicie i czytał od deski do deski, jakby chciał wyczytać cały druk.

* * *

Kelnerka wróciła, aby zabrać talerz i zaoferować mi deser. Poleciała doskonale ciasto domowej roboty.

- Pójdę na spacer - odrzekłem - ale zajrzę tu w drodze powrotnej. Jeśli ci dwoje jeszcze tu będą, to usiądę i poproszę o ciasto. Chyba popędzanie ich mija się z celem.

- Zwykle tak - przyznała kelnerka.

Zapłaciłem za cheeseburgera i kawę, doliczając napiwek, który na pewno nie zrekompensował napiwków od gromady wygłodniałych komandosów, ale był na tyle suty, by przywołać uśmiech na twarz kelnerki. Wyszedłem na ulicę. Zaczynało się robić chłodno, w powietrzu wisiała lekka mgiełka. Skręciłem w prawo i przeszedłem obok pustej działki i biura szeryfa. Radiowóz Pellegrina stał przed wejściem, w jednym z okien paliło się światło.

Doszedłem do skrzyżowania, na którym Pellegrino skręcił w prawo. Miało kształt litery T.

Przyjechałem z Memphis, od lewej strony, na prawo droga biegła na wschód i ginęła w ciemnościach. Zapewne kawałek dalej przekraczała linię kolejową i prowadziła po złej stronie toru, aż do Kelham. Garber nazwał tę drogę gościńcem i być może kiedyś nim była, teraz była standardową prowincjonalną szosą, z nawierzchnią z tłuczni zlepionego smołą, prostą jak strzała i nieoświetloną. Po bokach ciągnęły się głębokie rowy. Na niebie wisiał cienki sierp księżyca i było dość ciemno. Skręciłem w prawo i wkroczyłem w mrok.

Po dwóch minutach i dwustu metrach dotarłem do przejazdu kolejowego. Najpierw ujrzałem znaki ostrzegawcze: dwa ramiona skrzyżowane pod kątem prostym, jedno ze słowem PRZEJAZD, drugie ze słowem KOLEJOWY, oraz słupek z czerwonymi lampami. Obok musiała się znajdować skrzynka z sygnałem dźwiękowym. Nieco dalej rowy po bokach drogi znikwały i zaczynał się niewielki nasyp, po którym przebiegał tor kolejowy - dwie blado połyskujące w blasku księżyca szyny, nie idealnie poziome i niebiegnące dokładnie na linii północ-południe, obie mocno zużyte. Kamienna podsypka była miejscami skawalona i porośnięta chwastami. Stanąłem na podkładzie między szynami i spojrzałem na boki.

Dwadzieścia metrów w lewo wznosiła się stara wieża ciśnień, wciąż jeszcze z wylewką grubości trąby słoniowej. Zapewne wieża była kiedyś połączona rurociągiem ze strumieniem przepływającym przez Carter Crossing i służyła wodą zatrzymującym się pod nią spragnionym parowozom.

Zrobiłem obrót o pełne 360 stopni. Panowała głucha cisza. W wieczornym powietrzu unosiła się lekka woń spalenizny - zapewne pozostałość po pożarze części lasu, który zajął się od płonącego niebieskiego samochodu. Ze wschodu napływały zapachy mięsiwa opiekanego na grillach, zapewne należących do mieszkańców, zamieszkujących tereny po niewłaściwej stronie toru. Nie paliły się żadne światła. Widniała tylko ciemniejsza plama na tle ściany drzew, gdzie droga ginęła w przecince leśnej.

Zawróciłem, poczułem pod stopami twardą nawierzchnię i zaczynałem myśleć o kawałku domowego ciasta, gdy w oddali rozbłysły światła jadącego w moją stronę samochodu. Sądząc po ich rozstawieniu, nadjeżdżał albo duży samochód osobowy, albo niewielka ciężarówka.

Pojazd posuwał się dość wolno i kierował prosto na mnie. W pewnej chwili odniosłem nawet wrażenie, że skręci w Main Street, jednak jakby się rozmyślił i ruszył w moją stronę. Być może kierowca dojrzał mnie w świetle reflektorów.

Szedłem dalej, nie zmieniając tempa.

Pojazdem okazał się pickup ze spłaszczoną maską, trzęsący się i podskakujący na wybojach, omiatający światłami mglistą przestrzeń. Słysząc było głucho dudnienie starego silnika V-8.

Kierowca zjechał na bok i zatrzymał się sześć metrów przede mną. Warkot silnika przycichł na jałowym biegu. W oślepiającym blasku reflektorów nie byłem w stanie dojrzeć, kto siedzi w środku. Nie zatrzymałem się ani nie zwolniłem kroku. Nie zamierzałem schodzić na bok w chaszczę, zresztą przejście między pickupem a głębokim rowem było bardzo wąskie, postanowiłem więc nie zmieniać kursu i trzymać się środka drogi, a to znaczyło, że muszę wyminąć pojazd od strony kierowcy. Najwyraźniej mnie obserwował, bo gdy znalazłem się trzy metry od niego, opuścił szybę, położył lewą rękę na ramie i wystawił lewy łokieć, jakby zagradzał mi drogę. Z tej odległości byłem w stanie dojrzeć jego sylwetkę. Biały, potężnie zbudowany, ubrany po cywilnemu w Tshirt z rękawkami podwiniętymi na owłosionym i wytatuowanym ramieniu. Miał długie, niemyte od co najmniej tygodnia włosy.

Miałem do wyboru jedną z trzech rzeczy.

Albo stanąć i wdać się z nim w rozmowę.

Albo zejść w chaszczę na poboczu i minąć go bez słowa.

Albo złamać mu ten łokieć.

Wybrałem odmianę pierwszego rozwiązania. Zatrzymałem się, ale nie wdałem w rozmowę.

W każdym razie nie od razu. Stałem i spojrzałem na niego w milczeniu, i wtedy zauważyłem siedzącego na sąsiednim fotelu pasażera. Podobny w typie. Owłosienie, tatuaże, skudłone włosy, brud. Podobny, ale nie identyczny. Prędzej kuzyn niż brat. Obaj patrzyli na mnie z typową pogardą, z jaką miejscowi traktują niektórych obcych w niektórych barach.

Odwzajemniłem spojrzenie, bo nie zaliczam się do niektórych obcych.

- Coś ty za jeden i dokąd idziesz? - burknął kierowca.

Nie odpowiedziałem. Mam wprawę w przemilczaniu pytań. W ogóle nie lubię dużo gadać.

Mógłbym do końca życia nie wypowiedzieć ani jednego słowa, gdyby zaszła potrzeba.

- Zadałem ci pytanie - przypomniał kierowca.

Ściśle mówiąc, dwa, pomyślałem, lecz nie odpowiedziałem na żadne. Nie chciało mi się bić tego brudasa. W każdym razie nie gołymi rękami. Nie jestem maniakiem na punkcie higieny, ale po fizycznym kontakcie z kimś takim czułbym potrzebę dokładnego wymycia rąk dobrym mydłem, zwłaszcza że za chwilę miałem jeść domowe ciasto. Postanowiłem go tylko skopać i od razu ułożyłem sobie w głowie plan: otwiera drzwi i wysiada, podchodzi do mnie i pada na drogę, charcząc i trzymając się za krocze.

Nic trudnego.

- Rozumiesz po angielsku? - burknął znowu.

Milczałem.

- Może to Meksykan - rzucił ten drugi.

- Jesteś Meksykanem? - powtórzył kierowca.

Nie odpowiedziałem.

- Nie wygląda - orzekł kierowca. - Za duży na Meksykana.

Co, generalnie rzecz biorąc, odpowiadało prawdzie. Choć słyszałem też o pewnym Meksykaninie, który nazywał się Jose Calderon Torres. Miał dwieście dwadzieścia parę centymetrów wzrostu, ponad trzydzieści centymetrów więcej ode mnie. I pamiętałem też meksykańskiego sztangistę, Josego Garcesa, który na olimpiadzie w Los Angeles podrzucił ponad sto dziewięćdziesiąt kilogramów, pewnie tyle, ile ci dwaj razem wzięci.

- Idziesz z Kelham? - spytał kierowca.

„Istnieje obawa powstania zadrażeń między miejscową ludnością a bazą” - powiedział Garber. Kiedy trzeba się opowiedzieć, ludzie wykazują ciągoty plemienne. Może ci dwaj znali Janice May Chapman i nie mogli się pogodzić z

tym, że zadaje się z żołnierzami, a nie z nimi. Może nigdy nie patrzyli w lustro.

Nie odpowiedziałem, ale też nie odszedłem. Wolałem nie mieć za plecami tych dwóch oprychów, szczególnie na pustej drodze na pustkowiu. Dlatego stałem bez ruchu, w milczeniu wpatrując się to w jednego, to drugiego z miną wyrażającą niewinność z domieszką odrobiny sceptycyzmu i rozbawienia. Z miną, która zwykle wiedzie do celu i prowokuje pewien typ ludzi.

Pasażer pierwszy połknął haczyk.

Opuścił szybę po swojej stronie i wychyliwszy się z okna niemal do pasa, skrzył ciało i głowę tak, by przyjrzeć mi się zza płaskiej maski pickupa.

Uchwycił się jedną ręką słupka, drugą zamachnął się szerokim łukiem, jakby machał batem lub czymś we mnie rzucał.

- Mówimy do ciebie, ty zasrańcu! - wrzasnął.

Milczałem.

- Widzisz jakiś powód, żebym nie wysiadł i nie skopał ci tyłka?

- Dwieście sześć powodów - odparłem.

- Co?

- Tyle jest kości w ciele. Mogę ci je wszystkie połamać, zanim mnie dotkniesz.

Tego było za wiele dla opryszka za kierownicą. Instynkt kazał mu stanąć po stronie kumpla i podjąć wyzwanie.

- Myślisz? - warknął, wychylając się z okna.

- Całymi dniami. To się przydaje. - Trochę go przytknęło, bo musiał najpierw rozgryźć znaczenie moich słów. Widziałem, jak przepowiada sobie w myślach naszą rozmowę, poruszając wargami.

- Proponuję, żebyśmy zajęli się swoimi sprawami i dali sobie spokój. Gdzie mieszkacie, chłopcy?

Nagle przejąłem zadawanie pytań, a oni mieli na nie odpowiadać.

- Zdawało mi się, że zamierzaliście skręcić w Main Street. Gdzieś tam mieszkacie?

Bez odpowiedzi.

- Nie macie domu? Jesteście bezdomni?

- Mamy.

- Gdzie?

- Kawałek za Main Street.

- No to jazda.

- Jesteś z Kelham?

- Nie, nie jestem z Kelham.

Ucichli i jakby zeszło z nich powietrze. Odsunęli się od okien i usiedli wyprostowani w fotelach. Zaraz potem usłyszałem, że kierowca wrzuca bieg, pickup gwałtownie szarpnął do tyłu, wykonał skręt i zrobił nawrót o 180 stopni, piszcząc oponami i wyrzucając chmurę pyłu. Następnie ostro ruszył do przodu i chwilę potem skręcił w Main Street, niknąc za rozłożystym budynkiem biura szeryfa. Odetchnąłem i ruszyłem w stronę miasteczka. Nikomu nic się nie stało. Najlepsze są te bójki, do których nie dochodzi, powiedział ktoś mądry. Nie zawsze się do tego stosowałem, ale tym razem ucieszyło mnie, że wyszedłem z opresji dosłownie z czystymi rękami.

Napatoczył się drugi samochód jadący w moją stronę. Zrobił dokładnie to samo co tamten pickup. Zaczynał skręcać, po czym jakby się zawahał i ruszył prosto na mnie. Tym razem był to policyjny radiowóz. Można to było poznać po wielkości i sylwetce, a także po sterzącym na dachu wsporniku z lampami. W pierwszej chwili pomyślałem, że to patrolujący okolicę Pellegrino, ale gdy radiowóz się zbliżył i przygasił światła, okazało się, że za kierownicą siedzi kobieta, a moja eskapada do stanu Missisipi nabiera nowego kolorytu.

Radiowóz zjechał na lewą stronę i zatrzymał się tuż przy mnie. Stary chevrolet caprice w barwach Biura Szeryfa okręgu Carter. Kobieta za kierownicą miała burzę ciemnych włosów, ni to kręconych, ni to falujących, zebranych z tyłu w coś na kształt końskiego ogona, i jasną gładką twarz. Siedziała dość głęboko w fotelu, co znaczyło, że albo jest niska, albo fotel zapadł się ze starości. Uznałem że to drugie, bo ręce miała długie, a zarys ramion nie dowodził mizernej postury. Wyglądała na trzydzieści kilka lat, wiek, w którym widać pierwsze oznaki upływu czasu, ale w dalszym ciągu chce się cieszyć życiem. Wargi wygięła w lekkim uśmiechu, który sięgał oczu, wielkich, ciemnych i pełnych wyrazu, jakby rozjaśnionych wewnętrznym blaskiem. Choć może był to tylko refleks z deski rozdzielczej.

Opuściła szybę i zmierzyła mnie wzrokiem - najpierw twarz, potem całość od góry do dołu i od lewej do prawej, jakby oceniając każdy szczegół od włosów po buty. W jej spojrzeniu nie było śladu agresji. Podeszedłem bliżej, bo też się chciałem przyjrzeć. Jej twarz była nie tylko gładka, była perfekcyjna. Na prawym biodrze sterczała kabura z rewolwerem, w uchwycie między siedzeniami tkwiła strzelba. Spod deski rozdzielczej po stronie pasażera wystawał wielki radiotelefon, w uchwycie obok kierownicy tkwił mikrofon na skręconym sznurze.

Radiowóz wyglądał na stary oraz wysłużony i niemal na pewno został odkupiony od zamożniejszego okręgu.

- To pana przywiózł Pellegrino - stwierdziła.

Miała czysty głos, ciepły, ale stanowczy. Słysząc w nim było lokalny akcent.

- Tak, proszę pani, mnie - odrzekłem.

- Nazywa się pan Reacher, tak?

- Tak, proszę pani.

- A ja się nazywam Elizabeth Deveraux i jestem tutejszym szeryfem.

- Miło mi panią poznać.

Przez moment się zawahała.

- Jadł pan kolację?

Kiwnąłem głową i dodałem szybko:

- Ale bez deseru. Prawdę mówiąc, właśnie się wybieram do knajpy na kawałek domowego ciasta.

- Zwykle odbywa pan spacery pomiędzy daniami?

- Chciałem zaczekać na właścicieli hotelu. Wyglądało na to, że jeszcze trochę tam posiedzą.

- Tam pan spędzi dzisiejszą noc? W hotelu?

- Mam nadzieję.

- A nie u kolegi, którego pan szuka?

- Jeszcze go nie znalazłem.

Teraz ona kiwnęła głową.

- Chciałabym z panem porozmawiać - powiedziała. - Spotkajmy się w knajpie za pięć minut, dobrze? - Powiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale nie było w nim groźby.

Wydawała krótkie, jasne polecenie. Była córka szeryfa pełniła obowiązki szeryfa.

- Dobrze - potwierdziłem. - Za pięć minut.

Podciągnęła szybę i wykonała taki sam nawrót jak ci dwaj w pickupie, tylko znacznie spokojniej. Ponownie włączyła długie światła, chwilę potem rozbłysły jej światła STOP i radiowóz skręcił w Main Street. Ruszyłem za nim porośniętym chaszczami poboczem.

* * *

Dotarłem do knajpy grubo przed upływem wyznaczonych pięciu minut i spostrzegłem zaparkowany radiowóz. Po wejściu do środka ujrzałem ją przy tym samym stoliku, przy którym wcześniej jadłem. Para właścicieli hotelu zniknęła i poza Deveraux i kelnerką nie było nikogo.

Podszedłem bliżej, a Deveraux, nic nie mówiąc, lekko odsunęła nogą krzesło przy swoim stoliku, naprzeciw siebie. Zaproszenie, bym się przysiadł, a właściwie polecenie. Kelnerka nawet nie próbowała sadzać mnie gdzie indziej. Najwyraźniej Deveraux już złożyła zamówienie. Poprosiłem kelnerkę o porcję najlepszego domowego ciasta i jeszcze jedną kawę. Zawróciła do kuchni i przy stole zapadła cisza.

Patrząc z bliska i w normalnym otoczeniu na Elizabeth Deveraux, byłem gotów przyznać, że jest wyjątkowo urodziwą kobietą. Wręcz śliczną. Wydawała się dość wysoka, a gęste, bujne włosy budziły zdumienie. Koński ogon musiał ważyć ze dwa kilo. Charakterystyczne cechy kobiecej sylwetki były właściwie uwypuklone i rozmieszczone i w mundurze wyglądały świetnie. To prawda, że szczególnie lubię kobiety w mundurach, bo tak naprawdę tylko takie znałem. Najlepsze w niej były usta i oczy. Nadawały twarzy spokojny, lekko drwiący wyraz, mówiący, że cokolwiek się zdarzy, ona i tak pozostanie opanowana, a na koniec znajdzie powód do uśmiechu. Jej oczy wciąż lśniły wewnętrznym blaskiem i tym razem na pewno nie był to refleks szybkościomierza z deski rozdzielczej.

- Pellegrino mówił mi, że był pan w wojsku - odezwała się.

Na moment się zawahałem. Tajna misja opiera się na kłamstwie, ale o ile okłamanie

Pellegrina przyszło mi bez trudności, o tyle z niejasnych przyczyn nie miałem ochoty wprowadzać w błąd Deveraux. Dlatego powiedziałem:

- Sześć tygodni temu byłem w wojsku. - Co, formalnie rzecz biorąc, było prawdą.

- W jakiej formacji?

- Głównie w Sto Dziesiątej Jednostce - odrzekłem, co też było prawdziwe.

- W piechocie?

- W siłach specjalnych. W zasadzie w operacjach łączonych. - Tu również nie rozminąłem się z prawdą.

- Jak nazywa się ten pański kolega?

- Hayder. - Wymyśliłem na poczekaniu.

- Musiał służyć w piechocie - powiedziała Deveraux. - Wszyscy w Kelham służą w piechocie.

Skinąłem głową.

- Siedemdziesiąty Piąty Pułk Komandosów.

- Był tu instruktorem?

- Tak - potwierdziłem.

Pokiwała głową.

- Tylko oni są tu na tyle długo, żeby myśleć o pozostaniu na stałe.

Nic nie powiedziałem.

- Nigdy o nim nie słyszałam - dodała.

- Może znów się przeniósł.

- I kiedy to mogło być?

- Nie jestem pewny. Od jak dawna jest pani szeryfem?

- Od dwóch lat. Wystarczająco długo, żeby wszystkich poznać.

- Pellegrino powiedział mi, że spędziła tu pani całe życie.

- To nieprawda. Mieszkałam tu jako dziecko i mieszkam teraz. Między jednym okresem a drugim upłynęło wiele lat.

W jej głosie zabrzmiała nutka żalu. Upłynęło wiele lat.

- I jak je pani spędziła? - spytałem.

- Miałam bogatego wujka. Sfinansował mi podróżowanie po świecie.

W tym momencie wiedziałem, że szykują się kłopoty i że moja misja może się nie udać. Już kiedyś słyszałem to powiedzenie.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Deveraux zamówiła to samo co ja: wielkiego cheeseburgera z wiewiórczym gniazdem z frytek. Mój deser okazał się kawałem placka z brzoskwiniami, niemal rozmiarów bazy na boisku futbolowym. Był tak duży, że wystawał poza krawędzie talerza. Kawę kelnerka podała w wysokim fajansowym dzbanku, Deveraux dostała zwykłą wodę w obtłuczonej szklance.

Lepiej jest dać wystygnąć plackowi z brzoskwiniami niż cheeseburgerowi. Pomyślałem więc, że nadarza się okazja, by coś powiedzieć, podczas gdy Deveraux będzie musiała jeść i co najwyżej wtrącać krótkie uwagi.

- Pellegrino wspomniał, że macie tu mnóstwo pracy - zacząłem.

Deveraux kiwnęła głową, nie przerywając jedzenia.

- Rozbity samochód i trup kobiety.

Ponownie skinęła głową i zgarnęła końcem małego palca odrobinę majonezu, która wymknęła się jej z ust. Elegancko wykonana niezbyt elegancka czynność. Miała krótkie, zadbane, równo pomalowane paznokcie. Ręce były długie, opalone i dość muskularne, o gładkiej skórze. Deveraux nie nosiła żadnych ozdób na palcach, a zwłaszcza na palcu serdecznym lewej dłoni.

- Udało się coś ustalić? - spytałem.

Przełknęła, uśmiechnęła się i podniosła rękę jak gliniarz z drogówki.
Zwolnij. Zatrzymaj się.

Poczekaj.

- Niech mi pan pozwoli spokojnie zjeść, dobrze? Więcej żadnych pytań.

Zająłem się plackiem, który okazał się całkiem smaczny. Ciasto było słodkie i pachnące, brzoskwinie miękkie i soczyste. Pewnie tutejsze, a może nawet z Georgii. Nie znam się zbytnio na uprawach owoców. Tymczasem Deveraux jadła, trzymając bułkę w prawej ręce, a lewą wybierając z talerza kolejne frytki, i niemal ani na chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej wargi lśniły tłuszczem. Była szczupła, więc jej przemiana materii musiała działać jak reaktor jądrowy. Od czasu do czasu pociągała długie łyki wody. Wysączyłem do końca

zawartość dzbanka. Kawa była niezła, lecz nie tak dobra jak placek.

- Może pan spać po kawie? - spytała.

- Jak mi się zachce. Na tym to polega.

Dopiła wodę i odsunęła talerz, na którym został kawałek skórki od bułki i kilka frytek.

Wytrzeła usta i dłonie serwetką, złożyła ją i umieściła obok talerza. Jej kolacja dobiegła końca.

- To jak, posuwacie się do przodu? - powtórzyłem pytanie.

Uśmiechnęła się lekko do swoich myśli, odchyliła się w bok i wparłszy dłonie o stół, jeszcze bardziej się przechyliła. Następnie zmierzyła mnie spojrzeniem od schowanych pod stołem nóg do czubka głowy.

- Dobry jesteś, ale nie przejmuj się. To nie twoja wina.

- Co nie jest moją winą?

Wyprostowała się i oparła plecami o krzesło.

- Mój tata był tu szeryfem, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Wygrał w dwudziestu kolejnych wyborach. Był twardy, ale sprawiedliwy i uczciwy. Nikogo się nie bał i nikogo nie faworyzował. Był solidnym pracownikiem służby publicznej.

- Nie wątpię - bąknąłem.

- Mnie się tu nie podobało. Uważałam, że to najgorsze zadupie na świecie. Książki dochodziły pocztą i wiedziałam, że gdzieś tam jest wielki świat. Dlatego musiałam wyjechać i go poznać.

- Nie dziwię się.

- Jednak pewne idee zapadają w człowieka głęboko. Na przykład potrzeba służby publicznej, konieczność ochrony prawa. Człowiek zaczyna to traktować jak rodzinny biznes. Jak każdy inny.

Skinąłem głową. Miała rację. W tej dziedzinie dzieci idą w ślady rodziców dużo częściej niż w większości innych zawodów. Może z wyjątkiem baseballu. Syn zawodowego baseballisty trafia do drużyny ligowej osiemset razy częściej

niż synowie innych ojców.

- Spójrz na to z mojego punktu widzenia - ciągnęła. - Jak myślisz, co zrobiłam po skończeniu osiemnastu lat?

- Nie wiem - odparłem, choć już nie miałem wątpliwości i wcale mnie to nie cieszyło.

- Wyjechałam do Karoliny Południowej i wstąpiłam do marines.

Jeszcze gorzej, niż myślałam. Z jakiegoś powodu stawiałem na lotnictwo.

- I jak długo służyłaś?

- Szesnaście lat.

Co znaczyło, że ma teraz trzydzieści sześć. Osiemnaście lat w domu plus szesnaście w mundurze, do tego dwa na stanowisku szeryfa okręgu Carter. Była w moim wieku.

- W jakiej formacji?

- W komendzie żandarmerii polowej.

Odwrociłem wzrok.

- Wojskowa gliniara - jęknąłem.

- Dwie pieczenie na jednym ogniu. Służba publiczna i ochrona prawa.

Spojrzałem na nią, zbity z pantałyku.

- W jakim stopniu skończyłaś?

- CWO5.

Chief Warrant Officer 5. Chorąży ekspert w wyspecjalizowanej dziedzinie. Stanowisko, na którym robi się coś konkretnego i ważnego.

- A dlaczego odeszłaś? - spytałem.

- Zaczęły się kłopoty. Sowieci padli i redukcje personelu były nieuniknione. Doszłam do wniosku, że lepiej zrezygnować, niż być wyrzuconą. A poza tym zmarł mój tata, a ja nie mogłam dopuścić do tego, żeby na jego miejsce przyszedł jakiś dureń w rodzaju Pellegrina.

- Gdzie służyłaś?

- Wszędzie. To Wuj Sam był tym bogatym wujkiem, który pokazał mi świat.

Niektóre miejsca były warte poznania, inne nie.

Milczałem.

Podeszła kelnerka i zebrała puste talerze.

- Spodziewałam się ciebie - ciągnęła Deveraux. - W takiej sytuacji postąpilibyśmy tak samo.

Zabójstwo na tyłach baru w bezpośrednim pobliżu bazy? Jednocześnie supertajne czy delikatne operacje w bazie? Na pewno wysłalibyśmy na miejsce naszego śledczego i kogoś drugiego incognito.

Nadal milczałem.

- Oczywiście po to, żeby ten incognito mógł mieć na wszystko oko i w razie czego zapobiec kłopotom z miejscową ludnością. Kiedyś w pełni popierałam takie postępowanie. Tyle że teraz jestem miejscową ludnością i moja optyka się zmieniła. Nie mogłabym patrzeć na to przez palce.

Nic nie powiedziałem.

- Nie rób sobie wyrzutów - kontynuowała. - Radzisz sobie lepiej niż wielu innych na twoim miejscu. Na przykład jestem pełna uznania dla twoich butów i fryzury. Wyglądasz całkiem przekonująco. Miałeś pecha, natykając się na kogoś takiego jak ja. Może tylko wyczucie czasu nie było najszcześniejsze, ale prawie nigdy nie jest. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak w ogóle mogłoby być. Powiedzmy sobie też szczerze: nie jesteś najlepszym kłamcą. Nie należało wspominać o Sto Dziesiątej. Naturalnie znałam Sto Dziesiątą, byliście prawie tak dobrzy jak my. Hayder? Daj spokój, cóż za dziwaczne nazwisko. Aha, i te skarpetki khaki z wojskowego konsumu. Pewnie wczoraj kupione. Też takie nosiłam.

- Nie chciałem cię okłamywać. Nie wydawało mi się to właściwe. Mój ojciec służył w marines. Może coś takiego wyczuwałem w tobie.

- Ojciec służył w marines, a ty poszedłeś do zwykłego wojska? Co to było? Młodzieńczy bunt?

- Sam nie wiem, ale w tamtej chwili uznałem wybór za słuszny.

- A jak teraz o nim myślisz?
- Nie najlepiej.
- Nie rób sobie wyrzutów - powtórzyła. - Dobrze się starałeś.

Nie zareagowałem.

- Jaki masz stopień? - spytała.
- Major - odrzekłem.
- Powinnam ci salutować?
- Jeśli chcesz.
- Nadal służysz w Sto Dziesiątej Jednostce Specjalnej?
- Tymczasowo. Moją macierzystą jednostką jest obecnie Trzysta

Dziewięćdziesiąty Szósty

Pułk Żandarmerii Wojskowej, dywizja dochodzeń kryminalnych.

- Ile lat w wojsku?
- Trzydzieści plus nauka w West Point.
- Czuję się zaszczycona. Może naprawdę powinnam ci salutować. Kogo wysłali do Kelham?

- Faceta nazwiskiem Munro. W tym samym stopniu co ja.

Zmieniłem temat:

- To chyba trochę niezręczne.
- To jak, posuwacie się do przodu?
- Łatwo się nie poddajesz, co?
- W opisie mojej misji nie było mowy o poddawaniu się. Wiesz, jak to jest.
- Dobra, handel wymienny. - Uśmiechnęła się. - Pytanie za pytaniem, potem stąd znikniesz.

O świcie ma cię tu nie być. Zresztą poproszę Pellegrina, żeby odwiózł cię tam, skąd cię zabrał. Umowa stoi?

Nie miałem wyboru.

- Stoi - potwierdziłem.
- Nie posuwamy się do przodu nawet o krok.

- Rozumiem. Dzięki. Twoja kolej.

- Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedziała, który z was jest asem, ty czy ten wysłany do Kelham. Chodzi mi o aktualne stanowisko wojska, o ich ocenę sytuacji. Innymi słowy, czy, ich zdaniem, źródło problemu jest na terenie bazy, czy na zewnątrz. Krótko mówiąc, czy ty jesteś głównym psem, czy ten drugi?

- Mam ci szczerze odpowiedzieć?

- Niczego innego nie spodziewam się po synu kolegi z marines.

- Szczera odpowiedź brzmi: sam tego nie wiem.

Elizabeth Deveraux zapłaciła za cheeseburgera i placek z kawą, co uznałem za eleganckie z jej strony, i zostawiłem napiwek, który wywołał kolejny uśmiech kelnerki. Wyszliśmy na zewnątrz i zatrzymaliśmy się przy starym caprisie. Księżyc nieco pojaśniał, warstwa chmur się rozplynęła i na niebie pojawiły się gwiazdy.

- Mogę spytać cię o coś jeszcze? - powiedziałem.

Deveraux od razu się nastroszyła.

- O co? - spytała.

- O twoje włosy. Męskie muszą oddawać kształt czaszki, być wymodelowane, jak to nazywają, i z tyłu schodzić w naturalny sposób do zera na karku. A jak to jest u kobiet?

- Strzygłam się krótko przez piętnaście lat. Zaczęłam je zapuszczać, gdy postanowiłam odejść.

Popatrzyłem na nią w świetle księżyca i blasku padającym z okna knajpy, wyobrażając ją sobie z krótko przyciętymi włosami. Musiała wyglądać rewelacyjnie.

- Byłem ciekaw - powiedziałem. - Dzięki.

- Od początku nie miałam szans na nic innego. Regulamin dla kobiet w marines mówi, że fryzura ma być nieekscentryczna. Włosy mogą dotykać kołnierzyka, lecz nie mogą go zakrywać. Mogłabym je upinać, ale wtedy nie mieściłyby się pod czapką.

- Służba wymaga poświęceń.

- Warto było. Kochałam służyć w marines.

- Raz w marines, zawsze w marines.

- Twój tata tak mówił?

- Nie miał okazji. Umarł w trakcie służby.

- Mama żyje?

- Umarła parę lat po nim.

- Moja umarła na raka, kiedy byłam na obozie rekruckim.
- Naprawdę? Moja też. To znaczy też na raka, lecz nie w trakcie mojego obozu.

- Przykro mi.

- Nie twoja wina - bąknąłem machinalnie. - Była wtedy w Paryżu.

- Ja też, tyle że na Paris Island[1]. Wyemigrowała?

- Była Francuzką.

- I mówisz po francusku?

- Un peu, mais lentement.

- Co to znaczy?

- Trochę, ale wolno.

Pokiwała głową i położyła rękę na klamce caprice'a, a ja właściwie odczytałem ten gest.

- No cóż, szeryfie Deveraux. Miło cię było poznać.

Tylko się uśmiechnęła.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę hotelu. Za plecami usłyszałem warkot potężnego silnika i chrzęst opon na żwirze. Radiowóz wyprzedził mnie, kawałek dalej zawrócił przez całą szerokość ulicy i stanął zwrócony maską w moją stronę, tuż przed wejściem do hotelu Toussaint's. Doszedłem w chwili, gdy Deveraux otworzyła drzwi i wysiadła. Pomyślałem, że chce mi jeszcze coś powiedzieć, zatrzymałem się więc i grzecznie poczekałem.

- Mieszkam tu - oznajmiła. - Dobranoc.

* * *

Nim zdążyłem wejść do środka, była już na schodach prowadzących na piętro. Za kontuarem recepcji siedział mężczyzna, którego widziałem w knajpie, i czekał na gości. Widziałem, że hotelarz spłoszył się brakiem bagażu, ale w końcu co gotówka, to gotówka. Zainkasował osiemnaście dolarów i wręczył mi klucz do pokoju numer dwadzieścia jeden. Oświadczył, że pokój jest na pierwszym piętrze od frontu, a okna wychodzą na ulicę, gdzie jest ciszej niż od

tyłu. W pierwszej chwili wydało mi się to bez sensu, ale potem uzmysłowiłem sobie, że na tyłach budynku przebiega linia kolejowa.

Schody kończyły się pośrodku długiego korytarza pierwszego piętra, który jak tor biegł dokładnie po linii północ-południe. Korytarz był pozbawiony wykładziny dywanowej i słabo oświetlony czterema mizernymi żarówkami. Od frontu było dziewięć drzwi, od tyłu ośmioro. Pod drzwiami pokoju numer siedemnaście od frontu widać było smugę światła.

Pewnie pokój Deveraux, pomyślałem, która właśnie szykuje się do snu. Mój pokój znajdował się czworo drzwi dalej na północ. Otworzyłem kluczem, wszedłem do środka i zapaliłem światło. Powitało mnie stęchłe powietrze i lekka woń kurzu, świadczące o długim nieużywaniu. Pokój był prostokątny i wysoki i cieszyłby oko udanymi proporcjami, gdyby nie to, że w którymś momencie postanowiono dobudować łazienkę i zajęto na nią cały narożnik.

Okno zastępowały podwójne przeszklone drzwi na długi balkon z żelazną balustradą, który widziałem z ulicy. W pokoju było łóżko i toaletka z krzesłem, na podłodze leżał wytarty perski dywan, świecący licznymi łysinami od używania i trzepania.

Zaciągnąłem zasłony i przystąpiłem do rozpakowania, co się sprowadzało do rozłożenia nowej szczoteczki do zębów i wsadzenia jej do mlecznobiałej szklanki na półce w łazience.

Nie miałem pasty do zębów, ale uważałem, że pasta to nic innego, jak tylko przyjemnie smakujący smar. Pewien znajomy dentysta wojskowy przysięgał, że do utrzymania zębów w czystości i zdrowiu całkowicie wystarczy szorowanie włosiem szczoteczki. Na odświeżenie oddechu stosowałem gumę do żucia. Postępowałem tak od lat i nadal miałem wszystkie własne zęby (z wyjątkiem jednego trzonowego u góry, który mi wybito podczas ulicznej bójki w Cleveland, w Ohio).

Mój wewnętrzny zegar wskazywał dwudziestą trzecią dwadzieścia. Przysiadłem na łóżku.

Wcześniej dziś wstałem i czułem się zmęczony, lecz nie wykończony. Miałem co robić, a czasu było mało. Oczekałem, by wszyscy normalni ludzie usnęli, i wyszedłem na korytarz.

Światło u Deveraux zgasło. Zszedłem po schodach do holu. Recepcja znów świeciła pustkami. Wyszedłem na ulicę i skręciłem w lewo, w stronę dziewiczego dla mnie terytorium.

[1] Paris Island - wyspa u wybrzeży Karoliny Południowej, na której mieści się wielka baza szkoleniowa korpusu marines.

Czujnie się rozglądając, spojrziałem w głąb Main Street, tonącej w szarej księżycowej poświacie. Ulica prowadziła na południe przez jakieś dwieście metrów, po czym zwężała się i zaczynała więc pośród domów mieszkalnych, stojących pojedynczo na mniejszych i większych działkach. Po prawej stronie prostego odcinka ciągnął się rząd sklepów i punktów usługowych, poprzedzielanych wąskimi przejściami, które prowadziły w stronę widocznych w głębi domów mieszkalnych. Podobne sklepy i punkty usługowe ciągnęły się też po lewej stronie prostego odcinka Main Street, stojąc w jednym szeregu z hotelem i restauracją.

Przejściom po prawej stronie odpowiadały szersze i wybrukowane zaułki po lewej, kończące się na biegnącej równoległe do Main Street ulicy z jedną tylko zabudowaną stroną.

Domyślałem się, że właśnie ta ulica stanowiła niegdyś rację bytu miasteczka, a teraz sprowadziła mnie w te strony.

Biegła po osi północpołudnie równoległe do linii kolejowej, od której dzieliło ją pasmo ubitej ziemi. Mieściły się przy niej lokale gastronomiczne. Wyobraziłem sobie dawne pociągi, które zatrzymywały się ze zgrzytem kół, by ze stojącej nieco dalej wieży ciśnień napełnić wodą dyszące brzuchy parowozów. Pasażerowie wyglądali z wąskich okienek wagonów, a ludzie z tutejszych knajp i barów biegli przez ubitą ziemię i przystawiali pod drzwi wagonów drewniane schodki. Pasażerowie schodzili po nich na ziemię i, wygłodniali i spragnieni po długiej podróży, znikali w lokalach. Wyobraziłem sobie brzęk monet i dzwonienie kas, gwizd parowozu i tupot nóg powracających pasażerów, zgrzyt kół ruszającego pociągu i szuranie odsuwanych schodków. Potem zapadała cisza, po godzinie nadjeżdżał następny pociąg i wszystko zaczynało się od nowa. I tak to trwało.

Ulica napędzała wtedy gospodarkę całego miasteczka. Zresztą robiła to nadal.

Oczywiście pociągi z parowozami dawno odeszły do lamusa, tak jak obsługujące pasażerów jadłodajnie i kafejki, ale zamiast nich pojawiły się bary i sklepy z częściami samochodowymi, bary i kantory pożyczkowe, bary i sklepy rusznikarskie, bary i sklepy z używanym sprzętem stereo, a sznury wagonów zastąpiły sznury samochodów z bazy Kelham. Wyobraziłem sobie, jak parkują na pasie ubitej ziemi i wysiadają z nich grupki odbywających szkolenie komandosów, rozchodząc się po tutejszych przybytkach, by zaszać za forszę Wuję Sama.

Byli na to skazani, bo, jak powiedział Garber, było to jedyne takie miejsce na ciągnącym się kilometrami pustkowiu. W tym sensie przypominali pasażerów kolei sprzed dziesiątków lat.

Znałem ten mechanizm z setek baz wojskowych na całym świecie. Żołnierze jeździli głównie starymi mustangami, gran torino, gto czy używanymi beemkami i mercami w Niemczech, czy dziwacznymi toyotami i datsunami na Dalekim Wschodzie. W różnych miejscach piwo różnie się nazywa i ma różną moc, pożyczki są udzielane w rozmaitych walutach, a broń ma zróżnicowane magazynki na pociski o rozmaitych kalibrach, ale poza takimi szczegółami wszędzie na świecie wygląda to dokładnie tak samo.

* * *

Bez trudu odszukałem miejsce, gdzie znaleziono ciało Janice May Chapman. Pellegrino powiedział, że wykrwawiła się i leżała w wielkiej kałuży krwi, a to oznaczało, że musiano użyć piasku, by tę kałużę zasypać. W pobliżu lewego tylnego narożnika baru o nazwie Brannan's w zaułku znalazłem świeżo rozsypany piach. Bar mieścił się w środkowej części ulicy z jednostronną zabudową, a zaułek z piaskiem biegł wzdłuż jego lewej ściany, by po dwóch zakosach wyjść na Main Street między utrzymaną w starym stylu apteką a sklepem z artykułami metalowymi i budowlanymi. Być może piach do zasypania kałuży krwi właśnie stąd wzięto. Starczyły by trzy lub cztery dwudziestopięciokilogramowe worki. Warstwa piachu miała kształt regularnego

owalu i grubość od siedmiu do dziesięciu centymetrów.

Miejsce nie znajdowało się na widoku. Do tylnego wejścia do Brannan's było jakieś pięć metrów, a od tej strony budynek nie miał okien. Podobnie jak tylna ściana apteki. Z barem Brannan's sąsiadował kantor pożyczkowy z franszyzą Western Union i w jego tylnej ścianie znajdowało się okno, ale kantor w godzinach wieczornych zapewne był nieczynny. Czyli żadnych świadków. Choć i tak nie byłoby okazji do przyglądania się. Poderżnięcie gardła nie trwa długo. Przy użyciu właściwego ostrza i odpowiedniej siły trwa tyle, ile machnięcie ręką na dwadzieścia centymetrów. To wszystko.

* * *

Wyszedłem z zaułka i zatrzymałem się na placu w połowie drogi do toru. Nie ma sensu rozglądać się za czymś, czego i tak się nie zobaczy. Księżyc jednak stał wysoko, powietrze było czyste, ruszyłem więc dalej. Wszedłem na tor i skręciłem w lewo na północ. Szedłem po podkładach jak niegdyś ludzie emigrujący ze swych stron za chlebem do Chicago lub Nowego Jorku. Minąłem przejazd i starą wieżę ciśnień.

Nagle ziemia pod nogami zadrżała.

Najpierw ledwo wyczuwalnie, jakby gdzieś daleko zatrzęsała się ziemia. Zatrzymałem się.

Podkład pod moimi stopami drgał, szyny po obu stronach cicho śpiewały. Spojrzałem do tyłu i w oddali dojrzałem świetlny punkcik. Nadjeżdżał nocny pociąg. Znajdował się kilka kilometrów na południe, ale odległość szybko malała.

Stałem nieruchomo. Szyny coraz głośniejsz brzęczały i pojękiwały, podkłady drżały, żwir pod nimi skrzypiał. Drgania podłoża nabierały basowego tonu. Widoczne w oddali światło migotało jak gwiazda, leciutko drgając na boki.

Zszedłem z toru, zawróciłem do wieży ciśnień i oparłem się plecami o nasmołowaną drewnianą konstrukcję. Czulem, jak drży pod moim dotykiem. Drżała też ziemia pod nogami, szyny jęczały, ciągnąca pociąg lokomotywa

żałośnie zabuczała. Na przejeździe dwadzieścia metrów za mną odezwały się dzwonki ostrzegawcze i czerwone światła zaczęły migać.

Pociąg nadjeżdżał i choć wydawało się, że wciąż pozostaje dość daleko, nagle wyskoczył z ciemności tuż obok mnie. Ogromny, potężny i straszliwie głośny. Ziemia tak gwałtownie zadrżała, że wieża za moimi plecami zatańczyła, odtrącając mnie od siebie na parę centymetrów. Poczulem gwałtowne uderzenie czołowej fali powietrza i tuż przede mną przemknęła lokomotywa i niekończący się sznur wagonów, które zgrzytając, podskakując i migocząc w świetle księżyca, pędziły na północ. Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto.

Stałem przylepiony do smolistej wieży przez dobrą minutę. Sześćdziesiąt długich sekund, ogłuszony piszczeniem i zgrzytaniem metalu, zdrętwiały od ciągłych drgań i przyduszony pędem powietrza.

A potem raptownie wszystko ucichło.

Końcowe lampy pociągu mignęły mi przed oczami i oddaliły się z szybkością prawie stu kilometrów na godzinę, wycie wiatru opadło o pół tonu, trzęsienie ziemi przeszło w lekkie drganie, by po chwili w ogóle zaniknąć. Histeryczne dzwonienie na przejeździe ucichło.

Powróciła cisza.

Moją pierwszą reakcją była poprawka przewidywanej odległości, na jaką niebieski samochód mógł być odrzucony. Sądziłem, że znajdę wrak w odległości kilkudziesięciu metrów, jednak po tym przerażającym pokazie siły uznałem, że równie dobrze mogę go znaleźć w New

Jersey. Albo w Kanadzie.

W końcu główną część wraku znalazłem jakieś dwieście metrów dalej na północ. Prowadziły do niego żalosne szczątki rozsypane wzdłuż toru na niemal całej odległości. Widać było lśniąca w wieczornej rosie i blasku księżyca okruchy szkła. Tworzyły szeroki łuk, jakby były rozrzucone ręką jakiegoś olbrzyma. Chromowany zderzak był zgięty na pół i fikuśnie skrecony jak słomka do drinków. Tkwił wbity w ziemię niczym strzałka rzucona do tarczy.

Obok leżało koło z oponą, ale bez kołpaka. Uderzenie musiało mieć potworną siłę. Auto zostało wyrzucone w powietrze jak piłka wybita przez baseballistę. Od zera do setki w ułamku sekundy.

Domyślałem się, że samochód porzucono jakieś dwadzieścia metrów na północ od wieży ciśnień, bo od tego miejsca zaczynały się pierwsze okruchy szkła. Lokomotywa walnęła w stojący samochód, podrzuciła go na co najmniej pięćdziesiąt metrów, on zaś grzmotnął o ziemię i zaczął koziółkować. Może bokiem, może wzdłuż. Sądziłem, że pierwsze uderzenie o ziemię spowodowało rozpadnięcie się auta na kawałki, jak w wyniku eksplozji, a następujące po nim koziółkowanie spowodowało rozrzucenie fragmentów po dużym terenie.

W tym także zbiornika paliwa, który się zapalił. Na odcinku ostatnich pięćdziesięciu metrów widać było czarne plamy wypalonych chaszczy. To, co zostało z auta, sterczało pośrodku polany wypalonych i osmalonych krzaków i drzew. Znam paru ekspertów od pożarów, którzy na podstawie wielkości wypalonej polaci potrafią określić szybkość koziółkowania.

Pellegrino oglądał wrak za dnia i określił jego kolor jako niebieski, ale mnie w świetle księżyca wydawał się popielatoszary. Nie znalazłem ani jednego fragmentu blachy większego niż sześć centymetrów kwadratowych. Miałem przed sobą cmentarzysko wypalonych i poskręcanych kawałków metalu, w których z trudem mogłem rozpoznać części samochodu.

Byłem gotów przyjąć, że samochodu, ale głównie dlatego, że nie potrafiłbym ich dopasować do niczego innego.

Jeśli ktoś chciał w ten sposób ukryć ślady, to odniósł pełen sukces.

* * *

Wróciłem do hotelu o pierwszej w nocy i od razu zwałem się na łóżko. Ustawiłem swój wewnętrzny budzik na siódmą rano, sądząc, że właśnie o tej porze Deveraux wstaje do pracy.

Przypuszczałem, że zaczyna pracę o ósmej. Niewątpliwie dbała o swój wygląd, ale służyła w marines i była osobą praktyczną, więc na poranną toaletę nie poświęcała więcej niż godzinę. Pomyślałem, że zdążę wziąć poranny prysznic i spotkać się z nią w knajpie na śniadaniu. Niczego poza tym nie planowałem. Nawet nie bardzo wiedziałem, co jej wtedy powiem.

* * *

Nie udało mi się dospać do siódmej. O szóstej obudziło mnie głośne pukanie do drzwi, co nie wprawiło mnie w zachwyt. Stoczyłem się z łóżka, wciągnąłem spodnie i otworzyłem. Na progu stał właściciel hotelu.

- Pan Reacher? - zapytał.

- Tak.

- To dobrze. Ze względu na porę cieszę się, że to nie pomyłka. Lepiej się upewnić.

- O co chodzi?

- Przede wszystkim, jak powiedziałem, o upewnienie się co do tożsamości.

- Mam szczerą nadzieję, że o coś jeszcze, właśnie ze względu na porę. W hotelu tylko dwa pokoje są zajęte, a w tym drugim nie mieszka żaden „pan”.

- Jest do pana telefon.

- Od kogo?

- Od pańskiego wuja.

- Od mojego wuja?

- Pańskiego wuja Leona Garbera. Powiedział, że to pilne. Sądząc po jego tonie, chyba też ważne.

Włożyłem Tshirt i zszedłem boso na dół. Właściciel wprowadził mnie za

recepcyjny kontuar do kantorka, w którym stało stare mahoniowe biurko, a na nim aparat telefoniczny. Zdjęta słuchawka leżała na blacie.

- Proszę się czuć jak u siebie - powiedział starszy pan i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Usiadłem w fotelu i podniosłem słuchawkę.

- Co jest? - burknąłem.

- U ciebie wszystko w porządku?

- W porządku. Jak mnie tu znalazłeś?

- Z książki telefonicznej. W Carter Crossing jest tylko jeden hotel. Wszystko idzie dobrze?

- Świetnie.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- Bo miałeś się meldować codziennie o szóstej rano.

- Miałem?

- Tak uzgodniliśmy.

- Kiedy?

- Rozmawialiśmy wczoraj o szóstej. Jak stąd wyjeżdżałeś.

- Pamiętam. Ale nie uzgodniliśmy, że będziemy rozmawiać codziennie o szóstej rano.

- Dzwoniłeś wczoraj w porze kolacji. Obiecałeś, że zadzwonisz dzisiaj.

- Ale nie określiłem godziny.

- Zdawało mi się, że tak.

- No więc źle ci się zdawało, stary zgredzie. Czego chcesz?

- Strasznie jesteś rozdrażniony.

- Wczoraj późno się położyłem.

- A co robiłeś?

- Rozglądałem się.

- I co?

- Jest tu parę ciekawych rzeczy.
- Na przykład?
- Dwie konkretne. Interesujące.
- Oznaczają postęp w sprawie?
- Na razie to tylko pytania, ale odpowiedzi mogą oznaczać postęp.

Naturalnie, o ile uda mi się je uzyskać.

- Jak dotąd Munro w Kelham stoi w miejscu - rzekł Garber. - Ta sprawa może się okazać bardziej skomplikowana, niż przypuszczaliśmy.

Nie odpowiedziałem i Garber też przez chwilę milczał.

- Zaraz - burknął. - Co to znaczy „o ile” uda ci się je uzyskać?

Milczałem.

- I czemu rozglądałeś się po ciemku? Nie lepiej było poczekać do świtu?

- Poznałem miejscowego szeryfa.

- No i?

- Jest inaczej, niż myśleliśmy.

- W jakim sensie? - spytał Garber. - Uczciwy facet?

- Facetka. Jej ojciec był tu długoletnim szeryfem.

Garber zamilkł na moment.

- Nie mów mi, że cię rozgryzła - powiedział w końcu.

Nie zareagowałem.

- Chryste Panie i wszyscy święci - jęknął. - To musi być nowy rekord świata.

Ile jej to zajęło? Dziesięć minut? Pięć?

- Służyła w żandarmerii marines - burknąłem. - Praktycznie była jedną z nas.

Wręcz na mnie czekała. Dla niej był to oczywisty ruch z naszej strony.

- I co teraz?

- Jeszcze nie wiem.

- Będzie chciała rzucać ci kłody pod nogi?

- Gorzej. Chce się mnie pozbyć.

- Nie wolno ci do tego dopuścić. Mowy nie ma. Musisz tam zostać. To twój

obowiązek i mój rozkaz. Słyszysz? Rozkazuję ci zostać na miejscu. Nie może cię wykurzyć. To wynika z twoich praw obywatelskich. Z pierwszej poprawki czy czegoś tam. Swoboda zrzeszania się.

W Missisipi obowiązują takie same prawa jak w całym kraju. A to wolny kraj. Masz tam zostać, jasne?

Odłożyłem słuchawkę. Wygrzebałem z kieszeni dolara, położyłem na biurku na pokrycie kosztu rozmowy i zadzwoniłem do Pentagonu. Pentagon ma wiele numerów i wielu operatorów odbierających telefony. Wybrałem tego, o którym wiedziałem, że zawsze się zgłasza, i poprosiłem o połączenie z biurem Johna Jamesa Frazera. Nie spodziewałem się zastać go w biurze o szóstej rano, ale okazało się, że się myliłem. Dało mi to do myślenia.

Przedstawiłem się i oświadczyłem, że nie mam dla niego żadnych wiadomości.

- Coś pan musi mieć, skoro pan dzwoni - powiedział.

- Mam ostrzeżenie.

- Jakiego typu?

- Natknąłem się na parę rzeczy, które mogą świadczyć o tym, że będzie to poważna sprawa.

Zrobi się z tego gruba i głośna afera, która przez miesiąc nie zejdzie z pierwszych stron gazet.

Nawet jeśli się okaże, że to nie ma nic wspólnego z Kelham, i tak nie wyjdziemy z tego bez szwanku. Z racji samego sąsiedztwa.

- Jak gruba? - spytał po chwili milczenia Frazer.

- Potencjalnie bardzo gruba.

- A tak na wycucie. Kelham jest w to zamieszane?

- Za wcześnie, żeby to stwierdzić.

- Pomóż mi, Reacher. Tak na nosa.

- Na tym etapie powiedziałbym, że nie. Nie sądzę, by wojsko maczało w tym palce.

- To pomyślna wiadomość.

- Ale to tylko moje domysły, za wcześnie na sięganie po cygaro.

* * *

Nie wróciłem do łóżka. Nie było sensu. Umyłem zęby, wziąłem prysznic, pożyłem gumę i do końca się ubrałem. Potem stanąłem w oknie i obejrzałem brzask. W sącącym się świetle poranka wszystko było jakby powiększone i zobaczyłem Main Street w pełnej porannej krasie, a także ciągnące się wokół pola i lasy.

W końcu usiadłem na krześle i zacząłem czekać. Byłem pewny że usłyszę, kiedy Deveraux zejdzie do samochodu. Stał niemal pod moim oknem.

Usłyszałem, jak Deveraux wychodzi z hotelu o siódmej dwadzieścia. Najpierw skrzypnęły drzwi na ganek, otwierając się i zamykając, chwilę później otworzyły się i zatrzęsnęły drzwi jej samochodu. Wstałem i wyjrzałem przez okno. Siedziała w fotelu, ubrana jak wczoraj w mundur, tyle że świeżo wyprasowany. Niesforna fryzura była jeszcze wilgotna po porannym prysznicu. Trzymała w ręku mikrofon i rozmawiała przez radiotelefon. Pewnie informowała Pellegrina, że jego głównym zadaniem na dziś jest wywiezienie mnie z miasta i wysadzenie na drodze do Memphis.

Zszedłem na dół i stanąłem na chodniku. Poranne powietrze było chłodne i rześkie.

Spojrzałem w głąb ulicy i dojrzałem samochód Deveraux, który stał przed knajpą. Na razie wszystko zgodnie z planem. Podeszedłem do wejścia, pchnąłem drzwi i minąłem automat telefoniczny i pulpit hostess. Poza Deveraux w knajpie było jeszcze pięciu mężczyzn, czterech w strojach roboczych, jeden w jasnym ubraniu o wyglądzie miejscowego notabla.

Tutejszy adwokat, lekarz lub właściciel kantoru koło baru Brannan's, uznałem. Ta sama kelnerka co wczoraj była zajęta roznoszeniem talerzy z jedzeniem. Podeszedłem do stolika Deveraux.

- Pozwolisz, że się przysiądę? - spytałem.

Siedziała, sącząc kawę i czekając na śniadanie. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Dzień dobry - powiedziała.

Jej głos zabrzmiał przyjaźnie, jakby mój widok ją uradował.

- Tak, dzień dobry.

- Przyszedłeś się pożegnać. To miło z twojej strony i bardzo elegancko.

Nie odpowiedziałem, a ona wykonała swoją sztuczkę pod stołem i odsunęła nogą krzesło naprzeciwko siebie. Usiadłem.

- Dobrze spałeś? - spytała.

- Nieźle.

- Nie obudził cię nocny pociąg? Trochę trwa, zanim się człowiek przyzwyczai.

- Jeszcze nie spałem.

- A co robiłeś?

- Kręciłem się.

- W hotelu czy w plenerze?

- W plenerze.

- Byłeś na miejscu zbrodni?

Pokiwałem głową.

Ona zrobiła to samo.

- I zauważyłeś dwie rzeczy godne uwagi - powiedziała. - Dlatego postanowiłeś tu zajrzeć przed wyjazdem i upewnić się, że mi to nie umknęło. To bardzo obywatelska postawa.

Podeszła kelnerka i postawiła przed nią kopiasty talerz francuskich tostów. Spojrzała na mnie pytająco, a ja zamówiłem to samo plus dzbanek kawy. Deveraux odczekała, aż kelnerka odejdzie, i dopiero wtedy spytała:

- A może to co innego? Może to ostatnia przed wyjazdem próba zadbania o interesy armii?

- Nigdzie nie wyjeżdżam.

Uśmiechnęła się.

- Wygłosisz teraz mowę na temat swoich praw obywatelskich? Że żyjemy w wolnym kraju i inne bzdety?

- Coś w tym rodzaju.

Na moment się zawahała.

- Jestem całym sercem za przestrzeganiem praw obywatelskich - oświadczyła. - I jak powiadają, w naszej chacie jest mnóstwo miejsca. Oczywiście, możesz zostać. Miłego pobytu. Są ciekawe szlaki turystyczne, jest zwierzyna, na którą można zapolować, wokół piękne widoki. Chodź sobie, gdzie

chcesz, rób, co ci się żywnie spodoba. Tylko nie wpieprzaj się w moje dochodzenie.

- A jak interpretujesz te dwie sprawy? - spytałem.

- Muszę mówić? Zwłaszcza tobie?

- Co dwie głowy, to nie jedna.

- Nie mogę ci ufać. Przyjechałeś po to, żeby mi w miarę możliwości przeszkadzać.

- Nie, przyjechałem po to, żeby poinformować dowództwo, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Zrobię to, jeśli tak się stanie. Ale jesteśmy daleko od jakichkolwiek konkluzji. Jeszcze dobrze nie zaczęliśmy. Za wcześnie na przeszkadzanie, nawet gdybym miał takie zamiary.

A nie mam.

- My? My jesteśmy daleko od konkluzji? Co to ma być? Jakaś demokracja?

- Dobra, więc ty jesteś.

- Właśnie - potwierdziła. - Ja jestem.

W tym momencie kelnerka przyniosła talerz tostów i kawę. Powąchałem parę znad dzbanka i pociągnąłem pierwszy długi łyk czarnego płynu. Taki drobny rytuał. Zapachniało świeżo parzoną kawą. Po drugiej stronie stołu Deveraux nie przerywała jedzenia. Wymiałała talerz do czysta. Metabolizm jak w reaktorze jądrowym.

- Dobra, przerwa techniczna. Przekonaj mnie. Wyłóż karty na stół. Powiedz mi o sprawie i tak to przedstaw, żeby wypadło źle dla wojska. Zresztą tak wypadnie bez względu na to, jak to przedstawisz.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

- Byłaś w bazie?

- Obeszłam całą.

- A ja nie. Dlatego wiesz coś, czego się tylko domyślam.

Skinęła głową.

- Więc pamiętaj o tym i uważaj. Nie rozsnuwaj zasłony dymnej.

- Janice May Chapman nie zgwałcono w tym zaułku - powiedziałem.

- Bo?

- Pellegrino mówił o tym, że obtarła skórę na żwirze. W tym zaułku nie ma żwiru. Ani nigdzie w pobliżu. Wszędzie wokół jest albo ubita ziemia, albo żwir zalany smołą, albo gładki bruk.

- Żwirem jest podsypyany tor - zauważyła.

Testowała mnie. Próbowala mnie podejść.

- Niezupełnie - powiedziałem. - To, co leży między szynami, to większy tłuczeń. Nazywają go balastem. Służy do obciążenia toru. Kawałki granitu większe od otoczków, mniejsze od pięści. Gdyby to o nie chodziło, obrażenia wyglądałyby zupełnie inaczej. Nie jak otarcia od żwiru.

- Ze żwiru zbudowane są drogi.

Kolejny test.

- Ale zalanego smołą i ubitego.

- A więc?

Ostateczny sprawdzian.

„Tak to przedstaw, żeby wypadło źle dla wojska”.

- W Kelham przebywa elita. To końcowy egzamin dla Siedemdziesiątego Piątego.

Dysponuję specjalnym wsparciem operacyjnym. To wielka baza, z różnego rodzaju ukształtowaniem terenu. Piachy udające pustynię. Beton imitujący zamrożone stopy.

Sztuczne wioski i różne takie. Jestem pewny, że do jakichś celów są też sterty żwiru.

Deveraux skinęła głową.

- Jest pokryta żwirem bieżnia. Do ćwiczeń na wytrzymałość. Dziesięć okrążeń po czymś takim jest jak dziesięć godzin marszu po twardym podłożu. A do tego ci, którzy podpadną, muszą to co rano grabić. W charakterze kary. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Milczałem.

- Zgwałcili ją na terenie bazy - stwierdziła Deveraux.

- To nie jest niemożliwe. - Kiwnąłem głową.

- Porządny z ciebie facet, Reacher, jak przystało na syna oficera marines.

- Marines nie mają z tym nic wspólnego. Jestem dyplomowanym oficerem armii Stanów Zjednoczonych. My też mamy zasady.

Zabrałem się do jedzenia śniadania w chwili, gdy ona skończyła jeść swoje.

- Druga sprawa jest bardziej problematyczna - powiedziała. - Nie bardzo umiem ją dopasować.

- Naprawdę? - zdziwiłem się. - Czy w zasadzie nie sprowadza się do tego samego?

Spojrzała na mnie uważnie.

- Nie rozumiem jak.

Przerwałem jedzenie i też na nią spojrzałem.

- Prześledźmy to razem - powiedziałem.

- Proste pytanie. Jak się tam dostała? Swoją samochód zostawiła w domu, ale nie przysłała pieszo. Po pierwsze, miała na nogach dziesięciocentymetrowe szpilki, po drugie, w dzisiejszych czasach nikt już nie chodzi piechotą. Jej sąsiadki to wścibskie plotkary. Obie przysięgają, że nikt po nią nie przyjechał, a ja im wierzę. Nikt też nie zauważył, żeby przyjechała w czymś towarzystwie, żołnierza czy cywila. Ani nawet sama. Możesz mi wierzyć, że właściciele barów wszystko widzą. Od tego zależy ich egzystencja. Muszą wiedzieć, czy zarobią na jutrzejszy obiad. Więc pojawiła się tam jakby znikąd.

Przez chwilę milczałem, po czym bąknąłem:

- To nie jest mój drugi punkt.

- Nie?

- Najwyraźniej twoje dwie i moje dwie rzeczy nie są takie same. A to oznacza, że w sumie są trzy sprawy warte zastanowienia.

- To jaki jest twój drugi punkt?

- Ten zaulek nie był miejscem jej śmierci.

Odezwałem się dopiero po skończonym jedzeniu. Francuskie tosty, syrop klonowy, kawa.

Białko, błonnik, węglowodany i kofeina. Poza nikotyną wszystkie najważniejsze dla życia grupy produktów. Ale wtedy już nie paliłem. Odłożyłem sztucce i zacząłem mówić:

- Jest tylko jeden oczywisty sposób na poderżnięcie gardła kobiecie. Należy stanąć za nią, chwycić ją za włosy i odciągnąć głowę do tyłu albo wrazić palce w jej oczodoły, albo, o ile ma się odpowiednio pewną rękę, można jej podeprzeć brodę. W każdym razie chodzi o to, żeby odsłonić gardło i lekko naprężyć ścięgna i naczynia krwionośne na szyi. Wtedy wystarczy drugą ręką przejechać jakimś ostrzem. Instruktorzy uprzedzają, że trzeba być gotowym na konieczność wywarcia znacznego nacisku, bo na przeszkodzie stoi parę twardych elementów w gardle, i że należy zacząć dwa centymetry wcześniej i skończyć dwa centymetry dalej, niż się to wydaje konieczne. Żeby mieć absolutną pewność.

- Sądzę, że właśnie to zdarzyło się w zaułku - powiedziała Deveraux. - Mam tylko nadzieję, że nagle i z zaskoczenia, że zanim się zorientowała, było po wszystkim.

- To się nie stało w tym zaułku - powiedziałem. - Nie mogło.

- Dlaczego?

- Jedną z zalet ataku od tyłu jest to, że zabójcy nie zalewa krew ofiary, a przy poderżnięciu gardła jest bardzo dużo krwi. Mamy do czynienia z tętnicami szyjnymi i młodą, zdrową osobą, która przeżywa wstrząs i być może podejmuje walkę. W takich okolicznościach ciśnienie krwi gwałtownie skacze.

- Wiem, że było dużo krwi. Widziałam to na własne oczy. Na ziemi została spora kałuża, a ona zupełnie się wykrwawiła. Była biała jak prześcieradło. Widziałeś stertę piachu, to wiesz, jak wielka była ta kałuża. Musiało tam być z pięć litrów krwi.

- Poderżnęłaś kiedyś komuś gardło?

- Nie.

- A widziałaś, jak ktoś to zrobił?

- Nie. - Deveraux pokręciła głową.

- Krew nie sączy się jak z przeciętych żył nadgarstka. Leje się jak z węża strażackiego. Na odległość trzech metrów lub więcej wszystko jest obryzgane potężnymi chluśnięciami.

Widywałem rozbryzgi nawet na suficie. Fantazyjne wzory, jakby ktoś machał otwartą puszką farby. Jakbyś patrzyła na obraz Jacksona Pollocka.

Deveraux milczała.

- Zaulek byłby zbryzgany krwią. A już na pewno ściana kantoru. Krew byłaby też na ścianie baru, może nawet na budynku apteki. Także na bruku w promieniu kilku metrów. Dzikie esyfloresy, nie elegancka równiutka kałuża. To tak nie wygląda. Ona nie tam zginęła.

Deveraux splotła dłonie na stole i pochyliła głowę. Zrobiła coś, o czym wielokrotnie czytałem, ale nie widziałem. Nie tak dosłownie. Zwiesiła głowę. Zacerpnęła powietrza, z sykiem je wypuściła, po kilku sekundach uniosła wzrok i powiedziała:

- Idiotka ze mnie. Myślę, że to wszystko wiedziałam, tylko nie przyszło mi to do głowy. Po prostu nie skojarzyłam.

- Nie przejmuj się. Nigdy nie widziałaś człowieka z podejrniętym gardłem, więc nie miałaś czego kojarzyć.

- Nie, to sprawa zasadnicza. Jestem idiotką. Straciłam mnóstwo czasu.

- Będzie jeszcze gorzej, bo to nie wszystko.

* * *

Deveraux nie chciała dłużej słuchać. W każdym razie nie teraz. Na razie wolała pobiczować się za przegapienie sprawy krwi. Wielokrotnie widywałem takie reakcje u innych. Przyzwoici ludzie nienawidzą popełniać błędów nie ze względu na zranione ego, a dlatego, że pewnego rodzaju błędy wywołują konsekwencje, z którymi przyzwoici ludzie nie mogą się pogodzić.

Marszczyła twarz, zgrzytała zębami i obrzucała się obelgami przez dobrą minutę. W końcu przestała, potrząsnęła głową i dzielnie przywołała na twarz uśmiech, jednak znacznie mniej pogodny od tego, jaki zazwyczaj prezentowała.

- Dobrze, powiedz, co może być jeszcze gorsze - rzekła - ale nie tutaj. Jadam tu trzy razy dziennie i wolę, żeby mi się nie kojarzyło.

Zapłaciliśmy, każde za siebie, i wyszliśmy z knajpy. Przez dłuższą chwilę w milczeniu staliśmy na chodniku. Z jej zachowania wywnioskowałem, że nie zamierza zaprosić mnie do biura. Nie chciała, żebym się z nią spoufalał. Żadnej demokracji.

- Chodźmy do hotelu - zaproponowała. - Możemy usiąść w salonie. Jesteśmy tam jedynymi gośćmi i nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Przeszliśmy do hotelu, weszliśmy po chybottliwych schodkach na skrzypiący ganek.

Wkroczyliśmy do środka i skierowaliśmy się ku drzwiom po lewej stronie holu. Poczulem ten sam wilgotny zaduch pleśni i kurzu co wczoraj. Widziane w mroku sterczące kształty w świetle dziennym rzeczywiście okazały się oparciami foteli. Był ich tuzin, rozstawionych w kilku miejscach po dwa i cztery. Wybraliśmy dwa stojące po bokach wygasłego kominka.

- Dlaczego tu mieszkasz? - spytałem.

- Dobrze pytanie. - Uśmiechnęła się. - Początkowo zakładałam, że zostanę w hotelu przez miesiąc lub dwa, ale się przedłużyło.

- A co z domem ojca?

- Był wydzierzawiony. Dzierżawa zgasła razem z nim.

- Mogłaś wynająć coś innego. Albo kupić. Czy nie tak się zwykle robi?

Skinęła głową.

- Nawet obejrzałam kilka domów, ale nie mogłam się zdecydować.

Widziałeś tutejsze domy?

- Niektóre wyglądają całkiem znośnie.

- Nie dla mnie. A tak w ogóle, to nie byłam jeszcze gotowa. Nie

zdecydowałam, jak długo chcę tu zostać. Właściwie wciąż tego nie wiem. Pewnie się okaże, że do końca życia, ale chyba nie chcę sama przed sobą się do tego przyznać. Wolę, żeby się to odbyło bez mojego świadomego udziału.

Pomyślałem o Stanie Lowreyu i jego czytaniu ogłoszeń z ofertami pracy. Pożegnanie się z mundurem to coś znacznie więcej niż tylko znalezienie nowego zajęcia. Jest jeszcze kwestia dachu nad głową, jeżdżenia prywatnym samochodem, chodzenia po cywilnemu. Są setki dziwnych szczegółów, które da się porównać z poznawaniem zwyczajów obcego plemienia, znanych dotąd tylko pobieżnie i nigdy do końca nierozumianych.

- No to słucham - powiedziała Deveraux.

- Poderżnięto jej gardło, prawda? Nie mamy co do tego wątpliwości.

- Absolutnie. Cienia wątpliwości.

- To była jedyna rana na jej ciele?

- Tak oświadczył lekarz.

- Zatem musi być gdzieś miejsce zbryzgane krwią. To, gdzie ją zamordowano. Może w jakimś pomieszczeniu, może gdzieś w lesie. Nie da się dokładnie usunąć wszystkich śladów krwi. To niemożliwe. A to oznacza, że gdzieś są dowody, które czekają na wykrycie.

- Nie mogę przeszukać bazy. Nie pozwolą mi. Nie podlega mojej jurysdykcji.

- Nie ma pewności, że to się stało na terenie bazy.

- Na terenie bazy ją zgwałcono.

- Możliwe, że tam ją zgwałcono, ale to nie znaczy, że zamordowano.

- Tysiąca trzystu kilometrów kwadratowych stanu Missisipi też nie przeszukam.

- Zatem skup się na sprawcy. Ustaw celownik na niego i zawęż pole.

- Jak?

- Nikt dwukrotnie się nie wykrwawia. Kobiecie poderżnięto gardło w bliżej nieznanym nam miejscu, które zostało skąpane w jej krwi. Ofiara umarła i tyle

wiemy od niej. Potem ciało podrzucono w zaułku za barem, ale w czyjej krwi ją tam położono? Bo nie w jej własnej. Jej krew została w nieznanym nam miejscu zabójstwa.

- O mój Boże! - jęknęła Deveraux. - Nie chcesz powiedzieć, że morderca zebrał jej krew i przywiózł ze sobą.

- Możliwe - powiedziałem. - Ale mało prawdopodobne. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś podrzyna jej gardło, a potem tańczy wokół niej z wiaderkiem i zbiera lejącą się krew.

- Mogło ich być dwóch.

- Możliwe, ale też mało prawdopodobne. Człowiek z poderżniętym gardłem jest jak wąż strażacki, który wyrwał się z ręki i sika wszędzie wokół, raz tu, raz tam. Nawet ten drugi musiałby mieć dużo szczęścia, żeby zebrać choć pół litra.

- No to do czego zmierzasz? Czyja to była krew?

- Prawdopodobnie jakiegoś zwierzęcia. Na przykład jelenia. Świeżo ustrzelonego, ale nie tuż przed zabójstwem kobiety. Minęło trochę czasu i krew zaczynała krzepnąć. Pięć litrów zupełnie świeżej krwi rozlałoby się dużo szerzej niż ta kałuża.

- Myśliwy?

- Na to bym stawiał.

- Ale nie masz rzetelnych podstaw. Nawet nie widziałeś tej kałuży. Nie zbadałeś jej. To mogła być krew zarówno sztuczna, ze sklepu dla kawalarzy, jak i ofiary. Ktoś mógł wpaść na pomysł, jak ją zebrać. To, że nie wiesz, jak coś zrobić, nie znaczy, że nie da się tego zrobić.

Może najpierw ściągnięto z niej krew, a dopiero potem poderżnięto gardło.

- Nadal uważam, że to myśliwy.

- Dlaczego?

- Bo to nie wszystko - powiedziałem. - Bo robi się jeszcze gorzej.

W tym momencie drzwi się uchyliły i ukazała się w nich głowa współwłaścicielki hotelu.

Spytała, czy może nam coś podać. Elizabeth Deveraux pokręciła głową, ja poprosiłem o kawę i usłyszałem, że kawy nie ma. Starsza pani oświadczyła, że jeśli mi zależy, to może się przejść do knajpy i przynieść mi dzbanek. Byłem ciekaw, co w takim razie chciała nam podać, ale nie spytałem. Starsza pani zamknęła drzwi i Deveraux zapytała:

- Coś się tak uwziął na myśliwego?

- Pellegrino powiedział, że była wystrojona w wyjściowe ciuchy i leżała na wznak w kałuży krwi. Tak to mniej więcej opisał. Tak było?

Deveraux skinęła głową.

- Też ją tak zapamiętałam. Pellegrino to dureń, ale dość skrupulatny.

- To kolejny dowód na to, że tam jej nie zabito. Inaczej leżałaby na twarzy, nie na plecach.

- Na to też nie zwróciłam uwagi. Nie dobijaj mnie.

- Jak dokładnie była ubrana?

- W obcisłą granatową sukienkę z dekoltem i białym kołnierzem. Miała na sobie bieliznę, rajstopy i granatowe pantofle na wysokich obcasach.

- Ubranie było poszarpane?

- Nie, wyglądało jak spod igły.

- Zatem nie ubrano jej w te ciuchy po śmierci. To da się poznać. Ubranie włożone na trupa zawsze dziwnie leży. Zwłaszcza rajstopy. Czyli w chwili śmierci była w pełni ubrana.

- Zgoda.

- Czy z przodu na kołnierzu były ślady krwi?

Deveraux zamknęła oczy, pomagając sobie w odtworzeniu widoku.

- Nie - powiedziała. - Kołnierz był zupełnie czysty.

- A sukienka?

- Też nie.

- Dobra. - Kiwnąłem głową. - Zatem podejrznięto jej gardło w chwili, gdy była ubrana, a mimo to na sukience nie zostały żadne ślady, zwłoki zaś ułożono na plecach w kałuży krwi, którą specjalnie w tym celu rozlano. Spróbuj mnie przekonać, że to nie był myśliwy.

- To przekonaj mnie, że był. O ile dasz radę. Bo możesz się starać kryć wojsko na wszelkie sposoby, ale nie musisz wierzyć w swoje brednie.

- Nie chodzi o krycie wojska. Bardzo wielu wojskowych poluje.

- Dlaczego koniecznie musi być myśliwy?

- Wy tłumacz mi, jak można podejrznać kobiecie gardło i nie uronić ani kropli krwi na jej sukienkę.

- Nie wiem.

- Ja wiem: wieszając ją na kobyłce do sprawiania dziczyzny. Za nogi, głową w dół. Wiązesz jej ręce na plecach i podciągasz w górę tak, żeby plecy się wygięły, a gardło było najniżej położonym punktem ciała.

* * *

Siedzieliśmy przez chwilę w ponurym milczeniu. Pomyślałem, że Deveraux próbuje wyobrazić sobie tę scenę, bo ja to właśnie zrobiłem. Samotna polana, cicha i zagubiona w leśnym gąszczu. A może ustronne pomieszczenie, w którym ustawiono myśliwską kobyłkę.

Albo myśliwski domek z belkowaną powalą i z jednej z takich belek zwisa Janice May Chapman. Wisi głową w dół, ręce ma związane na plecach i wyciągnięte ku nogom, mięśnie naprężone, plecy boleśnie wygięte w łuk. Zapewne jest też zakneblowana, a knebel obwiązany sznurem przerzuconym nad górną poprzeczką kobyłki. Ten trzeci sznur jest naprężony, by odciągać głowę do tyłu i zapewniać wygodny dostęp do gardła.

- Jakie miała włosy? - spytałem.

- Krótko przyciętą fryzurę. Włosy by mu nie przeszkadzały.

Nic nie powiedziałem.

- Naprawdę myślisz, że tak to się odbyło? - spytała Deveraux.

Skinąłem głową.

- Inaczej by się tak nie wykrwawiła. Nie byłaby biała jak prześcieradło. W chwili śmierci serce przestałoby pompować i trochę krwi by w niej zostało. Litr, może półtora. Powieszenie głową w dół załatwiło sprawę. Zadziałała grawitacja.

- Sznury nie zostawiłyby po sobie żadnych śladów?

- A co mówi świadectwo patologa? Czytałaś jego raport?

- Nie mamy tu patologa, tylko zwykłego lekarza. Od czasu gdy był tu jedynie przedsiębiorca pogrzebowy, to krok do przodu, ale niezbyt wielki.

Żadnej demokracji.

- Powinnaś to sprawdzić - powiedziałem.

- Pojedziesz ze mną? - spytała.

* * *

Wróciliśmy pod knajpę, wsiedliśmy do radiowozu i ruszyliśmy Main Street. Minęliśmy hotel, aptekę, sklep budowlanometalowy i dotarliśmy do miejsca, gdzie główna ulica miasteczka zmieniała się w kręty wiejski trakt. Lekarz mieszkał niecały kilometr dalej w domu z pomalowanych na biało desek, stojącym pośrodku dość zapuszczonej działki. Obok skrzynki na listy sterczał słupek z tabliczką informującą, że tu mieszka doktor Merriam.

Czarny napis na białym tle wyglądał świeżo i odbijał nowością od otoczenia. Widać pan doktor dopiero niedawno dołączył do miejscowej społeczności.

Na parterze domu urządzono przychodnię. W pokoju od frontu była poczekalnia, na tyłach mieścił się gabinet lekarski oraz pokój zabiegowy. Doktor Merriam okazał się zażywnym mężczyzną pod sześćdziesiątkę. Siedział przy biurku pochylony nad dokumentami, a ja pomyślałem, że może jest nowy w miasteczku, ale na pewno nie w swoim zawodzie. Spojrzał na nas bez entuzjazmu, jego reakcje były powolne i jakby ospałe. Odniosłem wrażenie, że pracę w Carter Crossing traktuje jako wcześniejszą emeryturę po wyczerpującej praktyce w jakimś dużym mieście. Nie bardzo mi się spodobał. Pewnie to dość

pochopna ocena, ale pierwsze wrażenia są równie dobre jak inne.

Deveraux poinformowała go o celu naszej wizyty i Merriam bez pośpiechu wstał i poprowadził nas do pomieszczenia, które kiedyś mogło być kuchnią. Teraz było w całości wyłożone białą glazurą i wyposażone w stalowe zlewy i liczne szafki. Na środku stał stalowy stół, na którym leżały zwłoki kobiety, oświetlone dużą lampą umieszczoną w suficie.

Była to Janice May Chapman, co potwierdzała przyczepiona do dużego palca u nogi wywieszka z jej nazwiskiem wypisanym zamaszystym charakterem pisma. Była zupełnie naga. Deveraux powiedziała, że jest blada jak prześcieradło, teraz skóra przybrała jednak sinoniebieską barwę z licznymi plamami o marmurkowej fakturze, typowymi dla ciał pozbawionych krwi. Miała około metra siedemdziesięciu wzrostu i za życia mogła ważyć około pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Miała krótkie ciemne włosy - grube, gęste, ostrzyżone, o wciąż zdrowym wyglądzie. Pellegrino nazwał ją „naprawdę ładną” i bez trudu można było się z nim zgodzić. Mięśnie twarzy były zwiotczałe i oklapnięte, ale widać było regularny układ kości twarzoczaszki. Zęby były białe i równe.

W miejscu gardła ziała straszliwa, biegnąca przez całą szerokość rana, zaschnięta w gumowatą masę. Tkanka i mięśnie wyschły, ścięta i wiązadła się skurczyły, pozbawione krwi żyły i tętnice cofnęły się do środka. Widać było białą kość, na której dostrzegłem pojedynczą poziomą rysę.

Nóż musiał być masywny, ostrze bardzo ostre, cięcie mocne, pewne i szybkie.

- Chcemy obejrzyć jej nadgarstki i kostki u nóg - wyjaśniła Deveraux.

Lekarz wzruszył ramionami w geście z gatunku: „a róbcie sobie, co chcecie”.

Deveraux uniosła lewą rękę Chapman, ja prawą. Kości nadgarstka były cienkie i delikatne.

Na skórze nie było żadnych obtarć ani wgnieceń po sznurze, ale coś jednak

było. Błada, szeroka na pięć centymetrów opaska wokół nadgarstka, nieco bardziej sina od reszty. Niemal niedostrzegalnie. W porównaniu z resztą przedramienia obrzmiała, lekko wypukła, jakby była dokładnym odbiciem wgniecenia.

Przeniosłem wzrok na lekarza.

- Co pan o tym sądzi? - spytałem.

- Ustaliłem przyczynę śmierci, którą było wykrwawienie w wyniku przecięcia tętnic szyjnych - odparł. - Tylko za to mi płacą.

- Ile?

- Warunki zostały uzgodnione przez mojego poprzednika z władzami okręgu.

- Więcej niż pięćdziesiąt centów?

- Bo co?

- Bo to nie było więcej warte. Przyczyna śmierci jest oczywista dla każdego.

Niech pan zapracuje na swoją stawkę i trochę nam pomoże.

Deveraux spojrzała na mnie, a ja wzruszyłem ramionami. Lepiej, że ja to powiedziałem, nie ona. W przeciwieństwie do mnie będzie tu musiała dalej żyć z nim w jednej społeczności.

- Nie podoba mi się pańskie zachowanie - burknął Merriam.

- A mnie się nie podoba, kiedy dwudziestosiedmioletnia kobieta leży martwa na stole sekcyjnym. Chce pan nam pomóc czy nie?

- Nie jestem patologiem.

- Ani ja.

Lekarz jeszcze przez chwilę stał niezdecydowany, potem westchnął, podszedł do stołu i przejął ode mnie zwiotczały nadgarstek Janice May Chapman. Przyjrzał mu się dokładnie i delikatnie przejechał palcem po ręce, obmacując skórę od dłoni do połowy przedramienia.

- Ma pan jakąś hipotezę? - zwrócił się do mnie.

- Myślę, że została związana - odparłem - za przeguby i kostki u nóg. Więzy

się wrzynały, ale umarła za szybko, żeby powstały widoczne zasinienia, jednak zaczęły się formować. Do tkanki mięśniowej napłynęło więcej krwi, która została, podczas gdy cała reszta wyciekała.

Właśnie dlatego zamiast wgnieceń pozostała lekka opuchlizna.

- A czym ją związano? - spytał.

- Chyba nie sznurem. Raczej paskami lub taśmami. Czymś płaskim i szerokim. Może czymś miękkim i puszystym, żeby ukryć ślady związania.

Merriam bez słowa mnie wyminął, przeszedł na drugi koniec stołu i przyjrzał się kostkom nóg ofiary.

- Gdy ją tu przywieźli, miała na sobie rajstopy - powiedział. - Nie były uszkodzone. Nie było rozdarć ani śladu oczek.

- Związano ją czymś miękkim, może nawet gumową pianką. Ale na pewno ją związano.

Merriam się zamyślił.

- Niewykluczone - przyznał w końcu.

- A na ile prawdopodobne? - spytałem.

- Wnioski z sekcji zwłok są ograniczone. Musiałby pan mieć naocznego świadka, żeby zyskać pewność.

- Jak pan tłumaczy całkowite wykrwawienie denatki?

- Mogła cierpieć na hemofilię.

- A jeśli nie?

- To musiałyby wisieć głową w dół.

- Zawieszona na paskach lub sznurach wyłożonych czymś miękkim?

- Niewykluczone - powtórzył Merriam.

- Proszę ją przekręcić na brzuch - powiedziałem.

- Po co?

- Chcę zobaczyć te obtarcia od żwiru.

- Musi mi pan pomóc.

Zrobiłem, o co mnie prosił.

Ciało ludzkie to urządzenie samonaprawcze, które bezzwłocznie przystępuje do usuwania uszkodzeń. Gdy skóra ulegnie rozerwaniu, skaleczeniu czy rozcięciu, krew od razu dopływa do tego miejsca i czerwone ciała natychmiast przystępują do tkania włóknistej osnowy, która ma połączyć rozerwaną tkankę, podczas gdy białe ciała wynajdują i niszczą zarazki i patogeny, które mogły przedostać się do środka. Proces ten zaczyna się w ciągu paru minut od urazu i trwa wiele godzin lub dni potrzebnych do tego, aby skóra mogła się zrosnąć. Cały proces wywołuje zapalenie przebiegające po krzywej dzwonowej, która osiąga apogeum w chwili szczytowego nasycenia krwią, kiedy to strup jest najgrubszy, a walka z infekcją najintensywniejsza.

Dolna część pleców i pośladki Janice May Chapman, a także ręce powyżej łokci były upstrzone śladami małych skaleczeń, które wyglądały jak drobne nacięcia. Każde z nich pośrodku niewielkiego wgniecenia, które z braku dopływu krwi nie zmieniło zabarwienia.

Skaleczenia biegły w różnych przypadkowych kierunkach, jakby zostały spowodowane przez przeciągnięcie po luźnych twardych przedmiotach o podobnej wielkości i kształcie.

Niedużych, twardych, niezbyt ostrych, ale też niezupełnie gładkich.

Klasyczne otarcie o żwir.

Spojrzałem na Merriama i spytałem:

- Jak długo przed śmiercią powstały te otarcia?

- Nie mam pojęcia.

- Doktorze, chyba zdarzało się panu leczyć różne skaleczenia i otarcia, prawda? A może nie?

Może był pan psychiatrą?

- Nie, pediatrą. Dlatego nie mam pojęcia, co ja tu robię.

- Dzieci wciąż się kaleczą i obijają. Musiał pan mieć do czynienia z setkami takich obrażeń.

- To poważna sprawa. Nie mogę wydawać pochopnych opinii.

- To niech pan wyda niepochopną.

- Cztery godziny - burknął.

Pokiwałem głową.

Sądząc po zawiązanych, ale jeszcze nie do końca uformowanych strupkach, można było przyjąć ocenę Merriama. Proces narastania strupków gwałtownie przerwało poderżnięcie gardła, które spowodowało ustanie pracy serca, śmierć mózgu i całkowite wstrzymanie metabolizmu.

- Czy ustalił pan, kiedy nastąpiła śmierć? - spytałem.

- To bardzo trudne, a właściwie wręcz niemożliwe. Całkowite wykrwawienie narusza przebieg normalnych procesów biologicznych.

- A w przybliżeniu?

- Kilka godzin przed przywiezieniem jej do mnie.

- To znaczy ile?

- Więcej niż cztery.

- To wynika z samego stanu otarć. O ile więcej niż cztery?

- Nie wiem. Mniej niż dwadzieścia cztery. Nie potrafię dokładniej określić.

- Żadnych innych obrażeń. Żadnych sińców. Żadnych śladów walki we własnej obronie - zauważyłem.

- To prawda.

- Może nie walczyła - wtrąciła Deveraux. - Może zabójca przystawił jej lufę do skroni albo nóż do gardła.

- Może. - Spojrzałem ponownie na Merriama i spytałem: - Przeprowadził pan badanie dopochwowe?

- Oczywiście.

- No i?

- Stwierdziłem, że niedawno odbyła stosunek seksualny.

- Jakies zadrapania czy skaleczenia w tym rejonie?

- Niczego nie znalazłem.

- Zatem na jakiej podstawie uznał pan, że została zgwałcona?
- A pan uważa, że to było za jej przyzwoleniem? Położyłby się pan gołym tyłkiem na żwirze, by uprawiać seks?
- Może - odrzekłem. - To by zależało, z kim.
- Miała swój dom, a w nim łóżko - rzekł z przekąsem. - I własny samochód z tylnym siedzeniem. Domniemany kochanek też miałby dom oraz samochód. Poza tym w mieście jest hotel. Są też inne miasta z innymi hotelami. Nie ma potrzeby urządzać schadzek na wolnym powietrzu.
- Szczególnie w marcu - dodała Deveraux.
- W małym pomieszczeniu zapadło milczenie, które przerwał Merriam.
- To wszystko?
- Tak, wszystko - odparła Deveraux.
- W takim razie powodzenia, szeryfie - powiedział Merriam. - Miejmy nadzieję, że większego niż przy tamtych dwóch.

* * *

Wyszliśmy z Deveraux z domu doktora, minęliśmy słupek z tabliczką, skrzynkę na listy i stanęliśmy na chodniku obok radiowozu. Czułem, że nie proponuje mi podwiezienia.

- W dalszym ciągu nie obowiązywały zasady demokracji. Jeszcze nie.
- Jak to możliwe, żeby ofiara gwałtu miała nieuszkodzone rajstopy? - spytałem.
- Myślisz, że to ma znaczenie?
- Oczywiście, że ma. Przeciągnięto ją po żwirze. Rajstopy powinny być w strzępach.
- Może najpierw zmuszono ją, żeby się rozebrała. Powoli i ostrożnie.
- Ranki od żwiru miały obwódki. Miała coś na sobie. Może coś spuszczonego, może podciągniętego, nie wiem, ale była częściowo ubrana. Potem się przebrała. Miała na to dużo czasu... aż cztery godziny.
- Nie idź tą drogą - powiedziała Deveraux.

- Jaką drogą?

- Próbujesz sprowadzić odpowiedzialność wojskowych do gwałtu.

Zmierzasz do tego, że później zabił ją ktoś, kto nie miał nic wspólnego z gwałtem.

Milczałem.

- Ja tego nie kupuję - ciągnęła. - Natykasz się na kogoś, kto cię gwałci, a potem w ciągu następnych czterech godzin spotykasz kogoś innego, kto ci podrzyna gardło? Trochę dużo jak na jeden dzień, nie sądzisz? To by musiał być najgorszy dzień w historii. To zbyt nieprawdopodobne. Uważam, że to zrobił ten sam drań. Urządził sobie całodzienną sesję.

Rozciągnął to w czasie. Był do tego przygotowany. Miał dostęp do jej ubrań i kazał jej się przebrać. Wszystko było szczegółowo zaplanowane.

- Możliwe - powiedziałem.

- W wojsku uczą efektywności taktycznego planowania. W każdym razie tak twierdzą.

- To prawda, ale w trakcie szkolenia rzadko dają cały dzień wolnego.

- Kelham to nie tylko ośrodek szkoleniowy, prawda? Przeczą temu informacje, które udało mi się zebrać. Są tam też dwie w pełni wyszkolone kompanie komandosów, którzy rotacyjnie wyjeżdżają i wracają. Po powrocie dostają kilkudniowe urlopy. Jeden po drugim.

Milczałem.

- Powinieneś zadzwonić do swojego dowódcy - dodała Deveraux. - Poinformować go, że sprawy źle stoją.

- On już to wie. Dlatego tu jestem.

Przez dłuższą chwilę milczała, po czym powiedziała:

- Chciałabym, żebyś wyświadczył mi przysługę.

- Mianowicie?

- Jeszcze raz obejrzyj wrak samochodu i spróbuj znaleźć choćby kawałek tablicy rejestracyjnej. Pellegrinowi się to nie udało.

- Dlaczego sądzisz, że możesz mi zaufać?

- Bo jesteś synem oficera marines. I wiesz, że jeśli spróbujesz ukryć lub zniszczyć dowody, to cię zapuszkuję.

- Co Merriam miał na myśli, mówiąc, że życzy ci większego powodzenia niż przy tamtych dwóch?

Nie odpowiedziała, więc dopytałem:

- Jakich tamtych dwóch?

Zasepiona, jeszcze przez chwilę milczała, po czym odparła:

- W zeszłym roku w taki sam sposób zginęły dwie inne kobiety. Poderżnięto im gardła. Nie udało mi się niczego wykryć. Teraz to już stare dzieje. Ale Janice May Chapman jest trzecią ofiarą w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy.

Elizabeth Deveraux wsiadła do radiowozu i zrobiwszy przede mną szeroki nawrót, ruszyła do miasta, znikając za pierwszym zakrętem. Postąłem jeszcze chwilę i ruszyłem w tym samym kierunku. Po dziesięciu minutach droga przestała się wiać, zrobiła się szersza i prostsza i stała się Main Street nie tylko z nazwy. Główna ulica miasta ożyła, otwierały się sklepy i pojawił się ruch uliczny w postaci dwóch przechodniów i dwóch samochodów. Ale na tym koniec.

Bez wątpienia Carter Crossing nie można było zaliczyć do kipiących życiem metropolii.

Minąłem sklep żelaznobudowlany, aptekę, hotel, knajpę i pustą parcelę za nią. Pod biurem szeryfa nie było samochodu Deveraux ani innych radiowozów. Na parkingu stały tylko dwa cywilne pickupy, oba stare, poobijane i zapuszczone. Musiały należeć do dyspozytorki i faceta od papierków, pewnie miejscowych, pozbawionych ochrony związkowej i przywilejów. Znów pomyślałem o Stanie Lowreyu i jego czytaniu ogłoszeń o pracy. Będzie mierzył wyżej z musu. Stan miał narzeczone. W liczbie mnogiej. Gęby do wykarmienia.

Dotarłem do końca Main Street i skręciłem w prawe ramię litery T. W świetle dziennym widać było prostą jak strzała szosę, z ciągnącymi się po obu bokach wąskimi poboczami i głębokimi rowami. Rowy kończyły się kawałek przed przejazdem kolejowym, droga lekko wznosiła się na nasyp, po czym wszystko wracało do stanu poprzedniego i nikała wśród drzew.

Przed przejazdem stał zwrócony do mnie przodem pojazd. Duży, płaskonosy pickup, ręcznie pomalowany na ciemno. W środku siedziało dwóch wlepiających we mnie wzrok facetów.

Owłosionych, wytatuowanych, kudłatych, niechlujnych.

Znajomi z wczorajszego wieczoru.

Na ich widok ani nie zwolniłem, ani nie przyspieszyłem. Zbliżałem się ku nim spokojnym, miarowym krokiem, podchodząc na tyle blisko, żeby przyjrzeć

się ich twarzom. I by oni mogli przyjrzeć się mojej.

Tym razem obaj wysiedli. Drzwi otworzyły się jak na dany znak, zeskoczyli na drogę, zrobili dwa kroki do przodu i ustawili się przed maską pickupa. Byli jednakowego wzrostu i jednakowej budowy, jak krewni. Mieli około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu i dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów wagi, długie żylaste ręce zakończone wielkimi dłońmi, a na nogach robocze gumiaki.

Podszedłem bliżej i zatrzymałem się dopiero trzy metry przed nimi. Z tej odległości czuć już było bijący od nich fetor. Piwsko, papierochy, brudne, przepocone ciuchy.

Stojący po prawej odezwał się pierwszy.

- Witamy znowu, żołnierzyku.

Niewątpliwie był osobnikiem alfa. To on siedział za kierownicą i on pierwszy się odzywał.

Może jego kompan był milczącym mózgowcem, ale na to nie wyglądało.

Nie zareagowałem.

- Gdzie leziesz? - spytał ten pierwszy.

Nie odpowiedziałem.

- Do Kelham. Znaczy się, gdzie indziej mógłbyś leżeć tą drogą? - Odwrócił się i wymownym gestem powiódł ręką po prostej pustej szosie na dowód, że w zasięgu wzroku nie ma innych punktów docelowych. Potem przeniósł wzrok na mnie i dodał: - Wczoraj powiedziałeś nam, że nie jesteś z Kelham. Okłamałeś nas.

- Mogę mieszkać w tym rejonie miasta - zauważyłem.

- Nie - zaprzeczył. - Jakbyś spróbował mieszkać w tym rejonie miasta, to już byśmy u ciebie byli.

- Po co?

- Żeby wyjaśnić ci parę spraw, na przykład to, że dla różnych ludzi są różne rejony. - Zrobił krok do przodu. To samo zrobił jego koleś. Fetor jeszcze się nasilił.

- Chłopaki, powinniście się wykąpać - powiedziałem. - Niekoniecznie razem.

- Co robiłeś dziś rano? - spytał ten z prawej.

- Wolisz nie wiedzieć.

- Wolę wiedzieć.

- Naprawdę nie.

- Już was tu nie chcemy. Żadnego z was.

- To wolny kraj - odparłem.

- Nie dla takich jak ty.

Nagle przerwał i wlepił wzrok w coś za moim ramieniem. Najstarsza sztuczka z podręcznika mydlenia oczu przeciwnikowi. Tyle że tym razem nie udawał. Nie odwróciłem głowy, ale usłyszałem za sobą zbliżający się samochód. Daleki szum kół na drodze. Jakiś duży pojazd na szerokich oponach. Nie radiowóz policyjny, bo we wzroku faceta nie było błysku rozpoznania. Nigdy wcześniej nie widział tego czegoś i nie rozumiał, po co się pojawiło.

W milczeniu odczekałem, aż pojazd nas minie. Zrobił to na pełnej szybkości. Duża czarna limuzyna. Przyciemnione szyby. Podskoczyła na przejeździe, przemknęła przez tor i aż przysiadła, zjeżdżając na płaską drogę. I popędziła dalej. Po chwili była już tylko niewyraźną plamką, która szybko zniknęła z oczu.

Jakiś wizytujący Kelham oficjel, ktoś ważny.

Albo mocno spanikowany.

- Powinieneś wracać na bazę - powiedział ten po prawej. - I tam zostać.

Nie odpowiedziałem.

- Ale wpierw masz nam powiedzieć, co robiłeś. I z kim się spotkałeś. Bo może trza pojechać sprawdzić, czy ten ktoś jeszcze żyje.

- Nie jestem z Kelham.

Facet zrobił następny krok i burknął:

- Kłamiesz.

Nabrałem powietrza, jakbym chciał coś powiedzieć, ale tylko walnąłem go głową prosto w twarz. Bez słowa ostrzeżenia. Wparłem stopy w podłogę, zgiąłem się w pasie i wyrzuciłem czołem w jego nos. Perfekcyjnie wymierzony cios pod względem timingu i siły uderzenia.

Wszystko w nim było takie, jak należy. Plus efekt zaskoczenia. Nikt nie spodziewa się uderzenia głową. Bo ludzie nie biją w nic głowami. Powstrzymuje ich od tego instynktowna chęć ochrony tej części ciała. Uderzenie bykiem nadaje walce charakter nieokiełznanej dzikości. Niesprowokowane uderzenie głową jest jak sięgnięcie po obrzynę podczas bójki na noże.

Facet osunął się na ziemię jak wyżęta szmata. Jego mózg wysłał do kolan sygnał, że już po sprawie, kolana się ugięły i gość runął do tyłu, tracąc przytomność, zanim jego ciało zderzyło się z ziemią. Widać to było po tym, jak jego głowa bezwładnie grzmotnęła w nawierzchnię szosy z głośnym pacnięciem. Niewykluczone, że coś mu przy tym pękło, uzupełniając szkody wyrządzone moim ciosem. Strumieniem pociekła krew z nosa, który od razu zaczął puchnąć.

Ciało ludzkie to urządzenie samonaprawcze, które niezwłocznie przystępuje do akcji.

Jego kompan nawet nie drgnął. Milczek albo osobnik beta. Stał bez ruchu, wlepiając we mnie spojrzenie. Zrobiłem długi krok w lewo i strzeliłem go takim samym bykiem. Podwójne zaskoczenie. Był na to kompletnie nieprzygotowany. Spodziewał się ciosu pięścią. Osunął się na ziemię jak tamten. Zostawiłem go na plecach, dwa metry od nieprzytomnego kompana.

Mógłbym podjechać ich gratem i zaoszczędzić sobie trochę czasu i wysiłku, ale nie mogłem się przemóc, by wsiąść do cuchnącej szoferki. Wolałem pójść pieszo. Dotarłem do toru, skręciłem w lewo i po podkładach skierowałem się na północ.

* * *

Zszedłem z toru odrobinę wcześniej niż wczoraj i ruszyłem po rozrzuconych

wzdłuż nasypu szczątkach. Mniejsze i lżejsze elementy samochodu leżały bliżej miejsca zderzenia. Zapewne z powodu mniejszego momentu bezwładności. Albo mniejszej energii kinetycznej. Albo większego oporu powietrza. Albo czegoś tam. W każdym razie najpierw natknąłem się na drobniejsze odłamki szkła i kawałki metalu. Wyrzucone w powietrze poszybowały i spadły bliżej niż cięższe fragmenty, które pęd rozrzucił dużo dalej.

Samochód musiał być dość stary. Uderzenie spowodowało rozłożenie go na fragmenty jak na rysunku montażowym. Widać było, że niektóre z nich nie stawiały większego oporu. Na ziemi leżały kawałki przerdzewiałej blachy z podwozia. Były spękane i pokryte łuszczącą się farbą i grubą warstwą błota. Stary samochód jeżdżący w zimnym klimacie, gdzie w zimie posypują drogi solą. Nie pochodził ze stanu Missisipi. Był pojazdem służącym swojemu właścicielowi to tu, to tam. Pół roku w jednym klimacie, pół roku w innym. Zmiany były dla niego czymś stałym i nieprzewidywalnym.

Jak to w wojsku.

Poszedłem dalej, odwróciłem się i spróbowałem wyrysować w myślach główny wektor.

Szcątki samochodu rozsypały się na wachlarzowatym kawałku terenu, stopniowo rozszerzającym się od toru w głąb lasu. Usiłowałem wyobrazić sobie tablicę rejestracyjną - niewielki kawałek lekkiego stopu, który oderwany od zderzaka szybuje, stopniowo wytraca pęd, kołysze się, może nawet obraca w powietrzu. Usiłowałem wyznaczyć w myślach tor lotu i odgadnąć miejsce upadku. Ale tablicy nigdzie nie było: ani w obrębie wachlarza, ani na jego obrzeżach, ani poza nimi. A potem przypomniałem sobie huraganowy podmuch towarzyszący przejazdowi pociągu i poszerzyłem pole poszukiwań. Wyobraziłem sobie tablicę rejestracyjną porwaną przez minitornado, która szybuje i wwierca się gwałtownie w powietrze. Pęd wynosi ją wysoko, może nawet zawraca.

W końcu ją znalazłem. Była wciąż jeszcze przymocowana do

chromowanego zderzaka, który widziałem poprzedniego wieczoru. Zderzak zgiął się na pół tuż przy krawędzi tablicy i przybrawszy kształt grota, zarył się czubkiem w poszycie, jak wyrzucona z impetem dzida.

Poruszyłem nim kilka razy, obluzowałem w miejscu wbicia w ziemię i wyciągnąłem. Tablica rejestracyjna wisiała na jednej czarnej śrubie.

Pochodziła ze stanu Oregon i za numerem widniał rysunek łososia. Pewnie w ramach jakiejś akcji obrońców przyrody, z cyklu „Chrońmy środowisko naturalne”. Rejestracja była ważna, naklejki z datami nadal aktualne.

Zapamiętałem numer i wcisnąłem zderzak z powrotem w poszycie, po czym poszedłem do miejsca, gdzie główny fragment wraku zostawił po sobie wypalone pogorzelisko.

W dziennym świetle musiałem przyznać rację Pellegrinowi. Samochód rzeczywiście kiedyś był niebieski. Szaroniebieski jak zimowe niebo. Może taki był od początku, może z upływem czasu trochę wyblakł. Ważne, że znalazłem wystarczająco duże fragmenty, by nie mieć wątpliwości. Wewnątrz wraku znajdował się nietknięty kawałek blachy, niegdyś obudowa schowka. Był też kawałek pomalowanej na niebiesko blachy pod stopioną plastikową osłoną wewnętrzną jednych drzwi. I niewiele więcej. Żadnych przedmiotów natury osobistej.

Żadnych skrawków papieru. Żadnych śmieci. Żadnych włosów ani włókienek. Żadnych sznurów, pasków czy noży.

Wytarłem ręce o spodnie i ruszyłem w drogę powrotną. Na drodze nie było już ani pickupa, ani jego pasażerów. Pomyślałem, że pewnie milczek ocknął się pierwszy. Osobnik beta. Poza tym słabiej mu przyłożyłem. Pewnie zawlókł kompana do samochodu, usiadł za kierownicę i wolno odjechał, cały rozdygotany. Nic mu nie będzie. Nic poważnego. W każdym razie nie został uszkodzony na stałe. To znaczy milczek. Bo tego drugiego trochę poboli głowa. Przez jakieś sześć miesięcy lub coś koło tego.

Stojąc tam, gdzie runęli na ziemię, dostrzegłem zbliżający się od zachodu

kolejny duży samochód. Znowu miejska limuzyna, nadjeżdżająca na pełnej szybkości, kołysząca się i podskakująca na nierównościach. Wywoskowana i lśniąca czystością czarna karoseria, przyciemnione szyby. Przemknęła obok niemal bezszelestnie, podskoczyła na przejeździe i pomknęła w stronę Kelham. Odwróciłem głowę, popatrzyłem za malejącą szybko sylwetką, po czym ruszyłem w dalszą drogę. Właściwie nie bardzo miałem dokąd iść, tyle że zaczynał mi doskwierać głód, skręciłem więc w Main Street i skierowałem się ku knajpie. Sala znowu była pusta, kręciła się po niej jedynie kelnerka, ta sama co zawsze. Na mój widok podeszła do pulpitu hostess i spytała:

- Pan się nazywa Jack Reacher?
- Tak, proszę pani.
- Godzinę temu szukała tu pana jakaś kobieta.

Kelnerka okazała się typowym naocznym świadkiem; zupełnie nie potrafiła opisać kobiety, która mnie poszukiwała. Wysoka, niska, gruba, chuda, stara, młoda - kelnerka nie umiała nic mi powiedzieć. Nie spytała jej o nazwisko. Nie potrafiła wyczuć jej statusu społecznego, profesji czy relacji ze mną. Nie widziała jej samochodu i nie miała pojęcia, skąd się tu w ogóle wzięła. Jedyne, co zapamiętała, to jej uśmiech i pytanie, czy w mieście pojawił się wysoki facet o potężnej posturze, który mówi, że nazywa się Jack Reacher.

Podziękowałem kelnerce za wiadomość, a ona posadziła mnie przy tym samym stoliku co zwykle. Zamówiłem kawałek placka z owocami i filiżankę kawy i poprosiłem o drobne na telefon. Kelnerka sięgnęła do kasy i za banknot pięciodolarowy wręczyła mi rulonik ćwierćdolarówek. Przyniosła też kawę i zapewniła, że placek będzie za chwilę. Przeszedłem przez pustą salę do automatu, rozerwałem paznokciem opakowanie monet i wybrałem numer

Garbera. Niemal natychmiast odebrał telefon.

- Wysłałeś tu agentkę? - spytałem.

- Nie. A co?

- Jakaś kobieta pytała o mnie po nazwisku.

- Kto taki?

- Nie wiem. Jeszcze mnie nie znalazła.

- Nikt ode mnie - zapewnił Garber.

- Widziałem też dwa auta jadące do Kelham. Limuzyny. Z Departamentu Obrony albo politycy.

- A jest jakaś różnica?

- Miałeś jakieś wiadomości z Kelham? - spytałem.

- Nic, co by interesowało Departament Obrony lub polityków. Słyszałem tylko, że Munro węszy w jakichś sprawach medycznych.

- Medycznych? Jakich?

- Tego nie wiem. A jest jakiś medyczny aspekt tej sprawy?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Pomijając sprawę otarć skóry na żwirze, o czym ci już wspominałem. Występują na ciele ofiary. Można sądzić, że na ciele sprawcy też coś jest.

- Tam wszyscy mają otarcia skóry. Podobno ćwiczą na jakimś zwariowanym torze. Biegają tak długo, aż padną.

- Nawet żołnierze kompanii Bravo bezpośrednio po powrocie z misji?

- Zwłaszcza żołnierze kompanii Bravo, i tuż po powrocie. Chodzi o ich poczucie własnej wartości. To twardzi faceci. W każdym razie za takich chcą uchodzić.

- Znalazłem tablicę rejestracyjną z tego rozbitego samochodu.

Jasnoniebieski, zarejestrowany w Oregonie. - Podałem numer i usłyszałem, że Garber go zapisuje.

- Zadzwoń za dziesięć minut - powiedział - i z nikim nie rozmawiaj. Z nikim, jasne?!

* * *

Zignorowałem zakaz i wdałem się w pogawędkę z kelnerką. Podziękowałem jej za placek i kawę, ale ona nie odeszła od razu i wyczułem, że coś ją trapi. Okazało się, że się martwi, iż mogła mi narobić kłopotu, przyznając tamtej kobiecie, że mnie tu widziała. Była gotowa posypać głowę popiołem. Wyglądało na to, że Carter Crossing jest jednym z tych miejsc, gdzie sprawy prywatne pozostają czysto prywatnymi, a niektórzy mieszkańcy wolą zachować całkowitą anonimowość.

Zapewniłem ją, że nie ma się czym martwić. Miałem już niemal pewność, kim jest owa tajemnicza kobieta, dokonując eliminacji. Bo któż inny miałby wystarczającą wiedzę i wyobraźnię, żeby mnie tu odnaleźć?

Placek był bardzo smaczny. Czarne jagody na kruchym cieście, posypane cukrem i polane śmietanką. Niezbyt zdrowe, ale pyszne. Zjedzenie całej porcji zajęło mi dziesięć minut.

Kawałek po kawałku. Dopilem resztkę kawy, wstałem od stolika i

poszedłem zadzwonić do

Garbera.

- Zidentyfikowaliśmy samochód - oznajmił.

- No i?

- No i co?

- Do kogo należał?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Naprawdę?

- Informacja ściśle tajna od pięciu minut.

- Do kogoś z kompanii Bravo, tak?

- Nie mogę ci powiedzieć - powtórzył Garber. - Nie potwierdzam i nie

zaprzeczam.

Zapisałeś gdzieś ten numer?

- Nie.

- Gdzie jest tablica rejestracyjna?

- Tam, gdzie ją znalazłem.

- Komu o tym mówiłeś?

- Nikomu.

- Jesteś pewny?

- Absolutnie.

- Dobra. Oto twoje rozkazy. Po pierwsze, nie podawaj, powtarzam, nie podawaj tego numeru miejscowym gliniarzom. W żadnym razie. Po drugie, natychmiast wróć do wraku i zniszcz tablicę. Natychmiast!

Wykonałem pierwszą część rozkazu Garbera i od razu nie pospieszyłem do biura szeryfa, by się podzielić wiadomością o tablicy. Nie wykonałem drugiej i nie pobiegłem do wraku.

Wróciłem do stolika, zamówiłem następną kawę i zacząłem rozmyślać. Nawet nie bardzo wiedziałem, co można zrobić, żeby zniszczyć tablicę rejestracyjną. Ogień zatrze nazwę stanu i naklejki z datami, ale nie usunie numeru, bo jest wytłoczony w blasze. Ostatecznie uznałem, że trzeba ją dwukrotnie złożyć na pół, sklepać na płasko i zakopać.

Jednak tego też nie zrobiłem. Zostałem przy stoliku, pijąc kolejne kawy. Doszedłem do wniosku, że jeśli posiedzę wystarczająco długo, tajemnicza kobieta w końcu mnie znajdzie.

Co się stało zaledwie pięć minut później.

* * *

Dojrzałem ją, zanim ona zobaczyła mnie. Patrzyłem przez okno na rozświetloną słońcem ulicę, ona zaglądała z ulicy do mrocznego wnętrza. Była pieszo. Miała na sobie czarne spodnie, czarne skórzane buty, czarny Tshirt i skórzaną kurtkę przypominającą kolorem i fakturą podniszczoną rękawicę do baseballu. W rękę trzymała walizeczkę z takiej samej skóry. Była szczupłą, zgrabną i gibką. Sprawiała wrażenie, że porusza się wolniej od otaczającego ją świata, co jest charakterystyczne dla ludzi silnych i sprawnych fizycznie.

Włosy nadal miała ciemne i krótko przycięte, twarz wciąż promieniała inteligencją, spojrzenie zachowało bystrość. Frances Neagley, starsza sierżant armii Stanów Zjednoczonych.

Wielokrotnie pracowaliśmy razem nad sprawami trudnymi i łatwymi, wymagającymi długich przygotowań i szybkich akcji. W 1997 roku należała do niewielkiej grupy ludzi, których byłem gotów zaliczyć do grona przyjaciół. Nie widzieliśmy się od ponad roku.

Weszła spytać kelnerkę o nowe wiadomości, dojrzała mnie przy stoliku i

natychmiast zareagowała. Nie okazała zaskoczenia. Może tylko satysfakcję, że jej wyliczenia się sprawdziły. Znała ten stan, to miasteczko, i wiedziała, że nie potrafię żyć bez kawy. Knajpa była miejscem, gdzie Frances spodziewała się mnie zastać.

Stopą odsunąłem krzeselko naprzeciwko mnie, naśladowując w tym Deveraux, która już dwukrotnie zaprosiła mnie tak do stolika. Neagley usiadła ze swobodą i gracją i postawiła walizczkę przy nogach. Żadnego powitania, uśmiechu, ściskania ręki, żadnego cmokania w policzek. Aby łatwiej porozumieć się z Neagley, należało przyjąć do wiadomości dwie rzeczy. Po pierwsze, nie znosiła kontaktu fizycznego z kimkolwiek i jeśli nawet w jej zachowaniu były pozory ciepła, nie wolno było jej dotykać. Po drugie, mimo wybitnych uzdolnień wojskowych nie zgodziła się być oficerem. Nikomu nie wyjawiała powodów tych dziwactw. Jedni uważali ją za bardzo przebiegłą, inni za szurniętą, wszyscy jednak zgadzali się co do jednego: z Neagley nigdy nic do końca nie wiadomo.

- Miasto duchów - mruknęła.

- Zamknęli bramy bazy - wyjaśniłem.

- Wiem. Jestem w kursie sprawy. Zamknięcie bram bazy było ich pierwszym błędem. To jak przyznanie się do winy.

- Teoria jest taka, że chodziło o niedopuszczenie do zadrażeń z mieszkańcami.

Neagley pokiwała głową.

- Zadrażnienia i tak mogą powstać. Widziałam ulicę na tyłach Main Street. Te wszystkie lokale wyszczerzone jak zęby drapieznika na bazę. Muszą mieć dość żyłowania ich na wszystkie strony i podśmiewania się za plecami.

- Widziałaś coś jeszcze?

- Wszystko. Jestem tu od dwóch godzin.

- A w ogóle, to co u ciebie?

- Nie ma czasu na towarzyskie pogawędki.

- Czego potrzebujesz?

- Niczego. To ty jesteś w potrzebie.
- A czego mnie potrzeba?
- Potrzeba ci cholernych poszlak, Reacher. To misja samobójcza. Dzwonił do mnie Stan Lowrey. Był bardzo przejęty. Trochę popytałam i przyznałam Lowreyowi rację.

Bezsensownie się w to wpakowałeś.

- Jestem w wojsku. Jadę tam, gdzie mi każą.
- Ja też jestem w wojsku, lecz unikam zakładania sobie pętli na szyję.
- Pętlą jest Kelham, i to Munro ryzykuje głowę. Ja trzymam się z boku.
- Nie znam Munro. Nigdy go nie spotkałam. Nawet o nim nie słyszałam. Ale stawiam dolce przeciw orzechom, że zrobi, co mu każą. Zamiecie wszystko pod dywan i przysięgnie, że czarne jest białe. A ty nie.

- Zginęła kobieta. Nie można tego zamieść.

- Zginęły trzy kobiety.

- Już o tym wiesz?

- Przecież ci mówiłam. Jestem tu od dwóch godzin.

- Skąd się dowiedziałaś?

- Od samej szeryf Deveraux.

- Kiedy?

- Zajrzała do siebie do biura, kiedy akurat tam byłam. Pytałam o ciebie.

- I wszystko ci od razu wyśpiewała?

- Posłałam jej spojrzenie.

- Jakie spojrzenie?

Neagley zamruwała, zebrała się w sobie, lekko opuściła głowę, uniosła wzrok i przewierciła mnie spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Było pełne powagi, szczerości, współczucia, zrozumienia i zachęty. Lekko rozwarła wargi, jakby chciała mruknąć z aprobatą, jednocześnie całą sobą wyrażając podziw i uznanie, że tak dzielnie znoszę liczne ciężary losu.

- Takie spojrzenie - wyjaśniła. - Dobrze działa na kobiety. Takie trochę

porozumiewawcze, nie? Jakbyśmy razem w tym tkwiły.

Pokiwałem głową. Spojrzenie rzeczywiście było wymowne, ale mimo to czułem zawód, że Deveraux dała się na nie nabrać. Cholerna żołnierka.

- Co jeszcze ci powiedziała? - spytałem.

- O rozbitym samochodzie. Uważa to za sprawę kluczową i jest przekonana, że auto należało do kogoś z Kelham.

- I ma rację. Właśnie odnalazłem tablicę rejestracyjną. Garber ją sprawdził i kazał mi ją zniszczyć.

- Zrobisz to?

- Jeszcze nie wiem. To może być wbrew prawu.

- No i sam widzisz. Popelnisz tu samobójstwo. Czułam to. Zostanę i dopilnuję, żebyś nie wplątał się w tarapaty. Po to przyjechałam.

- Nie masz innych obowiązków?

- Mam biurową pracę w Waszyngtonie. Przez dzień czy dwa obejdą się beze mnie.

Pokręciłem głową.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Wiem, co robię i co jest grane. Tanio się nie sprzedam. Nie chcę, żebyś ze mną utonęła, o ile do tego dojdzie.

- Nie musi do niczego dochodzić, Reacher. To twój wybór.

- Sama w to nie wierzysz.

Zrobiła kwaśną minę.

- Przynajmniej wybierz bitwy.

- Zawsze tak robię. Ta jest równie dobra, jak każda inna.

* * *

W tym momencie z kuchni wyłoniła się kelnerka. Zauważyła Neagley, poznała ją i stwierdziwszy, że nie tarzamy się po podłodze i nie wyłupujemy sobie oczu, poczuła wyraźną ulgę. Dołała mi kawy, Neagley zamówiła herbatę - mieszanekę śniadaniową Liptona, zaparzoną prawdziwym wrzątkiem.

Siedzieliśmy w milczeniu, czekając, aż kelnerka ją przyniesie. Gdy postawiła

filizankę i odeszła, Neagley stwierdziła:

- Szeryf Deveraux to wyjątkowo piękna kobieta.
- Też tak myślę.
- Już ją zaliczyłeś?
- Oczywiście, że nie.
- A zamierzasz?
- Mogę sobie pomarzyć. Nadzieja umiera ostatnia, nie?
- Nie rób tego. Z nią jest coś nie tak.
- Mianowicie?
- Jest zbyt obojętna. Ma na głowie trzy nierozwiązane zabójstwa, a tętno ma jak niedźwiedź w zimie.
- Służyła w żandarmerii marines. Całe życie babrała się w tym samym gnoju co my. Bardzo rajcuje cię myśl o trzech trupach?
- Profesjonalnie bardzo.
- Sądzi, że sprawcą jest ktoś z Kelham. A jeśli tak, to sprawa wykracza poza jej jurysdykcję i nie ma nic do powiedzenia. Dlatego profesjonalnie się nią nie podnieca.
- Wszystko jedno, coś jest z nią nie tak. Mówię ci. Uwierz mi.
- Nie przejmuj się.
- Wymieniłam twoje nazwisko, a ona spojrzała na mnie tak, jakbyś był jej winien kupę forsy.
- Nie jestem.
- Więc odbiło jej na twoim punkcie. To było widać.
- To samo mówisz o każdej poznanej przeze mnie kobiecie.
- Tym razem tak jest, naprawdę. Jej zimne serduszko waliło jak oszalałe. W każdym razie ostrzegam cię.
- W każdym razie dziękuję, choć w tej sprawie nie potrzebuję rad starszej siostry.
- A właśnie! Garber interesuje się twoim bratem.

- Moim bratem?

- Sierżancka poczta pantoflowa. Garber zarządził obserwację twojego biura, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości lub telefonów od twojego brata. Chce wiedzieć, czy utrzymujecie stały kontakt.

- Dlaczego go to interesuje?

- Forsa - powiedziała Neagley. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Brat nadal pracuje w Departamencie Skarbu, nie? Może chodzić o forszę dla Kosowa. Dla tamtejszych watażków i gangsterów. Może kompania Bravo im ją wozi. Wiesz, piorą ją. Albo kradną.

- Jaki miałyby to związek z Janice May Chapman z pipidówki w Missisipi?

- Może czegoś się dowiedziała. Może zażądała działki dla siebie. Może była narzeczoną kompanii Bravo.

Milczałem.

- Twoja ostatnia szansa - burknęła Neagley. - Mam zostać czy wyjechać?

- Jedź - odrzekłem. - To mój problem, nie twój. Żyj długo i szczęśliwie.

- Prezent pożegnalny. - Pochyliła się i wyjęła z walizeczki cienką zieloną kartonową teczkę.

Na wierzchu widniał nadruk: Biuro Szeryfa okręgu Carter. Położyła ją na stole i przykryła dłonią, gotowa przesunąć w moją stronę. - To cię zainteresuje.

- Co to jest? - spytałem.

- Fotografie trzech zabitych kobiet. Wszystkie trzy coś łączy.

- Deveraux ci to dała?

- Niezupełnie. Zostawiła bez opieki.

- Ukradłaś?

- Pożyczyłam. Możesz je zwrócić, jak z nimi skończysz. Na pewno znajdziesz sposób.

Przesunęła teczkę do mnie, wstała od stolika i odeszła. Bez podania ręki, bez pocałunku, bez fizycznego kontaktu. Patrzyłem, jak wychodzi, skręca w prawo w Main Street i znika z pola widzenia.

* * *

Kelnerka usłyszała zamykające się za Neagley drzwi. Może w kuchni odzywał się jakiś dzwonek ostrzegawczy. Wyrzała sprawdzić, czy przyszedł ktoś nowy, i stwierdziła, że zostałem sam. Zadowolila się ponownym dolaniem mi kawy i wróciła do kuchni. Ułożyłem zieloną teczkę przed sobą i otworzyłem.

Trzy kobiety. Trzy ofiary zabójstw. Trzy fotografie, wszystkie zrobione w ostatnich tygodniach lub miesiącach ich życia. Przerażliwie smutne. Policja zawsze prosi o najświeższe zdjęcie ofiary, a zrozpaczona rodzina przekopuje dom, żeby coś znaleźć. Zwykle wybierają uśmiechniętą i radosną podobiznę z wakacji lub równie pogodny studyjny portret, bo chcą ją taką zapamiętać. Chcą, żeby długa i smutna dokumentacja policyjnego dochodzenia zaczynała się od pełnego życia i energii wizerunku ofiary.

Zdjęcie Janice May Chapman było pełne jednego i drugiego. Fotografia była kolorowa i wyglądała na zrobioną na jakiejś imprezie towarzyskiej. Uchwycona od pasa w górę Chapman była na wpół zwrócona w stronę robiącego zdjęcie i patrzyła prosto w obiektyw mile zaskoczona. Migawka zwolniona w odpowiedniej chwili. Fotograf nie kazał Chapman długo pozować.

Pellegrino się mylił. Nazwał ją „naprawdę ładną”, ale to jakby powiedzieć, że Ameryka jest całkiem dużym krajem. Janice May Chapman była olśniewająco piękna. Włosy, oczy, twarz, uśmiech, ramiona, figura, wszystko doskonale. Los pod względem wyglądu niczego jej nie poskąpił.

Przełożyłem jej fotografię na spód i przyjrzałem się drugiej z ofiar. Poniosła śmierć w listopadzie 1996 roku, cztery miesiące temu. Datę śmierci zapisano na karteczce przyklejonej do dolnego rogu zdjęcia, seryjnego półoficjalnego portretu, jakie fotograf robi w college'u na rozpoczęcie roku akademickiego lub na pamiątkę z morskiej wycieczki statkiem. Posępna płachta w tle, taboret, dwa przysłonięte punktowce, trzy, dwa, jeden, pstryk, dziękuję. Kobieta na zdjęciu była czarna, miała dwadzieścia kilka lat i była w każdym calu równie urodziwa, jak Janice May Chapman. Może nawet piękniejsza. Miała idealnie gładką skórę

i uśmiech, od którego człowieka przechodziły ciarki, oraz oczy, o jakie toczą się wojny. Ciemne, łagodne, o promiennym spojrzeniu. Nie patrzyła w obiektyw, a wprost na mnie, jakby siedziała ze mną przy stoliku.

Trzecia z kobiet zginęła w czerwcu 1996 roku, dziewięć miesięcy temu. Również była czarnoskóra, młoda i również piękna. Wręcz olśniewająco piękna. Zdjęcie zostało wykonane na tle domu. Siedziała skąpana w blasku popołudniowego słońca, którego promienie odbijały się od białych desek ściany oraz od jej białej bluzki z trzema rozpiętymi górnymi guzikami.

Miała naturalnie skręcone krótkie włosy, łagodne spojrzenie, nieśmiały uśmiech, wspaniałe kości policzkowe. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Gdyby jakiś laborant w białym kitlu wprowadził do superkomputera IBM wszystko, co wiadomo o pięknie kobiecego ciała – od Kleopatry po dzień dzisiejszy - po czym procesory przez godzinę przetrawiałyby te wszystkie dane, końcowy wydruk pokrywałby się z tą fotografią.

Odsunąłem kubek z kawą i ułożyłem trzy fotografie obok siebie. Te kobiety coś łączy, powiedziała Neagley. Wszystkie były mniej więcej w tym samym wieku, w grę wchodziło najwyżej trzy lata różnicy. Tyle że Chapman była biała, pozostałe dwie ofiary czarne. Sądząc po ubiorze i biżuterii, Chapman sprawiała wrażenie osoby dość zamożnej, pierwsza z czarnoskórych kobiet wyglądała na dużo mniej zasobną, druga nie miała na szyi ani w uszach żadnych ozdób i była ubrana w skromną sukienkę wiejskiej dziewczyny, a plener, w którym ją sfotografowano, mógł wskazywać wręcz na ubóstwo.

Kobiety żyły blisko siebie w sensie geograficznym, ale dzieliła je społeczna przepaść. Mogły nigdy się nie spotkać i nie zamienić ze sobą ani słowa. Może nawet nigdy się nie widziały.

Nie łączyło ich absolutnie nic. Z wyjątkiem tego, że wszystkie trzy były olśniewająco piękne.

Włożyłem fotografie do teczki, którą wsunąłem pod koszulę za pasek spodni. Zapłaciłem rachunek, zostawiłem napiwek i wyszedłem na ulicę. Uznałem, że to właściwy moment na złożenie wizyty w biurze szeryfa. Czas przyjrzeć mu się z bliska. Czas na wstępny rekonesans. Na zamoczenie palca u nogi w wodzie i sprawdzenie temperatury. Nie ma mowy o demokracji, ale to w końcu publiczny budynek, a ja mam uzasadniony powód do odwiedzin: oddanie cudzej własności. Pomyślałem, że jeśli Deveraux nie będzie, zostawię teczkę w recepcji. A jeśli będzie, puszczę to na żywioł.

Była.

Stary caprice stał na parkingu, na miejscu najbliższej wejścia. Zapewne przywilej należny szefowej. Stosowany we wszystkich biurach na świecie. Pociągnąłem ciężkie oszklone drzwi i wszedłem do zapyziałego ze starości holu. Plastikowe płytki na podłodze, odrapane ściany, recepcja na wprost z siedzącym za nią starszym facetem. Brakowało mu włosów na głowie i wielu zębów w ustach, miał zapadnięte policzki i był w samej kamizelce bez marynarki, niczym staromodny żurnalista. Na mój widok od razu chwycił słuchawkę, wcisnął guzik i rzucił: „Już tu jest”. Przez chwilę słuchał odpowiedzi, po czym machnął słuchawką niczym pałką, naprężając przewód.

- W końcu korytarza po prawej - rzucił. - Oczekuje pana.

Poszedłem w głąb korytarza, dostrzegając po drodze przez niedomknięte drzwi przysadzistą kobietę przy centralce telefonicznej, i dotarłem do pokoju Deveraux. Drzwi były na oścież otwarte, z grzeczności raz zastukałem i wszedłem do środka.

Kwadratowy pokój był przestronny i nie odbiegał wystrojem od holu. Takie same płytki na podłodze, odrapane ściany i brud. Pokój był zagracony sprzętami kupionymi na wyprzedaży z okazji zakończenia poprzedniej ery geologicznej. Biurko, krzesła, szafki na dokumenty - wszystko bardzo zwyczajne i bardzo stare. Na ścianie wisiało kilka fotografii uśmiechniętego starszego faceta w

mundurze, zapewne ojca Deveraux i poprzedniego gospodarza biura.

W kącie stał drewniany wieszak z wiszącym na nim starym swetrem. Musiał tam wisieć bardzo długo, bo wyglądał na skruszały ze starości.

W sumie obskurne pomieszczenie.

Ale była w nim Deveraux. Miałem pod koszulą za paskiem fotografie trzech piękności, ale ta czwarta w niczym im nie ustępowała. I była w naturze.

Właściwie to chyba nawet przewyższała je urodą. Wyjątkowo piękna kobieta, powiedziała o niej Neagley, a ja się ucieszyłem, że moje subiektywne wrażenie znalazło potwierdzenie w opinii obiektywnego świadka. Siedząc w fotelu za biurkiem, wyglądała na dość niską i wątłą w ramionach, ale jednocześnie gibką i rozluźnioną. I jak zwykle patrzyła na mnie z uśmiechem.

- Udało ci się znaleźć tablicę rejestracyjną? - spytała bez żadnych wstępów.

Nie odpowiedziałem i na szczęście zaraz potem zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę, przez chwilę słuchała, po czym powiedziała:

- Dobra, ale to wciąż czynna napaść wbrew prawu. Miej to na oku. -

Odłożyła słuchawkę. - To Pellegrino - dodała tonem wyjaśnienia.

- Coś się dzieje?

- Dziś rano ktoś pobił dwóch facetów. Twierdzą, że to jakiś żołnierz z Kelham, a wojsko się upiera, że baza jest zamknięta. Nie bardzo to rozumiem. Lekarz ma z nimi pełne ręce roboty.

Mówi, że to wstrząśnienie mózgu. Moim budżetem również potrząśnie.

Nie zareagowałem.

- Ale po kolei - powiedziała Deveraux i znów się uśmiechnęła. - Opowiedz mi najpierw o swojej przyjaciółce.

- Mojej przyjaciółce?

- Poznałyśmy się. Frances Neagley. Domyślam się, że to twoja podwładna. Wojskowa w każdym calu.

- Kiedyś rzeczywiście dla mnie pracowała, ale z doskoku.

- Ciekawe, po co naprawdę tu przyjechała.

- Może ja ją poprosiłem.
 - Gdyby tak było, to wiedziałyby, gdzie i jak cię znaleźć. Bylibyście umówieni. Nie musiałyby cię szukać.
 - Pokiwałem głową.
 - Przyjechała, żeby mnie ostrzec. Najwyraźniej znalazłem się na straconej pozycji. Nazwała to misją samobójczą.
 - Ma rację. To inteligentna kobieta. Polubiłam ją. Umie robić sztuczki z twarzą. Obrzuca człowieka takim specjalnym spojrzeniem, koleżeńskim i budzącym zaufanie. Na pewno jest świetna w roli przesłuchującego. Przekazała ci fotografie?
 - Zabrała je za twoją wiedzą?
 - Miałam nadzieję, że to zrobi. Zostawiłam je na widoku i na moment wyszłam.
 - Dlaczego to zrobiłaś?
 - To trochę skomplikowane - powiedziała Deveraux. - Chciałam, żebyś je obejrzał bez świadków i pośpiechu. Taki kontrolowany eksperyment. Żadnej presji z mojej strony, a szczególnie żadnych podpowiedzi i uwag. Zależało mi na całkowicie naturalnym pierwszym wrażeniu.
 - Moim?
 - Tak.
 - To już mamy demokrację?
 - Jeszcze nie, ale, jak to mówią, w czasie sztormu każdy port jest dobry.
 - Niech ci będzie.
 - No więc jakie było twoje pierwsze wrażenie?
 - Wszystkie były zdumiewająco piękne.
 - Czy tylko to je łączy?
 - Chyba tak. Oczywiście poza tym, że są kobietami.
- Deveraux pokiwała głową.
- Tak, to prawda. Wszystkie były wyjątkowo urodziwe. Cieszę się, że słyszę

to od kogoś z zewnątrz. Trudno było mi to ubrać w słowa, nawet w myślach. A już na pewno nie wypowiedziałabym tego głośno. Takie zachwyty mogłyby zabrzmieć nieco dwuznacznie.

Nieco homoseksualnie.

- A to dla ciebie problem?

- Mieszkam w Missisipi. Służyłam w marines i jestem niezamężna.

- Rozumiem.

- I nie ma obok mnie żadnego mężczyzny.

- Rozumiem - powtórzyłam.

- Ale lesbą nie jestem.

- Jasne.

- Jak kobieta gliniarz zaczyna rozprawiać o wyglądzie ofiary będącej kobietą, nie wygląda to najlepiej.

- Jasne.

Pochyliłam się do przodu, wyciągnęłam zza paska teczkę ze zdjęciami i położyłam na biurku.

- Misja uwieńczona powodzeniem - powiedziałam. - A tak przy okazji, moje gratulacje.

Niewiele osób jest w stanie przechytryć Neagley.

- Trafił swój na swego - odrzekła z uśmiechem. Przysunęła teczkę ku sobie i przejechała po niej dłonią, po czym ułożyła dłoń na krawędzi i tam ją zostawiła. Może wyczuwała ciepło od moich pleców. - To jak, znalazłeś tę tablicę? - spytała.

Wlepiła we mnie wzrok, nie cofając ręki z teczki. Jej pytanie zawisło w powietrzu. „Znalazłeś tę tablicę?”. Nie zapomniałem o wypowiedzianych kategorięcznym tonem słowach Garbera:

„Nie podawaj, powtarzam, nie podawaj tego numeru miejscowym gliniarzom”.

Rozkaz mojego dowódcy.

Jak rozkaz, to rozkaz.

- No więc? - ponagliła Deveraux.

- Znalazłem.

- I skąd jest?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Jedno i drugie. Przekazałem tę wiadomość do dowództwa i po pięciu minutach sprawa została utajniona.

Deveraux milczała.

- A co ty zrobiłabyś na moim miejscu? - spytałem.

- Teraz?

- Nie, wtedy kiedy byłaś w marines.

- Jako marine zrobiłabym dokładnie to samo.

- Cieszę się, że to rozumiesz.

Skinęła głową. Wciąż ręką przytrzymała teczkę.

- Nie powiedziałam ci prawdy o domu mojego ojca. Nie zawsze był dzierzawiony. Kiedyś był jego własnością. Gdy mama zachorowała, okazało się, że nie są ubezpieczeni.

Ubezpieczenie miało być częścią pakietu socjalnego na stanowisku szeryfa, ale facet zajmujący się tym we władzach okręgu wpadł w tarapaty i zaczął podkradać pieniądze na składki ubezpieczeniowe. Powstała tylko dwuletnia przerwa w składkach, ale akurat wtedy mama zachorowała. A potem już się to

za nimi wlokło. Ojciec wystąpił o zrefinansowanie zadłużenia, sytuacja jeszcze się pogorszyła, tata przestał płacić i bank przejął tytuł własności domu, ale pozwolił mu dalej mieszkać jako najemcy. Podziwiałam obie strony. Bank zachował się przyzwoicie i zrobił, co mógł. Tata nie przestał służyć lokalnej społeczności, mimo iż społeczność się na niego wypięła. Dlatego doceniam takie wartości jak honor i poczucie obowiązku.

- Semper fi - stwierdziłem.

- Absolutnie. Zresztą i tak udzieliłeś mi wystarczającej odpowiedzi, czego zapewne nie zrobiłeś przypadkiem. Jeśli informacja została utajniona, to samochód musiał należeć do kogoś z Kelham. Nic więcej nie muszę wiedzieć.

- O ile istnieje jakiś związek między samochodem a zabójstwem - zauważyłem.

- Nie wygląda to na zbieg okoliczności.

- Przykro mi z powodu twojego ojca.

- Mnie też. Był przyzwoitym facetem i zasłużył na lepszy los.

- To ja pobitem tych dwóch cywilów.

- Naprawdę? - Deveraux wyglądała na zaskoczoną. - Jakim cudem się tam znalazłeś?

- Poszedłem na piechotę.

- To niemożliwe. Miałeś za mało czasu. To prawie dwadzieścia kilometrów. Aż za północną granicą Kelham. Właściwie już w Tennessee.

- Co tam się stało?

- Kręciło się dwóch facetów. Nie wiadomo, co tam robili, może tylko spacerowali. Widzieli las rosnący wzdłuż ogrodzenia Kelham, ale się do niego nie zbliżyli. Nagle wylazł ktoś z lasu i ich zaczepił. Od słowa do słowa doszło do bijatyki i obaj dostali po głowie. Twierdzą, że napastnik był żołnierzem.

- Był w mundurze?

- Nie, ale wyglądał na wojskowego. I miał automat M szesnaście.

- To dziwne.

- Wiem. Zupełnie tak, jakby wojsko tworzyło kordon sanitarny wokół bazy.
- Ale po co? Przecież i tak mają ponad czterysta hektarów tylko dla siebie.
- Nie wiem, po co. Ale cóż innego może to znaczyć? Pędzą wszystkich, którzy się zbliżą do ogrodzenia.

Nic nie powiedziałem.

- Zaraz - rzuciła Deveraux. - A właściwie kogo pobiliś?
- Dwóch nygusów w pickupie. Zaczepili mnie wczoraj wieczorem i ponownie dziś rano.

O jeden raz za dużo.

- Możesz ich opisać?

- Zarośnięci, niechlujni, kołtuny na głowach, tatuaże.

- W czarnym zdezelowanym pickupie, ręcznie malowanym?

- Tak.

- To McKinneyowie, kuzyni. W idealnym świecie ktoś powinien ich tłuc co najmniej raz w tygodniu, regularnie jak w zegarku. Dlatego dziękuję ci za pełne i szczere przyznanie się do winy, ale tym razem nie podejmę żadnych czynności prawnych.

- Tylko...?

- Tylko więcej tego nie rób i oglądaj się za siebie. Założę się, że właśnie skrzykują rodzinę, żeby się tobą zająć.

- Jest ich więcej?

- Kilkudziesięciu. Ale nie panikuj. Przynajmniej na razie. Trochę potrwa, nim wszyscy się skrzykną. Żaden nie ma telefonu. Pewnie nawet nie potrafią się nim posługiwać.

W tym momencie w budynku rozdzwonił się telefon. Rozległ się podniecony głos dyspozytorki, która coś wykrzykiwała. Dziesięć sekund później stanęła zdyszana w otwartych drzwiach pokoju Deveraux i oparła się rękami o framugę.

- Dzwoni Pellegrino. Jest blisko Clancy'ego, koło rozdwojonego dębu.

Mówi, że mamy następnego trupa.

25

Oboje z Deveraux machinalnie spojrzeliśmy na teczkę na jej biurku. Trzy fotografie. Wkrótce będą cztery. Jeszcze jedna smutna wizyta u pogrążonej w żałobie rodziny. Jeszcze jedna prośba o ostatnie zdjęcie ofiary. Najgorsza policyjna robota.

Deveraux przeniosła wzrok na mnie, wyraźnie się wahając.

- Jesteś mi to winna - burknąłem. - Muszę to zobaczyć. Chcę wiedzieć, dlaczego moja misja jest samobójcza.

Jeszcze przez moment się wahała, mruknęła „No dobra” i pobiegliśmy do radiowozu.

* * *

Gospodarstwo Clancy’ego mieściło się kilkanaście kilometrów na północny wschód od miasteczka. Przejechaliśmy trwającą w uśpieniu linię kolejową i przez niecałe dwa kilometry jechaliśmy w stronę Kelham, w głąb ukrywanej części Carter Crossing. Tej po niewłaściwej stronie toru. Tu droga była pozbawiona poboczy i przydrożnych rowów. Pomyślałem, że pewnie rowy uległy zamuleniu, a pobocza zostały zaorane. Płaskie jak stół uprawne pola sięgały do samej krawędzi drogi. W pewnym oddaleniu widać było zagrody z drewnianymi chałupami, niskimi stodołami, zapadniętymi oborami i szopami. Widziałem stare kobiety, siedzące na gankach, i obszarpane dzieciaki na rowerach. Obserwowałem wolno jadące stare ciężarówki i ludzi w słomkowych

kapeluszach, niosących koszyki na zakupy. Wszyscy byli czarni. Dla różnych ludzi są różne rejony, powiedział jeden z McKinneyów, na przykład zapadłe wiejskie tereny w stanie Missisipi w 1997 roku.

Deveraux skręciła w lewo w bity trakt i ludzkie siedziby zostały za nami. Dodała gazu i samochód posłusznie przyspieszył. Caprice nie przypadkiem jest ulubionym pojazdem gliniarzy. Umożliwia snucie rozważań „a gdyby tak”. A gdyby tak do przestronnego sedana wsadzić silnik od corvette? A gdyby tak nieco wzmocnić zawieszenie? A gdyby tak zamontować hamulce tarczowe na wszystkich czterech kołach? A gdyby tak podrasować silnik, żeby wyciągał ponad dwieście kilometrów na godzinę? Pojazd Deveraux był już mocno wysłużony, ale wciąż dzielnie parł do przodu. Opony dudniły na tarkowatej drodze, samochód podskakiwał i dygotał, ale szybko połykał kilometry, wioząc nas do celu.

Celem okazało się duże zapuszczone pole z chylącymi się do upadku budynkami pośrodku.

Skręciliśmy ku nim wąskim traktem z wyżłobionymi w trawie koleinami, który za zabudowaniami zmienił się w polną drogę. Deveraux z grzeczności raz zatrąbiła, z okna wysunęła się ręka i zachęcająco pomachała, po czym pojawiła się twarz starszego czarnoskórego mężczyzny. Samochód jechał pośród płaskiego pustkowia i tylko w oddali rysowała się sylwetka samotnego drzewa. Pień drzewa był w dwóch trzecich wysokości rozłupany od uderzenia pioruna i jego połówki, obsypane bladozielonymi wiosennymi listkami, odchyłały się od siebie w kształcie litery V. Zapewne rozdwojony dąb, wspomniany przez dyspozytorkę. Drzewo przetrwało uderzenie pioruna i nadal garnęło się do życia. Koło drzewa stał zaparkowany na polu radiowóz, zapewne należący do Pellegrina.

Deveraux stanęła obok i wysiedliśmy. Kawałek dalej stał Pellegrino z rękami założonymi do tyłu. Patrzył na nas bez słowa.

Jak strażnik na warcie.

Dziesięć metrów dalej na ziemi coś leżało.

* * *

Podeszliśmy do Pellegrina. Nad naszymi głowami leniwie krążyły trzy sępy, czekając, aż odejdziemy. Daleko po prawej ciągnęła się linia lasu, miejscami gęstego, gdzie indziej przerzedzonego, z prześwitującym przez zarośla siatkowym ogrodzeniem. Pewnie północnozachodnia granica Kelham. Lewe skrzydło terenu przejętego pięćdziesiąt lat temu przez Departament Obrony i fragment produktu firmy stawiającej płyty, której właściciel miał właściwe dojścia i został odpowiednio przepłacony.

Jeszcze przed zrównaniem się z Pellegrinem udało mi się dostrzec nieco więcej szczegółów leżącej za nim postaci. Ofiara była zwrócona do mnie plecami, miała na sobie krótką brązową kurtkę, najprawdopodobniej ciemne włosy i białą skórę. Nienaturalne rozluźnienie członków bez wątpliwości dowodziło, że ofiara nie żyje.

Deveraux nie zatrzymała się przy Pellegrinie, minęła go bez słowa, obeszła zwłoki szerokim łukiem i zaszła je od drugiej strony. Zatrzymałem się pięć metrów przed ciałem i odczekałem, aż pierwsza do niego podejdzie. Jej sprawa. Nie ma demokracji.

Zbliżyła się, stawiając nogi wolno i ostrożnie, żeby na coś nie nadepnąć. Ukucnęła przy ofierze na wyciągnięcie ręki i oparła splecione ręce na kolanach. Powiodła wzrokiem od prawej do lewej, od głowy przez ramiona i korpus aż po końce nóg. Potem zrobiła to samo od lewej ku prawej, oglądając ofiarę w odwrotnej kolejności.

A potem uniosła głowę i rzuciła:

- Co to ma być, do cholery?

Poszedłem śladem Deveraux i obszedłem ciało od drugiej strony. Kucnąłem, oparłem łokcie na kolanach i splotłem dłonie. Przejechałem wzrokiem od prawej do lewej i z powrotem.

Zwłoki należały do mężczyzny.

Białego.

Jakieś czterdzieści pięć lat, może trochę mniej, może trochę więcej. Niecały metr osiemdziesiąt, trochę ponad osiemdziesiąt kilogramów. Ciemne, lekko szpakowate włosy.

Dwu - lub trzydniowy zarost, lekko siwiejący. Zielona robocza koszula, brązowa płócienna wiatrówka, niebieskie džinsy. Brązowe buty do kostek, spękane i wyschnięte z tęsknoty za pastą, mocno ubłocone.

- Znasz go? - spytałem Deveraux.

- W życiu go nie widziałam - burknęła.

Mężczyzna wykrwawił się na śmierć. Dostał postrzał w prawe udo z broni o dużej prędkości wylotowej pocisku, bo spodnie były całe zalane krwią. Niemal na pewno pocisk rozerwał tętnicę udową, która jest naczyniem krwionośnym o dużej pojemności. Absolutnie niezbędnym do życia. O ile ranny nie uzyska fachowej i natychmiastowej pomocy, jej uszkodzenie w ciągu paru minut kończy się śmiercią.

Najbardziej zdumiewające było to, że ktoś próbował takiej pomocy udzielić, w dodatku szybko i fachowo. Nogawka džinsów była rozcięta nożem, rana częściowo zaopatrzona nasiąkliwym opatrunkiem.

Opatunkiem, jaki znajduje się w podręcznej apteczce polowej każdego żołnierza.

* * *

Deveraux podniosła się i nie odrywając wzroku od zwłok, cofnęła się na palcach o kilka metrów. Zrobiłem to samo i stanąłem obok niej. Nie spojrzała na mnie i, jakby głośniejsza rozmowa oznaczała brak szacunku w obliczu śmierci

lub denat mógł nas podsłuchać, niemal szeptem spytała:

- Co o tym sądzisz?

- Doszło do jakiejś awantury, padł strzał. Prawdopodobnie ostrzegawczy, który przypadkiem trafił. Strzelający chciał go odstraszyć, ale za blisko celował.

- A może odwrotnie? Może chciał go zabić, tylko chybił?

- Wtedy od razu ponowiłby próbę. Podeszedłby bliżej i wpakował facetowi kulkę w głowę.

Nie tylko tego nie zrobił, ale też starał się mu pomóc.

- I co dalej?

- Stwierdził, że sobie z tym nie poradzi, wpadł w panikę i uciekł. Zostawił rannego, żeby się wykrwawił na śmierć. Wiedział, że to nie potrwa długo.

- Strzelający był wojskowym.

- Niekoniecznie.

- A kto inny ma przy sobie polowe opatrunki?

- Każdy, kto zaopatruje się w sklepach z wojskowymi nadwyżkami.

Deveraux odwróciła się plecami do denata i wyciągnąwszy rękę ku linii lasu, zatoczyła nią krótki łuk.

- Co tam widzisz? - spytała.

- Ogrodzenie Kelham - odparłem.

- Mówię ci. Otaczają bazę kordonem sanitarnym.

* * *

Deveraux wróciła do samochodu, a ja, zostawszy na miejscu, wpatrzyłem się w ziemię. Była miękka i pulchna i widać było na niej mnóstwo śladów.

Widocznie denat krążył, przesuwał się na boki i nawet zawracał, jak w dawnym tańcu. Ślady urywały się w miejscu, gdzie leżało ciało. Z kolei koło ciała było wiele odcisków i okrągłych zagłębień, jakby ktoś się krzątał wokół leżącego i klękał. To zabójca próbujący tamować krew rannego. Ciągnęła się do nich długa prosta linia śladów, głównie odcisków przednich części stóp i niewielu pięt, w dość dużej odległości od siebie. Strzelający musiał biec w stronę swojej ofiary.

Zagłębienia wskazywały na kogoś rosłego, ale nie olbrzyma. Obok biegła taka sama linia śladów, tyle że w odwrotnym kierunku. Zostawił je zabójca uciekający po nieudanej próbie zatamowania krwi. Kształt odcisków nic mi nie mówił. Nie pasował do żadnych znanych mi wojskowych zelówek.

Deveraux wróciła z jednoobiektywową lustrzanką na ramieniu, którą zaczęła obfotografowywać miejsce przestępstwa. Ruszyłem śladem uciekającego zabójcy, aby jej w tym nie przeszkadzać. Szedłem, trzymając się metr w lewo od jego śladów, by po jakichś stu metrach dotrzeć do miejsca, gdzie ślad się gubił na kawałku zeschniętej na kamień ziemi.

Może to anomalia geologiczna, a może problem irygacyjny, pomyślałem. Może dotarłem do końca pola, które stary Clancy zwykł zaorywać. Nie sądziłem, by biegnący nagle zmienił kierunek, i poszedłem prosto w nadziei, że po drugiej stronie kawałka twardej ziemi znów natknę się na jego ślady. Tak się jednak nie stało. Pięćdziesiąt metrów dalej zaczynało się gęste poszycie, stopniowo przechodzące w coraz wyższe zarośla, które ciągnęły się aż po ogrodzenie bazy Kelham i ginęły w leśnym gąszczu. Nie znalazłem żadnych pogniecionych ani połamanych łodyg, ale rośliny były twarde i sprężyste i trudno było się spodziewać zagnieceń.

Zawróciłem, przeszedłem dwa kroki i jakieś cztery metry w prawo dostrzegłem coś błyszczącego metalicznie, złotawo. Zboczyłem, schyliłem się i ujrzałem leżącą na ziemi łuskę pocisku. Mosiężną, połyskliwą i zupełnie świeżą. Sądząc po wielkości, karabinową.

W najlepszym razie mogła być łuską amunicji do myśliwskiej fuzji Remington, kaliber.223.

W najgorszym reprezentować wojskową amunicję NATO 5,65 milimetra. Na pierwszy rzut oka trudno je rozróżnić. Łuska pocisku do remingtona jest zrobiona z cienkiej mosiężnej blachy. Amunicja natowska jest masywniejsza i cięższa.

Podniosłem łuskę i zważyłem na dłoni.

Byłem gotów postawić dolary przeciw orzechom, że była wojskowa.

* * *

Spojrzałem na rysujących się w oddali Deveraux, Pellegrina i denata. Znajdowali się jakieś sto czterdzieści metrów ode mnie. Dla karabinu to żadna odległość. Natowska amunicja kaliber 5,65 milimetra została zaprojektowana tak, by mogła przebijać skorupę hełmu z odległości sześciuset metrów. Tu odległość była cztery razy krótsza. Dziecinnie łatwy strzał.

Trudny do spudłowania, co stanowiło jedyną pocięchę. Komandosi wysyłani z Benning do Kelham na specjalistyczne szkolenia bojowe nie są z tych, którzy pudłują z tak bliskiej odległości. Jednak postrzał był bez wątpienia niezamierzony. Świadczyła o tym próba opatrzenia rany. To musiał być strzał ostrzegawczy, który się nie powiodł, albo strzał na postrach. Ci, których wysyłają z Benning do Kelham na szkolenie, dawno zdążyli się uporać z testosteronem i wiedzą, że strzały ostrzegawcze oddaje się z dala od wszelkich celów.

Podobnie strzały na postrach. Wystarczy, jeśli intruz dojrzy błysk i usłyszy huk wystrzału.

Niczego więcej nie potrzeba, a żołnierz z zasady nie robi więcej, niż trzeba. Dzieje się tak od czasu zbierania wojsk przez Aleksandra Wielkiego. Wykazywanie się własną inicjatywą w wojsku zwykle źle się kończy. Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z ostrą bronią.

I z cywilami.

Schowałem łuskę do kieszeni i wróciłem po swoich śladach. Po drodze niczego istotnego nie znalazłem. Deveraux wystrzelała całą rolkę filmu, wykręciła ją z aparatu i wysłała Pellegrina do apteki, żeby wywołali zdjęcia i zrobili odbitki. Kazała mu zamówić błyskawiczną usługę oraz powiadomić lekarza, żeby przyjechał z furgonem do wożenia nieboszczyków. Pellegrino odjechał i zostaliśmy z Deveraux sami na czterystuhektarowym pustkowiu, mając do towarzystwa tylko denata i samotne rozdarte drzewo.

- Ktoś słyszał strzał? - spytałem.

- Jedynym, który mógł go słyszeć, jest stary Clancy. Pellegrino już z nim rozmawiał i Clancy twierdzi, że niczego nie słyszał.

- A jakieś krzyki? Strzał ostrzegawczy powinny poprzedzać ostrzegawcze okrzyki.

- Jeśli nie słyszał strzału, to krzyków też by nie usłyszał.

- Pojedynczy wystrzał z natowskiej amunicji, oddany daleko i w plenerze, nie musi być zbyt głośny. Wrzaski mogły być głośniejsze. Zwłaszcza jeśli wrzeszczało na siebie dwóch facetów, a tak mogło być. Jeśli doszło do awantury, to mogli się wzajemnie przekrzykiwać.

- Czyli już się pogodziłeś z tym, że amunicja była natowska?

Sięgnąłem do kieszeni i położyłem łuskę na otwartej dłoni.

- Znalazłem ją jakieś sto czterdzieści metrów stąd, niecałe cztery metry w bok od linii śladów. Dokładnie tam, gdzie wyrzuciłby ją automat M szesnaście po strzale.

- Może też pochodzić od remingtona, kaliber dwieście dwadzieścia trzy - zauważyła, co uznałem za godny podziwu obiektywizm z jej strony. Wzięła łuskę z mojej dłoni i jej paznokcie lekko drapnęły mi skórę. Po raz pierwszy nasze ręce się zetknęły. Nasz pierwszy kontakt fizyczny. Wcześniej ani razu nie podaliśmy sobie rąk.

Zrobiła to co ja. Zważyła łuskę na dłoni. Niezbyt naukowa metoda, ale wieloletnie doświadczenie może być równie wiarygodne, jak badania laboratoryjne.

- Na sto procent natowska - orzekła pewnym głosem. - Wystarczająco dużo ich wystrzeliłam, a potem zbierałam z ziemi.

- I ja - potwierdziłem.

- Urządzą im piekło - mruknęła. - Wojsko przeciw cywilom na amerykańskiej ziemi? Dotrę do samego Pentagonu. A jak będzie trzeba, to i do Białego Domu.

- Nie rób tego.

- Bo co?

- Bo jesteś tylko prowincjonalnym szeryfem. Zgniotą cię jak pluskwę.

Nie odpowiedziała.

- Uwierz mi - ciągnąłem. - Jeśli posunęli się do tego, żeby użyć wojska przeciwko cywilom, to z łatwością poradzą sobie z lokalną przedstawicielką prawa.

Pół godziny później, o trzynastej, lekarz oficjalnie uznał mężczyznę za zmarłego. Pellegrino przyjechał radiowozem, Merriam furgonem do przewozu zwłok, który musiał pochodzić nie tyle z drugiej, co piątej ręki i raczej nadawał się do muzeum. Był to karawan z lat sześćdziesiątych, zbudowany na bazie chevroleta, a nie cadillaca, pozbawiony okien i wszelkich pogrzebowych ozdóbek. Zwykły blaszany van o obniżonej wysokości, w brudnobiałym kolorze.

Merriam stwierdził u ofiary brak tętna i pracy serca, pogrzebał w ranie i wygłosił werdykt:

- Wykrwawienie przez tętnicę udową w wyniku postrzału. - Co było dość oczywistą konkluzją, potem jednak dorzucił interesującą uwagę. Odchylił krawędź nogawki w miejscu przecięcia i powiedział: - Mokrego džinsu nie da się łatwo przeciąć. Ktoś użył bardzo ostrego noża.

* * *

Pomogłem Merriamowi ułożyć zwłoki na brezentowych noszach i umieścić w vanie, a on usiadł za kierownicą i odjechał. Deveraux konferowała z kimś przez samochodowy radiotelefon. Staliśmy z Pellegrinem, ale żaden nie miał ochoty nic mówić. W końcu Deveraux wysiadła z radiowozu i kazała zastępcy wracać do swoich zajęć. Pellegrino odjechał i zostaliśmy sami. Ciemniejsza plama u naszych stóp wskazywała miejsce, gdzie krew ofiary wsiąkała w ziemię.

- Butler twierdzi, że nikt dziś nie wyszedł główną bramą z Kelham - powiedziała Deveraux.

- Kto to jest Butler? - spytałem.

- Mój drugi zastępca. Kolega Pellegrina. Kazałam mu pilnować wjazdu na bazę i natychmiast poinformować o odwołaniu blokady. Kiedy to nastąpi, może dojść do różnego rodzaju incydentów. Mieszkańcy są bardzo poruszeni śmiercią Chapman.

- Ale poprzednimi dwoma morderstwami już nie?
- Zależy, z kim rozmawiasz i gdzie. Tyle że żołnierze nie kręcą się po tamtej stronie torów.

Wszystkie bary są po tej.

Milczałem.

- Czyli muszą być jeszcze jakieś inne wyjścia z bazy - ciągnęła Deveraux. - Albo dziury w ogrodzeniu. Ten płot ma z pięćdziesiąt kilometrów długości. I pięćdziesiąt lat, jest miejscami zniszczony. Nie ulega wątpliwości, że ktoś stamtąd wyszedł, a nie zrobił tego przez bramę.

- I wszedł z powrotem - dodałem - o ile się nie mylisz. Ktoś wrócił na teren bazy zakrwawiony po łokcie, mając przy sobie zakrwawiony nóż i karabin M szesnaście z co najmniej jednym brakującym nabojem w magazynku.

- Nie mylę się - burknęła.

- Nigdy nie słyszałem o tworzeniu kordonów sanitarnych wokół baz - zauważyłem. - W każdym razie nie na terenie Stanów Zjednoczonych. Nie wierzę w to.

- A ja tak.

W jej tonie było coś dziwnego. I w jej wyrazie twarzy.

- A co? - zaciekałem się. - Coś takiego zdarzyło się w marines?

- Nic wielkiego.

- Opowiedz mi.

- To tajne informacje.

- Gdzie to było?

- Nie mogę powiedzieć.

- A kiedy?

- Tego też nie mogę powiedzieć.

Chwilkę odczekałem i spytałem:

- Rozmawiałaś z Munro? Tym delegowanym na bazę?

- Tak, zadzwonił zaraz po przyjeździe i zostawił wiadomość. Kurtuazyjnie.

Podał numer, pod którym można go zastać.

- To dobrze - powiedziałem. - Bo teraz ja chcę z nim pogadać.

* * *

Wróciliśmy przez pole Clancy'ego, wyjechaliśmy z obejścia na wyboisty trakt i skręcili na zachód. Przejechaliśmy przez tereny zamieszkałe przez czarną ludność miasteczka. Znowu spoglądałem na stare kobiety siedzące na gankach i na dzieciaki jeżdżące rowerami, a także na mężczyzn w różnym wieku, którzy wolnym krokiem szli nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Domy były zapuszczone i lekko zapadnięte. Widać było rozpoczęte i porzucone budowy: fundamenty, które nie doczekały się postawienia ścian, sterczące wiązki zardzewiałych prętów zbrojeniowych, porośnięte chwastami sterty cegieł i piachu. Wokół ciągnęła się równina, na której rosły pojedyncze drzewa. Czuło się atmosferę odrętwienia i beznadziei, trwającą tu niezmiennie od stu lat.

- Moi ludzie, mój elektorat - powiedziała Deveraux. - Tu wszyscy na mnie głosowali. Mówię serio, blisko sto procent. Zawdzięczam to ojcu. Był wobec nich w porządku. Tak naprawdę głosowali na niego, nie na mnie.

- A co z białym elektoratem? - spytałem.

- Też blisko sto procent. Ale to się zmieni, i to w obu grupach, o ile nie dostarczę im odpowiedzi, na które czekają.

- Opowiedz mi o dwóch pierwszych ofiarach.

Deveraux gwałtownie zahamowała, odwróciła głowę do tyłu i cofnęła samochód o jakieś dwadzieścia metrów, po czym skręciła w ubitą ścieżkę, zadbaną i oczyszczoną z chwastów, którą właśnie minęliśmy. Środkiem biegła lekka wypukłość, po bokach ciągnęły się płytkie zagłębienia. Prowadziła prosto na południe, po jej obu stronach ciągnęły się rzędy chat, które mogły niegdyś służyć niewolnikom. Deveraux minęła około dziesięciu, przejechała obok zgliszcz spalonej chaty i wjechała na podwórze, które od razu rozpoznałem z trzeciej fotografii. Tu mieszkała najbiedniejsza z trzech młodych kobiet. Ta bez żadnych ozdób na szyi i w uszach. Zapierająca dech w piersiach czarnoskóra

piękność. Rozpoznałem drzewo, w którego cieniu siedziała, i białą ścianę, odbijającą promienie zachodzącego słońca, łagodnie rozświetlające jej twarz.

Deveraux zaparkowała na trawiastym podłożu i wysiedliśmy. Gdzieś zaszczekał pies, jego łańcuch zabrzączał. Przeszliśmy pod gałęziami rozłożystego drzewa i Deveraux zapukała do tylnych drzwi. Dom był mały, niewiele większy od domku kempingowego, ale czysty i zadbany. Białe deski ścian nie były nowe, ale najwyraźniej często malowane. Dołem ciągnął się brunatny pas - efekt ulewnych deszczów, które ochlapywały błotem ściany.

Drzwi otworzyła kobieta niewiele starsza od Deveraux i mnie. Była wysoka i chuda, ruchy miała powolne i ospałe od przebywania w ciągłej spiekocie. Emanowała stoickim pogodzeniem się z losem, zapewne typowym dla wszystkich tu. Uśmiechnęła się blado, podała Deveraux rękę i wygłosiła niewątpliwie stałą kwestię:

- Jakież wiadomości o moim dziecku?
- Wciąż nad tym pracujemy, ale w końcu do tego dojdziemy.

Pogrążona w smutku matka była widocznie zbyt dobrze wychowana, by to skomentować.

Znów blado się uśmiechnęła, potem przeniosła wzrok na mnie.

- My się chyba nie znamy - powiedziała.
- Jack Reacher, proszę pani - przedstawiłem się i wyciągnąłem rękę.
- Ja nazywam się Emmeline McClatchy. Miło mi pana poznać. Pracuje pan w biurze szeryfa?

- Przysłało mnie tu wojsko.
- Teraz im się zebrało, a dziewięć miesięcy temu jakoś nie.

Nie zareagowałem.

- Mam ciepły gulasz z jelenia i świeżo zaparzoną herbatę. Macie ochotę zjeść ze mną lunch?

- Emmeline, to na pewno twój główny posiłek na wieczór - powiedziała Deveraux. - Nie jesteśmy głodni, później zjemy coś w mieście. Ale dzięki.

Chyba kobieta oczekiwała takiej odpowiedzi, bo bez słowa uśmiechnęła się i wycofała do mrocznego wnętrza. Zawróciliśmy do samochodu, Deveraux wyjechała tyłem z obejścia i ruszyliśmy dalej polną dróżką. Stojąca kawałek dalej chata, nieodbiegająca wyglądem od pozostałych chat, miała w oknach neonowe reklamy piwa. Miejscowy bar. Może nawet z muzyką. Jechaliśmy płataniną drózek, mijając następną rozpoczętą i nieukończoną budowę.

Boki fundamentu z bloczków cementowych sięgały do kolan, w rogach wznosiły się cztery drewniane słupy konstrukcyjne. Materiały budowlane leżały byle jak rozrzucone: bloczki cementowe, cegły, piasek, worki z cementem, który od deszczu i rosy stwardniał na kamień.

Oraz sterta żwiru.

Odwróciłem głowę i przyjrzałem się jej uważnie. Ze dwa metry sześciennie drobnego ostrego żwiru, który miesza się z cementem dla uzyskania betonu. Żwir utworzył niski pagórek o wymiarach dwuosobowego łóżka i był porośnięty na krawędziach chwastami. Pośrodku widać było dołki i zagłębienia, jakby wygniecione dziecięcymi stopami.

Nie odezwałem się. Deveraux miała już swoją teorię. Bez słowa pojechała dalej i skręciła w lewo w nieco szerszą drogę, wzdłuż której ciągnęły się okazalsze domy na nieco większych działkach, ogrodzonych płotami z drewnianych sztachet. Do domów prowadziły zalane cementem dróżki, a nie ścieżki z ubitej ziemi. Deveraux zwolniła i zatrzymała się przed domem dwukrotnie większym od tego, który niedawno odwiedziliśmy. Całkiem przyzwoity parterowy dom. Gdyby stał w Kalifornii, byłby wart kupę forsy. Ale też był trochę zapuszczony. Farba łuszczyła się ze ścian, rynny były popękane. Niektóre płytki zsunęły się z wysmołowanego dachu i leżały na ziemi. Na podwórzu stał może szesnastoletni chłopak i w milczeniu się na nas gapił.

- Tu mieszkała ta druga - powiedziała Deveraux. - Shawna Lindsay. Chłopak to jej młodszy brat.

Młodszy brat nie należał do urodziwych. Widać na loterii genetycznej

wyciągnął nie ten los, co trzeba. Zupełnie nie przypominał starszej siostry. Wyglądał, jakby spadł z drzewa, obijając się po drodze o każdą gałąź. Głowa przywodziła na myśl kulę do kręgli, małe oczy jak otwory na palce były mniej więcej podobnie blisko rozmieszczone.

- Wchodzimy? - spytałem.

Deveraux pokręciła głową.

- Matka Shawny uprzedziła mnie, żebym się nie pokazywała dopóty, dopóki nie będę mogła powiedzieć, kto poderzwał gardło jej pierworodnej. Tak dokładnie powiedziała. Nie mam o to żalu. Utrata dziecka to koszmar. Zwłaszcza dla takich ludzi. Nie liczyli oczywiście, że ich córki wyrosną na supermodelki i pokupują im wille w Beverly Hills. Ale takie wyróżniające się dzieci znaczyły dla nich bardzo dużo w sytuacji, kiedy się nic nie ma.

Chłopak stał nieruchomo i przyglądał się nam niechętnym, ponurym wzrokiem.

- Wracajmy - powiedziałem. - Muszę zadzwonić.

Deveraux pozwoliła mi skorzystać z telefonu w biurze. Nie osiągnęliśmy jeszcze pełnej demokracji, ale wyraźnie zmiierzaliśmy w tym kierunku.

Odnalazła numer zostawiony przez Munro i sama pod niego zadzwoniła. Komuś, kto odebrał, oświadczyła, że dzwoni szeryf Deveraux do majora Duncana Munro, podała mi słuchawkę, wstała z fotela i wyszła z pokoju.

Usiadłem na jej miejscu, czując na plecach ciepło jej ciała. Czekałem ze słuchawką przy uchu. Cisza aż mi dzwoniła w uszach. W słuchawce nie było muzyki na czekanie.

W tamtych czasach wojsko nie znało jeszcze takich bajerów. Po chwili coś pstryknęło, zatrzeszczało, usłyszałem pyknięcie podnoszonej słuchawki i męski głos powiedział:

- Szeryf Deveraux? Tu major Munro. Witam panią.

Głos był twardy, suchy i bardzo pewny siebie, ale można się też było doszukać w nim nutki zadowolenia. Pomyślałem, że chyba każdy mężczyzna byłby uradowany telefonem od Elizabeth Deveraux.

- Munro? - powiedziałem.

- Przepraszam - odezwał się. - Spodziewałem się Elizabeth Deveraux.

- Niestety, to nie ona. Nazywam się Reacher i dzwonię z jej biura. Służę w Trzystu Dziewięćdziesiątym Szóstym, czasowo oddelegowany do Sto Dziesiątej Jednostki Specjalnej.

Jesteśmy równi stopniem.

- Jack Reacher? - W głosie majora słycać było zdziwienie. - Oczywiście, słyszałem o tobie.

W czym ci mogę pomóc?

- Garber cię uprzedził, że wysyła tajnego agenta?

- Nie, ale spodziewałem się, że to zrobi. I to ty nim jesteś, tak? Masz za zadanie węszyć wśród miejscowych, co ci chyba całkiem nieźle wychodzi, skoro dzwonisz z biura pani szeryf, i pewnie nie sprawia ci to specjalnej

przykrości. Podobno prawdziwa z niej piękność, chociaż mówią też, że to lesba. Masz w tej sprawie swoje zdanie?

- Nie twoja rzecz, Munro.

- Mów mi Duncan.

- Nie, dzięki. Zostanę przy Munro.

- Jasne. W czym mogę ci pomóc?

- Dzieją się tu straszne rzeczy. Dziś rano w pobliżu waszego ogrodzenia, w rejonie północnozachodnim, śmiertelnie postrzelono mężczyznę. Sprawca nieznany, ale na pewno strzelał z wojskowej broni i próbował zatamować krwotok, używając polowego opatrunku wojskowego.

- Jak to? Najpierw ktoś strzela, po czym udziela pierwszej pomocy? To mi wygląda na cywila.

- Liczyłem na to, że nie zachowasz się aż tak stereotypowo. Bo jak wyjaśnisz użycie wojskowego pocisku i wojskowego opatrunku?

- Mógł strzelać z remingtona kaliber dwa dwa trzy i kupić opatrunek w sklepie z wojskowymi nadwyżkami.

- Wcześniej dwóch gości zeznało, że pobił ich wojskowy.

- Na pewno nikt z Kelham.

- Doprawdy? Za ilu ludzi z Kelham jesteś w stanie ręczyć? O ilu możesz powiedzieć, że potrafisz dokładnie określić miejsce ich pobytu dziś rano?

- O wszystkich - odrzekł Munro.

- Dosłownie o wszystkich?

- Tak, dosłownie. Kompania Alpha od pięciu dni przebywa za granicą, reszta siedzi w kwaterach albo w mesie, albo w klubie oficerskim. Mamy tu sprawnie działający oddział żandarmerii, który ma oko na swoich. Gwarantuję, że dziś rano nikt nie opuścił bazy.

A właściwie od czasu mojego przyjazdu.

- Zwyczajnie tak postępujesz?

- To moja tajna broń: siedzieć cały dzień na dupie, żadnego czytania, żadnej

telewizji, niczego. Prędzej czy później z nudy ktoś puszcza farbę. Zawsze tak jest. Skończyłem z wykręcaniem rąk. Nauczyłem się, że czas jest moim sprzymierzeńcem.

- Powtórz to, bo to bardzo ważne. Jesteś absolutnie pewny, że dziś rano nikt nie opuścił terenu bazy? Albo wczoraj wieczorem? Nawet w ramach tajnych rozkazów miejscowego dowództwa lub dowództwa w Benning, lub Pentagonu? Pytam poważnie. I tylko nie próbuj ściemniać specowi od ściemniania.

- Jestem pewny - rzekł Munro. - Przysięgam na grób mojej matki. Znam się na swojej pracy, przynajmniej to mi przyznaj.

- W porządku - odparłem.

- Kim jest ten zabity?

- Na razie nie wiemy, ale prawie na pewno cywil.

- W pobliżu ogrodzenia?

- Podobnie jak ci pobici. Jakby przekroczyli kordon sanitarny.

- Nie bądź śmieszny. Niczego takiego nie ma, tego jestem pewny.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

- Czego jeszcze jesteś pewny? - spytałem.

- Nie mogę ci powiedzieć. W tej sprawie kazano mi trzymać gębę na dwie kłódki.

- Zagrajmy w Dwadzieścia Pytań.

- Nie zagramy.

- W skróconą wersję. Tylko trzy pytania. Odpowiedź „tak” lub „nie”.

- Nie pchaj mnie w szambo, dobrze?

- Obaj w nim tkwimy, nie widzisz tego? Mamy do czynienia z paskudną, śmierdzącą sprawą.

I to szambo albo jest po twojej stronie płotu, albo po mojej. Więc prędzej czy później jeden z nas będzie musiał pomóc drugiemu. Dlatego lepiej zacznijmy od razu.

Milczenie, a po chwili:

- Chryste, no dobra, trzy pytania.
 - Czy poinformowali cię o rozbitym samochodzie?
 - Tak.
 - Czy ktoś wspomniał o forsie z Kosowa jako możliwym motywie?
 - Tak.
 - Czy powiedzieli ci o dwóch innych zamordowanych kobietach?
 - Nie. Jakich dwóch innych?
 - Tutejszych. Dokładnie w taki sam sposób zamordowanych w ubiegłym roku. Poderżnięto im gardła.
 - Wiążą się z ostatnią ofiarą?
 - Prawdopodobnie.
 - Chryste. Nikt nawet nie pisał na ten temat.
 - Dysponujesz rejestrem ruchów kompanii Bravo? Za czerwiec i listopad ubiegłego roku?
 - To już czwarte pytanie.
 - Teraz już tylko gawędzimy. Dwóch równych stopniem oficerów wymienia poglądy, nic ponadto.
 - W tutejszej dokumentacji nie ma rejestru ruchów kompanii Bravo. Działają zgodnie ze specjalnymi protokołami operacyjnymi i cała dokumentacja znajduje się w Fort Bragg. Bez specjalnie uzasadnionego wniosku nie ma mowy o tym, żeby choć rzucić okiem na szafę pancerną, w której jest przechowywana.
 - Robisz jakieś postępy? - spytałem.
- Brak odpowiedzi.
- Zazwyczaj po jakim czasie działa twoja tajna broń?
 - Zwykle szybciej niż tu - odrzekł.
- Nie zareagowałem i na linii zapadła cisza. Jeśli nie liczyć stłumionych oddechów.
- Munro odezwał się pierwszy:
- Posłuchaj, Reacher, pewnie tracę tylko czas, mówiąc to, co zaraz powiem,

bo ty wiesz swoje i pomyślisz: a cóż innego może mówić? Obaj wiemy, że przysłali mnie po to, żebym krył czyjaś dupę. Tyle że ja nie jestem z tych. I nigdy nie byłem.

- No i?

- Z tego, co udało mi się dotąd ustalić, wynika, że żaden z tutejszych chłopaków nie zamordował żadnej kobiety. Ani w tym miesiącu, ani w listopadzie, ani w czerwcu. Na tę chwilę nic na to nie wskazuje.

Odłożyłem słuchawkę i Deveraux natychmiast wróciła. Być może obserwowała lampkę kontrolną na centralce, pomyślałem.

- I co? - spytała.

- Nie ustanowili kordonu sanitarnego. Od przyjazdu Munro nikt nie opuścił terenu bazy.

- Przecież musi tak mówić, nie?

- Niczego nie wykrył. Uważa, że sprawcą nie był nikt z Kelham.

- Jak wyżej.

Pokiwałem głową. Dym i lustrzane odbicia. Polityka i rzeczywisty świat. Pomieszanie z poplątaniem.

- Masz ochotę na lunch? - spytałem.

- Potem - odrzekła.

- To znaczy?

- Najpierw masz do rozwiązania problem. Na ulicy stoją McKinneyowie. Sprowadzili posiłki i czekają.

* * *

Deveraux poprowadziła mnie korytarzem do narożnego pokoju, którego okna wychodziły na dwie strony. Na Main Street nie było nikogo i nic się nie działo, ale od wjazdu do miasteczka widać było cztery postacie. Moich dwóch dobrych znajomych i dwóch niemal tak samo jak oni niechlujnych, kudłatych, owłosionych i wytatuowanych. Stali z rękami w kieszeniach przy końcu ulicy i leniwie przestępowali z nogi na nogę.

Ogarnęło mnie zdumienie zmieszane z podziwem. Uderzenie bykiem, szczególnie w moim wykonaniu, to nie byle jaki cios. To, że ktoś zaledwie parę godzin po takim ciosie jest w stanie chodzić i rozmawiać, robiło wrażenie. Moją drugą reakcją było wkurwienie. Na siebie samego za to, że potraktowałem ich zbyt łagodnie. Byłem nowy w mieście, i w związku z tym za ostrożny, zbyt grzeczny i bez potrzeby doszukujący się uzasadnienia w czysto zwierzęcej

agresji i głupocie.

Spojrzałem na Deveraux.

- Co chcesz, żebym zrobił? - spytałem.

- Przepróż ich i przekonaj, żeby sobie poszli.

- A jak nie?

- Możesz poczekać, aż się na ciebie rzucą. Wtedy będę mogła ich aresztować za niesprowokowany atak. I zrobię to z przyjemnością.

- W twojej obecności mnie nie zaatakują.

- Schowam się.

- Żadne z tych rozwiązań mi nie odpowiada.

- To albo to, Reacher. Wybieraj.

* * *

Wyszedłem na Main Street jak kowboj w starym westernie. Brakowało tylko odpowiedniej oprawy muzycznej. Skręciłem w prawo i stanąłem nieruchomo, twarzą na północ. Czterech obwiesiów dostrzegło mnie i widać było, że mój widok w pierwszej chwili ich zaskoczył, zaraz jednak zaskoczenie ustąpiło miejsca radosnemu oczekiwaniu. Ustawili się tyralierą przez całą szerokość drogi, w odstępach po około półtora metra. Wszyscy zrobili krok do przodu, zatrzymali się i czekali. Za zakrętem w kierunku na Kelham widać było zaparkowane dwa pickupy. Bliżej skrzyżowania stał ręcznie malowany, który wcześniej widziałem, za nim drugi o podobnym wyglądzie.

Ruszyłem przed siebie, jakbym był rybą wpływająca do saka. Słońce stało w najwyższym punkcie, na skórze czułem ciepły powiew, pod stopami twardą nawierzchnię drogi.

Wsadziłem ręce do kieszeni. Poza rulonikiem ćwierćdolarówek niczego w nich nie było, więc zacisnąłem na nim palce. Niecałe pięć dolarów w bilonie jako narzędzie bójki!

Zatrzymałem się trzy metry od zagrządzającej mi drogę tyraliery. Dwaj, których już poznałem, tworzyli jej lewe skrzydło. Milczek stał z brzegu, osobnik

alfa bliżej środka. Mieli nosy w kolorze zepsutych bakłażanów i podbite oczy, na wargach widać było ślady zaschniętej krwi. Wyglądali na niezbyt pewnie trzymających się na nogach i nieco rozkojarzonych. Na prawo od osobnika alfa stał najniższy z mężczyzn, a obok niego rosły drab w skórzanej kamizelce motocyklisty.

Wlepiłem wzrok w osobnika alfa.

- Tak wygląda twój plan? - parsknąłem.

Nadal milczał.

- Czterech kolesi? To wszystko?

Nie odpowiedział.

- Bo słyszałem, że jest was kilkudziesięciu.

Bez odpowiedzi.

- Pewnie mieliście trudności z logistyką i komunikacją, więc zadowoliliście się mniejszymi siłami. Łatwiejszymi do zebrania i szybszymi w działaniu. Co, nawiasem mówiąc, jest zgodne z obecnymi trendami w wojskowości.

Powinniście się zgłosić do Pentagonu i wziąć udział w paru seminariach.

Widać było, że jeden z nowych, ten w środku, jest podcięty. Kręciło mu się w głowie, był przesiąknięty alkoholem i nawet na odległość bił od niego smród. Piwo na śniadanie, pewnie ze szklaneczką czegoś mocniejszego. Sądząc po wyglądzie, stosował tę dietę od wielu lat.

Z tego wniosek, że będzie miał spowolnione reakcje i spróbuje walczyć jak bezmyślne zwierzę. Zatem nie stanowi większego problemu. Draba w motocyklowej kamizelce wyraźnie nękał ból pleców, umiejscowiony w dole kręgosłupa. Widać to było po jego postawie. Stał, wysuwając do przodu miednicę, aby sobie ulżyć. Jakieś naciągnięcie czy naderwanie mięśnia.

Przyczyn tego stanu mogło być wiele. Mieszkał na wsi, mógł więc sobie coś zrobić przy dźwiganiu lub upadku z konia. Zatem nie stanowi zagrożenia, bo pokona go jego własny ból.

Po gwałtownym ruchu poczuje rwący ból i odkuśtyka zgięty wpół. W tym

czasie jego zalany koleś już będzie leżał. Pozostali, ci, z którymi miałem już przyjemność, nie byli w najlepszej formie. Osobnik alfa był trochę w lewo ode mnie, a jestem praworęczny. Właściwie sam się o to prosił.

W sumie całkiem nieźle.

- Szkoda, że któryś z was nie jest trochę większy - rzuciłem. - A właściwie wszyscy.

Nie odpowiedzieli.

- Wiecie, co się mówiło w West Point o planach działania?

- Co?

- Każdy ma jakiś plan, póki nie dostanie po mordzie.

Milczeli. Nie poruszali się. Rozluźniłem palce zaciśnięte wokół rulonika ćwierćdolarówek.

Nie będą mi potrzebne. Wyjąłem ręce z kieszeni i powiedziałem:

- Problem z użyciem lekkich sił polega na tym, że jak coś pójdzie niedobrze, to od razu wszystko się sypie. Weźmy choćby Somalię. Trzeba bardzo rozważyć się na to decydować.

Stoicie na rozwidleniu dróg i musicie postanowić, w którą stronę się udać. Możecie ruszyć do przodu, tyle że następnym przystankiem będzie szpital. Solennie wam to obiecuję.

A właściwie gwarantuję. Dostaniecie takie lanie, jakiego żaden z was nigdy wcześniej nie dostał. Mówimy o łamaniu kości. Niestety, nie mogę wam obiecać uszkodzenia mózgu, bo już mnie ktoś w tym ubiegł.

Brak odpowiedzi.

- Albo możecie też zastosować taktyczne wycofanie się po to, by skrzyknąć większe siły.

Możecie wtedy wrócić za kilka dni. W kilkudziesięciu. Pożyczyć od dziadka fuzję na króliki.

I od razu zacząć zażywać środki przeciwbólowe.

Brak reakcji. W każdym razie w warstwie słownej. Bo ramiona lekko im

opadły, stopy niepewnie poszurały po drodze.

- Słuszna decyzja - pochwaliłem. - Zawsze lepiej mieć przeważające siły. Naprawdę powinniście się zgłosić do Pentagonu. Moglibyście ich przekonać do swojego rozumowania.

Na pewno by was wysłuchali, bo dają posłuch wszystkim poza nami.

- Jeszcze tu wrócimy - burknął osobnik alfa.

- Będę na was czekał, jak tylko zbierzecie się w sobie.

Odwrócili się i odeszli takim krokiem, jakby nic się nie stało. Z podniesionymi czołami, starając się zachować resztki godności. Wsiedli do swoich rzęchów, dali pokaz głośnego warczenia silnikami i piszczenia oponami w ciasnym nawrocie i odjechali na zachód w kierunku Memphis i reszty świata. Chwilę jeszcze postąłem, odprowadzając ich wzrokiem, po czym odwróciłem się i pomaszerowałem do biura szeryfa.

* * *

Deveraux obserwowała całą scenę z okna pogrążonego w mroku narożnego pokoju. Jakby oglądała niemy film. Obrazy bez dialogu.

- Przekonałeś ich do odejścia - powiedziała. - Przeprosiłeś, nie mogę w to uwierzyć.

- Niezupełnie. Chwilowo się ich pozbyłem. Mają wrócić w sile kilkudziesięciu.

- Po co to zrobiłeś?

- Będziesz mogła aresztować więcej drani. Przyda ci się to w kampanii o reelekcję.

- Zwariowałeś.

- Możemy teraz pójść na lunch?

- Jestem już umówiona.

- Od kiedy?

- Od pięciu minut. Zadzwoił major Duncan Munro i zaprosił mnie na lunch w klubie oficerskim w Kelham.

Deveraux pojechała radiowozem do Kelham, a ja zostałem na chodniku przed jej biurem.

Minąłem pustą działkę i wszedłem do knajpy na samotny lunch. Ponownie zamówiłem cheeseburgera, znów podszedłem do telefonu przy wejściu i zadzwoniłem do Pentagonu.

Wybrałem numer pułkownika Johna Frazera w Biurze Łączności z Senatem. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Co za geniusz zdecydował o utajnieniu numeru tablicy rejestracyjnej? - spytałem.

- Nie mogę powiedzieć.

- Ktokolwiek to zrobił, popełnił duży błąd. Jedynym efektem jest utwierdzenie miejscowych w przekonaniu, że samochód należał do kogoś z Kelham. Równie dobrze można to było ogłosić publicznie.

- Nie mieliśmy wyboru. Nie mogliśmy dopuścić, żeby ten numer trafił w niepowołane ręce.

Dostałby się do mediów pięć minut po udostępnieniu miejscowej policji. Nie mogliśmy się na to zgodzić.

- Z tego, co mówisz, wynika, że należał do kogoś z kompanii Bravo.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Uwierz mi, nie mieliśmy wyboru.

Konsekwencje mogły być katastrofalne.

W głosie Frazera usłyszałem nowy ton.

- Powiedz, że żartujesz. Bo teraz zabrzmiało to tak, jakby samochód należał osobiście do Reeda Riley'a.

Cisza w słuchawce.

- Należał?

Brak odpowiedzi.

- To był jego samochód?

- Nie potwierdzam i nie zaprzeczam - wreszcie odparł Frazer. - I więcej

mnie o to nie pytaj.

I nie wymieniaj tego nazwiska, o ile nie rozmawiamy na bezpiecznej linii.

- Czy właściciel samochodu udzielił zadowalających wyjaśnień?

- W tej sprawie nie mogę się wypowiadać.

- To wymyka się spod kontroli, Frazer. Musisz to jeszcze raz przemyśleć.

Próba ukrycia łąba przestępstwu jest czasem czymś gorszym od samego przestępstwa. Trzeba z tym skończyć.

- Odpowiedź brzmi: nie, Reacher. Plan został opracowany i będzie realizowany.

- Czy plan przewiduje objęcie całego Kelham kordonem sanitarnym? Na przykład przed reporterami?

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Dysponuję poszlakami. Śladami wojskowych butów na pasie ziemi wokół Kelham. Częścią poszlakowych dowodów są też znalezione tam zwłoki.

Powtarzam: sprawa wymyka się spod kontroli.

- Jakie zwłoki?

- Mężczyzny w średnim wieku.

- Reportera?

- Nie umiem rozpoznać reportera po wyglądzie. Może uczył tego w piechocie, ale nie w żandarmerii.

- Nie został zidentyfikowany?

- Jeszcze nawet nie zaczęliśmy. Na razie jest w rękach lekarza.

- Wokół Kelham nie wyznaczono kordonu sanitarnego. Byłoby to poważne odstępstwo od naszych zasad.

- I postępowanie niezgodne z prawem.

- Oczywiście, a w dodatku głupie. Niczego takiego nie ma i nigdy nie było.

- Chyba kiedyś zrobiono coś takiego w marines.

- Kiedy?

- W ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- No cóż, marines. U nich dzieją się różne rzeczy.
- Powinieneś to sprawdzić.
- Jak? Myślisz, że odnotowano to w oficjalnych raportach?
- Zrób to dyskretnie. Rozejrzyj się za oficerem, którego wsadzono bez podania przyczyn. Na przykład za jakimś pułkownikiem.

* * *

Wróciłem do stolika, zjadłem burgera, wypilem kawę i wyszedłem z zamiarem wykonania rozkazu Garbera: zniszczenia budzącej taką nerwowość tablicy rejestracyjnej. Skręciłem w prawo w drogę do Kelham, w lewo na tor i krocząc po podkładach kolejowych, minąłem starą wieżę ciśnień. Wykonana z czarnego impregnowanego gumą brezentu rura po latach pokryła się plamami i wystrzępiła. Lekko się kołysała w podmuchach południowego wietrzyku. Przeszedłem wzdłuż toru pięćdziesiąt metrów, po czym zszedłem z nasypu i skierowałem się tam, gdzie zostawiłem wbity w ziemię zderzak.

Zderzaka nie było.

Nie było go ani tu, ani w innym miejscu w obrębie wzroku. Ktoś go wykopał i zabrał, a pozostałą po nim dziurę w ziemi zasypano, ubito nogami i przyklepano szpadlami.

Ślady zelówek nie skojarzyły mi się z żadnymi butami widywanymi w wojsku, ale przyklepywanie mogło świadczyć o użyciu wojskowych saperek. Trudno było orzec. Nie mogłem tego ani wykluczyć, ani przyjąć za pewnik.

Na terenie zasłanym szczątkami samochodu wszędzie widać było ślady czyjejś bytności. Na blisko dwustu metrach poszycia leśnego wszystkie kawałki wygrzebano, obejrzano i oceniono. Wymagało to wzięcia do ręki i obejrzenia około tysiąca drobnych fragmentów.

Nie byle jakie zadanie. Bardzo pracochłonne. Wymagające czasu i cierpliwości. I co najmniej sześciu ludzi, może nawet ośmiu. Wyobraziłem sobie, jak posuwają się tyralierą pod okiem skrupulatnego dowódcy i dokładnie przeczesują teren.

Z wojskową precyzją.

* * *

Wróciłem tą samą drogą, dotarłem do przejazdu i ujrzałem samochód jadący od strony Kelham. Był jeszcze dość daleko i na prostym odcinku drogi stanowił tylko mały punkcik, ale sam samochód nie był mały. W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że to radiowóz Deveraux, która wraca z lunchu, ale okazało się, że nie. Samochód był duży, czarny i lśniący nowością. Kolejna miejska limuzyna. Jechała środkiem drogi, aby uniknąć spękań i nierówności przy krawężniach.

Zszedłem z przejazdu po stronie Kelham i ustawiłem się pośrodku szosy na lekko rozstawionych nogach, jednocześnie unosząc na boki ręce. Oczekałem, aż samochód znajdzie się sto metrów ode mnie, skrzyżowałem ręce nad głową i zacząłem nimi wymachiwać w powszechnym geście prośby o pomoc. Nie miałem wątpliwości, że kierowca się zatrzyma. Pamiętajcie, że był 1997 rok. Cztery i pół roku przed nowymi obostrzeniami.

Dawno, dawno temu. Świat był wtedy o wiele mniej podejrzliwy.

Limuzyna zwolniła i zatrzymała się tuż przede mną. Zrobiłem krok w prawo, ominąłem maskę i wolno podszedłem do okna kierowcy pod takim kątem, by móc zerknąć na siedzącego z tyłu. Założyłem, że siedzi po drugiej stronie pojazdu, by wygodnie wyciągnąć nogi za przesuniętym do przodu fotelem pasażera. Znałem panujące zwyczaje, bo zdarzało mi się jeździć taką limuzyną. Raz czy dwa.

Kierowca opuścił szybę, ja lekko się pochylilem i zajrzałem do środka. Kierowca był roslym facetem z potężnym brzuchem, który zmusza do szerokiego rozstawienia kolan. Na głowie miał czarny szoferski kaszkiet, był ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę z czarnym krawatem. Obrzucił mnie obojętnym wzrokiem.

- Możemy w czymś pomóc? - zapytał.

- Przepraszam, pomyliłem się, moja wina - odparłem. - Myślałem, że to ktoś

inny. Dziękuję, że pan się zatrzymał.

- Jasne. Nie ma sprawy. - Szyba w oknie podjechała, zrobiłem krok do tyłu i limuzyna ruszyła.

Z tyłu siedział mężczyzna starszy ode mnie, siwowłosy, ubrany w elegancki wełniany garnitur. Na siedzeniu obok niego leżała elegancka skórzana aktówka. Niewątpliwie ktoś ważny i zamożny.

Zapewne prawnik.

Stałem zwrócony twarzą na wschód, ku zamieszkaną przez czarnoskórych części miasteczka, ponieważ chciałem coś sprawdzić. Ruszyłem prosto przed siebie. Po szosie szło się wygodnie.

Domyśliłem się, że w czasach świetności kolei był to bity wiejski trakt, który później odpowiednio utwardzono. Przypuszczalnie w latach pięćdziesiątych i zapewne za pieniądze Departamentu Obrony. Podłoże wzmocniono, by mogły po nim jeździć transportery wojskowe z uzbrojeniem dla bazy, a drogę wyprofilowano. Gdy inżynier wojskowy widzi na mapie prostą kreskę, w terenie zmienia się ona w prostą jak strzała drogę. Chodziłem po wielu drogach zbudowanych za pieniądze Departamentu Obrony. Jest ich mnóstwo na całym świecie. Wszystkie powstały kilkadziesiąt lat temu, w trwającym latami okresie potęgi i zadufania armii, dla której nie było rzeczy niemożliwych. Ja też byłem wytworem tego okresu, ale sam w nim nie uczestniczyłem. Maszerowanie tą drogą wywołało nostalgię za czymś, czego nie doświadczyłem.

Zacząłem rozmyślać o Stanie Lowreyu, który w knajpie z hamburgerami zapowiadał czytanie ogłoszeń w sprawie pracy. Szykowały się zmiany, lecz nie byłem z tego powodu nieszczęśliwy. Marsz prostą drogą przez niskopienny las w dalekim zakątku stanu Missisipi jeszcze mnie w tym utwierdził. Słońce świeciło, było ciepło. Miałem za sobą kilometry takich dróg, kilometry przed sobą i mnóstwo czasu na zegarze życia. Nie rządziły mną wielkie ambicje i nie miałem wielkich potrzeb. Wiedziałem, że w każdych okolicznościach dam sobie radę. Co będzie, to będzie.

* * *

Skręciłem w prawo w miejscu, gdzie Deveraux zjechała z szosy, i ruszyłem obrzeżoną rowami i chatami niewolników polną drogą, ku gospodarstwu Emmeline McClatchy. Idąc, dostrzegłem to, czego nie widziałem z okna samochodu. Przede wszystkim rzucającą się w oczy wszechobecną, nękającą

biedę. Na sznurach suszyła się połatana odzież tak sprana, że niemal przezroczysta. Żadnych nowych samochodów. W niektórych zagrodach były kury, pojedyncze kozy i nieliczne świnię. Gospodarstw pilnowały wiejskie kundle na łańcuchach.

Wokół było widać naprawiane taśmą i drutem przewody elektryczne, rynny i rury do wody i ścieków. I zewsząd biła podejrzliwość wobec obcych. Po kątach kryły się bosc dzieciaki, które przyglądały mi się z palcami w buziach. Unikające mojego wzroku matki szybko je odwoływały do domów.

Minąłem gospodarstwo Emmeline McClatchy, ale jej nie dojrzałem. Minąłem chatę z reklamami piwa i podążyłem tą samą krętą drogą, którą przejechaliśmy z Deveraux.

Skręciłem w lewo, w prawo, znów w lewo i dotarłem do porzuconej budowy i rozgrzebanej pryzmy żwiru.

Planowany dom był niewielki, fundament ustawiono pod kątem do drogi, aby wykorzystywać najczęstsze w tym rejonie podmuchy wiatru i unikać frontального wystawienia na żar słoneczny latem. Fundament zbudowano z betonowych bloczków z odzysku oraz z cementu z dużą domieszką piachu, wyprowadzając przyłącza dla ścieków i wody pitnej. Postawiono też narożne słupki nośne, które zdążyły zwietrzeć i zaczynały się rozsypywać. Budowę przerwano, bo zapewne skończyły się pieniądze.

Prawdopodobnie żwir miał być przerobiony na beton. Może zamierzano wykonać podłogę parteru w postaci solidnej betonowej płyty, a nie konstrukcji z desek. Może takie rozwiązanie było korzystne z uwagi na termyty. Nie wiedziałem, ponieważ nigdy w życiu nie zbudowałem domu i nie zastanawiałem się nad związanymi z tym problemami.

Z biegiem czasu pryzma spłaszczyła się i rozeszła na boki. Krawędzie były porośnięte chwastami, pośrodku grubość warstwy sięgała kolan i rozmiarami przypominała królewskie łóżce. Zagłębienia i ślady na jej powierzchni wyglądały jak test Rorschacha, a mogły stanowić pozostałość po biegających, skaczących i

tarzających się po żwirze dzieciach. Można też było wyobrazić sobie, że zostawiła je rzucona na pryzmę, gwałcona kobieta, która broniąc się, rozpaczliwie wymachiwała rękami i nogami.

Ukląknęłam i przeciągnęłam opuszką palca po kamykach. Były zaskakująco mocno sprasowane i trudne do rozdzielania. Pod wpływem deszczu i rosy pokrywająca je warstwa pyłu nabrała kleistości i scalała je w zwartą masę. Wyrzebałam zagłębienie o szerokości i głębokości paru centymetrów i włożyłam odwróconą dłoń. Następnie silnie ją docisnąłam, chwilę przytrzymałam i po wyjęciu obejrzałam skórę. Była usiana białymi plamkami, ale nie było wgnieceń. Podwinąłam rękaw koszuli i powtórzyłam próbę z wewnętrzną stroną przedramienia, które włożyłam do wygrzebanego zagłębienia i z całej siły wcisnąłam drugą ręką w żwir. Kilkakrotnie unosiłam rękę, przesuwając na boki i ponownie wciskałam.

Wreszcie jej się przyjrzałam.

Wewnętrzna strona przedramienia pokryła się białymi plamkami, czerwonymi kropkami oraz warstwą pyłu, brudu i błota. Splunąłam na rękę, wytarłam ją o spodnie i ponownie spojrzałam. Trudno było zdecydować, czy oczyszczony z brudu kawałek ręki był podobny do pleców Janice May Chapman, czy nie. Jak w teście Rorschacha. Może tak, może nie.

Nasuwał się jednak pewien wniosek. Wytarłam rękę, jak mogłam, ale i tak została dość brudna. Pomyślałam, że choć nie jest do końca jasne, na której pryzmie żwiru zgwałcono

Chapman, jedno wiadomo: po gwałcie nie tylko się przebrała, ale także wzięła prysznic.

* * *

Poszedłem dalej i dotarłem do ulicy, przy której mieszkała Shawna Lindsay, czarnoskóra dziewczyna ze stosunkowo zamożniejszej rodziny. Brzydki szesnastolatek, jej młodszy brat, nadal sterczał na podwórku i beczynnie gapił się na ulicę. Zauważył mnie i obserwował.

Zszedłem na bok i zatrzymałem się tuż przed nim. Dzielił nas tylko niski płotek.

- Co słysząc, chłopcze? - spytałem.

- Mamy nie ma.

- Miło słyszeć. Ale nie o to pytałem.

- Życie jest do kitu - mruknął.

- A na końcu się umiera - dodałem i od razu pożałowałem tych słów, bo w jego rodzinie niedawno ktoś zmarł. Zachowałem się niedelikatnie, ale chyba nie zwrócił na to uwagi. - Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedziałem.

- A co? Stara się pan o odznakę szlachetności białasów? Potrzebny panu czarnuch do porozmawiania?

- Jestem w wojsku, a to znaczy, że połowa moich kumpli to czarni. Co ważniejsze, połowa moich zwierzchników też jest czarnoskóra. Rozmawiam z nimi, a oni rozmawiają ze mną, więc mi nie pieprz nic o getcie.

Na moment zapadło milczenie.

- W jakiej formacji pan służy? - spytał chłopak.

- W wojskowej policji.

- To ważna służba?

- Ważniejsza niż ważna - odparłem. - Pomyśl logicznie. Każdy żołnierz może ci nakopać, a ja mogę nakopać każdemu żołnierzowi.

- Naprawdę?

- Bardziej niż naprawdę. Naprawdę jest dla innych. Nie dla nas.

- O czym chciał pan porozmawiać? - spytał chłopak.

- O nosie.

- Jakim nosie?

- Tym, który mi mówi, że nikt z tobą nie rozmawiał o śmierci siostry.

Pochylił głowę.

- Zwykle w sprawach o zabójstwo rozmawiają z każdym, kto znał ofiarę.

Pytają o domysły i opinie. Chcą wiedzieć, co ofiara robiła, jak się zachowywała,

dokąd chodziła, z kim się spotykała. Czy ktoś rozmawiał z tobą o takich sprawach?

- Nikt ze mną nie rozmawiał.

- A powinni byli. Ja bym tak zrobił. Bracia często wiedzą różne rzeczy o siostrach, a zwłaszcza w waszym wieku. Założę się, że Shawna mówiła ci o sprawach, o których nie mogła powiedzieć matce. Założę się też, że o pewnych sprawach dowiedziałeś się bez jej wiedzy.

Chłopak przestąpił z nogi na nogę, na poły zawstydzony i dumny z siebie, jakby chciał powiedzieć: Może paru rzeczy się dowiedziałem. Jednak głośno mruknął tylko:

- Nikt nigdy ze mną nie rozmawia.

- Dlaczego?

- Bo jestem zdeformowany. Wszyscy myślą, że z głową też mam coś nie tak.

- Kto powiedział, że jesteś zdeformowany?

- Wszyscy tak mówią.

- Twoja mama też?

- Nie mówi, ale tak myśli.

- Nawet twoi przyjaciele?

- Nie mam przyjaciół. Kto chciałby się ze mną przyjaźnić?

- Wszyscy się mylą - powiedziałem. - Wcale nie jesteś zdeformowany.

Owszem, jesteś brzydki, ale nie zdeformowany. A to duża różnica.

Uśmiechnął się.

- Shawna też tak mówiła.

Wyobraziłem sobie ich dwoje razem. Piękna i bestia. Trudna sytuacja dla obojga: dla niego z racji ciągłych podświadomych porównań, dla niej, bo musiała wiecznie uważać, żeby go nie urazić słowami.

- Powinieneś się zgłosić do wojska. W porównaniu z połową moich kumpli byłbyś uważany za gwiazdora filmowego. Powinieneś zobaczyć kolesia, który mnie tu przysłał.

- Mam zamiar pójść do wojska - powiedział. - Już z kimś o tym rozmawiałem.

- Z kim rozmawiałeś?

- Z chłopakiem Shawny. On też był wojskowym.

Chłopak zaprosił mnie do środka. Z lodówki wyjął dzbanek z mrożoną herbatą. W domu było mroczno i pusto, powietrze pachniało stęchlizną, ale dom miał wiele pomieszczeń. Kuchnię ze stołem do jedzenia posiłków, pokój dzienny i chyba trzy sypialnie w głębi. Dość miejsca dla rodziców i dwójki dzieci. Tyle że nigdzie nie widziałem śladów obecności ojca, a Shawna już nigdy tu nie wróci.

Chłopak powiedział, że ma na imię Bruce. Nalał nam po szklance mrożonej herbaty i usiedliśmy przy kuchennym stole. Na ścianie obok lodówki wisiał stary aparat telefoniczny z jasnożółtego plastiku, sznur od słuchawki był rozciągnięty na dobre cztery metry. Na blacie stał stary telewizor, mały, ale kolorowy, z obudową zdobioną chromowanymi wstawkami.

Praktycznie antyk. Przypuszczalnie wygrzebany z czyichś śmieci i wypucowany jak stary cadillac.

Z bliska chłopak nie wyglądał lepiej. Najgorsza była głowa, bo reszta prezentowała się całkiem znośnie. Ciało miał dobrze umięśnione i pozbawione tłuszczu, klatka piersiowa i ramiona były dobrze rozwinięte, mięśnie rąk - okazałe. Sprawiał wrażenie cierpliwego i pogodnego. W sumie właściwie mi się spodobał.

- Myśli pan, że przyjmą mnie do wojska? - zapytał.

- Jacy oni?

- Ci w wojsku. Przyjmą mnie?

- Miałeś zatargi z prawem? Jesteś notowany?

- Nie, proszę pana.

- To oczywiście, że cię przyjmą. Przyjęliby cię dzisiaj, gdybyś tylko miał tyle lat, ile trzeba.

- Inni żołnierze śmialiby się ze mnie.

- Pewnie tak, ale nie z tego, o czym myślisz. Żołnierze tacy nie są. Znaleźliby sobie inny powód. Coś, na co byś nawet nie wpadł.

- Mógłbym cały czas chodzić w hełmie.
- Pod warunkiem że znaleźliby odpowiednio duży.
- I gogle noktowizyjne.
- I może jeszcze kaptur saperski do rozbierania bomb - dodałem.

Pomyślałem, że saperzy mają przed sobą przyszłość przy tylu małych wojenkach i pułapkach minowych. Ale głośno tego nie powiedziałem. To nie jest odpowiednia zachęta dla potencjalnego rekruta.

Upiłem łyk herbaty.

- Ogląda pan telewizję? - spytał chłopak.
- Rzadko. Czemu pytasz?
- Nadają takie filmy reklamowe i muszą zmieścić godzinną opowieść w czterdziestu paru minutach, więc od razu przechodzą do rzeczy.
- Sądysz, że ja też powinienem to zrobić.
- Tak sądzę.
- Zatem jak myślisz: kto zabił twoją siostrę?

Chłopak łyknął herbaty, zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął wyrzucać z siebie to wszystko, co się w nim przez ten czas zebrało, a o co nikt go nie spytał. Opowieść toczyła się wartko i spójnie. Wszystko dobrze obmyślił.

- No cóż - powiedział. - Poderżnięto jej gardło, więc chyba trzeba zacząć od tego, kogo uczą takich rzeczy albo kto ma w takich rzeczach doświadczenie, albo jedno i drugie.

„Takie rzeczy”. Poderżnięcie gardła jego siostry.

- I co ci wychodzi z rachunku? - spytałem.

- Wojskowi, zwłaszcza tu, i byli wojskowi, zwłaszcza tu. W Fort Kelham szkolą specjalne siły operacyjne. Na pewno ich tego uczą. I jeszcze myśliwi. Czyli większość mieszkańców, łącznie ze mną.

- Z tobą? Jesteś myśliwym?
- Nie, ale jeść trzeba. Ludzie hodują świnie.
- I co z tego?

- Myśli pan, że świnie same się zabijają? Podrzynamy im gardła.
 - Ty też to robiłeś?
 - Dziesiątki razy. Czasem dostaję za to parę groszy.
 - Kiedy i gdzie po raz ostatni widziałeś Shawnę żywą? - spytałem.
 - W dniu, w którym ją zabili. To był piątek po południu, listopad. Wyszła z domu koło siódmej. W każdym razie było już ciemno. Była nieźle odpicowana.
 - Dokąd się wybierała?
 - Za tor. Pewnie do baru Brannanów. Zwykle tam chodziła.
 - Bar Brannanów jest najbardziej popularny?
 - Wszystkie są popularne, ale u Brannanów wszyscy zwykle zaczynają i kończą wieczór.
 - Z kim wtedy poszła?
 - Z domu wyszła sama. Pewnie była umówiona w barze ze swoim chłopakiem.
 - I dotarła tam?
 - Nie. Znaleźli ją dwie ulice stąd. Na budowie domu.
 - Tam gdzie leży taka kupa żwiru?
- Chłopiec pokiwał głową.
- Właśnie na nią ją rzucili.

* * *

Wstaliśmy i przez chwilę kręciliśmy się po kuchni. Potem dolaliśmy sobie herbaty i znów usiedliśmy przy stole.

- Powiedz mi coś więcej o ostatnim chłopaku Shawny.
- Był pierwszym białym, z którym się umawiała.
- Była w nim zadurzona?
- Zakochana.
- Jak im się układało?
- Nieźle.
- Żadnych problemów?

- Żadnych nie zauważyłem.
- Myślisz, że to on ją zabił?
- Możliwe.
- Czemu tak mówisz?
- Bo nie można tego wykluczyć.
- A tak na wyczucie?
- Chciałbym powiedzieć, że nie, ale przecież ktoś ją zamordował. Więc to mógł być on.
- Jak się nazywał?
- Reed. Shawna tak go nazywała. Reed to, Reed tamto. Tylko Reed, Reed, Reed.
- A na nazwisko?
- Nie wiem.
- Wojskowi noszą plakietki z nazwiskiem, przypięte do munduru nad prawą kieszenią na piersi.
- Nigdy nie widziałem go w mundurze. Na wyjście do miasta wojskowi wkładają dzinsy i T-shirty. Czasem marynarki.
- Oficer czy szeregowy?
- Nie wiem.
- Mówiłeś, że z nim rozmawiałeś. Nic ci nie mówił?
- Chłopak potrząsnął głową.
- Powiedział tylko, że ma na imię Reed. Nic więcej.
- Twoim zdaniem był palantem?
- Trochę.
- Wyglądało, że ciężko pracuje na kawałek chleba?
- Nie bardzo. Nie podchodził do życia za poważnie.
- Czyli raczej oficer. A co ci powiedział o wstąpieniu do wojska?
- Że służba dla kraju to szlachetna powinność.
- Na pewno oficer.

- Powiedział, że w wojsku mogę się wyuczyć zawodu, zostać specjalistą.
- Znam lepsze sposoby.
- Powiedział, że wyjaśni mi to wszystko w biurze rekrutacyjnym.

Powiedział też, że w Memphis jest dobre biuro.

- Nie wybieraj się tam. To zbyt niebezpieczne. Ludzie w rekrutacji pracują dla wszystkich czterech formacji. Marines mogą cię dopaść pierwsi, a to gorsze niż śmierć.

- To gdzie mam pójść?

- Prosto do Kelham. W każdej jednostce istnieje punkt rekrutacyjny.

- I to się uda?

- Jasne, że tak. Jak tylko będziesz mógł się wykazać papierkiem, że skończyłeś osiemnaście lat, od razu cię capną i nie wypuszczą.

- Mówią, że w wojsku będą redukcje.

- Dzięki, kolego, że mi to uświadomiłeś.

- To po co by mnie mieli przyjąć?

- W wojsku nadal będą służyć setki tysięcy ludzi. Co roku odchodzą dziesiątki tysięcy i trzeba je uzupełniać nowymi. Zawsze będą przyjmować.

- A co złego jest w marines?

- Nic specjalnego. Tradycyjna rywalizacja między formacjami. Oni nadają na nas, my na nich.

- Prowadzą operacje morskodesantowe.

- Historia uczy, że siły lądowe wykonały dużo więcej takich operacji.

- Szeryf Deveraux była w marines.

- I wciąż jest. Kto raz służył w marines, nigdy nie przestaje, nawet po przejściu do cywila. To jedno z ich skrzywień.

- Podoba się panu - stwierdził chłopak. - Zauważyłem to. Widziałem pana w jej samochodzie.

- Jest w porządku. - Kiwnąłem głową. - A Reed miał samochód?

- Oni wszyscy mają samochody. Jak pójdę do wojska, też sobie kupię.

- I co to było?

- Dwudrzwiowy chevrolet belair z twardym dachem z pięćdziesiątego siódmego. Nic specjalnego, mocno przechodzony.

- W jakim kolorze?

- Niebieskim - powiedział chłopak.

Chłopak zaprowadził mnie do pokoju siostry. Okazał się wysprzątnany i czysty. Nie zamieniono go w świątynię ku jej pamięci, ale też nie pozbyto się wspomnień. Na wierzchu zasłanego łóżka leżały równo ułożone ubrania Shawny. Widać nie podjęto jeszcze decyzji, co z nimi zrobić.

Na podstawie wyglądu pokoju trudno było orzec o charakterze Shawny Lindsay. Była dorosłą kobietą i dlatego w pokoju nie było plakatów, dziewczęcych drobiazgów, pamiętnika.

Żadnych drobiazgów. Za życia była właścicielką garstki ciuchów, kilku par butów i dwóch książek: broszurki na temat zawodu notariusza oraz nieaktualnego przewodnika po Los Angeles.

- Chciała się dostać do filmu? - spytałem.
- Nie, ale chciała dużo podróżować.
- Szczególnie do LA?
- Wszędzie.
- Pracowała gdzieś?
- Na pół etatu w kantorze pożyczkowym, obok baru Brannanów. Była dobra w rachunkach.
- A co ci powiedziała, czego nie chciała mówić mamie?
- Nienawidziła tego miejsca, chciała stąd uciec.
- Mama nie chciała o tym słyszeć?
- Bała się o Shawnę. Mama wszystkiego się boi.
- Gdzie mama pracuje?
- Sprząta w barach w mieście.
- Co jeszcze wiesz o Shawnie?

Chłopiec zaczął coś mówić, ale przerwał w pół słowa. Wzruszył ramionami i niczego więcej nie powiedział. Przeszedł na środek pokoju i głęboko westchnął. Czuję, że rzadko zagląda do pokoju siostry. Pewnie nie bywał tu często za jej życia i nie wchodzi po jej śmierci.

- Wiem tylko, że bardzo mi jej brakuje - bąknął.

* * *

Wróciliśmy do kuchni.

- Myślisz, że mama miałaby coś przeciwko temu, gdybym skorzystał z telefonu i zapłacił za rozmowę? - spytałem.

- Chce pan zadzwonić? - Powiedział to tak, jakby to było coś niezwykłego.

- Dwa razy. Raz, bo muszę, drugi, bo chcę.

- Nie wiem, ile to kosztuje.

- Z automatu ćwierć dolara. Powiedzmy, że zapłacę po dolarze za każdą rozmowę.

- To za dużo.

- Ale to rozmowy zamiejscowe.

- Jak pan chce. Wyjdę na podwórze.

Chwilę potem ujrzałem go przez okno. Stał na swym zwykłym miejscu przy płocie i zaczął się gapić na pustą ulicę. Jakby pełnił stałą wartę. Wetknąłem banknot dolarowy za plastikową obudowę telefonu, zdjąłem słuchawkę i zadzwoniłem tam, gdzie musiałem, do Stana

Lowreya. Przebrnąłem przez jego sierżanta i chwilę później w słuchawce zabrzmiał głos Stana.

- Co za niespodzianka - rzuciłem. - Wciąż tam jesteś, ciągle masz pracę.

- Coś mi się widzi, że jesteś bardziej zagrożony ode mnie. Dostałem raport od Frances Neagley.

- Za bardzo się przejmuje.

- A ty za mało.

- Czy Karla Dixon wciąż zajmuje się finansami?

- Mogę sprawdzić.

- Spytaj ją, czy mam się zajmować forszą płynącą z Kosowa. Na przykład tamtejszymi gangsterami, którzy za naszym pośrednictwem piorą wielką kasę. Tego typu rzeczy.

- Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie. Kosowo to Bałkany, nie? Tam ludzie zaliczają się do średniozamożnych, jak posiadają kozę, a bogatych, jak mają dwie. To nie Ameryka.

Spojrzałem w okno.

- Pewne rejony Ameryki aż tak bardzo się nie różnią od Bałkanów - mruknąłem.

- Żałuję, że nie zająłem się finansami - powiedział Lowrey. - Może bym się czegoś nauczył, na przykład jak oszczędzać.

- Nic się nie martw. Dostaniesz zasiłek dla bezrobotnych. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Bardzo mnie pocieszyłeś.

- Ja też mam wiele powodów do radości.

- A co? Co się tam dzieje?

- Same radosne wydarzenia - rzuciłem i odwiesiłem słuchawkę.

Wetknąłem drugiego dolara za aparat i wykonałem telefon, który chciałem wykonać.

Zadzwoiłem na centralkę Departamentu Skarbu. W słuchawce odezwał się miły kobiecy głos. Grzeczny, kulturalny, należący do osoby w średnim wieku.

- Z kim mogę pana połączyć? - spytała kobieta.

- Z Joem Reacherem, proszę - odrzekłem.

Rozległy się trzaski i szmery, po czym przez chwilę było słychać szum. W 1997 roku w Departamencie Skarbu też jeszcze nie mieli muzyczki na czekanie. Potem ktoś podniósł słuchawkę i kobiecy głos powiedział: „Biuro pana Reachera”. Ten z kolei brzmiał młodo i radośnie. Pewnie jego właścicielka ukończyła z wyróżnieniem jakiś prestiżowy college i przepelniona idealizmem oraz entuzjazmem przystąpiła do pracy. Pewnie jeszcze do tego ładna. Pewnie nosi krótką plisowaną spódniczkę i biały sweterek pod szyję. Brat umie dobierać personel.

- Mogę rozmawiać z panem Reacherem? - spytałem.

- Niestety, nie ma go i przez kilka dni nie będzie. Musiał wyjechać do Georgii. - Powiedziała to tak, jakby odleciał na Saturna lub Neptuna. W niewyobrażalnie daleką podróż do kompletnej dziczy. - Czy zechce pan zostawić wiadomość?

- Proszę mu przekazać, że dzwonił brat.

- Ojej, ale numer! Nie wspominał, że ma braci. Ma pan bardzo podobny głos. Wiedział pan o tym?

- Tak mówią. Nie mam żadnej wiadomości. Proszę mu powiedzieć, że tylko chciałem zamienić parę słów. Jak powiadają, dać znak życia i spytać, co u niego słychać.

- Będzie wiedział, który brat?

- Mam nadzieję. Zwłaszcza że ma tylko jednego.

* * *

Odwiesiłem słuchawkę i wyszedłem. Brat Shawny nie przerwał samotnego wartowania.

Pomachałem mu ręką na pożegnanie, on odmachnął, ale nie ruszył się z miejsca. Stał ze wzrokiem wbitym daleko w horyzont. Dotarłem do szosy i skręciłem w lewo, w kierunku miasta. Parę metrów przed przejazdem usłyszałem za plecami nadjeżdżający samochód i krótki dźwięk klaksonu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem zwalniający radiowóz Deveraux.

Zatrzymała się obok mnie. Chwilę potem siedziałem na miejscu pasażera. Dzielili nas tylko jej strzelba, tkwiąca w uchwycie między fotelami.

Zacząłem od uwagi, że jej lunch mocno się przeciągnął. Miało to być niewinne stwierdzenie faktu, jednak Deveraux dopatrzyła się w tym czegoś więcej.

- A co, jesteś zazdrosny?

- Zależy, co jadłaś. Bo ja tylko cheeseburgera.

- A my krwistą pieczeń wołową z sosem chrzanowym i podsmażane kartofelki. Bardzo smaczne. Ale pewnie to znasz. Musisz często jadać w klubach oficerskich.

- A jak rozmowa?

- Trudna.

- Pod jakim względem?

- Najpierw opowiedz, co w tym czasie robiłeś.

- Ja? Biłem się w piersi. Przynajmniej metaforycznie.

- Mianowicie?

- Wróciłem do wraku samochodu. Miałem rozkaz zniszczyć tablicę rejestracyjną. Niestety, tablicy już nie było. Mało tego, teren został skrupulatnie przejrany. To miejsce musiała dziś rano przeczesać gromada ludzi. Na zewnątrz ogrodzenia Kelham widziałem ślady wojskowych butów. Tak więc myślę, że masz rację. Rzeczywiście wojsko ustanowiło kordon sanitarny. Kazali im przejrzeć szczątki samochodu, bo ktoś w Pentagonie nie ma do mnie dość zaufania.

Deveraux milczała, więc dodałem:

- Potem poszedłem na długi spacer.

- Widziałeś tę pryzmę żwiru?

- Widziałem ją dziś rano - odrzekłem. - Teraz poszedłem ją dokładnie obejrzeć.

- W związku z Janice May Chapman?

- Oczywiście.

- To tylko zbieg okoliczności - powiedziała. - Wbrew powszechnej opinii w Missisipi gwałty czarnych na białych zdarzają się bardzo rzadko.

- Mógł to zrobić biały - zauważyłem.

- Mało prawdopodobne. Rzucaliby się w oczy. Miałby setkę naocznych świadków.

- Właśnie tam znaleziono ciało Shawny Lindsay. Rozmawiałem z jej bratem.

- A gdzie sprawca miał je zostawić? To pusta działka. Idealna do podrzucenia zwłok.

- Nie tam zginęła?

- Nie sądzę. Nie było krwi.

- Na żwirze czy w niej?

- Ani tu, ani tu.

- I jaki stąd wniosek?

- Że to ten sam zabójca.

- I co jeszcze?

- Jest nałogowym ryzykantem. Czerwiec, listopad, marzec. Najpierw ktoś z dołu społecznej drabiny, potem ze środka, wreszcie z góry. Naturalnie w tutejszej skali. Zaczął od najłatwiejszego, potem stopniowo zwiększał ryzyko. Nikt nie przejmuję się biednymi czarnymi dziewczynami. Pierwszą naprawdę widoczną ofiarą była Chapman.

- Ty przejmujesz się biednymi czarnymi dziewczynami.

- Wiesz, jak jest. Śledztwo samo z siebie się nie rozwija. Potrzebuje dopływu zewnętrznej energii, powszechnego oburzenia.

- I w przypadku czarnych go zabrakło, tak?

- Oczywiście rodziny cierpiały, były zrozpaczone. Ale również zrezygnowane i pogodzone z losem. Gdyby wszystkie zamordowane mieszkanki Missisipi wstały dziś z grobu i przemaszerowały przez miasto, zauważyłbyś, że byłby to bardzo długi pochód, a zdecydowana większość uczestniczek byłaby czarna. Biedne czarne dziewczyny były tu zabijane od zawsze. Białe z

bankowym kontem dużo rzadziej.

- Jak McClatchy miała na imię?
- Rosemary.
- Gdzie znaleziono jej ciało?
- W przydrożnym rowie, w pobliżu przejazdu, po zachodniej stronie toru.
- Krew?
- Ani śladu krwi.
- Zgwałcona?
- Nie.
- A Shawna Lindsay?
- Też nie.
- Czyli gwałt na Chapman oznacza eskalację.
- Najwyraźniej.
- Czy Rosemary McClatchy łączyło coś z Kelham?
- Oczywiście. Widziałeś jej fotografię. Chłopcy z Kelham ustawiali się w

kolejce pod jej drzwiami. Z kilkoma chodziła.

- Białymi czy czarnymi?
- Jednymi i drugimi.
- Oficerami czy szeregowcami?
- Jednymi i drugimi.
- Podejrzewasz kogoś?

- Nie miałam nawet powodu pytać. Od co najmniej dwóch tygodni przed śmiercią nie widziano jej w towarzystwie nikogo z Kelham, a moja jurysdykcja kończy się przed ogrodzeniem bazy. Nawet by mnie nie wpuścili.

- Dziś cię wpuścili.
- Tak - mruknęła. - Dziś tak.
- Jaki jest Munro?
- Trudny.

* * *

Samochód podskoczył na przejeździe i zatrzymał się tuż za nim. Mieliśmy przed sobą prosty odcinek szosy, po prawej rów, w którym znaleziono zwłoki Rosemary McClatchy, i nieco dalej po lewej skręt w Main Street. To naturalny odruch gliniarza. Jeśli masz wątpliwości, to zjedź na bok i zaparkuj na widoku. Nawet jeśli nic z tego nie wynika, wygląda na to, że coś robisz.

- Oczywiście założyłam - powiedziała Deveraux - że Munro będzie kłamał w żywe oczy. Ma za zadanie krycie wojskowej dupy. Rozumiem to i nie mam do niego pretensji. Wykonuje rozkazy, podobnie jak ty.

- No i?

- Spytałam go o kordon sanitarny. Oczywiście zaprzeczył.

- Nie mógł inaczej.

Pokiwała głową.

- Tyle że potem próbował mnie przekonać. Obwiozł mnie po całej bazie. Dlatego to tak długo trwało. Trzyma ich w garści. Wszyscy mają obowiązek siedzieć w kwaterach. Wszędzie pełno żandarmerii, która pilnuje wojsko i siebie nawzajem. Zbrojownie są pod kluczem. Z rejestru wynika, że od dwóch dni nie wydano ani nie zdano ani jednej sztuki broni.

- I co dalej?

- Założyłam, że urządzają dla mnie wielkie przedstawienie, i rzeczywiście, w koszarach widziałam dwieście pustych łóżek. Naturalnie przyjął, że ukryli ich w lesie, lecz Munro mnie zapewnił, że to łóżka żołnierzy kompanii, która przez miesiąc przebywa gdzie indziej.

Zarzekał się na wszystkie świętości i w końcu mu uwierzyłam, bo jak wszyscy tutejsi słyszałam lądujące i startujące samoloty i obserwowałam, że pewne twarze znikają i potem znów się pojawiają.

Pokiwałam głową. Kompania Alpha. Kosowo.

- Musiałam sama przed sobą przyznać, że brzmi to sensownie. Munro przedstawił mi wiele przekonujących dowodów. Nie da się zrobić przedstawienia, w którym by wszystko idealnie do siebie pasowało. Z tego

wniosek, że nie ma kordonu sanitarnego. Pomyliłam się, a ty musisz się mylić w sprawie szczątków samochodu. Pewnie zajęły się nimi miejscowe dzieciaki.

- Nie sądzę. To wyglądało na skrupulatne przeczesanie.

Przez chwilę milczała.

- No to może Siedemdziesiąty Piąty przysłał ekipę prosto z Benning. To całkiem możliwe.

Niewykluczone, że siedzą w lasach wokół bazy. Munro udowodnił jedynie, że nikt nie opuścił terenu Kelham. Może należeć do tych, którzy ujawniają część prawdy, żeby ukryć większe kłamstwo.

- Coś mi się zdaje, że zbytnio go nie polubiłaś.

- Polubiłam go wystarczająco. Jest inteligentny i lojalny wobec armii.

Miałabym problem, gdybyśmy razem służyli w żandarmerii. Widziałabym w nim poważnego rywala, nie chciałabym z nim współpracować. Jest zbyt ambitny i za profesjonalny.

- Co ci powiedział o Janice May Chapman?

- Przedstawił mi z pozoru rzetelny raport ze sprawiającego wrażenie sumiennego dochodzenia, z którego wynikało, że żaden z żołnierzy z Kelham nigdy nie był w nic zamieszany.

- Ale ty w to nie uwierzyłaś?

- Prawie uwierzyłam.

- Tylko co?

- Nie umiał ukryć chęci rywalizacji. Zresztą przyznał to wprost. On kontra ja; wojskowi kontra miejscowy szeryf. Chce wmówić całemu światu, że sprawca jest po mojej stronie płotu. A ja nie urodziłam się wczoraj. Cóż innego miałby mówić?

- I co teraz zrobisz?

- Jeszcze nie wiem.

- A co chciałabyś zrobić?

- Z tak postawionej sprawy wynika także brak szacunku dla marines. On

przeciwko mnie równa się armia przeciwko korpusowi. A to nie takie proste. Jeśli zależy mu na rywalizacji, to zrewanżuję się tym samym. Jestem gotowa podjąć wyzwanie. I stłuc go na kwaśne jabłko.

Chcę poznać prawdę i wsadzić mu ją prosto w tyłek.

- Myślisz, że ci się uda?

- O ile mi pomożesz.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, silnik caprice' a cicho pracował na wolnych obrotach. W poprzednim wcieleniu samochód musiał jeździć w Chicago czy w Nowym Orleanie, spędzając tysiące godzin na cierpliwym czekaniu z pracującym silnikiem.

Z każdego kawałka wnętrza biła woń potu i zmęczenia jeżdżących nim gliniarzy, warstewka tłustego brudu pokrywała wszystko. Z postrzępionych dywaników pod nogami wylaziły pojedyncze kłębki włókien.

- Przepraszam - odezwała się w końcu Deveraux.

- Za co?

- Za prośbę o pomoc. To nie było fair. Zapomnijmy o tym.

- Dobra.

- Podwieźć cię gdzieś?

- Jedźmy pogadać z sąsiadkami Janice May Chapman.

- Nie. Nie mogę się na to zgodzić. Nie chcę, żebyś zwracał się przeciwko swoim.

- Może wcale się nie zwrócę przeciwko swoim, tylko zrobię to, czego oni ode mnie oczekują.

Może pomogę w ten sposób Munro, nie tobie. Bo wiesz, racja może być po jego stronie.

Przecież wciąż nie wiemy, kto co zrobił.

Powiedziałem „my”, a Deveraux mnie nie poprawiła.

- A czego się domyślasz? - spytała.

Pomyślałem o limuzynach mknących do i z Kelham i wożących kosztujących majątek prawników, o kordonie sanitarnym i przestrachu w głosie Johna Jamesa Frazera, który słyszałem, dzwoniąc do Biura Łączności z Senatem.

- Domyślam się, że to ktoś z Kelham - powiedziałem.

- Jesteś pewny, że chcesz podjąć ryzyko poznania prawdy?

- Ryzykiem jest rozmowa z facetem ze spluwą, a nie zadawanie pytań.
Wtedy, w 1997 roku, jeszcze tak sądziłem.

* * *

Dom Janice May Chapman stał sto metrów od toru i był ostatnim z trzech budynków usytuowanych na końcu ślepej uliczki, niecałe dwa kilometry na południowy wschód od Main

Street. Dom był nieduży, działka miała kształt klina, dochodzącego czubkiem do okrągłego placu, którym kończyła się uliczka. Do tego samego placu przylegały jeszcze dwie działki i gdyby przyjąć, że dom Chapman znajdował się na godzinie dziewiątej, to pozostałe - na drugiej i czwartej. Dom mógł mieć z pięćdziesiąt lat, ale był zadbane i miał nowo położony dach i nowy siding, a roślinność była dobrze utrzymana. Obie sąsiadujące działki i domy również były zadbane. Uliczka stanowiła enklawę zamożniejszego odłamu mieszkańców Carter Crossing. Trawniki były soczyście zielone i oczyszczone z chwastów, podjazdy utwardzone i gładkie, skrzynki na listy odmalowane. Właściwie jedynym mankamentem tego miejsca była bliskość toru kolejowego, tyle że przejeżdżał nim tylko jeden pociąg na dobę. Minuta hałasu na tysiąc czterysta trzydzieści dziewięć ciszy. Całkiem niezła proporcja.

Przez całą szerokość frontu domu Chapman ciągnął się ganek z oceniającym go daszkiem, wspartym na rzeźbionych drewnianych słupkach. Na ganku stały dwa bujane fotele, na podłodze leżały maty z tkaniny w pastelowych kolorach. Fronty obu sąsiednich domów wyglądały niemal identycznie i właściwie różniło je tylko to, że na obu gankach ktoś był - starsze siwowe kobiety w kwiecistych szlafrokach siedziały w bujakiach sztywno wyprostowane, uważnie nam się przyglądając.

Przez chwilę posiedzieliśmy w samochodzie, po czym Deveraux podjechała kilkanaście metrów do przodu i zaparkowała na środku okrągłego placu. Wysiedliśmy i przez moment staliśmy w promieniach popołudniowego słońca.

- Od której zaczynamy? - spytałem.

- Obojętne - odrzekła Deveraux. - Bez względu na to, od której zaczniemy, gwarantuję, że w ciągu trzydziestu sekund ta druga do nas dołączy.

I tak się stało. Wybraliśmy dom po prawej, ten na godzinie czwartej, ale ledwo zdążyliśmy wejść na schodki, właścicielka domu z godziny drugiej już przy nas była. Deveraux dokonała prezentacji. Podała obu paniom moje nazwisko i oświadczyła, że jestem śledczym wojskowym. Z bliska obie kobiety nieco się różniły wiekiem i posturą, ale generalnie reprezentowały ten sam typ. Cienkie szyje, wypuczone wargi, burze siwych włosów. Obie powitały mnie z należytyym szacunkiem. Były przedstawicielkami pokolenia mającego sentyment do wojska. Niewątpliwie ich mężowie albo bracia, albo synowie chodzili w mundurach. Druga wojna światowa, Korea, Wietnam.

Odwróciłem się i spojrzałem na dom Chapman. Znajdował się dokładnie naprzeciwko nas i stanowił wręcz wymarzony cel obserwacji. Gdyby oddział piechoty szykował się do ataku na dom Chapman, karabiny maszynowe do prowadzenia ostrzału ustawiono by na gankach obu sąsiadek.

Deveraux krótko zreasumowała dotychczasowe zeznania obu sąsiadek i poprosiła o ponowne potwierdzenie ich spostrzeżeń. Obie skwapliwie to zrobiły, odpowiadając przecząco na wszystkie pytania. Nie, żadna nie widziała Chapman wychodzącej z domu w dniu zabójstwa ani rano, ani po południu, ani wieczorem. Ani pieszo lub samochodem ofiary czy innym. Nie, nie przypomniały sobie nowych szczegółów. Nie miały nic do dodania.

Następne pytanie musiało zabrzmieć dość niezręcznie i Deveraux zostawiła je mnie.

- Czy w ciągu dnia były chwile, podczas których coś się mogło wydarzyć, czego mogły panie nie zauważyć? - Innymi słowy: Jak bardzo jesteście wścibskie? Czy zdarzały się momenty, kiedy nie gapiliście się na sąsiadkę z naprzeciwka?

Oczywiście obie dostrzegły podtekst zawarty w pytaniu i się nawet nastroszyły, cmokając i wydymając usta. Jednak rola naocznych świadków

znaczyła dla nich więcej od urażonej dumy i skłoniła do przyznania, że nie, że praktycznie w ciągu doby przez cały czas kontrolowały sytuację. Lubiły siedzieć na ganku, gdy tylko obowiązki im na to pozwalały, a tak się składało, że obowiązki wypadały o różnych porach. Sypialnie obu pań znajdowały się od frontu i obie starały się nie zasypiać do czasu przejazdu nocnego pociągu. Poza tym obie miały lekki sen, więc niewiele nocnych wydarzeń umykało ich uwagi.

- Czy w domu pani Chapman zwykle coś się działo? Ktoś przyjeżdżał, ktoś odjeżdżał?

Szybko się naradziły, po czym zaczęły snuć długą i pokrętną opowieść, grożącą sięgnięciem do czasów amerykańskiej wojny o niepodległość. Już chciałem zainterweniować, gdy nagle zdałem sobie sprawę z tego, że opowiadają o życiu towarzyskim sąsiadki, które od mniej więcej pół roku nabrało powtarzalnej regularności. Po okresie intensywnym następował okres beczynności niczym następujące po sobie okresy ucztowania i odchudzania. Chapman albo wcale nie wychodziła, albo wiecznie jej nie było. Albo przez cztery, pięć tygodni siedziała kamieniem w domu, albo przez cztery, pięć tygodni szalała poza domem.

Kompania Bravo w Kosowie.

Kompania Bravo w Kelham.

Niedobrze.

- Czy miała stałego partnera? - spytałem.

Kilku, odrzekły ze zjadliwą satysfakcją. Niekiedy równocześnie.

Odwiedzający ją goście byli grzecznymi młodymi mężczyznami, krótko ostrzyżonymi, ubranymi w coś, co nazwały drelichowymi spodniami i podkoszulkami, niektórzy mieli skórzane marynarki.

Dżinsy, Tshirty, skórzane kurtki.

Niewątpliwie żołnierze na przepustce.

Niedobrze.

- Czy ktoś się wyróżniał? Był ktoś specjalny? - spytałem.

Znów przez chwilę się naradzały, uzgadniając, że okres stosunkowej stabilizacji zaczął się trzy, może cztery miesiące temu. Strumień adoratorów najpierw zmienił się w strumyczek, a potem całkiem wysechł i został zastąpiony wizytami jednego mężczyzny, który jak wszyscy inni był grzeczny, młody i krótko ostrzyżony, tyle że nieodpowiednio ubrany. Zawsze tylko w dżinsach, Tshircie i skórzanej kurtce. Za ich czasów konkurent odwiedzający pannę ubierał się w garnitur i koszulę z krawatem.

- I co robili?

Odrzekły, że oboje zaraz wychodzili z domu. Czasami było to po południu, ale najczęściej wieczorami. Zapewne do któregoś z barów. W tym zakątku stanu poza barami nie ma wielu innych atrakcji. Najbliższe kino znajduje się w miasteczku o nazwie Corinth, poinformowały.

Kiedyś w Tupelo działał teatrzyk rewiowy, ale wiele lat temu go zamknięto. Wracali dość późno, często po północy, już po przejeździe pociągu. Mężczyzna czasem wchodził do środka i zostawał godzinę lub dwie, ale obie panie były pewne, że nigdy nie zostawał do rana.

- Kiedy panie widziały go po raz ostatni? - spytałem.

Odrzekły, że dzień przed jej śmiercią. Wyszła z domu o siódmej wieczór. Przyjechał po nią ten sam adorator. Jak należy, punktualnie o siódmej.

- Jak była wtedy ubrana? - spytałem.

W żółtą sukienkę do kolan, odpowiedziały, z dużym dekoltem.

- A ten jej chłopak przyjeżdżał po nią samochodem?

Tak, odparły, zawsze.

- Co to był za samochód?

- A taki niebieski - odpowiedziały.

Zostawiliśmy obie panie na ganku i przeszliśmy na drugą stronę, by z bliska przyjrzeć się domowi Chapman. Był bardzo podobny do domu sąsiadek, jako że wszystkie trzy należały do seryjnie budowanych domów dla powracających po drugiej wojnie światowej wojskowych i ich szybko rozrastających się rodzin. Z biegiem czasu zaczęły nabierać indywidualnych cech i nieco się od siebie różnić, tak jak początkowo identyczne trojaczki rozwijają się każde po swojemu. Dom Chapman był skromny i pozbawiony ozdóbek, ale przyjemny dla oka.

W którymś momencie dodano do niego ramy i futryny w kolorze jasnobrązowym i wymieniono drzwi frontowe na nowe.

Weszliśmy na ganek. Zajrzałem przez okno do niedużego kwadratowego salonu, w którym zgromadzono dość nowe sprzęty. Dwuosobowa sofa, fotel i nieduży telewizor na komódce.

Obok stał odtwarzacz VHS i leżała kupka kaset. Przez otwarte drzwi do salonu widać było część wąskiego przedpokoju. Wyciągnąłem szyję, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Jak chcesz, to możemy wejść do środka - powiedziała Deveraux.
- Naprawdę?
- Drzwi nie są zamknięte na klucz. Od początku nie były.
- To normalne w tych stronach?
- Nie aż tak nienormalne. Nigdzie nie znaleźliśmy kluczy.
- W torebce ich nie było?
- Nie miała ze sobą torebki. Wygląda na to, że zostawiła ją w kuchni.
- W tym też nie ma nic nadzwyczajnego?
- Chapman nie paliła. Na pewno nie płaciła za swoje drinki. Po co jej torebka?
- A kosmetyki?
- Dwudziestosiedmioletnie kobiety nie muszą pudrować nosa w połowie wieczoru. Może kiedyś to robiły, ale nie teraz.

Wszedłem do środka. W domu panował porządek i było czysto, mimo to w powietrzu czuć było zaduch. Umeblowanie, farba na ścianach i dywany na podłogach wyglądały świeżo, ale nie były zupełnie nowe. Naprzeciw salonu mieściła się kuchnia z kątem jadalnym, w głębi przedpokoju widać było drzwi do dwóch sypialni i chyba łazienki.

- Fajnie tu - bąknąłem. - Mogłabyś kupić ten dom. Na pewno lepsze to niż pokój w hotelu Toussaint's.

- I mieć za sąsiadki te dwie stare kwoki z naprzeciwka, które cały czas by mnie podglądały?

Po tygodniu bym zwariowała.

Uśmiechnąłem się. Trudno było odmówić jej racji.

- Bez tych kwok też bym tego nie kupiła - dodała. - Nie chciałabym tak żyć. To nie dla mnie.

W milczeniu pokiwałem głową.

- Nawiasem mówiąc, nie mogłabym go nabyć, nawet gdybym chciała. Nic nie wiadomo o jej rodzinie i spadkobiercach. Nie wiedziałabym, do kogo się zwrócić.

- Nie zostawiła testamentu?

- Miała dwadzieścia siedem lat.

- W domu żadnych dokumentów?

- Jak dotąd niczego nie znaleźliśmy.

- A kredyt hipoteczny?

- W papierach władz okręgu nie ma śladu.

- I żadnej rodziny?

- Nikt nie pamięta, żeby kiedykolwiek wspominała o rodzinie.

- To co z tym fantem zrobisz?

- Jeszcze nie wiem.

Ruszyłem w głąb przedpokoju.

- Możesz się rozejrzeć! - zawołała za mną Deveraux. - Nie krępuj się. Czuj

się jak u siebie w domu, tylko daj znać, jeśli znajdziesz coś, o czym powinnam wiedzieć.

Obszedłem po kolei wszystkie pokoje, czując się jak intruz. Zawsze tak się czuję, chodząc po domu nieboszczyka. Było parę miejsc i drobiazgów przyciągających uwagę. Takich, które gospodyni sprząta i poprawia przed przyjściem zapowiedzianych gości. Nieco ocieplały wnętrze, ale generalnie rzecz biorąc, dom wydawał się nijaki i jakby pozbawiony duszy.

Wszystko było nazbyt jednorodne. Dopasowane do siebie meble sprawiały takie wrażenie, jakby je wybrano za jednym zamachem z katalogu jednego producenta. Dywany i wykładziny były w tym samym stylu. Farba miała jeden odcień. Na ścianach nie wisały żadne obrazy, na półkach brak było ramek z fotografiami. Żadnych książek, pamiątek, bibelotów.

Łazienka była czysta, wanna i ręczniki suche. Apteczka domowa nad umywalką miała lustrzane drzwiczki, w środku znajdowało się kilka środków przeciwbólowych z wolnej sprzedaży, pasta do zębów, paczka tamponów, nitki do czyszczenia zębów, zapasowe mydło i butelka szamponu. W sypialni nie było niczego poza łóżkiem, wprawdzie pościelonym, ale niebyt dokładnie. Stojące w mniejszej sypialni łóżko wyglądało na nieużywane.

W kuchni było kilka podręcznych urządzeń kuchennych, ale coś mi mówiło, że gotowanie nie należało do ulubionych zajęć Chapman. Niewielka skórzana torebka z klapką na magnes stała na blacie kuchennym, oparta o ściankę lodówki. Była w kolorze granatowym i być może dlatego Janice nie zabrała jej ze sobą. Nie znałem najnowszych wytycznych w kwestii noszenia granatowych torebek do żółtych sukienek. Być może było to zakazane. Choć wiele odznaczeń wojskowych ma na baretkach kombinację żółci i granatu i znam parę kobiet w mundurach, które byłyby gotowe zabić, żeby móc je sobie przypiąć. Całkiem dosłownie.

Odchyliłem klapkę i zajrzałem do środka. W torebce znajdował się wąski i cienki ciemnowiśniowy portfel, nowa paczuszka chusteczek higienicznych,

długopis, trochę bilonu, okruchy pieczywa i kluczyk do samochodu. Kluczyk miał długi ząbkowany trzonek i wymodelowaną czarną plastikową główkę z wytłoczoną literą H.

- To od jej hondy civic. Trzy lata temu kupiła nową u dealera w Tupelo. Bardzo pilnowała terminów wszystkich przeglądów - powiedziała Deveraux.

- Gdzie jest teraz? - spytałem.

Deveraux machnęła ręką w stronę drzwi.

- W garażu.

Wyjąłem z torebki portfel i zajrzałem do środka. Było w nim tylko kilka banknotów i prawo jazdy wydane trzy lata temu w stanie Missisipi. Umieszczone na nim zdjęcie pozbawiało Chapman połowy urody, ale i tak było na co popatrzeć. Kilka banknotów w drobnych nominałach składało się na trzydzieści dolarów.

Schowałem portfel i oparłem torebkę o lodówkę. Otworzyłem drzwi wskazane przez Deveraux i wszedłem do małej sionki z dwojgiem drzwi. Drzwi po lewej prowadziły na podwórze za domem, te na wprost otwierały się na garaż. W garażu nie było dosłownie nic poza samochodem. Mały japończyk w kolorze srebrny metalik, czysty i niepoobijany, roztaczający lekką woń oleju i spalin. Na wymiecionej do czysta betonowej podłodze nie było nawet pudeł na rupiecie, żadnych starych krzesel z rozprutymi obiciami, żadnych szpargałów, żadnych śmieci.

Absolutnie nic.

Niezwykłe.

Otworzyłem drzwi na podwórze i wyszedłem na zewnątrz. Deveraux poszła moim śladem.

- Znalazłeś coś, co powinnam zobaczyć? - spytała.

- Tak - odrzekłem. - Rzeczy, które każdy powinien zobaczyć.

- Co znów przegapiłam?

- Niczego nie przegapiłaś. Nie mówię o tym, co tam jest. Właśnie chodzi o

to, czego nie ma.

- Czego? - burknęła.

- Później - odparłem, bo w tym momencie dostrzegłem jeszcze coś.

Podwórze za domem Janice May Chapman nie było już tak czyste i wysprzątane. Było wręcz zapuszczone, niemal w całości porośnięte trawą, wyglądającą smutno i żałośnie. Wprawdzie ją koszone, ale było w niej więcej chwastów niż trawy. Na końcu podwórza widać było niski płot z drewnianych paneli z surowego, niczym niezabezpieczonego drewna. Jeden z paneli był przewrócony i leżał na trawie.

Tym, co mnie zainteresowało, była ścieżka wydeptana w zachwaszczonym trawniku - wąska i ledwie widoczna. Dało się ją dojrzeć jedynie dzięki ukośnie padającym promieniom popołudniowego słońca; ciemniejsze pasemko na jasnym tle trawnika. Ścieżka prowadziła lekkim łukiem wprost do wyłomu w płocie.

Zrobiłem dwa kroki po ścieżce i stanąłem. Pod stopami coś zachrzęściło. Spojrzałem pod nogi, Deveraux z rozpędu oparła się o moje plecy.

Nasze ciała po raz drugi się zetknęły.

- Co jest? - spytała.

- Nie wszystko naraz - powiedziałem i ruszyłem przed siebie.

Ścieżka doprowadziła mnie przez zapuszczony trawnik do dziury w płocie, przez którą można było wyjść na parcelę o szerokości około stu metrów. Pusta przestrzeń ciągnęła się aż do toru, w połowie długości po prawej widać było dwa przewrócone słupki, które niegdyś wyznaczały wjazd, za nimi prostopadle do toru biegła bita droga. Zapewne w kierunku zachodnim droga łączyła wjazdy na kolejne parcele i wychodziła na przedłużenie Main Street, a wschodnim docierała do nasypu i ślepo się na nim kończyła.

Na opuszczonej parceli widać było ślady opon samochodowych, które prowadziły od przewróconych słupków dawnej bramy i skręcały pod kątem prostym ku wyłomowi w płocie Chapman. Blisko miejsca, w którym stałem, ślad urywał się na wygniecionym przez koła zawracających samochodów trójkątnym placyku.

- Widać miała dość starych kwok i bawiła się z nimi w ciuciubabkę - powiedziałam. - Czasami wychodziła drzwiami frontowymi, innym razem tylnymi. Idę o zakład, że niekiedy jej kochanie żegnali się pod drzwiami, objeżdżali dom i wracali od tyłu po więcej.

- Cholera! - mruknęła Deveraux.

- Nie można za to winić ani jej, ani jej chłopaków. Ani nawet tych kwok. Ludzie są tylko ludźmi.

- Ale w ten sposób zeznania sąsiadek tracą wszelką wartość dowodową.

- Chapman nie wiedziała, że takie postępowanie będzie kiedyś miało znaczenie.

- W tej sytuacji nawet nie wiemy, kiedy tego ostatniego dnia wróciła i kiedy wyszła.

Rozejrzałem się, ale nie było na co patrzeć. Pustka wokół, idealne warunki dla zachowania pełnej dyskrecji.

Odwróciłem się i popatrzyłem na ścieżkę biegnącą przez udające trawnik poletko chwastów.

- Co znowu? - burknęła Deveraux.

- Kupiła ten dom trzy lata temu, tak? - spytałem.

- Tak.

- Czyli miała wtedy dwadzieścia cztery lata.

- Tak.

- Czy to też jest tu normalne? Żeby dwudziestoczworoletki kupowały nieruchomości?

- Niezbyt częste.

- Bez kredytu hipotecznego?

- To już na pewno nietypowe. Ale co to ma wspólnego z jej trawnikiem?

- Nie była zapaloną ogrodniczką.

- To nie przestępstwo.

- Poprzedni właściciel też się nim specjalnie nie przejmował. Wiesz, kto to

był?

- Trzy lata temu służyłam w korpusie.

- Jeśli ktoś tu mieszkał od dawna, to mogłaś go pamiętać z dzieciństwa.

Może trzecia kwoka do kompletu?

- Czemu pytasz?

- Tak sobie. Nieważne. Kimkolwiek był poprzedni właściciel, nie lubił kosić trawników.

Dlatego usunął trawę i zastąpił ją czymś innym.

- Czym?

- Sama zobacz.

Wróciła przez dziurę w płocie, przeszła kawałek po ścieżce i kucnęła. Rozgarnęła źdźbła i dotknęła podłoża. Przejechała końcami palców tam i z powrotem, podniosła na mnie wzrok i powiedziała:

- To żwir.

* * *

Widać poprzedniemu właścicielowi znudziła się pielęgnacja trawnika i zastąpił go warstwą żwiru. Jak w japońskim ogrodzie lub jak to coraz częściej robią świadomi deficytu wody mieszkańcy Kalifornii. Być może umieścił w żwirze doniczki bez dna i posadził w nich kolorowe kwiatki. A może nie. Trudno to było stwierdzić. Ale najwyraźniej żwir nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Nie zaoszczędził pracy przy utrzymaniu podwórza w czystości.

Warstwa żwiru okazała się za cienka i przykryła ziemię pełną korzeni chwastów. Chwasty zaczęły porastać żwir i ich usuwanie wymagało licznych zabiegów z użyciem herbicydów.

Najwyraźniej Janice May Chapman machnęła ręką na walkę z chwastami. Nie było co do tego wątpliwości. W garażu nie było ogrodniczego węża ani konewki. Znajdowaliśmy się na rolniczych terenach Missisipi i wokół rozciągały się ziemie uprawne, zdane na deszcz i słońce. W rezultacie chwasty rozpleniły się jak szalone. Któryś z kochasiów musiał przywieźć kosiarkę

spalinową i trochę je przyciąć. Uczynny koleś, obdarzony nadmiarem energii i dobrych chęci, nie lubiący bałaganu, prawie na pewno wojskowy. Jeden z tych, którzy służą ludziom pomocą, doprowadzają ich sprawy do porządku, po czym ich doglądają.

- Do czego zmierzasz? - spytała Deveraux. - Tu ją zgwałcono?

- Może wcale jej nie zgwałcono - odrzekłem.

Deveraux milczała.

- Zastanów się. Słoneczne popołudnie, są sami, nikt ich nie widzi. Skryli się za domem, bo nie chcą być na widoku dwóch starych kwok, które obserwują każdy ich ruch. Siedzą na schodkach, jest im dobrze i nachodzi ich ochota.

- Na trawie?

- A tobie nie mogłoby się to zdarzyć?

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Tak jak powiedziałeś lekarzowi, zależy z kim.

* * *

Kilka następnych minut poświęciliśmy rozmowie o urazach. Powtórzyłem sztuczkę z przedramieniem, wciskając rękę w żwir i ruszając nią na boki. Starąłem się wymachiwać nią jak człowiek ogarnięty żądzą. Ręka pokryła się zielonymi plamami chlorofilu i smugami brudu. Po wytarciu pojawiło się mnóstwo takich czerwonych kropek, jakie widzieliśmy na ciele Janice May Chapman. Były czysto powierzchowne i nie powodowały uszkodzenia naskórka, ale oboje zgodziliśmy się, że w przypadku Chapman mogliśmy mieć do czynienia z bardziej długotrwałym pocieraniem i dużo większym naciskiem.

- Musimy jeszcze raz wejść do środka - zdecydowałem.

W łazience znaleźliśmy kosz na brudy. Prostokątny, pomalowany na biało wiklinowy pojemnik z wiekiem. Na samym wierzchu leżała krótka letnia sukienka. Z krótkimi rękawkami, w białe i czerwone paski. Była zmięta i wygnieciona w pasie. Na plecach widoczne były zielone plamy. Pod nią leżał ręcznik do rąk, a pod nim biała bluzka.

- Nie ma bielizny - zauważyła Deveraux.
- Najwyraźniej.
- Gwałciciel zabrał na pamiątkę.
- Mogła być bez majtek. Czekala na przyjscie kochasia.
- Mamy marzec.
- Jaka wtedy byla pogoda?
- Ciepła i słoneczna - przyznała Deveraux. - To był ładny dzień.
- Rosemary McClatchynie została zgwałcona - zauważyłem. - Podobnie jak Shawna Lindsay. Eskalacja agresji to jedno, ale radykalna zmiana modus operandi to co innego.

Deveraux wyszła z łazienki i stanawszy w przedpokoju, rozejrzała się.

- Co ja przegapiłam? - spytała. - Co tu powinno być, czego nie ma?

- Coś starszego niż trzy lata - odrzekłem. - Skądś się tu przeprowadziła.

Powinna była coś ze sobą przywieźć. Przynajmniej parę drobiazgów, książki, fotografie, może ulubiony fotel. Coś w tym rodzaju.

- Dwudziestoczworoletki nie są zbyt sentymentalne.

- Ale mają jakieś bibeloty.

- A ty co miałaś jako dwudziestoczworoletka?

- Ja to co innego. Ty też jesteś inna.

- Do czego zmierzasz?

- Zmierzam do tego, że trzy lata temu Chapman zjawiała się znikąd, niczego ze sobą nie przywożąc. Kupiła dom, samochód i wyrobiła miejscowe prawo jazdy. Potem nabyła komplet mebli. Wszystko to za gotówkę. Gdyby miała bogatego tatusia, to jego zdjęcie stałoby w srebrnej ramce koło telewizora. Chciałbym wiedzieć, kim naprawdę była.

Deveraux postanowiła jeszcze raz dokładnie spenetrować wszystkie pomieszczenia, obeszliśmy więc dom. Farba na ścianach całkiem świeża, dwuosobowa sofa i fotel w salonie prawie nowe, nowy telewizor, naszpikowany funkcjami odtwarzacz VHS. Nawet garnki, patelnie i sztuce zostały niedawno kupione.

Zgromadzone w szafie ubrania miały najwyżej dwa sezony. Nie znaleźliśmy sukni z balu maturalnego, schowanej do plastikowego pokrowca, ani stroju cheerleaderki. Także żadnych rodzinnych fotografii, pamiątek, starych listów. Nie natrafiliśmy na dyplom z rozgrywek w softball, szkatułkę z połamaną biżuterią, wymiętoszone pluszaki z dzieciństwa.

- Ale czy to ważne? - mruknęła Deveraux. - Stała się przypadkową ofiarą, i tyle.

- Do niczego mi nie pasuje - powiedziałem. - Nie lubię, jak coś nie pasuje.

- Jak wróciłam z wojska, to już tu mieszkała. Nie zastanawiałam się nad tym. To Ameryka.

Ludzie wciąż przenoszą się z miejsca na miejsce.

- Wiesz coś o jej przeszłości?

- Nic a nic.

- Nie słyszałaś żadnych plotek, domysłów?

- Żadnych.

- Pracowała gdzieś?

- Nie.

- Z jakim mówiła akcentem?

- Chyba ze środkowych stanów. Nie jestem pewna, bo tylko raz z nią rozmawiałam.

- Pobrałaś jej odciski palców?

- Nie. Po co miałam to robić? Wiedzieliśmy, kim jest.

- Tak myślisz?

- Teraz już za późno.

Pokiwałem głową. Skóra Chapman zwiotczała i oblekała palce jak stare miękkie rękawiczki.

Pod dotykiem marszczyłaby się i rwała jak mokry papier.

- Masz w samochodzie zestaw do pobierania odcisków palców? - spytałem.

Pokręciła głową.

- Odciskami zajmuje się u nas Butler - odparła. - Mój drugi zastępca.

Przeszedł specjalny policyjny kurs w Jackson.

- Powinnaś go ściągnąć. Niech zdejmie jej odciski palców.

- Nie wszystkie będą jej.

- Ale dziewięć na dziesięć tak. Powinien zacząć od pudełka z tamponami.

- I tak nigdzie nie ma jej karty do porównania. Była smarkulą. Nie była w wojsku i nie pracowała w policji.

- Kto nie ryzykuje, ten nic nie zyskuje - mruknąłem.

* * *

Deveraux wróciła do radiowozu i zaczęła konferować przez radiotelefon. Musiała na nowo rozstawić pionki na szachownicy. Pellegrino miał zastąpić Butlera przy bramie Kelham.

- Dwadzieścia minut. Muszę jechać do biura. Mam inne sprawy na głowie - oświadczyła po powrocie. - Ale ty tu poczekaaj i o nic się nie martw. Butler sobie poradzi. Jest rozgarniętym facetem.

- Bardziej niż Pellegrino?

- Wszyscy są bardziej rozgarnięci od Pellegrina. Mój samochód też jest od niego mądrzejszy.

- Zjemy razem kolację? - spytałem.

- Zostanę dziś do późna w pracy.

- Do której?

- Do jakiejś dziewiątej.

- Niech będzie dziewiąta.

- Zapraszasz mnie?

- Absolutnie.

Na moment zamilkła.

- Jak na randkę?

- Może być randka. W mieście jest tylko jedna restauracja, więc i tak spotkalibyśmy się przy jednym stoliku.

- Dobrze. Kolacja. O dziewiątej. Dziękuję - powiedziała i dodała: - Możesz się nie golić.

- Dlaczego?

- Bo tak jak jest, jest dobrze.

Po czym odjechała.

* * *

Usiadłem na jednym z bujaków na ganku Janice May Chapman. Starsze panie z naprzeciwka nie spuszczały mnie z oka. Zastępca szeryfa Butler zjawił się tuż przed upływem wyznaczonych dwudziestu minut. Przyjechał radiowozem i zaparkował na placu tam, gdzie poprzednio Deveraux. Wsiadł i otworzył bagażnik. Był wysokim, dobrze zbudowanym dwudziestokilkuletnim mężczyzną. Miał długie jak na gliniarza włosy i kwadratową twarz.

Na pierwszy rzut oka było widać, że trzeba by nie lada krzepy, żeby sobie z nim poradzić. Ale chyba nie byłoby niemożliwe.

Wyjął z bagażnika czarne plastikowe pudełko i ruszył w moją stronę.

Wstałem z fotela i wyciągnąłem rękę. Grzeczność zawsze popłaca.

- Jack Reacher - przedstawiłem się. - Miło cię poznać.

- Geezer Butler[2].

- Żartujesz?

- Nie, serio.

- I może grasz na gitarze basowej?

- Jakbym to już gdzieś słyszał.

- Tata był fanem Black Sabbath?

- Mama też.

- A ty?

Skinął głową.

- Mam ich wszystkie płyty.

Poprowadziłem go do środka. Zatrzymał się w przedpokoju i rozejrzał.

- Chodzi o zebranie odcisków palców Chapman. Tylko jej - wyjaśniłem.

- Żeby uniknąć pomyłek, tak?

Nie, pomyślałem, żeby uniknąć rozpiarduchy z inicjatywy koleśia z kompanii Bravo. Lepiej dmuchać na zimne.

- Tak - potwierdziłem. - Żeby uniknąć pomyłek.

- Szefowa poleciła, żebym zaczął od łazienki.

- Dobry pomysł. Szczoteczka do zębów, pasta, pudełko z tamponami, tego typu rzeczy osobiste. Coś, co ze sklepu wyszło w opakowaniu lub celofanowej osłonce. Wtedy będziemy mieć pewność, że nikt inny ich nie dotykał.

Zostałem na zewnątrz, żeby mu nie przeszkadzać, ale i tak miałem go na oku. Znał się na swojej robocie i dokładnie wiedział, co robi. Po dwudziestu minutach zebrał dwadzieścia dobrych odcisków. Wszystkie były nieduże i owalne, niewątpliwie kobiece. Uznaliśmy, że to nam wystarczy, Butler spakował swoje zabawki i podwiózł mnie do miasta.

* * *

Wysiadłem z radiowozu przed biurem szeryfa i przeszedłem pieszo pod hotel. Czułem, że powinienem kupić nową koszulę, lecz nie chciałem, by Deveraux pomyślała, że nasza kolacja jest czymś więcej niż tylko posiłkiem. Dokładniej mówiąc, chciałem, by potraktowała wspólną kolację jako coś więcej, ale wolałem, żeby się nie domyśliła, że tego pragnę.

Ostatecznie uznałem, że koszula to tylko koszula. Przeszedłem na drugą stronę Main Street.

Było po piątej i większość sklepów się zamykała. Niedaleko dojrzałem sklep z męską odzieżą. Nie wyglądał zbyt zachęcająco. Na wystawie wisiała

marynarka z syntetycznego džinsu, połyskując w światłach i wyglądając, jakby ją utkano z odpadów nuklearnych. Ale poza tym jedynym otwartym sklepem czynna była apteka, więc nie miałem wyboru.

Wszedłem do środka i zacząłem się rozglądać.

W sklepie dostrzegłem sporo artykułów odzieżowych z podejrzanych tkanin, ale były też całkiem zwyczajne rzeczy. Za ladą siedział starszy facet, który z radością pozwolił mi grzebać w towarze. Z szyi zwiślała mu taśma krawiecka, niejako stanowiąc symbol jego profesji. Jak stetoskop u lekarza. Nie zamieniliśmy ani słowa, ale on zdawał się od razu wiedzieć, że szukam koszuli, bo albo marszczył czoło, albo cmokał z aprobatą, patrząc, jak przechodzę od sterty do sterty. Zupełnie jakbyśmy grali w towarzyską grę zimnociepło.

W końcu natrafiłem na białą koszulę z mięsistej bawełny. Kołnierzyk numer 46, rękawy długie na 94 centymetry. Mniej więcej mój rozmiar. Podeszedłem do faceta za ladą.

- Czy pańskim zdaniem to nadaje się do pracy w biurze? - spytałem.

- Tak, proszę pana, bez wątpienia - odrzekł.

- A na wieczorne wyjście na kolację?

- Myślę, że na wyjście przydałoby się coś elegantszego, proszę pana, na przykład z wydłużonym kołnierzykiem.

- Czyli nie nazwałby pan tej koszuli wizytową?

- O nie, proszę pana. W żadnym razie.

- W porządku. Biorę.

Kosztowała mniej od różowej koszuli z wojskowego konsumu. Sprzedawca owinął ją w brązowy papier i złożył w niewielką paczuszkę. Przeszedłem z nią na drugą stronę ulicy i wszedłem do hotelu akurat w chwili, gdy właściciel pospiesznie truchtał w stronę schodów.

Usłyszał otwierające się drzwi wejściowe, obejrzał się i dostrzegłszy mnie, zatrzymał się w pół kroku. Zdyszany głosem rzucił w moją stronę:

- Znowu dzwoni pański wuj.

[2] Geezer (ang.) - w wolnym tłumaczeniu: staruch. Taki przydomek nosi członekzałożyciel zespołu Black Sabbath, Terence Geezer Butler.

Wpuścił mnie do kantorka i zostawił samego. Garber od razu przystąpił do zadawania pytań, co mnie trochę zjeżyło. Zaczął od pytania: „Co tam u ciebie?”.

- W porządku - odparłem. - A u ciebie?

- Jak ci leci?

- Źle.

- Z panią szeryf?

- Nie, z nią wszystko w porządku.

- Nazywa się Elizabeth Deveraux, tak? Sprawdzamy ją.

- W jakim sensie?

- Poufnymi kanałami w korpusie marines.

- Po co?

- Może uda nam się wygrzebać coś, co ci się przyda.

- Możecie sobie odpuścić. Ona nie jest problemem.

- A co?

- My sami - odparłem - albo ty sam, lub ktoś taki. W każdym razie wojsko.

Patrolują strefę wokół Kelham i strzelają do ludzi.

- To wykluczone.

- Widziałem krew, a szczątki samochodu zostały przeczesane.

- To niemożliwe.

- Ale tak jest. Musisz z tym skończyć. Na razie nie stanowisz wielkiego problemu, ale jeszcze trochę i doprowadzisz do trzeciej wojny światowej.

- Na pewno się mylisz.

- Jak dotąd mamy dwóch pobitych i jednego trupa. Nie mylę się.

- Trupa?

- Denata, jeśli wolisz.

- W jakich okolicznościach?

- Wykrwawił się na śmierć od rany postrzałowej w udo. Ktoś podjął nieudaną próbę opatrzenia rany wojskowym opatrunkiem polowym. Na miejscu

znalazłem też łuskę po natowskim naboju.

- To nie my. Coś bym wiedział.

- Może jednak ja wiem lepiej? Siedzisz w biurze i zgadujesz, a ja jestem na miejscu i widzę.

- To przestępstwo.

- Niewątpliwie. W najgorszym razie decyzja polityczna, w najlepszym komuś odbiło. Musisz ustalić, co z tego jest prawdą, i położyć temu kres.

- Łatwo powiedzieć - burknął Garber. - Mam pójść do grupy starszych oficerów i oskarżyć ich o złamanie prawa? Zamkną mnie jeszcze przed lunchem, a rano postawią przed sądem wojennym.

Umilkłem i westchnąłem, po czym spytałem:

- Czy są nazwiska, których nie powinienem wymieniać w rozmowie telefonicznej?

- Są nazwiska, których nie powinienes nawet znać.

- Cała ta sprawa wymyka się spod kontroli. Złe zamienia się w gorsze. Widziałem, jak do Kelham przyjechało trzech prawników. Widziałem też, jak odjeżdżali. Ktoś musi podjąć decyzję. Oficera odpowiedzialnego należy odwołać i skierować do innych zadań, i to od zaraz.

- Dopóki sprawa Kosowa jest na tapecie, dopóty to nie wchodzi w rachubę. Ten człowiek jest w stanie sam zakończyć wojnę.

- Jest jednym z czterystu naszych ludzi, na litość boską.

- Polityczna akcja propagandowa sprzed dwóch lat widzi to inaczej.

Zastanów się. Był pasowany na Samotnego Jeźdźca.

- Skończy w celi w Leavenworth.

- Munro jest innego zdania. Uważa, że oficer, o którym mowa, najprawdopodobniej jest niewinny.

- W takim razie powinniśmy zgodnie z tą opinią postępować i nie wysłać prawników ani nie patrolować terenu wokół ogrodzenia.

- Nie patrolujemy terenu wokół ogrodzenia.

Poddałem się.

- Coś jeszcze? - spytałem.

- Jedna sprawa - powiedział Garber. - Niestety, muszę to zrobić. Mam nadzieję, że zrozumiesz to właściwie.

- Przekonaj się.

- Dostałeś pocztówkę od brata.

- Gdzie?

- Do biura.

- I ty ją przeczytałeś.

- Oficer w wojsku nie może mieć tajemnic.

- To też jest w regulaminie? Obok dopuszczalnych fryzur?

- Będziesz musiał mi wyjaśnić treść pocztówki.

- A co tam jest napisane?

- Obrazek na wierzchniej stronie to fotografia centrum Atlanty. Pocztówkę nadano na lotnisku w Atlancie jedenaście dni temu. Wiadomość na odwrocie brzmi: „Jadę do miasta o nazwie Margrave, na południe stąd, służbowo. Podobno umarł tam Blind Blake. Dam ci znać”. Podpisane „Joe”, czyli jego imieniem.

- Wiem, jak mój brat ma na imię.

- Co znaczy ta wiadomość?

- To sprawa osobista.

- Rozkazuję, żebyś mi to wyjaśnił. Przepraszam, ale muszę to zrobić.

- Chodziłeś do szkoły. Umiesz czytać.

- Co znaczy ta wiadomość?

- Znaczy to, co jest napisane: pojechał na południe do Margrave.

- Kto to jest Blind Blake?

- Gitarzysta sprzed wielu lat. Bluesman. Jedna z pierwszych legend bluesa.

- Dlaczego Joe cię o tym informuje?

- Wspólne pasje.

- Co ma na myśli, pisząc, że da ci znać?
- Ma na myśli, że da mi znać.
- O czym ma ci dać znać?
- O legendzie Blind Blake'a, oczywiście. Czy rzeczywiście tam umarł.
- A jakie to ma znaczenie, gdzie umarł?
- Nie ma znaczenia. Po prostu ciekawostka. Jak zbieranie obrazków z futbolistami.
- Czyli naprawdę chodzi o obrazki z futbolistami?
- O czym ty, u diabła, bredzisz?
- To jest wasz prywatny szyfr?
- Szyfr? Dlaczego to, do cholery, ma być szyfr?
- Dzwoniłeś dziś do jego biura - powiedział Garber.
- Już o tym wiesz?
- Funkcjonuje mechanizm kontrolny.
- Mechanizmem donosicielskim jest ta dziewczyna w jego biurze? Ta smarkula?
- Nie wolno mi omawiać szczegółów naszych operacji. Muszę wiedzieć, po co do niego dzwoniłeś.
- Bo jest moim bratem.
- Ale czemu akurat teraz? Chciałeś go o coś spytać?
- Tak - odrzekłem. - Chciałem go zapytać, co u niego słychać.
- Czemu właśnie teraz? Czy coś w Kelham skłoniło cię do tego telefonu?
- To nie twoja sprawa.
- Wszystko, co ciebie dotyczy, jest moją sprawą. Okaż zrozumienie, Reacher.
- Przed Janice May Chapman zamordowano tu dwie czarne dziewczyny. Wiedziałeś o tym?
- Jeśli chcesz mówić o politycznych kampaniach propagandowych, to powinieneś najpierw pomyśleć o tym. Olaliśmy to i dostaliśmy pierdolca

dopiero, gdy zabito białą.

- Jaki to ma związek z Joem?
- Poznałem brata drugiej ofiary. To mi przypomniało o rodzinie. Nic więcej.
- Czy Joe mówił ci coś o pieniądzach z Kosowa?
- Nie rozmawiałem z nim. Nie było go w biurze. Był służbowo w Georgii.
- Znowu w Atlancie? Czy w Margrave?
- Nie mam pojęcia. Georgia to duży stan.
- Dobra - powiedział Garber. - Przepraszam, że się wtrąciłem.
- A kto jest taki drażliwy na punkcie pieniędzy z Kosowa? - spytałem.
- Nie wolno mi o tym rozmawiać - odrzekł.

* * *

Odłożyłem słuchawkę i przez chwilę siedziałem, ciężko oddychając. Potem zaniósłem nową koszulę do pokoju, położyłem na łóżku i zacząłem myśleć o czekającej mnie kolacji z Elizabeth Deveraux. Zostały trzy godziny i tylko jedna rzecz do zrobienia.

Wyszedłem z hotelu i zaułkiem między apteką a sklepem żelaznobudowlanym dotarłem do miejsca między kantorem a barem Brannan's. Tego, gdzie znaleziono ciało Janice May Chapman. Kupa piasku leżała jak poprzednio, teraz już mocno przesuszona i nieco rozwiana przez wiatr. Obszedłem ją i wyrząłem na ulicę: po jednej stronie ciągnęły się bary, po drugiej znajdował się pusty plac. Na ulicy niewiele się działo, niektóre bary były nieczynne. Baza wojskowa pozostawała zamknięta i właściciele uznali, że bez wojskowych klientów nie ma po co otwierać. Prosta kalkulacja.

Ale Brannan's był otwarty. Właściciel był niepoprawnym optymistą albo niewolnikiem wieloletniej tradycji. Wszedłem do środka i okazało się, że poza dwoma bardzo podobnymi do siebie barmanami, którzy ustawiali coś w szafce z drinkami, w lokalu nie było nikogo.

Podobieństwo barmanów wskazywało na to, że są braćmi. Po trzydziestce, jeden od drugiego starszy nie więcej niż o dwa lata, zupełnie jak ja i Joe, wyglądający na bystrzaków, co powinno mi ułatwić zadanie. Bar wyglądał jak tysiące barów, które widywałem na całym świecie w pobliżu baz wojskowych, łącznie ze stojącym w kącie automatem do gier. Sala była dość duża, zapewne kiedyś mieściła się tu nieduża restauracja. A z niedużych restauracji powstają całkiem duże bary. Wystrój wnętrza był chyba bardziej pomysłowy niż gdzie indziej: na ścianach wisiały plakaty z nocnymi widokami najpiękniejszych miast świata, żadnych miejscowych widoczków. Kiedy człowiek musi przez pół roku tkwić na jakimś zadupiu, woli, żeby mu o tym na każdym kroku nie przypominano.

- Macie tu dobrą kawę? - spytałem.

Odparli, że nie, co mnie specjalnie nie zdziwiło.

- Nazywam się Jack Reacher, służę w żandarmerii wojskowej i jestem dziś umówiony na kolację.

Popatrzyli na mnie pytającym wzrokiem.

- A to znaczy - ciągnąłem - że nie mam czasu, by siedzieć tu godzinami i stopniowo wyciągać od was potrzebne mi informacje. Dlatego musimy urządzić sesję pytań i odpowiedzi. Rozumiemy się?

Nie mieli wyboru. Właściciele barów przy bazach wojskowych dostają dreszczy na widok żandarmów, którzy z łatwością mogą wpisać ten czy inny lokal na listę miejsc zakazanych.

Na tydzień, na miesiąc, a jak trzeba, to i na stałe. Przedstawili mi się jako Jonathan i Hunter

Brannanowie, bracia i spadkobiercy lokalu założonego przez babcię w czasach świetności kolei. Sprzedawała herbatę i ciasta domowej roboty i wiodło jej się całkiem nieźle. Potem, gdy pociągi przestały się zatrzymywać i zjawiono się wojsko, ojciec przebranzowił lokal na bar z alkoholem. Bracia byli sympatyczni i mieli dobrze poukładane w głowie. Prowadzili najpopularniejszy bar w mieście i nie mogli się wypierać, że każdy do nich zagląda.

- Bywała u was Janice Chapman. Ta zamordowana.

Na końcu zdania nie postawiłem znaku zapytania.

Bez wahania potwierdzili, że bywała. Wiadomo, że u Brannanów wszyscy bywają.

- Ostatnio zawsze z tym samym chłopakiem? - upewniłem się.

Potwierdzili, że istotnie tak było.

- Co to za jeden?

- Na imię miał Reed - rzekł Hunter Brannan. - Niewiele o nim wiem poza tym, że to ktoś ważny. Można to poznać po tym, jak inni się do niego odnoszą.

- Był waszym stałym klientem?

- Wszyscy są stałymi klientami.

- Był tu tamtego wieczoru?

- To trudne pytanie. Zwykle jest tu pełno.

- Spróbujcie sobie przypomnieć.

- Wydaje mi się, że był. Przynajmniej na początku. Później go sobie nie

przypominam.

- Jakim samochodem jeździ?
- Jakimś starym gratem. Chyba niebieskim.
- Od jak dawna tu bywa?
- Gdzieś od roku. To jeden z tych, którzy się pojawiają i znikają.
- To znaczy?
- Mają tam dwie kompanie, które na zmianę dokądś wyjeżdżają. Przez miesiąc ich nie ma, potem przez miesiąc są.
- Widywaliście go tu z poprzednimi dziewczynami?
- Do takiego jak on zawsze jakaś Ignie - powiedział Jonathan Brannan.
- Kto konkretnie?
- Najładniejsza, jaka jest.
- Były białe czy czarne?
- Takie i takie. Nie miał przesądów rasowych.
- Pamiętacie imiona?
- Nie - odrzekł Hunter Brannan. - Za to pamiętam, że parę razy mu zazdrościłem.

* * *

Wróciłem do hotelu. Do kolacji zostały dwie godziny. Jedną z nich postanowiłem wykorzystać na drzemkę, byłem zmęczony, ale także dlatego, że sądziłem, iż tego wieczoru nieprędko usnę. Może nie tyle sądziłem, ile miałem nadzieję. Obudziłem się o ósmej i rozpakowałem nową koszulę. Wyszorowałem zęby wodą i pozułem listek gumy, po czym wziąłem gorący prysznic, nie żałując mydła i szamponu.

Włożyłem nową koszulę i podwinąłem rękawy do łokci. Była przyciasna na karku, więc dwa górne guziki zostawiłem rozpięte. Włożyłem buty i wypolerowałem je kolejno o spodnie.

Spojrzałem w lustro.

Wyglądałem na kogoś, kto liczy na udany podbój, co było zgodne z prawdą.

Nie mogłem nic na to poradzić.

Wyrzuciłem brudną koszulę do kosza na śmieci, wyszedłem z pokoju i wynurzyłem się z hotelu na pogrążoną w mroku ulicę. Zza pleców dobiegł mnie głos.

- Witamy ponownie, żołnierzyku.

W pobliżu stały trzy pickupy. Dwa z nich już wcześniej widziałem. Drzwi były szeroko otwarte, z wewnątrz wystawały nogi, w mroku żarzyły się ogniki papierosów, chmury dymu spowijały twarze. Zrobiłem krok w lewo, zerknąłem do tyłu i ujrzałem McKinneya z wciąż pokiereszowaną gębą. Stał pod jedną ze stłuczonych lamp hotelowych, ręce miał opuszczone wzdłuż ciała, dłonie odsunięte od bioder i wystawione kciuki. Wyglądał na gotowego do boju.

Z trzech pickupów wysypało się pięciu facetów i ruszyło w moją stronę. Dojrzałem wśród nich milczka beta, koleś „piwko na śniadanie” i motocyklistę z obolałymi plecami, ale także dwóch, których wcześniej nie widziałem. Obaj byli bardzo podobni do pozostałej czwórki, jakby ich wszystkich łączyły bliskie więzy rodzinne.

Zostałem na chodniku. Miałem przeciwko sobie sześciu przeciwników i nie chciałem, żeby któryś z nich zaszedł mnie od tyłu. Osobnik alfa zszedł z chodnika i dołączył do reszty na prawym skrzydle sześcioosobowego wachlarzyka. Rozstawili się przez całą szerokość jezdni i zatrzymali w odległości jakichś dwóch i pół, może trzech metrów ode mnie. Poza zasięgiem moich rąk, ale nie powonienia. Przybrali małpie pozy, opuszczając luźno ręce i rozczapierzając palce. Rewolwerowcy bez rewolwerów.

- Tylko sześciu? - parsknąłem. - Więcej was nie było?

Brak reakcji.

- Tylko trochę lepiej niż poprzednio - dodałem. - Liczyłem na bardziej zdecydowaną różnicę sił, jak na przykład między kompanią powietrznodesantową a dywizją pancerną. Chyba się nie zrozumieliśmy. Muszę przyznać, że jestem zawiedziony.

Brak reakcji.

- W każdym razie przykro mi, chłopcy, ale dziś nie mam czasu. Jestem umówiony na kolację.

Zrobili krok do przodu, zacieśniając szyk i stając bliżej mnie. Miałem przed

sobą sześć bladych gęb o ziemistej cerze.

- W dodatku włożyłem nową koszulę.

Brak reakcji.

W walce z sześcioma naraz najważniejsza jest szybkość działania. Każdemu wolno poświęcić tylko absolutne minimum, a to oznacza, że każdemu można zadać tylko jeden cios. Bo tyle wynosi minimum. Nie da się zadać mniej niż po jednym ciosie każdemu. Postanowiłem zacząć od środka. Razdwatrzy, łupłup. Trzeci cios będzie najtrudniejszy, bo trzeci przeciwnik będzie już w ruchu. Dwaj pierwsi nie zdążą. Będą stali jak wryci, zszokowani i zaskoczeni. Z tymi nie będzie problemu. Ale trzeci zdąży zareagować i zrobi to w sposób nieprzewidywalny. Nawet jeśli będzie miał w głowie jakiś spójny plan, to nie zdąży go zrealizować. Zareaguje panicznym odruchem.

Dlatego przygotowałem się na to, że trzeciego mogę od razu nie położyć. Może będę musiał najpierw zająć się czwartym, a w tym czasie trzeci może się rzucić do ucieczki. Na pewno co najmniej jeden z nich to zrobi. Nie spotkałem bandy opryszków dotrzymujących solidarnie pola, gdy paru pierwszych leży na ziemi.

- Chłopcy, proszę, dopiero co wzięłem prysznic - powiedziałem.

Nadal milczeli, co mnie nie zaskoczyło. Wszyscy zrobili kolejny krok do przodu, czego się spodziewałem. Ja też, bo tak nakazuje grzeczność: spotykamy się w pół drogi. Tyle że ja zamiast jednego wykonałem dwa długie kroki, przy drugim odpychając się stopą od krawężnika. Wykorzystując impet stu dwunastu kilogramów własnej wagi, walnąłem prawym prostym trzeciego od lewej z taką siłą, że wybiłbym mu wszystkie zęby, gdyby je miał. Nie miał, więc tylko jego głowa wystrzeliła do tyłu, robiąc z kręgosłupa i ramion galaretę, i facet przestał się liczyć. Zniknął z pola widzenia. Zresztą i tak już na niego nie patrzyłem, bo zająłem się jego kompanem po lewej, którego trafiłem prawym łokciem w grzbiet nosa.

Potężny cios, poparty momentem obrotowym całego skręconego w pasie

ciała i dodatkowo wzmocniony tym, że praktycznie się na niego zwałem. Zobaczyłem rozbryzg krwi w powietrzu, z całej siły się zaparłem i odwróciwszy kierunek, machnąłem tym samym łokciem do tyłu, czując na plecach oddech trzeciego rzezimieszka. Po jego reakcji i tym, jak się zatoczył do tyłu, poznałem, że trafiłem go w ucho. Pomyślałem, że być może nim będę musiał się jeszcze zająć, ale nie powstrzymało mnie to przed runięciem do przodu. Zmieniłem kąt natarcia i wymierzyłem czwartemu potężnego kopa w podbrzusze. Dało się słyszeć miłe dla ucha chrupnięcie kości, a zgiętego w pół łobuza aż podrzuciło w powietrze.

Trzy sekundy i trzech na deskach, jeden liczony do ośmiu.

Nikt nie rzucił się do ucieczki.

Warto zapamiętać: opryszki w Missisipi są twardsze od innych. Albo tylko wolniej reagują.

Piątemu udało się musnąć mnie w ramię. Albo próbował mnie uderzyć, albo rzucić mi się do gardła. Może chciał założyć nelsona i umożliwić szóstemu rzucenie się z pięściami. Trudno wyczuć. Ale cokolwiek zamierzał, jego plany zakończyły się fiaskiem. Runąłem na niego do tyłu całym ciałem, skręcając się w pasie i robiąc potężny wymach łokciem. Trafiłem go w policzek i ponownie wykorzystałem napotkany opór, aby się wybić do przodu i trafić ostatniego z szóstki. Zaczepił nogą o krawężnik i rozpaczliwie zamachał rękami. Uznałem to za zaproszenie do walnięcia go prosto w splot słoneczny, co dało taki efekt, jakbym go podłączył do prądu. Zaczął podskakiwać i kulić się w sobie, by po chwili runąć na ziemię niczym wyżęta szmata.

Facet trafiony w ucho zachowywał się tak, jakbym mu to ucho oderwał. Stał z zamkniętymi oczami i jęczał, przyciskając dłoń. Widać było, że mu nie w głowie walka, ale właśnie takich lubię najbardziej. Zamachnąłem się i walnąłem go lewym podbródkowym.

Osunął się na ziemię jak szmaciana lalka.

Odsapnąłem.

Sześciu załatwionych.

Koniec sprawy.

Charknąłem dwa razy i splunąłem na ziemię. A potem ruszyłem w stronę knajpy. Mój wewnętrzny zegar podpowiadał mi, że jest już minuta po dziewiątej.

Wszedłem do środka i okazało się, że poza kelnerką i parą właścicieli hotelu, którzy chyba byli dopiero w połowie cowieczornego rytuału, w sali nie ma nikogo. Starsza pani czytała książkę, jej mąż - gazetę. Deveraux nie było.

Poinformowałem kelnerkę, że nie będę sam, i poprosiłem o czteroosobowy stolik. Uznałem, że dwuosobowy będzie za ciasny na długie towarzyskie spotkanie. Wskazała stolik blisko wejścia, a ja udałem się do toalety.

Opłukałem twarz i umyłem ręce po łokcie ciepłą wodą z mydłem. Przeczesałem mokrymi palcami włosy. Kilka razy głęboko odetchnąłem. Adrenalina to zawzięte cholerstwo. Nigdy nie wie, kiedy odpuścić. Pomachałem rękami, pokręciłem ramionami i spojrzałem w lustro.

Włosy były w porządku. Twarz czysta.

Na koszuli była krew.

Na kieszonce. I nad nią. I pod nią. Niedużo, ale zawsze. Wyraźny rząderek kropek w kształcie przecinka. Jakby ktoś na mnie prysnął. Albo jakbym sam wszedł w rozbryzg. Co rzeczywiście zrobiłem, załatwiając drugiego z rzezimieszków. Walnąłem go w grzbiet nosa i krew trysnęła z niego jak ze spłuczki w toalecie.

- Kurwa - burknąłem pod nosem.

Stara koszula tkwiła w koszu na śmieci w moim pokoju.

Wszystkie sklepy były już zamknięte.

Pochyliłem się nad umywalką i raz jeszcze spojrzałem w lustro. Kropelki krwi wysychały i z czerwonych robiły się brązowe. Może jak wyschną, będzie można uznać, że tak ma być. Coś w rodzaju firmowego znaczka producenta lub nieregularnego wzorku. Widywałem już takie.

Jak oni to nazywają? Chyba wzorami tureckimi.

Zrobiłem głęboki wdech i wydech.

Nie mogłem nic poradzić.

Wróciłem na salę i podszedłem do stolika w chwili, gdy w drzwiach stanęła

Deveraux.

* * *

Tym razem nie była w mundurze. Przebrała się i miała na sobie srebrzystą jedwabną bluzkę, czarną spódnicę do kolan i pantofle na wysokim obcasie, a także srebrny naszyjnik. Bluzka była cienka, obcisła i krótka, rozpięta pod szyją. Spódnica opinała biodra. Deveraux była tak szczupła, że mógłbym ją objąć dłońmi w pasie. Miała zgrabne i długie nogi. Wilgotne po prysznicu włosy spływały jej luźno na ramiona. Twarz rozjaśniał uśmiech sięgający aż do olśniewających oczu.

Odsunąłem dla niej krzesło i zajęliśmy miejsca naprzeciwko siebie. Siedząc za stołem, wyglądała wiotko i schludnie. Uperfumowała się czymś subtelnym. Podobał mi się ten zapach.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała.
- Nic nie szkodzi - odparłem.
- Masz krew na koszuli.
- Naprawdę?
- Skąd?
- Ze sklepu po drugiej stronie ulicy.
- Nie koszulę. Pytam o krew. Nie zaciąłeś się przy goleniu.
- Kazałaś mi się nie golić.
- Wiem. Podoba mi się tak, jak jest.
- Ty też świetnie wyglądasz.
- Dziękuję. Postanowiłam urwać się wcześniej i zdążyłam się przebrać.
- Właśnie widzę.
- Mieszkam w hotelu.
- Wiem.
- Pod siedemnastką.
- Wiem.
- Z balkonem od ulicy.

- Widziałaś?
- Wszystko.
- No to dziwię się, że nie zrezygnowałaś z randki.
- A to jest randka?
- Randka z kolacją.
- Nie poczekałeś, żeby cię pierwsi zaatakowali.
- Gdybym poczekał, toby mnie tu nie było.
- To prawda. - Kiwnęła głową. - Byłeś dobry.
- Dzięki.

- Ale nadwerężasz mój budżet. Muszę zapłacić nadgodziny Pellegrinowi i Butlerowi, żeby się nimi zajęli. Trzeba posprzątać, zanim tych dwoje skończy kolację i wróci do hotelu. Wyborcy nie lubią ulicznych awantur.

Podeszła kelnerka, ale nie wręczyła nam karty. Deveraux jadła tu od dwóch lat trzy razy dziennie i musiała znać menu na pamięć. Zamówiła cheeseburgera, ja poprosiłem o to samo i kawę do popicia. Kelnerka zapisała i odeszła.

- Wczoraj jadłaś cheeseburgera - zauważyłem.
- Jem codziennie - odrzekła.
- Naprawdę?

Pokiwała głową.

- Codziennie robię i jem to samo.
- Jak ci się udaje nie utyć?
- Dzięki wytężonej gimnastyce umysłowej. Martwię się wieloma sprawami.
- Na przykład?
- Na przykład facetem z Oxfordu w Missisipi. To ten postrzelony w udo.

Lekarz oddał mi jego rzeczy osobiste. Miał przy sobie portfel i notes. Był reporterem.

- Z jakiejś ważnej gazety?

- Nie, wolny strzelec. Pewnie cienko prządl. Jego legitymacja prasowa była od dwóch lat nieważna. Ale w Oxfordzie wychodzi kilka alternatywnych gazet.

Pewnie szukał tematu, żeby któregoś go sprzedać.

- W Oxfordzie jest szkoła, prawda?

Deveraux ponownie pokiwała głową.

- Nazywa się Ole Miss. Równie radykalna, jak cały stan.

- Po co tu przyjechał?

- Chętnie bym go o to spytała. Może wiedział coś, co mogłabym wykorzystać.

Kelnerka wróciła z kawą dla mnie i szklanką wody dla Deveraux. Za plecami słyszałem, jak starszy pan postępuje i przekłada kolejną stronicę.

- Mój szef nadal się upiera, że pod ogrodzeniem nie ma żadnych śladów butów - powiedziałem.

- I co ty na to? - spytała.

- Sam nie wiem. Jeśli mnie okłamuje, to robi to pierwszy raz.

- Może ktoś jego okłamuje.

- Taka młoda, a tyle w tobie cynizmu.

- Sądysz, że to niemożliwe?

- Więcej niż prawdopodobne.

- I co z tym zrobisz?

- A co, robisz teraz za psycholożkę?

Uśmiechnęła się.

- Po prostu to mnie ciekawi. Mam to za sobą. Złości cię to?

- Nigdy się nie złoszczę. Mam bardzo łagodne usposobienie.

- Dwadzieścia minut temu chyba jednak się zezłościłeś.

- To było techniczne ćwiczenie, wynikające z miejsca i czasu. Nie chciałem się spóźnić na kolację. Nie byłem zły, w każdym razie nie na początku. Później trochę się wkurzyłem.

Wiesz, w myślach. Kiedy McKinneyowie przyszli we czterech, to dałem im szansę wrócenia w większej liczbie. I co robią? Przyprowadzają zaledwie dwóch więcej. Do czego to podobne? Przecież w ten sposób okazują brak szacunku.

- Myślę, że większość uznałaby stosunek sześciu na jednego za dowód dość dużego szacunku.

- Ostrzegłem ich. Powiedziałem, że musi być ich więcej. Staralem się być fair. Ale mnie nie posłuchali. Zupełnie jakbym rozmawiał z Pentagonem.

- A co tam u nich, skoro o tym mowa?

- Niedobrze. Nie są lepsi od McKinneyów.

- Martwi cię to?

- Znam takich, których to martwi.

- I słusznie. Bo armia musi się zmienić.

- Marines też.

- Może trochę - uśmiechnęła się - ale nie za bardzo. To armia jest głównym celem zmian, w dodatku łatwym. Bo armia jest nudna, a marines nie.

- Tak sądzisz?

- No daj spokój. Jesteśmy wspaniali. Mamy piękne mundury. Świetnie wykonujemy szybką musztrę. Doskonale prezentujemy się na pogrzebach. Wiesz, dlaczego marines są w tym tacy dobrzy? Bo mają świetny wizerunek i doskonałych doradców. Nasi konsultanci od wizerunku są dużo lepsi od waszych. Głównie do tego to się sprowadza. Dlatego wy straciecie bardzo dużo, my tylko trochę.

- Macie konsultantów? - zdziwiłem się.

- I lobbystów. A wy nie?

- Nie sądzę.

Pomyślałem o Stanie Lowreyu i ogłoszeniach z ofertami pracy. Kelnerka przyniosła nam jedzenie: dwa wielkie cheeseburgery ze stertami frytek. To samo jadłem dziś na lunch, ale wyleciało mi to z głowy. Byłem głodny i zacząłem pałaszować, przyglądając się Deveraux.

Uznałem to za punkt zwrotny naszej znajomości. Bo jeśli człowiek potrafi patrzeć na kogoś jedzącego, musi to coś znaczyć.

Deveraux gryzła, żuła i przełykała.

- Co jeszcze ci powiedział twój szef? - spytała.

- Sprawdzają cię.

Przerwała jedzenie i podniosła na mnie wzrok.

- Po co?

- Chcą znaleźć coś, co mógłbym przeciwko tobie wykorzystać.

Uśmiechnęła się.

- Byłam dobrą żołnierką. Obawiam się, że niewiele znajdą. Rozumiesz, co to znaczy?

Potwierdzają, że mam rację. Im mocniej się szamoczą, tym bardziej utwierdzają mnie w przekonaniu, że chodzi o czyjś tyłek w Kelham.

Wróciła do jedzenia.

- Szef grzebał też w mojej prywatnej korespondencji.

- Czytają twoją prywatną korespondencję?

- Chodzi o pocztówkę od brata.

- Dlaczego?

- Pewnie sądzili, że czegoś się dowiedzą.

- I dowiedzieli się?

- Ani trochę. Nic w niej nie było.

- Rzeczywiście są zdesperowani, nie?

- Szef mnie przeprosił.

- I słusznie.

- Zapytał, czy w treści pocztówki kryje się szyfr. Ale tak naprawdę sędzę, że od początku mówił do mnie szyfrem. Na początek wygłosił dziesięciminutowy spicz na temat moich włosów. To do niego niepodobne i chyba o to właśnie chodziło. Chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, że to nie on ze mną rozmawia i że działa pod presją z czyjś rozkazu. Robi coś, czego z własnej woli by nie zrobił.

- To miłe, że swoje problemy przerzuca na ciebie. Mógł wysłać kogoś innego.

- Tylko czy rzeczywiście mógł? Może ta sprawa od początku do końca została zaplanowana przez kogoś wyżej. Kazali mu dobrać ludzi, mnie i Munro. Może szykują się do przetrzebienia stada i poddają nas testowi na lojalność.

- Munro powiedział mi, że dużo o tobie słyszał.

- Nigdy się nie spotkaliśmy.

- W dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest być kimś znanym.

Nie odpowiedziałem.

- A gdybym tak poprosiła moich dawnych kumpli, żeby ciebie sprawdzili, co by znaleźli?

- Parę niezbyt chlubnych spraw.

- Czyli nadszedł dzień zapłaty. Ktoś trzyma cię w garści i nie może przegrać. Albo cię złamie, albo się ciebie pozbędzie. Masz jakiegoś zajadłego wroga. Przychodzi ci ktoś na myśl?

- Nie - odrzekłem.

W milczeniu dokończyliśmy jedzenie, zostawiając opróżnione do czysta talerze. Mięso, bułka, ser, frytki - wszystko zniknęło. Czułem się w pełni najedzony. Deveraux była co najmniej o połowę mniejsza ode mnie. Nie mam pojęcia, jak ona to robiła.

- Mimo to opowiedz mi o bracie - powiedziała.

- Wolę posłuchać o tobie.

- O mnie? Nie ma nic do opowiadania. Carter Crossing, korpus marines, powrót do Carter Crossing. Oto mój życiorys. Żadnych sióstr, braci. A ty ile masz rodzeństwa?

- Jednego brata.

- Starszego czy młodszego?

- O dwa lata starszy. Urodził się bardzo daleko stąd, na Pacyfiku. Dawno go nie widziałem.

- Podobny do ciebie?

- Jesteśmy dwiema wersjami jednej osoby. Podobni do siebie, z tym że on

jest ode mnie mądrzejszy, a ja jestem od niego sprawniejszy fizycznie. On poszedł bardziej w myślenie, ja w mięśnie. Według rodziców on był grzecznym dzieckiem, ja niegrzecznym.

- Czym się zajmuje?

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekłem po dłuższej chwili.

- Wykonuje tajną pracę?

- Nie, ale gdybym ci powiedział, mogłoby cię to naprowadzić na jeden z problemów wojska w tej sprawie.

Uśmiechnęła się. Była kobietą naprawdę bardzo tolerancyjną.

- Zjemy deser? - spytała.

* * *

Zamówiliśmy po porcji placaka z brzoskwiniami, takiego samego, jaki zjadłem poprzedniego wieczoru, i dzbanek kawy dla obojga, co uznałem za dobry omen. Nie bała się, że nie będzie mogła usnąć. Może sama tak to zaplanowała. Właściciele hotelu wstali od stołu i skierowali się do wyjścia, nie czekając na podejście kelnerki. Przechodząc obok, zatrzymali się przy naszym stoliku. Nikt się nie odezwał, tylko wszyscy przyjaźnie się uśmiechnęliśmy i pokiwaliśmy głowami. Przymilanie się do nas wynikało z prostej kalkulacji. Dzięki Deveraux mieli co jeść, ja byłem dla nich wisienką na torcie.

Mój wewnętrzny zegar pokazywał dziesiątą. Kelnerka przyniosła dwie porcje placaka i dzbanek kawy, ale tym razem ani jedno, ani drugie nie wzbudziło we mnie większego zainteresowania. Całą uwagę przyciągnął trzeci od góry guzik przy bluzce Deveraux. Już wcześniej zwróciłem na niego uwagę. Był pierwszym zapiętym i od niego trzeba będzie zacząć rozpinanie. Małeńki srebrzystoszary guziczek z masy perłowej. Pod nim było gołe ciało, ani szczególnie jasne, ani szczególnie ciemne, za to mocno trójwymiarowe. Patrzyłem od lewej do prawej - wybrzuszało się ku mnie, potem zapadało, potem znów sterczało ku mnie, miarowo opadając i unosząc się w rytm oddechów.

Podeszła kelnerka i zaproponowała dolewkę kawy, a ja chyba po raz pierwszy w życiu odmówiłem. Deveraux też podziękowała. Kelnerka wypisała rachunek i położyła obok mnie, treścią do spodu. Odwróciłem go i spojrzałem. Nie najgorzej. W 1997 roku wciąż można było nieźle zjeść za żołd. Położyłem na stoliku kilka banknotów, podniosłem wzrok na Deveraux i spytałem:

- Mogę panią odprowadzić do domu?
- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz - odrzekła.

Pellegrino i Butler nieźle się spisali i zdecydowanie zasłużyli na nadgodziny. Po McKinneyach nie było śladu, Main Street była cicha i pusta. Na niebie świecił księżyc, powietrze było rześkie. Deveraux w szpilkach stała się wyższa. Szliśmy tuż obok siebie na tyle blisko, że słyszałem szelest jedwabiu ocierającego się o jej skórę i czułem zapach perfum.

Dotarliśmy do hotelu i weszliśmy po skrzypiących schodkach na ganek. Otworzyłem drzwi i puściłem ją przodem. Stary siedział za kontuarem recepcji i coś gryzmolił. Oboje kiwnęliśmy mu głowami na dobranoc i wspięliśmy się schodami na górę. Weszliśmy na piętro i Deveraux powiedziała:

- No cóż, panie Reacher, dzięki za miły wieczór i kolację.

Głośno i wyraźnie.

Nawet nie drgnąłem.

Deveraux ruszyła w głąb korytarza.

Wyjęła z torebki klucz.

Włożyła do zamka w drzwiach pokoju numer siedemnaście.

Przekręciła klucz i otworzyła drzwi.

A potem głośno je zamknęła i wróciła na palcach do mnie. Położyła mi rękę na ramieniu, przytknęła wargi do ucha i szepnęła:

- To dla tego starego na dole. Muszę dbać o reputację. Nie wolno szokować elektoratu.

Odetchnąłem.

Wziąłem ją za rękę i podeszliśmy do drzwi mojego pokoju.

* * *

Oboje mieliśmy po trzydzieści sześć lat. Byliśmy ludźmi dorosłymi, nie nastolatkami. Nie rzuciliśmy się na siebie i nie zaczęliśmy zrywać z siebie ubrań. Daliśmy sobie trochę czasu, ale cóż to były za chwile. Może najlepsze w całym moim życiu.

Zaczęliśmy się całować zaraz po zamknięciu drzwi. Wargi miała chłodne i

wilgotne. Zęby drobne. Język pełen werwy. Był to cudowny pocałunek. Palce dłoni wplotłem jej we włosy, drugą dłoń położyłem na karku. Stała wtulona we mnie, ale nie była nieruchoma. Oczy miała otwarte, ja też na nią patrzyłem. Nasz pierwszy pocałunek trwał długo. Chyba z pięć minut, może nawet dziesięć. Oboje zachowywaliśmy cierpliwość, żadnemu z nas się nie spieszyło, oboje byliśmy w tym dobrzy. Mieliśmy świadomość, że pierwszy raz zdarza się tylko raz, i chcieliśmy się nim napawać.

W końcu musieliśmy zaczerpnąć powietrza. Zdjąłem koszulę, bo nie chciałem, żeby między nami była krew McKinneya. Na brzuchu mam paskudną bliznę po ranie od szrapnela.

Wygląda trochę tak, jakby zza paska spodni wypelzały macki ośmiornicy. Ohydne białawe szwy. Zwykle od tej blizny zaczyna się konwersacja, ale Deveraux tylko spojrzała i nic nie powiedziała. Przyjęła to jako coś zwyczajnego. Służyła w marines i musiała widywać gorsze rzeczy. Uniosła rękę do guzika bluzki.

- Nie, ja to zrobię - zaprotestowałem.

- To cię kręci? - Uśmiechnęła się. - Lubisz rozbierać kobiety?

- Bardziej niż cokolwiek na świecie - odparłem. - A ten guzik mam na oku od kwadrans po dziewiątej.

- Od dziesięć po. Notuję w pamięci różne zdarzenia. W końcu jestem gliną.

Ująłem jej lewą rękę i zmusiłem do wyciągnięcia otwartą dłonią ku górze. Ręka zawisała nieruchomo w powietrzu, a ja rozpiąłem guzik przy mankiecie bluzki. Potem zrobiłem to samo z prawą ręką. Jedwab bluzki lekko się rozsunął, odsłaniając szczupłe przeguby.

Położyła obie dłonie na mojej piersi, przesunęła w górę i objęła mnie od tyłu za głowę. Nasz drugi pocałunek trwał następne pięć minut. Był cudowny, jeszcze lepszy od pierwszego.

Przerwaliśmy, by zaczerpnąć powietrza, i moja ręka powędrowała do pierwszego zapiętego guzika bluzki. Jak wszystkie, ten też był malutki. I śliski.

Mam wielkie paluchy, ale jakoś mi poszło. Guzik puścił, w czym nie bez znaczenia był napór jej piersi. Przesunąłem palce do czwartego guzika, potem do piątego. Wyciągnąłem śliski jedwab bluzki z za spódnicy, nie spiesząc się, wolno i delikatnie. Przez cały czas Deveraux patrzyła na mnie, nie przestając się uśmiechać. Rozpięta bluzka zwisała luźno na jej ciele. Pod spodem miała biustonosz. Czarny, obszyty koronką, na cienkich ramiączkach. Jego miseczki były tak skąpe, że ledwo zakrywały sutki. Miała fantastyczne piersi.

Zsunąłem jej bluzkę z ramion, jedwab zaszeleścił i opadł jak spadochron na podłogę. Owionął mnie jej zapach. Znow zaczęliśmy się całować, długo i namiętnie. Ucałowałem zagłębienie między szyją a barkiem. Środkiem pleców biegła bruzda i pasek biustonosza spinał oba jej brzegi jak most. Odchyliła głowę i włosy rozsypały się po plecach. Pocałowałem ją w szyję.

- Teraz twoje buty - szepnęła i jej przelyk zadrgał pod dotykiem moich warg.

Okręciła mnie, popchnęła i posadziła na krawędzi łóżka. Uklękła przede mną i rozwiązała najpierw prawy but, potem lewy. Zsunęła oba, wetknęła kciuki w skarpetki i też ściągnęła.

- Założę się, że też z konsumu - parsknęła.

- Niecały dolar za parę. Nie mogłem się oprzeć.

Wstaliśmy i zaczęliśmy się całować. Całowałem już setki kobiet, ale byłem gotów przyznać, że żadna jej nie dorównywała. Deveraux była rewelacyjna. Poruszała się, ocierała o mnie i przebiegały ją dreszcze. Była silna, ale delikatna. Namiętna, ale nie agresywna. Spragniona, ale nie nachalna. Mój wewnętrzny zegar stanął. Mieliśmy dużo czasu i chcieliśmy w pełni wykorzystać każdą minutę.

Wetknęła palec za krawędź moich spodni i odciągnęła. Uchwyciła guzik między palec wskazujący a kciuk i rozpięła. Nie przestawaliśmy się całować. Wymacała języczek zamka błyskawicznego i bardzo wolno pociągnęła go w dół. Zrobiła to pewnym i spokojnym ruchem. Położyła ręce płasko na moich łopatkach i rozsunęła na boki ciepłe, suche, miękkie dłonie, potem powoli

zjechała nimi w dół do pasa. Wsunęła palce za brzeg rozpiętych spodni, odciągnęła materiał i wsunęła je głębiej. Pociągnęła w dół i spodnie zjechały na biodra.

I przez ten cały czas nie przestaliśmy się całować.

Przerwaliśmy na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, i wtedy Deveraux okręciła mnie, posadziła na łóżku i ściągnęła mi spodnie. Rzuciła je na zmiętoszoną koszulę na podłodze, rozłożyła ręce na boki i powiedziała:

- Mów, co mam teraz zdjąć.

- Mogę wybierać?

- Ty decydujesz.

Uśmiechnąłem się. To się nazywa decyzja! Biustonosz, spódnica, pantofle. Uznałem, że może zostać w pantoflach. Przynajmniej na razie albo nawet przez całą noc.

- Spódnicę - postanowiłem.

Bez słowa posłuchała. Spódnica była z boku zapięta na guzik i suwak. Rozpięła guzik i rozsunęła suwak bardzo powoli, centymetr po centymetrze. Spódnica opadła na podłogę, ona wyszła z niej, podnosząc najpierw jedną nogę, potem drugą. Nogi miała długie, gładkie i opalone. Małe majteczki były czarne. Skrawek ciemnego materiału.

Został już tylko biustonosz, majtki, pantofle. Wciąż siedziałem na łóżku. Usiadła mi na kolanach. Uniosłem jej włosy i pocałowałem w ucho, wodząc koniuszkiem języka po jego obrysie. Czułem jej policzek przy swoim i czułem, że się uśmiecha. Pocałowałem ją w usta, ona mnie w ucho. Przez dwadzieścia minut poznawaliśmy każdą wypukłość naszych twarzy.

A potem zeszliśmy niżej.

Rozpiąłem jej biustonosz. Sfrunął lekko jak piórko. Schyliłem głowę, ona odchyliła swoją, wypinając ku mnie piersi. Były twarde, krągłe i gładkie. Sutki nabrzmiałe i wrażliwe.

Cichutko jęknęła. Ja też. Przekręciła się i pocałowała mnie w pierś.

Uniosłem ją z kolan i położyłem na łóżku, potem ona pociągnęła mnie na siebie. Spędziliśmy dwadzieścia cudownych minut, wzajemnie odkrywając górne połowy naszych ciał.

A potem zeszliśmy niżej.

Leżałem na plecach. Uklękła i ściągnęła ze mnie bokserki. Uśmiechnęła się. Ja też. Po upływie cudownych chwil zamieniliśmy się miejscami. Zsunąłem jej majtki z bioder, a ona uniosła kolana, pomagając w ich pozbyciu się. Wtuliłem twarz między jej uda. Była słodka i wilgotna. Bez skrępowania zaczęła się poruszać, rzucając głową na boki, prężąc ramiona i wgniatając ciało w materac. Wplotła palce w moją czuprynę.

Wreszcie nadszedł ten moment. Zaczęliśmy łagodnie. Długo i powoli, długo i powoli.

Głęboko i spokojnie. Spłonęła rumieńcem i westchnęła. Ja też. Długo i powoli.

A potem szybciej i mocniej.

Oboje już sapaliśmy.

Szybciej, mocniej, szybciej, mocniej.

Sapanie.

- Zaczekaj - syknęła.

- Co?

- Czekaj, czekaj. Nie teraz. Jeszcze nie. Wolniej.

Długo i powoli. Długo i powoli.

Ciężkie oddechy.

Sapanie.

- Tak - jęknęła. - Tak. Teraz. Teraz. TERAZ!

Szybciej i mocniej.

Szybciej, mocniej. Szybciej, mocniej.

Pokój zaczął wibrować.

Z początku bardzo lekko, jakby przebiegły po nim dreszcze, jakby

rejestrował dalekie trzęsienie ziemi. Drzwi balkonowe zabrzęczały w futrynie. Zadzwoiła szklanka na półce nad umywalką. Zadrzała podłoga. Drzwi lekko zaskrzypiały. Moje buty na podłodze nieco się przesunęły. Zagłówek łóżka lekko postukał w ścianę. Podłoga mocniej zadrzała. Ściany zajęczały. Monety w kieszeni spodni zabrzęczały. Całe łóżko zadrzało i leciutko się przesunęło po wibrującej podłodze.

A potem nocny pociąg przemknął przez Carter Crossing i wszystko się uspokoiło. Wokół nas i w nas.

Leżeliśmy nadzy i złani potem, trzymając się za ręce, ciężko dysząc i wpatrując się w sufit.

- Od dwóch lat chciałam to zrobić - szepnęła Deveraux. - Ten cholerny pociąg. Niech się chociaż na coś przyda.

- Jeśli kiedyś zbuduję dom, to postawię go tuż przy torach. To mogę ci obiecać.

Przesunęła się i przytuliła, a ja objąłem ją ramieniem. Leżeliśmy cudownie zmęczeni i zaspokojeni. W głowie śpiewał mi Blind Blake. Kiedyś słuchałem jego piosenek przegranych ze starych trzeszczących siedemdziesiątekósemek. Trzaski i szorowanie igły po wiekowym ebonicie niemal zagłuszały jego tęskny głos i wirtuozerskie dźwięki gitary, wygrywającej „pociągowy” rytm. Blake był niewidomy. Od urodzenia. Nigdy w życiu nie widział pociągu, ale niewątpliwie musiał wiele razy go słyszeć.

Deveraux spytała, o czym myślę, a ja jej odpowiedziałem.

- To ten, o którym pisał brat - dodałem.

- Ciągłe jesteś na nich wkurzony? - spytała.

- Bardziej zde gustowany niż wkurzony - odrzekłem.

- Dlaczego?

- Bo cała misja była błędem. Nie powinni wysyłać mnie jako kogoś z boku. Nie w tych okolicznościach. Bo zaczynam myśleć o nich jako... o nich. A nie jako o nas.

* * *

Później bez zapału omówiliśmy kwestię jej powrotu do siebie na resztę nocy. Reputacja, elektorat, te rzeczy. Powiedziałem, że kiedy stary zajrzał do mnie, żeby zawiadomić o telefonie od Garbera, nie omieszkał czujnie rozejrzeć się po pokoju. Odrzekła, że gdyby miało się to powtórzyć, wystarczy, jeśli pozwlekam z otwarciem drzwi, to zdąży się schować w łazience. Powiedziała, że do niej bardzo rzadko ktoś zagląda. A gdyby przypadkiem mieli zapukać rano

i nikt im nie otworzy, na pewno uznają, że wyjechała do wezwania. Co było całkiem prawdopodobne. W końcu pracy jej nie brakowało.

A potem dodała:

- Może Chapman robiła to co my. Myślę o tych zadrapaniach na żwirze. Ze swoim kochasiem, kimkolwiek był. O północy za domem, romantycznie, pod gwiazdami. Stamtąd do toru jest blisko. Wrażenie w plenerze musi być niesamowite.

- Niewątpliwie - potwierdziłem. - Wczoraj o północy byłem tuż przy torze. To było jak koniec świata.

- A czas by się zgadzał? Chodzi mi o stan jej zadrapań.

- Jeśli uprawiała seks o północy, to zabito ją około czwartej nad ranem. O której ją znaleziono?

- Tego samego dnia o dziesiątej wieczorem, po osiemnastu godzinach. Pewnie pojawiły się już pierwsze symptomy rozkładu.

- Zapewne tak, ale kompletnie wykrwawione ciała zachowują się dość dziwnie. Trudno ustalić dokładną godzinę zgonu, a wasz pan doktor na Sherlocka Holmesa mi nie wygląda.

- Uważasz, że mogło tak być?

- Musielibyśmy jeszcze wyjaśnić, dlaczego później się przebrała i włożyła rajstopy. Gdzieś między północą a czwartą rano.

Przez chwilę się nad tym zastanawialiśmy, potem jednak ogarnęła nas senność. Nie mieliśmy już nic więcej do powiedzenia o sukienkach i rajstopach ani o wyborcach, pokojach hotelowych i reputacji. Wkrótce usnęliśmy wtuleni w siebie, bez przykrycia, spowici nocną ciszą w zapadłym zakątku stanu Missisipi.

* * *

Cztery godziny później nie spałem, raz jeszcze utwierdzając się w moim wieloletnim przeświadczeniu, że najlepszy jest drugi raz. Można zapomnieć o wszystkich formalnych sztucznościach pierwszego razu. Opuścić sobie

wszelkie triki, jakie obie strony stosują, by tej drugiej zaimponować. Człowiek porusza się po już jako tako znajomym terenie, nie utraciwszy fascynacji nowością. Z grubsza wiadomo, co komu odpowiada, a co nie. Za drugim razem człowiek jest gotów zaszaleć.

I tak właśnie zrobiliśmy.

Po wszystkim Deveraux ziewnęła, przeciągnęła się i powiedziała:

- Jesteś całkiem niezły jak na żołnierzyka.
- A ty jesteś świetna jak na żołnierkę marine.
- Lepiej uważajmy, żeby jakieś uczucie się nie przyplątało.
- A co to takiego?
- Co?
- Uczucie.

Na moment zamilkła.

- Mężczyźni powinni bardziej kierować się uczuciami.
- Jeśli najdą mnie jakieś uczucia, to dowiesz się o tym pierwsza.

Przyrzekam.

Znów na moment zamilkła, potem parsknęła śmiechem, i bardzo dobrze.

Pamiętajcie, że był rok 1997. A w tamtych czasach różnie mogło być.

Po raz drugi obudziłem się o siódmej i zacząłem myśleć o ciąży.

Otworzyłem oczy i ujrzałem Elizabeth Deveraux. Siedziała na łóżku sztywno wyprostowana, z nogami skrzyżowanymi jak w jednej z pozycji jogi. Była kompletnie naga i zupełnie tym nieskrępowana. I bardzo piękna. Jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem, zapewne najpiękniejsza, jaką oglądałem nago, i z całą pewnością najpiękniejsza, z którą się kochałem.

Ale widać było, że już jej to nie w głowie. Siódma rano, początek dnia pracy. Żadnych „do trzech razy sztuka”. W każdym razie nie teraz.

- Te trzy kobiety musiało łączyć coś jeszcze - powiedziała.

Nie zareagowałem.

- Sama uroda to coś zbyt subiektywnego. To tylko czyjaś opinia - dodała.

Milczałem.

- No co? - obruszyła się.

- W ich przypadku to nie była tylko czyjaś opinia - powiedziałem.

- No to mamy do czynienia z dwoma czynnikami, które się nałożyły.

Wszystkie trzy były piękne, ale musiało je łączyć coś jeszcze.

- A może wszystkie trzy były w ciąży?

* * *

Omówiliśmy tę ewentualność. Na pewno wszystkie nadawały się do stałego związku.

Mieszkały w pobliżu bazy wojskowej. Zajścia w ciążę zdarzają się zwykle w sposób niezamierzony, choć czasem celowo. Czasem kobietom się zdaje, że włóczenie się z jednej bazy do drugiej z niemowlęciem przy piersi jest lepsze niż bycie samotną panną w dziurze, w której się urodziły. Zapewne w większości przypadków się mylą, ale nie zawsze. Na przykład mojej mamie to odpowiadało.

- Ze słów brata Shawny Lindsay wynikało, że marzyła, żeby się stąd wyrwać - przypominałem.

- Jednak Chapman nie urodziła się tutaj. Przyjechała z własnego wyboru i

nie potrzebowała niczyjej pomocy, żeby się stąd wyrwać. Mogła wszystko sprzedać, wsiąść w swoją hondę i wyjechać.

- No to w jej przypadku było to niezamierzone. Zwykła wpadka. Nawiasem mówiąc, w domu nie widziałem żadnych środków antykoncepcyjnych.

Nie odpowiedziała.

- A ty gdzie trzymasz swoje? - spytałem.

- Na półce w łazience. W hotelu nie ma apteczek.

- Czy Rosemary McClatchy też chciała stąd wyjechać?

- Nie wiem. Pewnie tak. Co by tu miała robić?

- Lekarz zrobił im testy ciążowe?

- Nie - odrzekła Deveraux. - W dużym mieście pewnie by je zrobili, ale nie tu. Merriam podpisał świadectwo zgonu, określił przyczynę śmierci i nic więcej. Diagnoza za pięćdziesiąt centów, pamiętasz?

- Chapman nie wyglądała na ciężarną.

- U niektórych kobiet całymi miesiącami nic nie widać.

- Myślisz, że Rosemary McClatchy przyznałaby się matce?

- Nie mogę jej o to spytać - zachnęła się Deveraux. - To nie wchodzi w rachubę. Nawet nie mogę zasiać wątpliwości w umyśle Emmeline, rzuciłabym cień na pamięć jej córki.

- W życiu Shawny Lindsay było coś, o czym jej brat nie chciał mówić.

Jestem tego pewny.

Może to coś ważnego. Powinnaś z nim porozmawiać. Ma na imię Bruce. Nawiasem mówiąc, chłopak wybiera się do wojska.

- Nie do marines?

- Wygląda na to, że nie.

- Dlaczego? Bo oczerniłeś przed nim marines?

- Zachowałem się absolutnie fair.

- Sądzisz, że będzie chciał ze mną rozmawiać? Wydaje się wrogo usposobiony.

- Jest w porządku. Brzydki jak cholera, ale w porządku. Wygląda na to, że ciągnie go do wojska. Chyba mu pasuje słuchanie rozkazów. Jesteś marine i szeryfem. Odpowiednio go podejź, to stanie na baczność i jeszcze ci zaszaluje.

- Może tak zrobię. Dzisiaj do niego pojedę.

- U wszystkich mogła być ciąża nieplanowana - powiedziałem. - Dopiero po jej odkryciu mogły się zastanawiać nad tym, co robić dalej. Jeśli były zadowolone z układu, mogły wybrać inne wyjście. Albo zostać do tego namówione.

- Masz na myśli aborcję?

- Czemu nie?

- Aborcja w Missisipi? Musiałyby przejechać setki kilometrów na północ.

- Może właśnie dlatego Janice Chapman przebrała się o czwartej rano. Miała przed sobą daleką drogę i chciała wcześniej wyruszyć. A może ten jej kochaś miał ją gdzieś zawieźć, na przykład na popołudniową wizytę u ginekologa, a potem mieli przemocować w hotelu. Może już myślała o rozmowie z recepcjonistką i siedzeniu w poczekalni w oczekiwaniu na zabieg.

Dlatego tak się ubrała. Elegancko, ale nie wyzywająco. I może spakowała podręczne rzeczy do torby. Bo to następna rzecz, której nie znaleźliśmy u niej w domu. Torba podróżna.

- Tego się nie dowiemy - stwierdziła Deveraux - chyba że odnajdziemy jej kochasiów.

- Lub kochasia, w liczbie pojedynczej. To mógł być ten sam facet.

- Romansował z trzema?

- Niewykluczone.

- Ale bez sensu. Po co umawiałby spotkanie w klinice aborcyjnej, a potem mordował kilometr od domu? Dlaczego ich nie zawiózł i nie pozbył się kłopotu?

- Bo to może ktoś, kto nie mógł pozwolić sobie ani na dziewczynę w ciąży, ani na skojarzenie jego nazwiska z kliniką aborcyjną.

- Chodzi o żołnierza. Nie o polityka czy klechę.

Nie zareagowałem.

- Tyle że może mieć klechów lub polityków w rodzinie - dodała Deveraux. - Musi unikać sytuacji dla nich kompromitujących.

Podłoga na korytarzu lekko zaskrzypiała i rozległo się ciche pukanie do drzwi. Natychmiast rozpoznałem ten dźwięk. Starszy pan z recepcji. Wyobrażałem sobie jego szuranie nogami, wolne uniesienie ręki, pozbawione energii stukanie palcami obleczonymi cienką jak papier skórą.

- Cholera - szepnęła Deveraux.

Nagle staliśmy się nastolatkami, przyłapanymi na gorącym uczynku. Niemal wpadliśmy w panikę. Deveraux stoczyła się z łóżka i chwyciła naręczce ciuchów, wśród których znalazły się też moje spodnie. Musiałem je wyszarpnąć z jej garści, inne części garderoby rozsypały się po podłodze. Deveraux zaczęła je zbierać, a ja - walczyć ze spodniami, próbując je wciągnąć. Oczywiście zaplątałem się w nogawki i runąłem na łóżko, Deveraux wpadła do łazienki, zostawiając po sobie ślad w postaci rozrzuconej na podłodze bielizny. Udało mi się wciągnąć spodnie w chwili, gdy stary zapukał po raz drugi. Pokuśtykałem do drzwi, kopiąc po drodze bieliznę w stronę łazienki. Deveraux wyskoczyła, pospiesznie ją zebrała i ponownie skryła się w łazience, ja zaś uchyliłem drzwi.

- Dzwoni pańska narzeczona - powiedział stary. Głośno i wyraźnie.

Zbiegłem na dół bosy, mając na sobie tylko spodnie. Słuchawka leżała odłożona w kantorku za recepcją i, jak poprzednio, stary dyskretnie się wycofał. Dzwoniła Karla Dixon, kumpelka od finansów. Była jedną z założycielek Sto Dziesiątej Jednostki Specjalnej. Po Frances Neagley moja numer dwa. Domyśliłem się, że Stan Lowrey przekazał jej pytanie o pieniądze z Kosowa, więc postanowiła zadzwonić bezpośrednio do mnie.

- Dlaczego powiedziałaś, że jesteś moją narzeczoną? - burknąłem.

- W czymś ci przeszkodziłam? - parsknęła.

- Niezupełnie, ale i tak słyszała.

- Elizabeth Deveraux? Neagley nam o niej opowiadała. Już ją dopadłeś?

- W dodatku będę musiał się tłumaczyć.

- Powinieneś bardziej na siebie uważać, Reacher.

- Neagley mi to powtarza.

- I tym razem ma rację. Łączą w sierżanckiej siatce aż grzeją się od plotek, i to do czerwoności. Gwałtownie szukają haka na Deveraux.

- Wiem o tym od Garbera. Tracą czas.

- Nie sądzę. Nagle wszystko przycichło.

- Bo niczego nie znaleźli.

- Przeciwnie, bo znaleźli. Wiesz, jak działa biurokracja. „Nie” jest łatwo powiedzieć. Cisza oznacza „tak”.

- A gdyby ciebie sprawdzili, to co by znaleźli?

- Mnóstwo.

- Albo mnie?

- Aż się boję pomyśleć.

- Otóż to. Nie ma się czym przejmować.

- Wierz mi, Reacher, coś jest na rzeczy. Mówię serio. Radziłabym ci trzymać się od niej z daleka.

- Za późno. Zresztą i tak nie wierzę. Była dobrą marine.

- Kto ci to powiedział?

- Ona.

W słuchawce zaległa cisza.

- Co jeszcze? - spytałem.

- Z Kosowa nie idą żadne pieniądze. Ani grosza. Ktokolwiek to podejrzewa, traci czas. Tego tematu nie ma.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

- Węszą, czy nie mam jakichś wiadomości od Joego.

- Tracą tylko czas - powtórzyła. - Zresztą Departament Skarbu i tak by nic nie wiedział.

W grę musiałyby wchodzić miliardy, żeby mogli być w to zamieszani. A nie wchodzi. Nie tylko miliardy, ale nawet dolary i centy. Nie ma nic. Ktoś panikuje, i tyle. Szamoczą się i szukają czegoś, czego nie ma.

- W porządku, dobrze wiedzieć. Dzięki.

- To była ta dobra wiadomość - powiedziała Dixon.

- A zła?

- Znajomy znajomego ma dostęp do akt Kosowa i twierdzi, że akta ostatnio bardzo spuchły.

- Od czego?

- Na przykład od informacji o dwóch miejscowych kobietach, które znikły bez śladu.

* * *

Dixon powiedziała, że w ciągu minionych dwóch lat w Kosowie zniknęły bez śladu i bez żadnego powodu dwie miejscowe kobiety. Nie miały kłopotów rodzinnych, obie były niezamężne, mieszkały w pobliżu amerykańskich jednostek wojskowych i obie bratały się z żołnierzami.

- Nadawały się na stałe związki - dodała Dixon.

- Ładne?

- Nie widziałam zdjęć.

- Przeprowadzono dochodzenie? - spytałem.

- Potajemnie - odrzekła Dixon. - Pamiętaj, że w oczach reszty świata nas tam nie ma.

Dlatego posłali faceta z Niemiec. Oficjalnie w drodze do Włoch na jakieś natowskie pierdzenie w stołek, ale celem było Kosowo. Szczegóły jego podróży nie zostały utajnione i są w aktach.

- I co dalej?

- Jako amerykański patriota na pewno ucieszysz się, że wszyscy członkowie amerykańskich sił zbrojnych w Kosowie są niewinni jak noworodki. Nikt w mundurze nie popełnił żadnego przestępstwa.

- I dochodzenie jest zamknięte, tak?

- Na cztery spusty.

- Kto je prowadził?

- Niejaki major Duncan Munro.

* * *

Skończyłem rozmowę z Dixon i wróciłem na górę. Deveraux już nie było. Podszedłem do jej pokoju, lecz drzwi okazały się zamknięte na klucz, a ze środka dochodził szum prysznic.

Zapukałem, ale nie zareagowała. Wróciłem do siebie też wziąć prysznic i po piętnastu minutach wróciłem pod jej drzwi już w pełni ubrany, w środku jednak panowała głucha cisza.

Zajrzałem do knajpy, ale tam również jej nie było. Nie było też jej samochodu na policyjnym parkingu. Stałem na chodniku, nie bardzo wiedząc, dokąd pójść, z kim porozmawiać ani co zrobić. Nie miałem też pojęcia, że z godziny, która miała wszystko zmienić, zostało już tylko pięćdziesiąt dziewięć minut.

Przez następne pół godziny kręciłem się po chodniku, głównie beczynn timerze podpierając ścianę.

Nieźle opanowałem tę umiejętność, niezbędną w moim zawodzie. Znam takich, którzy są ode mnie lepsi, ludzie, którzy całymi godzinami, dniami lub tygodniami czekają na coś, co ma się wydarzyć.

W końcu doczekałem się faceta z miarką na szyi. Oderwałem się od ściany, przeszedłem na drugą stronę ulicy i wszedłem za nim do środka. Facet zajął się otwieraniem przeróżnych zamków i kłódek, ja ruszyłem prosto do sterty koszul. Znalazłem taką samą, jaką kupiłem wczoraj, i położyłem ją na ladzie.

- Na zapas? - Sprzedawca się uśmiechnął.

- Nie - odrzekłem. - Ta mi się pobrudziła.

Facet przechylił się przez ladę i przyjrzał mojej kieszonce. Widziałem, jak wodzi wzrokiem po plamkach krwi.

- Jestem pewny, że to da się sprać - powiedział. - Zimną wodą, może z odrobiną soli.

- Sól?

- Sól i zimna woda pomagają usunąć ślady krwi. Gorąca je utrwała.

- Obawiam się, że hotel Toussaint's nie oferuje wyrafinowanych usług pralniczych. Zresztą nie sądzę, by oferowali jakiegolwiek. Nawet nie podają kawy w salonie.

- Mógłby pan zabrać koszulę do domu.

- Jak to?

- Normalnie, w walizce.

- Łatwiej ją wymienić.

- Ale to dużo drożej.

- W porównaniu z czym? Ile kosztuje walizka?

- Walizka by panu została. Mógłby jej pan używać latami.

- Myślę, że jednak kupię nową koszulę. Może pan nie pakować.

Zapłaciłem, wszedłem do przymierzalni i zaciągnąłem zasłonkę. Zdjąłem starą koszulę, włożyłem nową i wróciłem do lady.

- Ma pan kosz na śmieci? - spytałem.

Faceta na moment zatkało, schylił się jednak za ladę, wyjął metalowy pojemnik i niepewnym ruchem wyciągnął ku mnie. Zwinąłem poplamioną koszulę w kłęb i wykonałem precyzyjny rzut za trzy punkty z dystansu trzech metrów, co facetem wręcz wstrząsnęło. Bez słowa wyszedłem i przeszedłem na drugą stronę ulicy na śniadanie. I dalszy ciąg czekania.

Wiedziałem, że najpewniej spotkam Deveraux w knajpie. Kobieta, która je tyle co ona, nie wytrzyma bez posiłku.

* * *

Okazało się, że wystarczyło poczekać niecałe dwadzieścia minut. Zjadłem jajecznicę i kończyłem właśnie trzecią filiżankę kawy, gdy do środka weszła Deveraux. Dostrzegła mnie od drzwi i na moment się zawahała. Znów była w mundurze, włosy ściągnęła do tyłu i związała w koński ogon. Wyglądała prześlicznie.

Nabrałem powietrza i odsunąłem nogą krzesło przy swoim stoliku. Nie zareagowała i tylko po jej oczach poznałem, że się zastanawia. Prześlizgnęła się wzrokiem po innych stolikach.

Widać uznała, że wybranie innego stolika może doprowadzić do gorszącej sceny, a musiała się liczyć z wyborcami i dbać o reputację. Podeszła, ale odsunęła krzesło o dobre trzydzieści centymetrów od stołu i usiadła ze złączonymi nogami i rękami złożonymi na kolanach.

- Nie mam narzeczonej - oznajmiłem - ani dziewczyny.

Nie odpowiedziała.

- Zadzwoiła koleżanka z żandarmerii - ciągnąłem. - Wszyscy mają fioła na punkcie utajniania swojej tożsamości. Chyba ich to rajcuje. Na przykład szef podaje się za mojego wujka.

Deveraux milczała.

- Nie sposób udowodnić, że czegoś nie ma.
- Jestem głodna - powiedziała. - Po raz pierwszy od dwóch lat zapomniałam o śniadaniu.

- Bardzo przepraszam.
- Za co? Jeśli to prawda, nie masz za co przepraszać.
- To prawda. A przepraszam za swoją koleżankę.
- To była ta twoja sierżant? Ta Neagley?
- Nie, ta nazywa się Karla Dixon.
- I czego chciała?
- Chciała mnie poinformować, że nikt w Kelham nie jest zamieszany w przekręty finansowe.

- Skąd może to wiedzieć?
- Wie wszystko o wszystkim, co nosi na sobie symbol dolara.
- A kto powiedział, że ludzie z Kelham są zamieszani w przekręty?
- Szefostwo. Pewnie teoretycznie było to możliwe. Tak jak sama powiedziałaś, są zdesperowani.

- Gdybyś miał narzeczoną, tobyś ją zdradzał?
- Chyba nie, ale z tobą miałbym ochotę.
- Już wcześniej się sparzyłam.
- Aż trudno w to uwierzyć.
- Ale tak było. I nie jest to przyjemne.
- Rozumiem. - Kiwnąłem głową. - Mogę cię zapewnić, że wczoraj wieczorem nie było się czym sparzyć.

Umilkła, a ja poczułem, że obraca w myślach te dwa słowa: wczoraj wieczorem. Ruchem ręki przywołała kelnerkę i zamówiła francuski tost. Tak jak wczoraj.

- Dzwoniłam do Bruce'a Lindsaya - powiedziała. - Brata Shawny.
Wiedziałaś, że mają w domu telefon?

- Tak. Nawet z niego skorzystałem. Karla Dixon zadzwoniła w odpowiedzi

na mój telefon z domu Lindsayów.

- Po południu się z nim spotkam. Myślę, że się nie mylisz. Rzeczywiście ma mi coś do powiedzenia.

„Mi”, nie „nam”.

- To był głupi żarcik koleżanki z wojska. Nic więcej.

- Obawiam się, że jest problem z tymi odciskami palców. Tymi z domu Janice May

Chapman. Prawdę mówiąc, sama sobie jestem winna.

- Jaki problem? - spytałem.

- Butler ma znajomą w policji miejskiej w Jackson, z czasów, gdy odbywał tam szkolenie z daktyloskopii. Sama go namawiałam, żeby podrzucił jej nasze odciski do obróbki, bo oszczędzamy na tym kupę forsy. Nie mamy na to oddzielnego budżetu. Tyle że tym razem znajoma Butlera spieprzyła sprawę, a ja nie mogę mu kazać, żeby ją ponownie prosił.

- Jak to: spieprzyła?

- Pomyliła numery spraw. Odciski Chapman trafiły do teczki niejakiej Audrey Shaw i dostaliśmy wyniki badań odcisków w sprawie Shaw. Osoby zatrudnionej w jakiejś agencji rządowej, co Chapman z całą pewnością nie dotyczy. Chyba że Audrey Shaw była poprzednią właścicielką domu kupionego przez Chapman, co by znaczyło, że sprawę spieprzył Butler, bo szukał odcisków nie tam, gdzie trzeba, albo ty, bo do tego dopuściłeś.

- Butler zrobił dokładnie to, co powinien. Zajrzał wszędzie tam, gdzie trzeba. Odciski nie należały do poprzedniej właścicielki domu. Musiałaby się zakraść i w środku nocy skorzystać ze szczoteczki do zębów Chapman. To po prostu jedna z tych niefortunnych pomyłek. Takie wpadki się zdarzają.

- Opowiedz mi jeszcze raz o porannym telefonie.

- Zadzwoiła major Karla Dixon z Trzystu Dwudziestej Dziewiątej. Miała mi do przekazania informacje. To wszystko.

- Przedstawiła się jako narzeczona dla żartu?

- Nie próbuj mnie przekonywać, że marines robią lepsze dowcipy.
- Ładna?
- Bardzo miła.
- Była kiedyś twoją dziewczyną?
- Nigdy.

Deveraux zamilkła. Czuję, że walczy ze sobą i zaraz podejmie decyzję, a ja prawie na pewno zostanę ułaskawiony. Jednak nie było mi dane tego doczekać. Już miała coś powiedzieć, gdy drzwi z impetem się otworzyły i stanęła w nich dyspozytorka z biura szeryfa.

Zamarła z jedną ręką na klamce, drugą wspartą o framugę i potoczyła rozjarzonym wzrokiem po sali. Z trudem łapała powietrze i ciężko dyszała. Wyglądało, że całą drogę biegła. Dojrzała Deveraux i wykrzyknęła:

- Mamy następnego!

Butler jechał do Fort Kelham, gdzie miał zluzować Pellegrina na wachcie pod bramą, gdy około dwóch kilometrów od miasteczka przypadkiem spojrzął w lewo i niedaleko od drogi dostrzegł podejrzany kształt. Pięć minut później łączył się z biurem szeryfa, przekazując złą wiadomość, półtorej minuty po tym dyspozytorka wbiegła do knajpy. Po kolejnych dwudziestu sekundach Deveraux i ja siedzieliśmy w radiowozie, gnając w stronę Kelham. Na miejsce dotarliśmy niecałe dziesięć minut od chwili zauważenia przez Butlera podejrzanego kształtu.

Tyle że pośpiech i tak nie miał znaczenia.

Zaparkowaliśmy tuż za radiowozem Butlera i wysiedliśmy. Znajdowaliśmy się na głównej szosie biegnącej w linii wschód-zachód, jakieś trzy kilometry za ostatnimi zabudowaniami

Carter Crossing i niecałe dwa przed Kelham, mając wokół porośnięte chaszczami pole, przed sobą las obrastający ogrodzenie bazy, a za sobą las ciągnący się wzdłuż linii kolejowej.

Zbliżało się południe, niebo nad naszymi głowami było czyste i błękitne. Było ciepło, nie wiał nawet najłżejszy wiaterek.

Dojrzałem kształt, który przyciągnął uwagę Butlera. Mógł być głazem, mógł być stertą śmieci, ale nie był ani jednym, ani drugim. Z tej odległości wyglądał na coś ciemnego, lekko wybruszonego, nieco wydłużonego i rozciągniętego na ziemi. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Widziane z odległości osiemdziesięciu metrów mogły to być zwłoki drobnej kobiety, przy stu dwudziestu metrach równie dobrze mógł to być rosły mężczyzna.

- Nienawidzę tej roboty - jęknęła Deveraux.

Butler stał w zaroślach w połowie drogi do zwłok. Ruszyliśmy w jego stronę i bez słowa go minęliśmy. Wyglądało na to, że odległość od szosy do zwłok wynosi niemal równo sto metrów, a to znaczyło, że nie chodzi ani o drobną kobietę, ani o rosłego mężczyznę. To musiało być coś pośredniego. Wysoka

kobieta lub nieduży mężczyzna.

Albo jakiś nastolatek.

W tym momencie zniekształcone proporcje wydały mi się znajome i zacząłem biec.

* * *

Z odległości dwudziestu metrów jeszcze miałem wątpliwości. Z odległości dziesięciu - byłem prawie pewny. Z trzech zdołałem rozpoznać rysy. Nie było mowy o pomyłce. Zwłoki należały do Bruce'a Lindsaya. Szesnastoletniego brzydala. Młodszego brata Shawny Lindsay.

Leżał na brzuchu, nogi miał rozrzucone na boki, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, wielka głowa była zwrócona twarzą do mnie. Usta miał lekko rozchylone, ciemne, głęboko osadzone oczy patrzyły martwo.

Deveraux i ja nawet nie staraliśmy się stosować do zaleceń protokołu oględzin miejsca zbrodni. Kręciliśmy się, dotykając zwłok, po czym obróciliśmy je na plecy i znaleźliśmy ranę wlotową po lewej stronie klatki piersiowej. Dość wysoko, blisko pachy. Rany wylotowej nie było. Kula wdarła się w ciało, zmasakrowała serce, przerwała rdzeń kręgowy i zahaczywszy o kość, zmieniła kierunek i wytraciła impet. Musiała wciąż tkwić w środku.

Ukląknęłam i rozejrzałam się wokół. Jeśli chłopak szedł na wschód, strzelano do niego z lewej, od północy. Niemal na pewno zrobił to strzelec, który wyszedł z lasu otaczającego ogrodzenie Kelham, skąd obserwował porośnięte chaszczami pole. Kordon sanitarny wokół bazy.

- Dziś rano z nim rozmawiałam, niecałą godzinę temu - powiedziała Deveraux. - Umówiliśmy się u niego w domu, więc skąd się wziął tutaj?

Nie miałem ochoty się nad tym zastanawiać.

- Miał jakiś sekret, pewnie dotyczący Shawny. Czuł, że wydobędziesz z niego tę tajemnicę, i dlatego nie czekał na ciebie w domu.

- Dokąd szedł?

- Do Kelham.

- Tym pustkowiec? Gdyby szedł do Kelham, trzymałby się szosy.
- Bał się, że ktoś go zobaczy. Wstydził się obcych z powodu swojego wyglądu. Idę o zakład, że z reguły unikał dróg.

- Jeśli wstydził się obcych, to po co miałby iść do Kelham? Na samej wartowni natknąłby się na kilkunastu.

- Poszedł, bo go przekonałem, że mu tam nie zrobią nic złego. Wmówiłem mu, że żołnierze są inni, że go mile przyjmą.

- Przyjmą w jakiej sprawie? W Kelham nie organizują zwiedzania z przewodnikiem.

Chłopak miał na sobie drelichowe spodnie, trochę podobne do moich, gładką granatową bluzę i ciepłą kurtkę. Podczas przekręcania zwłok poły kurtki rozsunęły się i ujrzałem wystającą z wewnętrznej kieszeni złożoną kartkę papieru.

- Sprawdź co to - poradziłem.

Deveraux wyjęła kartkę z kieszeni. Sprawiała wrażenie urzędowego dokumentu, papier był gruby, trzykrotnie złożony i dość stary. Zapewne pochodził sprzed szesnastu lat. Deveraux rozłożyła kartkę i przyjrzała się tekstowi.

- To jego metryka - powiedziała.

Wziąłem dokument z jej rąk. Władze stanu Missisipi potwierdzały narodziny dziecka płci męskiej, z rodziców o nazwisku Lindsay, o imieniu Bruce, urodzonego w Carter Crossing osiemnaście lat temu. Data urodzenia została przerobiona niezbyt fachowo, choć widać było, że poświęcono temu dużo cierpliwej pracy. Dwie cyfry skrupulatnie wyskrobano i zastąpiono innymi. Kolor atramentu i charakter pisma były starannie dobrane, wprowadzoną zmianę zdradzała jedynie lekko zmatowiała powierzchnia papieru. Ale dla uważnego oka zmiana była wyraźnie dostrzegalna.

- To moja wina.

- Jakim cudem?

Pamiętam, jak powiedziałem mu, żeby poszedł prosto do Kelham. „W każdej jednostce istnieje punkt rekrutacyjny. Jak tylko będziesz mógł się wykazać papierkiem, że skończyłeś osiemnaście lat, od razu cię capną i nie wypuszczą”.

Chłopak potraktował to dosłownie. Mnie chodziło o to, że będzie musiał jeszcze trochę poczekać. Ale on wolał od razu zrobić z siebie osiemnastolatka i nie czekać. Sfałszował metrykę, żeby się nią wykazać. Pewnie robił to, ślęcząc przy tym samym kuchennym stole, przy którym popijaliśmy mrożoną herbatę. Wyobraziłem go sobie, jak siedzi pochylony i z wysuniętym ze skupienia językiem zwilża papier kroplą wody, czubkiem kuchennego noża mozolnie wyskrobuje dwie cyfry, osusza zwilżony fragment i czeka, by wysechł. Potem znajduje odpowiednie pióro, próbuje, ćwiczy i wreszcie nanosi nowe cyfry, które pozwolą przejść przez bramę Kelham i zapewnią spełnienie marzeń.

Wszystko przeze mnie.

Bez słowa zawróciłem ku szosie.

Deveraux ruszyła za mną.

- Potrzebna mi broń - powiedziałem.

- Po co?

Zatrzymałem się, popatrzyłem w kierunku wschodnim i powiodłem wzrokiem po linii lasu.

Fort Kelham zajmował olbrzymi teren na północ od szosy, jego ogrodzenie było osłonięte szerokim pasmem lasu, który ciągnął się po kilkaset metrów w obie strony. Można by sądzić, że to ten sam stary las, który porastał tereny na południe od szosy i który wykarczowano pod bazę, podejrzewałem jednak, że stało się odwrotnie. Bazę Kelham urządzono pięćdziesiąt lat temu na pustym otwartym terenie i farmerzy przestali uprawiać ziemię w pewnej odległości od ogrodzenia. Leżąca odłogiem ziemia szybko porosła krzakami i drzewkami, które zaczęły się plenić niczym chwasty. Młodziak miejscami prześwitywał, ale spełniał swoją funkcję, maskując ogrodzenie bazy oraz dając schronienie

niewielkim oddziałom, które mogły łatwo się kryć wśród drzew, robić wypadki na otwarty teren i po akcji wracać do bazy na odpoczynek lub w celu uzupełnienia zapasów.

Ruszyłem w stronę szosy.

- Znajdę tych od kordonu sanitarnego, o którym wszyscy zapewniają, że go nie ma -

wycodziłem przez zęby.

- A jak ich znajdziesz, to co? - spytała Deveraux. - Będzie słowo przeciw słowu, twoje zdanie przeciw stanowisku Pentagonu. Ty oświadczysz, że taki kordon istniał, oni, że go nigdy nie było. Mikrofony Pentagonu są głośniejsze.

- Nie będą mogli się wyprzeć fizycznych dowodów. Zbiorę tyle ludzkich członków, żeby każdego przekonać.

- Nie mogę się na to zgodzić.

- Nie wolno im było strzelać do tego chłopaka, Elizabeth. To gruba przesada. Robiąc to, otwarli niewłaściwe drzwi. To, co się dzieje po tamtej stronie, to ich problem, nie nasz.

- Nawet nie wiesz, gdzie ich szukać.

- Są w lesie.

- Ukryci i z lornetkami przy oczach. Nie zdołasz do nich podejść.

- Istnieje martwe pole.

- Gdzie?

- W pobliżu bramy Kelham. Są nastawieni na wyłapywanie intruzów, którzy wiedzą, że przez bramę nie przejdą. Dlatego nawet jej nie obserwują. Pilnują terenów położonych dalej.

- Bramy strzegą wartownicy.

- Nie. Wartownicy nie dopuszczają podchodzących do bramy. A ja się nawet nie zbliżę.

Znajdę szczelinę w obronie: za daleko dla tych z lasu i w odpowiedniej odległości od bramy dla wartowników.

- Oni strzelają do ludzi, Reacher.
- Strzelają do tych, których widzą, a mnie nie zobaczą.
- Odwiozę cię do miasta.
- Nie wracam do miasta. Podwieź mnie w drugą stronę i daj mi broń.

Nie odpowiedziała.

- Zrobię to także bez podwiezienia i bez broni. Będzie trudniej i potrwa dłużej, ale nie zrezygnuję.

- Wsiadaj, Reacher - mruknęła.

Nie dała po sobie poznać, dokąd zamierza mnie zawieźć.

* * *

Wsiadliśmy, Deveraux lekko cofnęła, wyjechała zza radiowozu Butlera i ruszyła na wschód w stronę Kelham. Z mojego punktu widzenia we właściwym kierunku. Przejechaliśmy niemal cały odcinek szosy dzielący nas od bramy i dopiero kawałek przed nią kazałem Deveraux zjechać na porośnięte trawą pole i skierować się prosto w stronę lasu, tak jakbyśmy coś tam zauważyli.

- Prosto w ich paszczę? - spytała.

- Tu ich nie ma. Są na zachód i na wschód stąd. A poza tym na pewno nie będą strzelać do policyjnego radiowozu.

- Jesteś pewny?

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Zwolniła i zjechała z szosy na zbitą ziemię. Na tym odcinku szosa była czymś na kształt lejka klepsydry. Dwieście metrów na północ od Kelham ciągnął się łagodnym łukiem pas młodego lasu, dwieście metrów na południe rósł gęsty starodrzew, my znaleźliśmy się pośrodku.

Deveraux skręciła na południowy wschód na ukos od szosy. Kołysząc się i podskakując na nierównościach, radiowóz zatoczył szeroki łuk i stanął bokiem do lasu, tuż przy samych drzewach. Od drzwi po mojej stronie do najbliższego drzewa były niecałe dwa metry.

- Broń? - przypomniałem.

- Chryste! - jęknęła. - Łamiemy przepisy na sto różnych sposobów.

- Przecież powiedziałaś: ich słowo przeciw mojemu. Jeśli będę musiał do kogoś strzelić, zaprzeczą, że ktoś taki istniał. Im więcej strzałów, tym więcej zaprzeczeń.

Westchnęła głęboko i z uchwytu między naszymi fotelami wyjęła strzelbę. Stary winchester model 12, długość sto centymetrów, waga trzy kilo dwadzieścia. Strzelba była stara i poobijana, ale dobrze naoliwiona i wypolerowana do połysku. Mimo to nie wzbudziła mojego zachwytu. Broń palna, z której wcześniej nie strzelałem, budzi moją nieufność. Nie ma nic gorszego, gdy pociągasz za spust i nic się nie dzieje albo kula przelatuje daleko od celu.

- Jak to strzela? - spytałem.

- Idealnie - odparła.

- Kiedy ostatni raz z niej strzelałaś?

- Dwa tygodnie temu.

- Do czego?

- Do tarczy.

- Nie zapomniałaś przeładować?

Uśmiechnęła się.

- W magazynku jest sześć naboí, w komorze siódmy. Mam zapas w bagażniku. Dam ci tyle, ile uniesiesz.

- Dzięki.

- To strzelba mojego ojca. Uważaj na nią.

- Oczywiście.

- I na siebie też.

- Jak zawsze.

Wysiedliśmy, Deveraux obeszła samochód i otworzyła bagażnik. Panował w nim bałagan i było brudno, jakby wożono w nim ziemię. Do podłogi, tuż za oparciami tylnych foteli, była przyśrubowana metalowa skrzynka i dla kogoś o

wzroście Deveraux dosięgnięcie jej wymagało nie lada gimnastyki. Podeszła do samej krawędzi, zgięła się w pasie i wsadziła głowę do środka. Z mojej perspektywy wyglądała świetnie. Uchyliła wieko skrzynki, sięgnęła do środka i wyciągnęła pudełko naboju kaliber 12. Wyprostowała się i podała mi pudełko, w którym było piętnaście naboju. Włożyłem po pięć do obu kieszeni spodni i pięć do kieszeni koszuli. Bez słowa mi się przyglądała, po czym zapytała ze zdumieniem:

- Wyprałeś koszulę?
- Nie. Kupiłem nową.
- Dlaczego?
- Uznałem, że mi nie wypada chodzić w pokrwawionej.
- Nie, czemu kupiłeś nową, zamiast wyprać tamtą?
- Już to dziś tłumaczyłem facetowi w sklepie. Wydało mi się to logiczne.
- Dobra. - Kiwnęła głową.
- A tak przy okazji, masz przepiękny tyłeczek.
- Dobra - powtórzyła.
- Pomyślałem, że powinienem cię poinformować.
- Dziękuję.
- Między nami wszystko dobrze?
- Zawsze było - odparła z uśmiechem. - Chciałam tylko szarpnąć za cugle, nic więcej.

Gdyby tamta kobieta powiedziała, że jest twoją dziewczyną, mogłabym się przejąć. Ale narzeczoną? Nie bądź śmieszny.

- Dlaczego śmieszny?
- Żadna kobieta by za ciebie nie wyszła.
- Dlaczego nie?
- Bo nie jesteś materiałem na męża.
- Dlaczego nie?
- Ile mam czasu? Sama kwestia prania koszul może zająć z godzinę.

- A co ty robisz ze swoimi brudami?
- Z tyłu sklepu żelaznego jest automat pralniczy.
- Z proszkiem do prania i wszystkim, co trzeba?
- Sądzę, że poradziłbyś sobie.
- Zastanowię się. Do zobaczenia.
- Tylko na pewno, bo musimy złapać nocny pociąg.

Uśmiechnąłem się, raz jeszcze się rozejrzałem i wszedłem między drzewa.

Mający metr długości winchester był dość nieporęczny przy przedzieraniu się przez leśną gęstwinę. Musiałem trzymać go oburącz pionowo przed sobą, ale cieszyłem się, że go mam.

Stara, solidna pukawka. Niepozostawiająca złudzeń. Kawalek ołowiu kaliber 12 szybko i definitywnie rozsądza wszelkie spory.

W stanie Missisipi w marcu na gałęziach drzew było tak dużo młodych liści, że przesłaniały niebo i zmuszały do posuwania się na wycucie - lub na nosa, jak mówią niektórzy - co w gęszczu leśnym nie jest proste. Dla większości praworęcznych ludzi kończy się to zataczaniem szerokich kręgów w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, dlatego że lewą nogę mają odrobinę krótszą, a ciężenie ku lewej wynika z biologii i geometrii. Aby to skorygować, co dziesiąte mijane drzewo robiłem krok w prawo, nawet jeśli wydawało się to zbyteczne.

Drzewa były obrośnięte krzakami, a ziemia zasłana grubą warstwą suchych liści. Las był w całości liściasty. Nie znam się zbytnio na drzewach i nie umiałem ich nazwać. Pnie miały różną grubość i w większości rosły w odstępach około metra. Gęste korony przepuszczały mało światła i dolne gałęzie przeważnie były suche. Nie widać było ścieżek ani żadnych śladów ludzkiej bytności.

Dwa czynniki działały na moją niekorzyść, jeden mi sprzyjał. Niekorzystne było to, że przedzierając się przez zarośla, robiłem mnóstwo hałasu, w dodatku miałem na sobie jasną koszulę. Mogłem zapomnieć o kamuflażu i cichym skradaniu się. Natomiast na moją korzyść działało to, że zachodziłem wartowników od tyłu. Byłem pewny, że trzymają się skraju lasu i obserwują pole, wypatrując reporterów, wścibskich intruzów i wszelkich innych osób, których nie powinno tu być. Ktokolwiek idący w stronę wojskowych mógł się stać celem. Ale ja ich podchodziłem od strony bazy.

Zakładałem, że nie przyjdzie mi walczyć z wieloma naraz. Byłem

przekonany, że są podzieleni na małe patrole, liczące od dwóch do czterech żołnierzy. Patrole musiały być mobilne i dlatego nie miały stałych kryjówek ani obozowisk. Żołnierze przysiadali na zwalonych pniach drzew lub kucali na leśnej ściółce i obserwowali zalane słońcem przedpole, w każdej chwili gotowi przenieść się w inne miejsce, wyskoczyć z zarośli i zapobiec zagrożeniu.

Przypuszczałem, że patrole są rozrzucone w dość dużej odległości od siebie. Pasma lasu wokół pięćdziesięciokilometrowego ogrodzenia to kawał terenu do pilnowania. Można by tu rozmieścić kompanię wojska, a i tak czteroosobowy patrol miałby około kilometra do najbliższego sąsiada. Przy takich odległościach patrolujący nie mogą liczyć na szybką wzajemną pomoc i wsparcie, nie ma też mowy o osłonie ogniowej. Wiadomo, że karabiny i artyleria nie zdają w lesie egzaminu i są praktycznie bezużyteczne. Na przeszkodzie stoi zbyt wiele drzew.

Przeszedłem około dwustu kroków na północny zachód i przystanąłem. Czułem, że zbliżam się do pierwszego punktu obserwacyjnego, mniej więcej na dziewiątce na hipotetycznej tarczy zegarowej, daleko powyżej szosowego lejka klepsydry i na krawędzi kielicha, skąd roztaczał się dobry widok na zachód i południe. Byłem niemal pewny, że to właśnie stąd wypatrzone idącego przez pole Bruce'a Lindsaya. Mieliby go z lewej, dobrze widocznego z odległości prawie dwóch kilometrów. Pewnie wyszli z krzaków, podeszli bliżej i stanęli kilkaset metrów od niego. Może wykrzyknęli ostrzeżenie lub jakieś polecenie, a on za wolno zareagował albo zgłupiał, albo nie posłuchał. Wtedy go zastrzelili.

Zatoczyłem szeroki łuk w prawo i zacząłem się posuwać po prostej linii, wiodącej od tyłu do pierwszego punktu obserwacyjnego. Przedzierałem się przez leśny gąszcz, jakbym się przeciskał przez tłum, zbaczając to w lewo, to w prawo i wysuwając przed siebie to jedno, to drugie ramię. Rozglądałem się czujnie na boki, do przodu i do tyłu. Szczególnie pilnie wpatrywałem się pod nogi. Nie dawało się w żaden sposób ominąć szeleszczących liści i gałązek, starałem się więc tylko nie potknąć i nie nadepnąć na nic grubszego. Odgłos łamiącej się suchej gałęzi przypomina wystrzał.

Posuwałem się do przodu dopóty, dopóki gęstwina nie zaczęła prześwitywać. Zbliżyłem się do krawędzi lasu. Rozejrzałem się na boki, ostrożnie podszedłem do przodu i stwierdziłem, że tylko po części miałem rację. Z tego miejsca rzeczywiście roztaczał się szeroki widok, ale nikogo tu nie było.

Stałem metr od krawędzi lasu i spojrzałem na południowy zachód. Pole widzenia miało kształt szerokiego klina, który w oddali przecinała szosa prowadząca do Carter Crossing. Na szosie nic się nie działo, ale nie miałem wątpliwości, że gdyby cokolwiek się po niej poruszało, widziałbym to jak na dłoni. Podobnie jak każdy ruch na polu w promieniu co najmniej czterystu metrów po obu stronach szosy. Był to naprawdę świetny punkt obserwacyjny i nie mogłem pojąć, dlaczego nie został wykorzystany. To było wbrew taktyce i logice. Jeszcze długo będzie widno, a w Kelham nic się nie zmieniło. Nie zaistniały żadne nowe okoliczności, a jeśli już, to sytuacja kompanii Bravo tylko się pogorszyła.

Stan ściółki świadczył o wyjątkowej beztrosce. Na ziemi leżały przydeptane niedopałki papierosów i zgniecione w kulki opakowania po batonach czekoladowych. Wszędzie widać było ślady podobne do tych, jakie widziałem obok postrzelonego reportera na polu Clancy'ego. To mnie zdumiało. W trakcie szkolenia komandosom wbija się do głowy, że nie wolno zostawiać po sobie żadnych śladów. Mają się poruszać w terenie jak duchy. Zwłaszcza jeśli wykonują zadanie nie do końca legalne.

Cofnąłem się w głąb lasu i trzymając się jakieś pięćdziesiąt metrów od krawędzi drzew, zacząłem przedzierać się na północ. Idąc, rozglądałem się za ścieżkami prowadzącymi w głąb lasu w stronę Kelham, ale nie natknąłem się na ani jedną. To mnie akurat nie zdziwiło. Szlaki komunikacyjne poprowadzono zapewne dużo dalej na północ, w bezpiecznej odległości od uczęszczanych terenów.

Po dwustu metrach znów skręciłem w stronę krawędzi lasu i dotarłem do punktu, skąd roztaczał się gorszy widok na szosę, ale lepszy na pole. Kolejny

świetny punkt obserwacyjny.

Znów nieobsadzony i w dodatku chyba w ogóle nieużywany. Żadnych petów, papierków, śladów stóp.

Raz jeszcze cofnąłem się w głąb lasu i dwieście metrów dalej powtórzyłem manewr z podejściem do jego krawędzi. I znowu nic. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy teren penetruje kompania w pełnym składzie. Tyle że wysyłanie garstki ludzi do pilnowania tak ogromnego terenu miało się z celem. Gdyby to ode mnie zależało, zażyczyłbym sobie dwóch pełnych kompanii. Albo i trzech. A w porównaniu z Pentagonem i tak jestem minimalistą.

Tam, gdzie widziałbym pięciuset żołnierzy, generałowie wysłaliby pięć tysięcy. Las roiłby się od ludzi jak Times Square w godzinie szczytu, a ja już dawno powinienem dostać kulkę w plecy.

Zacząłem się zastanawiać nad grafiką zmian i porami posiłków. Widać braki kadrowe powodowały, że w niektórych miejscach chwilami brakowało obsady. Jednak byłem pewny, że przez większość czasu ktoś czuwa w tych punktach obserwacyjnych. Były zbyt dobre, żeby z nich nie korzystano. Jeśli celem misji była ochrona bazy Kelham przed intruzami, na całym obwodzie musiano wydzielić określoną liczbę dobrych punktów obserwacyjnych. Te trzy, które widziałem, należały do tej kategorii i czułem, że prędzej czy później ktoś się zjawi.

Odwróciłem się, zagłębiłem w leśną gęstwinę i po przejściu dwudziestu paru metrów zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Upłynęło dziesięć minut, potem dwadzieścia, następnie trzydzieści. Słyszeć było tylko szelest liści na wietrze, skrzypienie konarów drzew i szmery przemykających leśnych zwierzątek. Nic więcej.

A potem daleko po lewej usłyszałem kroki i ludzkie głosy.

Przesunąłem się nieco w głąb i schowałem za żałośnie cienkim drzewkiem, którego pień nie był grubszy od mojej nogi. Oparłem się barkiem i wymierzyłem strzelbę w stronę zbliżających się ludzi. Wytężyłem wzrok i zamarłem w bezruchu.

Oceeniłem, że zbliża się trzech mężczyzn. Szli wolno, rozluźnieni i rozgadani, jakby spacerowali. Jak na patrol zachowywali się skandalicznie. Słyszałem ich zamaszyste kroki po zeschniętych liściach i z lekka tylko przyciszone głosy. Nie rozumiałem słów, ale po tonie można było poznać, że nie czują się ani trochę zestresowani. Słyszeć było trzask łamanych gałązek i głuche stuknięcia, które musiały wydawać uderzające o pnie drzew plastikowe kolby M16. Na pewno nie zachowywali się jak zdyscyplinowany patrol w drodze na punkt obserwacyjny. Dobrze wyszkoleni żołnierze sił lądowych nie mają prawa tak się zachowywać. Wybiegłem myślami w przyszłość, jak czasem mi się to zdarza, i wyobraziłem sobie swój raport z akcji, w którym bezlitośnie rozprawiam się z ich postępowaniem.

Widziałem się, jak siedzę w Benning w gronie wyższych oficerów i poddaję druzgocącej krytyce profesjonalizm patrolu.

Zorientowałem się, że patrol posuwa się równolegle do krawędzi lasu, jakieś dwadzieścia metrów w głąb gęstwiny. Na pewno zmierzali do jednego z punktów obserwacyjnych, które wcześniej zlokalizowałem. Wciąż jeszcze ich nie widziałem, ale wyraźnie słyszałem. Byli już bardzo blisko, jakieś trzydzieści metrów w lewo ode mnie.

Minęli mnie, a ja wyszedłem zza drzewka i ustawiłem się twarzą do nich, ale nie ruszyłem za nimi. Jeszcze nie. Najpierw chciałem się upewnić, że nikt za nimi nie idzie. Wolałem nie być wzięty w dwa ognie przez trzech żołnierzy przede mną i patrol za mną. Dlatego stałem jeszcze przez chwilę, pilnie nasłuchując. Ale poza oddalającymi się głosami pierwszej trójki niczego więcej nie było słyszeć - niczego oprócz naturalnych odgłosów lasu: szumu wiatru w

liściach, bzyczenia owadów, szmerów w poszyciu.

Trzyosobowemu patrolowi nikt nie towarzyszył.

Odczekałem, aż oddalą się na jakieś trzydzieści metrów, i ruszyłem za nimi. Bez trudu odszukałem ich trop. Posuwali się ścieżką wydeptaną przez patrole chodzące tędy tam i z powrotem w ciągu ostatnich dni. Wytoczyły ją liście odwrócone wilgotną stroną do góry, połamane gałązki i blisko trzydziestocentymetrowa smuga rozdeptanych roślin. Lekko tylko zarysowana, ale zauważalna. Wyraźnie odcinająca się od reszty poszycia. W porównaniu z innymi tego typu śladami ten przypominał autostradę.

* * *

Szedłem, bez trudu dotrzymując im kroku i nie starając się zachowywać przesadnie cicho.

Mogłem być pewny, że jeśli tylko będę ciszej od nich, żaden mnie nie usłyszy. A głośniejsze zachowanie byłoby nie lada wyczynem - musiałbym w tym celu wystrzelić parę razy z winchestera i głośno odśpiewać hymn narodowy.

Postanowiłem skrócić dystans, przyspieszyłem kroku i znalazłem się dwadzieścia metrów za patroliem. Mimo to wciąż go jeszcze nie widziałem, jeśli nie liczyć pojedynczego mignięcia pleców w połowym kombinezonie moro i metalicznego błysku - zapewne lufy M16.

Natomiast coraz wyraźniej go słyszałem. Z całą pewnością było ich trzech. Sądząc po głosach, jeden z nich był starszy od pozostałych i prawdopodobnie pełnił funkcję dowódcy patrolu. Z pozostałych jeden rzadko się odzywał, drugi perorował podekscytowanym tonem przez nos. Nadal nie rozumiałem treści słów, ale słyszałem dość dużo, by wiedzieć, że nie mówią o niczym ważnym. Przerzucali się krótkimi uwagami, czasem głupawo rechotali. Ot, trzech facetów, którzy gadają dla zabicia czasu.

Nie zboczyli do trzeciego ze znalezionych przeze mnie punktów obserwacyjnych. Minęli go i poszli dalej. Sądząc po głosach, szli gęsiego.

Uwagi rzucane przez ramię przez prowadzącego było słychać wyraźnie, za to głosy pozostałych dwóch były gorzej słyszalne, bo szli zwrócenii plecami do mnie. Odnosiłem wrażenie, że żaden nie mówi nic istotnego.

Wydawali się znudzeni, może znużeni; ludzie odbębniający rutynowe zadanie i niespodziewający się żadnych związanych z tym niespodzianek czy zagrożeń.

Minęli drugi punkt obserwacyjny i poszli dalej, a ja za nimi. Po przejściu dwustu metrów usłyszałem, że skręcają w prawo i przedzierają się przez zarośla w stronę pierwszego punktu, tego na dziewiątce na hipotetycznej tarczy zegarowej. Miejsca, z którego niemal na pewno padł strzał do Bruce'a Lindsaya.

Dotarłem do punktu, w którym skręcili w bok, i stanąłem. Usłyszałem, jak dochodzą do celu i zatrzymują się dwadzieścia metrów w prawo. Dokładnie na krawędzi lasu, gdzie niedawno widziałem rozrzucone na ziemi niedopałki, papierki po słodyczach i ślady stóp. Ruszyłem w ich stronę. Przeszedłem trzy metry, pięć i znów stanąłem. Usłyszałem, jak któryś beknął, co wywołało rechot pozostałych i spowodowało ogólną wesołość. Pomyślałem, że chyba rzeczywiście jakiś czas temu zeszli z posterunku, udali się na zaplanowany posiłek i teraz wrócili najedzeni i ospali. Usłyszałem, że któryś z nich leje pod drzewem; strumień moczu szeleścił na wyschniętej ściółce. Usłyszałem też, jak lufami rozgarniają gałęzie zasłaniające im widok na przedpole, a także chrobot kółka i trzask wieczka zapalniczki Zippo. Chwilę później poczułem woń dymu papierosowego.

Nabrałem powietrza w płuca i ruszyłem do przodu, manewrując wśród drzew. Pięć metrów, sześć, siedem. Torowałem sobie drogę to lewym barkiem, to prawym, przeciskając się przez gęstwinę z trzymanym pionowo przed sobą winchesterem. Tamci nadal nie mieli pojęcia o mojej obecności. Czuję, że stoją bez ruchu tuż przede mną i omiatają wzrokiem przedpole. Przestali gadać. Skończyła się przerwa na posiłek, a wraz z nią nastrój radosnego podniecenia. Wstrzymałem oddech, cicho minąłem dzielące mnie od nich drzewo, potem

następne. W końcu otworzył się przede mną widok na śledzoną trójkę.

Zatkało mnie, bo kompletnie nie rozumiałem, co widzę przed sobą.

Jak przypuszczałem, było ich trzech. Znajdowali się niecałe pięć metrów ode mnie i stali zwrócenie do mnie plecami. Jeden miał siwe włosy, był dość tęgi i ubrany w oliwkowy kamuflażowy kombinezon polowy z czasów wojny wietnamskiej, wyraźnie na niego przyciasny. W ręku trzymał karabin M16, z kabury sterczała rękojeść beretty M9, półautomatycznego pistoletu kaliber 9 milimetrów. Beretta i M16 należą do standardowego uzbrojenia armii amerykańskiej. Miał gołą głowę, na nogach buciory wojsk desantowych.

Stojący obok był młodszy i trochę wyższy, ale niewiele szczuplejszy. Miał płową czuprynę i był ubrany w polowy mundur armii włoskiej, podobny do naszego, ale jednak inny. Lepiej skrojony. W prawej ręce trzymał za uchwyt karabin M16. Na nogach miał czarne trampki, a na ramionach niewielki plecak z materiału innego niż mundur. Był z gołą głową. Trzeci z mężczyzn nosił amerykański kombinezon kamuflażowy z wzorem do walk leśnych z lat osiemdziesiątych. Ten nie był ani gruby, ani rosły. Wręcz przeciwnie. Przy tamtych wyglądał jak karzełek. Miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i ważył niewiele ponad sześćdziesiąt kilogramów. Wąły kurdupel o szybkich, nerwowych ruchach. Ten też dzierżył M16, na nogach miał cywilne trzewiki, nie nosił nakrycia głowy. Między palcami lewej dłoni trzymał tłącego się papierosa.

Widok włoskiego munduru polowego podsunął mi myśl, że może mam do czynienia z dziwnym oddziałem wspólnych sił natowskich. Jednak pochodzący z czasów wojny wietnamskiej kombinezon nijak nie pasował do współczesnego scenariusza z roku 1997, i to bez względu na to, jak polityka międzynarodowa mogła być w owym czasie pokręcona. To samo dało się powiedzieć o cywilnych trzewikach trzeciego, gołych głowach wszystkich trzech, braku chlebaków z żelaznymi porcjami żywnościowymi i całkowicie nieprofesjonalnym zachowaniu. Nie miałem pojęcia co to za ludzie. Różne możliwości przelatywały mi w myślach jak zmieniające się napisy na tablicy w

hali odlotów - aż dziw, że ci trzej nie słyszeli pstrykania w mojej głowie.

Raz jeszcze przejechałem po nich wzrokiem, od lewej do prawej i od prawej do lewej.

Nic tu nie pasowało.

Aż w końcu mnie olśniło.

To nie wojsko.

To amatorzy.

Gąszcz leśny w Missisipi na pograniczu z Tennessee i Alabamą i udająca wojsko cywilbanda.

Grupka facetów, którzy lubią się uganiać po lesie z bronią w rękę i udawać, że robią to w obronie tego czy innego żywotnego interesu lokalnej społeczności. Buszować po magazynach z nadwyżkami wojskowymi i zaopatrywać się w stare kombinezony polowe oraz włoskie mundury polowe z demobilu.

I kupować uzbrojenie w lokalnych sklepach z bronią. Zwłaszcza w niektórych. Takich, które znajdują się w pobliżu baz wojskowych i w których da się kupić coś ekstra spod lady.

Wystarczy, że właściciel ma kogoś zaprzyjaźnionego za bramą. A za każdą bramą bazy można się z kimś zaprzyjaźnić. Karabiny M16 i pistolety Beretta trafiają co roku na listę broni spisywanej na straty z racji zaginięcia, uszkodzenia lub wypadnięcia z użytku z innych przyczyn. Tak zakwalifikowana broń oficjalnie ulega utylizacji, tyle że naprawdę tak się nie dzieje. W nocy opuszcza tylnymi drzwiami teren bazy i po godzinie trafia pod ladę lokalnego sklepu z bronią.

* * *

Zdarzało mi się aresztować wielu drani, często w grupach dużo liczniejszych od tej, ale nie była to moja specjalność. Najlepiej udają się aresztowania na krzyk, a ja mam problem z wrzeszczeniem na ludzi. Już wolę walnąć jednego z drugim ostrzegawczym ciosem i w ten sposób ustawić sprawę na właściwej płaszczyźnie. Tyle że wrzask: „Stać! Stać! Stać!” też nie najlepiej mi wychodzi,

bo mnie to trochę krępuje i moje krzyki brzmią bardziej jak prośba niż groźba.

Na szczęście miałem przy sobie najbardziej przekonujący argument we wszelkich tego rodzaju konfrontacjach: strzelbę z ręcznym przeladowaniem typu pump action. Kosztem jednego nieodpalonego naboju wydawała dźwięk, który potrafi obezwładnić dowolnych trzech mężczyzn w dowolnym miejscu na świecie.

Nie istnieje bardziej paraliżujący dźwięk: CHRUPCHRUP.

Wyrzucony z komory nabój upadł na liście u moich stóp, a trzech faceci znieruchomieli.

- Wszyscy rzucamy karabiny - powiedziałem spokojnym tonem.

Pierwszy złamał się płowłosy i błyskawicznie wykonał polecenie. Drugi zareagował ten starszy, ostatnim był znerwicowany kurdupel.

- Stójcie spokojnie i ani drgnijcie. Wystarczy mi jakikolwiek pretekst - poleciłem prawie przyjaznym tonem.

Znieruchomieli. Jedyne ich ręce odsunęły się odrobinę od tułowi i zawisły bez ruchu w powietrzu. Rozczapierzyli palce dłoni. Pewnie zrobili to samo z palcami u stóp ukrytych w buciorach, trampkach i trzewikach, żeby z daleka było widać, że są nieuzbrojeni i niegroźni.

- Teraz zróbcie trzy duże kroki do tyłu.

Znów bez oporu posłuchali i cofnęli się, stawiając przesadnie długie kroki i zatrzymując się w miejscu, skąd nawet na leżąco nie dosięgliby karabinów.

- A teraz wszyscy się odwróćcie - poleciłem.

Żadnego z nich wcześniej nie widziałem. Gdy stanęli przodem do mnie, najstarszy znalazł się na mojej lewej flance. Miał zwyczajną, całkowicie obcą twarz. Niczym niewyróżniający się facet, z lekka spasiony i zniszczony. W środku stał ten z płową czupryną. Zwyczajny gość o miękkich rysach, dość zadbany. Trzeci różnił się od kompanów. Przypominał takich, którzy od czterech pokoleń jedzą wiewiórki, są sprytniejsi od szczurów, wytrzymalsi od kóz i skoczniejsi od jednych i drugich.

Wsadziłem kolbę strzelby pod prawą pachę, odciągnąłem łokieć do tyłu i jedną ręką skierowałem ją na tych po prawej. Niezbyt dokładnie, ale nie musiałem się tym przejmować.

Winchester kaliber 12 nie musi być idealnie wycelowany.

Przeniosłem wzrok na najstarszego i podkreślając wagę słów ruchem lewej ręki, powiedziałem:

- Nadszedł czas na pozbycie się pistoletu.

Nie zareagował.

- Wytłumaczę ci, jak masz to zrobić. Chwycisz pistolet kciukiem i palcem wskazującym, po czym wyciągniesz z kabury, odwrócisz dłoń i wycelujesz go w siebie, zgoda?

Nie zareagował.

- Jakbyś miał z tym trudności, pomogę ci strzałem w nogi - dodałem.

Zwyczajnym, spokojnym tonem, jakbyśmy sobie gawędzili o pogodzie.

Nie od razu mnie posłuchał. Pomyślałem nawet, że trzeba będzie zmarnować następny nabój i znów przeładować strzelbę, ale okazało się to zbyteczne.

Starszy facet nie był bohaterem. Po krótkim zastanowieniu skwapliwie zastosował się do polecenia. Wykonał sztuczkę z wyjmowaniem pistoletu dwoma palcami, zwrócił go lufą ku sobie i docisnął wylot do brzucha.

- Wymacaj bezpiecznik i przestaw go w pozycję gotowości do strzału.

Zrobienie tego na odwróconym pistolecie nie jest łatwe, ale gościowi się

udało.

- Trzymaj kciukiem i dwoma palcami za lufę i wystaw palec serdeczny.

Teraz wsadź go w kabłąk spustu. O tak. A teraz dociśnij go do spustu.

Facet bez szemrania posłuchał.

- Wiesz, co to dla ciebie znaczy?

Gość nie odpowiedział.

- To ja ci powiem. Każdy nieostrożny ruch skutkuje kulą w brzuchu. Oto co dla ciebie znaczy jakakolwiek próba oporu. Mamy w tej kwestii jasność? Zrozumiałeś?

Gość pokiwał głową.

- Teraz wyprostuj rękę i wyciągnij pistolet w moją stronę. Powoli i ostrożnie. Trzymaj go.

Celuj w siebie, dokładnie w to samo miejsce. Cały czas trzymaj palec na spuście.

Facet zrobił, jak mu kazałem. Wyciągnął skierowany ku sobie pistolet na długość ręki, ja zrobiłem krok do przodu i przejąłem broń. Po prostu wyjąłem mu ją z ręki, gładko i bez kłopotu. Cofnąłem się, on opuścił rękę, a ja wsunąłem winchestera pod lewą pachę, a prawą ręką ująłem berettę.

Odetchnąłem.

I nawet się uśmiechnąłem.

Trzech pojmanych i rozbrojonych bez jednego wystrzału.

Spojrzałem na najstarszego.

- Coście za jedni? - spytałem.

Dwa razy głośno przełknął ślinę, co najwyraźniej mu pomogło, bo nieco się otrząsnął.

- Pełnimy misję, do której cywile nie powinni się wtrącać, jeśli wiedzą, co dla nich dobre.

- Cywile w odróżnieniu od kogo?

- W odróżnieniu od wojska.

- Jesteście wojskiem?
- Tak - odparł.
- Nieprawda. Jesteście bandą zasranych przebierańców.
- Działamy z oficjalnego upoważnienia.
- Czyjego?
- Naszego dowódcy.
- A kto jego upoważnił?

Gość zaczął przestępować z nogi na nogę, bąkać coś pod nosem. Kilka razy zaczął mówić i przerywał. Skrzyżowałem winchestera z berettą i wycelowałem pistolet wprost w niego, choć nie byłem pewny, czy w razie czego wypali. Z zasady nie ufam broni, której wcześniej nie przestrelałem. Ale spluwa leżała dobrze w dłoni i ważyła tyle, ile powinna. I była na pewno odbezpieczona. Gość reagował odpowiednio nerwowo, a kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, czy jego broń działa, skoro nosił ją w kaburze. Położyłem palec na spuście i docisnąłem. Facet patrzył mi na rękę, ale nadal milczał.

I wtedy przemówił ten płowowłosy. Ten z lekka zniewieściały.

- On nie wie, kto go upoważnił, tylko wstydzi się do tego przyznać. Dlatego nic nie mówi.

Nie rozumiesz?

- Woli dać się zastrzelić, niż się przyznać?
- Nikt z nas nie wie, kto nas upoważnił. Skąd mamy wiedzieć?
- Skąd jesteście? - spytałem.
- Najpierw ty nam powiedz, kim jesteś.

- Jestem oficerem armii Stanów Zjednoczonych. A to znaczy, że jeśli ta tak zwana misja została autoryzowana przez wojsko, to od tej chwili wszyscy przechodzicie pod moją komendę, jako najstarszego stopniem oficera w tym gronie. To logiczne, nie?

- Tak jest, proszę pana.
- Skąd jesteście?

- Z Tennessee. Należymy do Wolnych Obywateli Tennessee.
- Nie wyglądacie mi na specjalnie wolnych - parsknąłem. - Akurat w tej chwili wyglądacie na dość zniewolonych.

Żaden się nie odezwał.

- Po co przyjechaliście? - spytałem.

- Dostaliśmy wiadomość.

- Co za wiadomość?

- Że jesteśmy tu potrzebni.

- Ilu was przyjechało?

- Sześćdziesięciu.

- Dwadzieścia drużyn po trzech?

- Tak jest, proszę pana.

- Z jakimi instrukcjami przyjechaliście?

- Powiedziano nam, że nikogo nie wolno dopuścić do bazy.

- Dlaczego?

- Bo zaistniała potrzeba wzmożenia wysiłków i okazania pomocy wojsku.

To patriotyczny obowiązek każdego obywatela.

- A dlaczego wojsko potrzebuje waszej pomocy?

- Tego nam nie powiedziano.

- To wy zastrzeliliście tego chłopca dziś rano?

Zapadło długie, bardzo długie milczenie.

A potem odezwał się kurdupel z prawej.

- Mówi pan o tym czarnym wyrostku?

- Jesteśmy w pełni upoważnieni - wtrącił szybko najstarszy.

- Tak. Chodzi mi o nastoletniego Afroamerykanina płci męskiej.

Płowłosy obrzucił kompanów spłoszonym spojrzeniem, po czym nerwowo pokręcił głową.

- Żaden z nas nie powinien odpowiadać na takie pytania - oświadczył.

- Przynajmniej jeden musi.

- Otrzymaliśmy upoważnienie z najwyższego szczebla - zachnął się najstarszy. - Nie ma szczebla wyższego od tego, który nas upoważnił. Kimkolwiek pan jest, popełnia pan poważny błąd.

- Przymknij się! - warknąłem.

Płowowłosa spojrzał na kurdupła.

- Nic nie mów - rzucił.

Też na niego spojrzałem i powiedziałem:

- Mów, co chcesz, i tak nikt ci nie uwierzy. Wszyscy wiedzą, że taka ciota jak ty do niczego się nie nadaje. - Przeniosłem wzrok na najstarszego.

- To ja zastrzeliłem tego czarnego - prychnął kurdupel.

Znow zwróciłem ku niemu twarz.

- Dlaczego? - Spojrzałem na niego.

- Zachowywał się agresywnie.

Pokręciłem głową.

- Widziałem jego ciało - powiedziałem. - Kula trafiła pod pachę, nie uszkodzając ramienia.

Myślę, że trzymał ręce w górze. Poddawał się.

Kurdupel pociągnął nosem.

- Pewno mogłem tak na to spojrzeć - przyznał.

Odsunąłem rękę ze strzelbą, uniosłem pistolet i wycelowałem w głowę konusa.

- Opowiedz mi o tym wczorajszym - rozkazałem.

Spojrzał mi prosto w twarz. Jego szczurze oczki były rozbiegane.

Uznał, że jednak do niego nie strzelę.

- Wczoraj patrolowaliśmy teren na północ stąd.

- I co dalej?

- Można powiedzieć, że mam już dwóch na rozkładzie.

- Kto założył mu opatrunek?

- Ja - powiedział płowowłosa. - To był wypadek. Wykonywaliśmy rozkazy.

- Opowiedz mi jeszcze raz - zwróciłem się do kurdupła - o tym, jak mierzy się do szesnastoletniego chłopaka z rękami w górze.

Przesunąłem lufę beretty odrobinę wyżej i wycelowałem dokładnie w środek jego czoła.

- Może nimi machał - powiedział z pogardliwym uśmieszkiem.

Nacisnąłem spust.

Pistolet wystrzelił. Dokładnie tak, jak powinien. Odgłos strzału huknął mi w uszach i potoczył się wśród drzew. Spłoszone ptaki zerwały się do lotu. Pusta łuska odbiła się od pnia i silnie uderzyła mnie w udo. Czaszka konusa eksplodowała, chlustając zawartością na liście, on zaś osunął się i opadł kościstym tyłkiem na pięty, rozrzucając ręce na boki i wiotcząc w sposób charakterystyczny dla ofiar nagłej śmierci.

* * *

Odczekałem, aż ucichnie echo w lesie i odzyskam słuch, po czym spojrzałem na pozostałych.

- Wasza tak zwana misja dobiegła końca - powiedziałem - a organizacja Wolnych Obywateli Tennessee z tą chwilą zostaje rozwiązana.

Kończy działalność ze skutkiem natychmiastowym. Spieprzajcie i powiadomcie o tym kumpli. Macie trzydzieści minut na zabranie nieszczęsnych tyłków z mojego lasu oraz godzinę na wyniesienie się z tego stanu.

Dotyczy to wszystkich pięćdziesięciu dziewięciu. Jeśli się opóźnicie choćby o chwilę, to naśle na was oddział komandosów. Spieprzać!

Stali jak sparaliżowani. Błdzi, zszokowani i przerażeni. A potem to do nich dotarło i puścili się pędem przez las. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwałem się w cichnący tupot ich stóp. Byłem pewny, że już tu nie wrócą. Stracili jednego ze swoich, to ich zdecydowanie zniechęci.

Zapewne zrobią z niego męczennika za sprawę, ale nie miałem też wątpliwości, że zrobią wszystko, by nie podzielić jego chwalebного losu. Widok krwi i mózgu to zetknięcie się z brutalną rzeczywistością, a

rzeczywistość to niepożądany gość w świecie uludy.

Zabezpieczyłem pistolet, wsunąłem go do kieszeni spodni i wyciągnąłem koszulę na wierzch, by zasłonić połą zgrubienie. A potem zawróciłem do miejsca, z którego wyruszyłem, torując sobie przejście to jednym barkiem, to drugim i przeciskając się przez leśną gęstwinę.

Winchester trzymałem oburącz przed sobą.

Elizabeth Deveraux zastałem tam, gdzie ją zostawiłem, opartą o radiowóz niecałe dwa metry od linii drzew. Tak nagle wyłoniłem się z lasu tuż przed nią, że aż lekko drgnęła, ale szybko się opanowała. Pewnie nie chciała okazać zdziwienia, że mi się udało, albo dać poznać po sobie, że się o mnie martwiła. Może jedno i drugie. Pocałowałem ją w usta i wręczyłem strzelbę, a ona spytała, co się wydarzyło.

- Natknąłem się na zakichaną milicję obywatelską ze stanu Tennessee. Cywilbanda udająca wojskowych. Ale już się wynoszą.

- Słyszałam wystrzał z pistoletu.

- Jednego z nich opadły takie wyrzuty sumienia, że się zastrzelił.

- A miał czego żałować?

- Więcej niż inni.

- Kto ich tu sprowadził?

- I to jest najważniejsze pytanie - odrzekłem.

* * *

Zwróciłem Deveraux zapas amunicji, a ona kazała mi ją samemu schować do skrzynki w bagażniku, po czym wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy do miasta. Przez całą drogę zdobyczna beretta wbijała mi się w udo i uwierała w brzuch. Przejechaliśmy przez czarną dzielnicę Carter Crossing, podskoczyliśmy na przejeździe i zajechaliśmy na parking pod biurem szeryfa okręgowego. Bazą Elizabeth Deveraux. Jej oazą bezpieczeństwa.

- Idź na kawę - powiedziała. - Niedługo wrócę.

- A gdzie jedziesz?

- Muszę zawiadomić panią Lindsay o śmierci syna.

- To nie będzie łatwe.

- Nie będzie.

- Mam pojechać z tobą?

- Nie - odrzekła. - To nie będzie dobrze widziane.

* * *

Odprowadziłem wzrokiem radiowóz i wszedłem do knajpy. Zamierzałem wypić kawę i zadzwonić. Postawiłem kubek z kawą na pulpicie przy drzwiach i zatelefonowałem do biura

Stana Lowreya. Odebrał osobiście.

- Wciąż tam jesteś - powiedziałem. - Jeszcze masz pracę. Coś podobnego!

- Powtarzasz się, Reacher.

- Będziesz to wspominał jak gasnące przebłyski szczęśliwych czasów.

- Czego chcesz?

- Generalnie od życia? Trudne pytanie.

- Ode mnie.

- Od ciebie całkiem sporo, a zwłaszcza to, żebyś sprawdził parę nazwisk.

Głównie chodzi o cywilów, w tym pracowników agend rządowych. Zadzwon do policji w Waszyngtonie i spróbuj uzyskać ich pomoc. Także do FBI, jeśli jest tam jeszcze ktoś, kto chce z tobą rozmawiać.

- Z przytupem i oficjalnie czy po cichu?

- Zdecydowanie po cichu.

- Jakie nazwiska?

- Janice May Chapman - odrzekłem.

- To ta zamordowana, tak? - upewnił się.

- Jedna z kilku.

- I kto jeszcze?

- Audrey Shaw.

- Co to za jedna?

- Nie wiem. Dlatego proszę cię o pomoc.

- Jaki ma związek ze sprawą?

- Jest luźną niewiadomą, powiązaną z inną luźną niewiadomą.

- Audrey Shaw - powtórzył wolno, jakby to sobie zapisywał. - Co jeszcze?

- Jak daleko jest od ciebie do biura Garbera? - spytałem.

- To samo piętro, po drugiej stronie klatki schodowej.
- Chcę z nim porozmawiać. Idź po niego i przyprowadź go za frak do telefonu.

- Czemu nie zadzwonisz do niego bezpośrednio?
- Chcę z nim porozmawiać z twojego aparatu, nie z jego.

Nic nie powiedział. Usłyszałem stuknięcie odkładanej słuchawki, stęknienie towarzyszące dźwignięciu się na nogi i syk powietrza poduszek fotela, z ulgą powracających do naturalnego kształtu. Następnie zapadła dość kosztowna cisza, jako że dzwoniłem z automatu. Wetknąłem w otwór kolejną ćwierćdolarówkę i czekałem. Mijały minuty i nawet pomyślałem, że Garber odmówił przyjścia na moje wezwanie. Potem jednak usłyszałem, że ktoś podnosi leżącą słuchawkę i znajomy głos warknął:

- Czego ty, do cholery, znowu chcesz?
- Porozmawiać.
- To zadzwoń do mnie. Mamy tu już centralkę. I numery wewnętrzne.
- Na twojej linii jest podsłuch. To chyba dość oczywiste, nie sądzisz? Jesteś w tej grze pionkiem, podobnie jak ja. Cudza linia jest bezpieczniejsza.

Garber na moment zamilkł, po czym przyznał:

- To możliwe. Więc co masz dla mnie?
- Ślady butów wojskowych przed ogrodzeniem Kelham należały do nieoficjalnego oddziału paramilitarnego. Milicja obywatelska mieszkańców Tennessee. Tyle że nie znaleźli się tam przypadkowo. Nie wybrali się na wycieczkę ani nie przyjechali na urlop. Zostali przysłani.

Jest gdzieś ktoś, kto wiedział, gdzie i kiedy się przydadzą. Kto może mieć tego rodzaju informacje?

- Ktoś, kto od samego początku znał wszystkie fakty.
- Gdzie możemy kogoś takiego znaleźć?
- Gdzieś wysoko.
- Zgoda - powiedziałem. - Przychodzi ci ktoś taki do głowy?

- Nie.
- Na pewno? Musisz mnie we wszystko wtajemniczyć.
- Jesteś wtajemniczony na równi ze mną.
- Dobra, wracaj do siebie. Za pięć minut do ciebie zadzwonię. Możesz nie słuchać tego, co powiem, bo będzie bez znaczenia. Ale zostań na linii wystarczająco długo, żeby wszystko się nagrało.
- Czekaj - wtrącił Garber. - Muszę ci coś powiedzieć.
- Mianowicie?
- Mam wiadomości z korpusu marines.
- Jakie wiadomości?
- Istnieje jakiś problem związany z Elizabeth Deveraux.
- Jaki?
- Jeszcze nie wiem. Stosują uniki. Robią ceregiele z odtajnieniem akt. Wygląda na to, że dotyczący jej problem jest częścią bardzo śmierdzącej sprawy. Najwyższa kategoria utajnienia, najważniejsza sprawa na świecie, największa kupa gówna. Podobno pięć lat temu doszło do wielkiego skandalu. Mówi się, że Deveraux doprowadziła do zwolnienia koleżanki z żandarmerii korpusu marines i zrobiła to bez powodu. Podobno chodziło o sprawy osobiste.
- Pięć lat temu, czyli trzy lata przed jej odejściem ze służby. Czy odeszła z pełnymi honorami?
- Tak.
- Na własną prośbę czy wbrew swojej woli?
- Na własną prośbę.
- W takim razie nie ma o czym mówić - powiedziałem. - Nie zwracaj sobie tym głowy.
- Zdaje się, Reacher, że myślisz niewłaściwą częścią ciała.
- Za pięć minut - powtórzyłem. - Bądź przy swoim biurku.

* * *

Kelnerka dołała mi kawy. Odliczając w myśli trzysta sekund, zdążyłem ją

niemal w całości wypić. Wróciłem do telefonu i zadzwoniłem pod bezpośredni numer Garbera. Odebrał, a ja służbistym tonem oświadczyłem:

- Panie generale, melduje się major Reacher ze stanu Missisipi. Czy dobrze pan mnie słyszy?

- Głośno i wyraźnie - rzekł Garber.

- Znam nazwisko osoby, która wysłała do Kelham oddział milicji Wolnych Obywateli

Tennessee. Mamy do czynienia z przestępczym spiskiem, w wyniku którego zabito dwie osoby i napadnięto kilka innych. Jestem w tej sprawie umówiony pojutrze w Pentagonie i muszę się tam stawić. Potem zamelduję się w bazie i będę chciał zaangażować w to naszych ludzi.

Garber od razu pojął w czym rzecz i bezbłędnie odegrał swoją rolę.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał.

- Przez najbliższe czterdzieści osiem godzin nie podzielę się tą wiedzą z nikim, jeśli pan pozwoli.

- Rozumiem - odrzekł Garber.

Nacisnąłem widełki, by zakończyć połączenie, po czym wybrałem następny numer. Do Johna Jamesa Frazera z Biura Łączności z Senatem w samym sercu Pentagonu. W sekretariacie umówiłem wizytę u niego pojutrze w samo południe. Nie wyjaśniłem, w jakiej sprawie, bo nie mogłem. Tak naprawdę nie miałem żadnej sprawy. Chciałem się pojawić w tym ogromnym gmachu w charakterze przynęty.

Następnie usiadłem przy stoliku, żeby poczekać na Deveraux. Wiedziałem, że oczekiwanie na kobietę kochającą jedzenie nie może trwać długo.

Deveraux wróciła pół godziny później, blada i wyczerpana. Informowanie o śmierci nigdy nie jest przyjemne. Szczególnie gdy piorun uderza dwa razy w to samo miejsce i wiadomość trzeba przekazać matce, która już oplakuje jedno dziecko. Zrozpaczeni krewni są zawsze nastawieni wrogo do przedstawicieli prawa. Bo dlaczego mieliby nie być?

Deveraux usiadła i głęboko westchnęła.

- Ciężko było? - spytałem.

Skinęła głową.

- Strasznie. Mogę się założyć, że więcej na mnie nie zagłosuje. Myślę, że gdybym miała dom, toby mi go podpaliła, a gdybym miała psa, toby go otruła.

- Trudno jej się dziwić. Straciła dwoje dzieci!

- Niedługo będzie trzecia ofiara. Ta kobieta pójdzie w nocy na tor i rzuci się pod pociąg.

Jestem pewna. Myślę, że w ciągu najbliższego tygodnia.

- To się już zdarzało?

- Nieczęsto. Ale pociąg przejeżdża co noc, jakby przypominał, że jest i takie wyjście.

Nic nie powiedziałem. Wolałem, żeby przejazd nocnego pociągu kojarzył mi się z czymś zupełnie innym.

- Mam ochotę zadać ci pytanie, ale się powstrzymam - dodała.

- Jakie pytanie?

- Kto wysłał do lasu tych kretynów?

- I czemu go nie zadasz?

- Bo przypuszczam, że to część większej i mocno zagmatwanej całości, poważnego kryzysu na terenie bazy. Dlatego cząstkowa odpowiedź nie ma sensu. Musiałbyś mi wszystko powiedzieć, a o to nie chcę cię prosić.

- Nie mógłbym powiedzieć wszystkiego, nawet gdybym chciał, bo wszystkiego sam nie wiem. W przeciwnym razie już by mnie tu nie było,

ponieważ wykonałbym zadanie.

Znajdowałbym się w drodze do nowego miejsca i następnego zadania.

- Cieszysz się na to?

- Domagasz się komplementów?

- Nie, po prostu pytam. Pamiętaj, że też w tym siedziałam. Prędeż czy później wszyscy dochodzą do momentu, w którym gaśnie światło. Ciekawa jestem, czy ty już do niego doszedłeś, czy masz to jeszcze przed sobą.

- Nie palę się do następnego zadania - powiedziałem szczerze. - Ale głównie z uwagi na seks, nie na pracę.

Uśmiechnęła się.

- No to kto wysłał do lasu tych kretynów? - spytała.

- Nie wiem - odrzekłem. - Mogło to zrobić wielu różnych ludzi. Kelham to tort, z którego wielu próbuje wykroić kawałek dla siebie. Ściera się tu mnóstwo różnych interesów i rozmaitych układów. Niektórych zawodowych, innych prywatnych. Może pięć czy sześć się ostaje, czyli istnieje pięć czy sześć ciągów dowodzenia, które kończą się na pięciu czy sześciu wyższych oficerach ulokowanych w różnych miejscach. Któryś z nich mógł się poczuć na tyle zagrożony, że wyciął taki numer. Każdy z nich byłby do tego zdolny. W naszej armii nie zostaje się wyższym oficerem w uznaniu koleżeńskiej.

- Kim oni są?

- Nie mam pojęcia. To nie mój świat. Dla nich jestem tylko pionkiem, nie do odróżnienia od pierwszego lepszego szeregowca.

- Ale ty go dopadniesz.

- Oczywiście, że go dopadnę.

- Kiedy?

- Mam nadzieję, że pojutrze. W tym celu muszę się wybrać do Waszyngtonu, może tylko na jeden dzień.

- Po co?

- Telefonując pod numer, o którym wiem, że jest na podsłuchu,

oświadczyłem, że znam nazwisko faceta. Muszę tam pojechać i zobaczyć, co wypełźnie spod kamienia.

- Wystąpisz jako przynęta?

- To jak z teorią względności. Wszystko jedno, czy ja przyjdę do nich, czy oni do mnie.

- Zwłaszcza że nawet nie wiesz, kim są ci oni. Nie mówiąc już o tym, który z nich jest winny.

Milczałem.

- Zgadza się - powiedziała. - Czas potrząsnąć drzewem. Jak chcesz się upewnić, czy płyta kuchenna jest gorąca, czasem jedynym sposobem jest jej dotknąć.

- Musiał być z ciebie niezły gliniarz.

- Wciąż jestem niezłym gliniarzem.

- A kiedy zgasło twoje światło? Mam na myśli korpus marines. Kiedy przestało ci się tam podobać?

- Mniej więcej w tym samym punkcie, w którym jesteś. Od lat przymykasz oko na różne drobiazgi, ale nawarstwia się ich tyle, że spadają na ciebie jak lawina. Uzmysławiasz sobie, że lawina śnieżna też składa się z drobnutkich płatków śniegu. Nie ma na świecie wielu rzeczy drobniejszych od płatka śniegu, więc nagle uświadamiasz sobie, że drobiazgi są ważne.

- Nie wydarzyło się nic konkretnego?

- Nie, wszystko szło gładko. Nie miałam żadnych kłopotów.

- Przez całe szesnaście lat?

- Zdarzały się drobne wpadki tu i tam. Raz czy dwa nadziałam się na niewłaściwego faceta.

Ale nic takiego, o czym warto wspominać. W końcu dochrapałam się stopnia CWO5, a to maksimum, jakie wielu z nas osiąga.

- Dobrze sobie poradziłaś.

- Jak na wiejską dziewczynę z Carter Crossing, to całkiem nieźle.

- Całkiem nieźle.
- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała.
- Jutro rano. Dotarcie na miejsce zajmie mi cały dzień.
- Powiem Pellegrinowi, żeby cię odwiózł do Memphis.
- Nie trzeba.
- Zgódź się. To w moim interesie - parsknęła. - Korzystam z każdej okazji, żeby się go pozbywać. Niech rozwali samochód i zabije przechodnia gdzie indziej, poza terenem mojej jurysdykcji.
- A już to kiedyś zrobił?
- Tu nie ma przechodniów do zabijania. To bardzo ciche miasteczko. A teraz jeszcze cichsze niż zwykle.
- Z powodu zamknięcia Kelham?
- Bez Kelham to miasto umiera, Reacher. Muszą otworzyć bazę, i to jak najszybciej.
- Może moja wizyta w Waszyngtonie to przyspieszy.
- Miejmy nadzieję.
- Powinniśmy zjeść lunch.
- Po to tu jestem.

* * *

Tym razem Deveraux zamówiła zapiekankę z kurczakiem, ja poszedłem w jej ślady. Byliśmy w połowie pałaszowania naszych porcji, gdy pojawiła się para właścicieli hotelu. Tak jak w porze kolacji kobieta trzymała w ręce książkę, mężczyzna niósł gazetę. Dostrzegł mnie i zboczył w stronę naszego stolika, żeby poinformować, że właśnie dzwonił do mnie brat mojej żony w jakiejś bardzo pilnej sprawie. Przez moment patrzyłem na niego tępym wzrokiem.

- Pański szwagier Stanley - podkreślił.
- Dobrze, dziękuję.

Stary poczłapał dalej, a ja spojrzałem na Deveraux.

- Major Stan Lowrey. Mój stary kumpel. Od pewnego czasu jesteśmy

oddelegowani do tymczasowej służby w tym samym miejscu.

- Myślę, że znam werdykt. W marines byli lepsi komicy - parsknęła Deveraux. Wróciłem do jedzenia, a ona dodała: - Skoro to takie pilne, to chyba powinienes oddzwonić, nie sądzisz?

Odłożyłem widelec.

- Chyba tak - potwierdziłem. - Tylko nie zjedz mojej porcji.

Po raz trzeci tego dnia zatelefonowałem. Lowrey odebrał po pierwszym dzwonku i zapytał:

- Siedzisz wygodnie?

- Nie, stoję. Dzwonię z automatu w knajpie.

- W takim razie się trzymaj. Mam dla ciebie wiadomość o Audrey.

Oparłem się o ścianę. Nie żebym się obawiał, że nogi pode mną się ugną i padnę na podłogę, ale dlatego, że Lowrey zazwyczaj bardzo rozwlekle opowiadał. Uważał się za wybitnego gawędziarza i lubił zarysowywać tło swoich opowieści. I cały kontekst. Pewnie najchętniej sięgałby za każdym razem do czasu, gdy pierwsze kłęby gazu z czeluści wszechświata połączyły się, by uformować kulę ziemską.

- Okazuje się, że Audrey to bardzo stare imię - zaczął.

Jedynym sposobem ukrócenia zapędów oratorskich Lowreya jest wejść mu w słowo i go wyprzedzić.

- Audrey to anglosaski skrót od imienia Aethelthryth lub Etheldreda, co znaczy „szlachetna siła”. W siódmym wieku żyła święta Audrey. Jest patronką chorób gardła.

- Skąd ty wiesz takie gówna? Ja musiałem to dopiero wygrzebać.

- Matka znajomego ma na imię Audrey. On mi powiedział.

- Chodziło mi o to, że to nie jest bardzo popularne imię.

- W ostatnim wykazie najpopularniejszych imion znalazło się na sto siedemdziesiątej trzeciej pozycji. Nieco większą popularnością cieszy się we Francji, Belgii i Kanadzie, głównie za sprawą Audrey Hepburn.

- I wszystko to wiesz dzięki matce znajomego?

- Nie tylko. Również jego babci. Obie miały na imię Audrey.

- Czyli dostałeś podwójną porcję wiedzy.

- W każdym razie podwójną porcję czegoś.

- Audrey Hepburn nie była Europejką.

- Kanada nie leży w Europie.

- Ale mówią tam po francusku. Sam słyszałem.

- Oczywiście, że Audrey Hepburn była Europejką. Jej ojciec był Anglikiem, matka Holenderką, a ona sama urodziła się w Belgii. Miała brytyjskie obywatelstwo.

- Dobra, wszystko jedno. Chciałem powiedzieć, gdybyś dopuścił mnie do głosu, że przy szukaniu imienia Audrey nie ma się zbyt wielu trafień.

- Czyli znalazłeś dla mnie Audrey Shaw?

- Chyba tak.

- Szybko się uwinąłeś.

- Znajomy pracuje w banku. Instytucje finansowe dysponują najlepszymi informacjami.

- To wciąż bardzo szybko.

- Dzięki. Jestem bardzo sumienny. Będę najbardziej sumiennym bezrobotnym w historii.

- Więc co wiemy o Audrey Shaw?

- Jest obywatelką amerykańską.

- To wszystko?

- Kobieta rasy białej, urodzona w Kansas City, w stanie Missouri. Skończyła tam szkołę i rozpoczęła naukę w college' u w Tulane, w Luizjanie. To uczelnia z górnej półki w południowych stanach. Studiowała nauki humanistyczne.

Zabawowa dziewczyna ze średnimi wynikami w nauce. Nie miała problemów ze zdrowiem, co u zabawowej dziewczyny z Tulane znaczy więcej, niż mogłoby się wydawać. Skończyła studia w terminie.

- I co dalej?

- Po dyplomie wykorzystała rodzinne koneksje i załatwiła sobie posadę stażystki w Waszyngtonie.

- Stażystki w jakiej branży?

- W polityce. Zaczęła pracę w biurze senatora z jej rodzinnego stanu Missouri. Pewnie głównie parzyła kawę, ale miała tytuł asystentki asystenta dyrektora wykonawczego czy coś w tym rodzaju.

- I co dalej?

- Podobno była bardzo ładna. Tak bardzo, że twardym facetom miękkły kolana. No i zgadnij, co się stało?

- Dawała im dupy.

- Wdała się w romans z żonatym mężczyzną - powiedział Lowrey. - Wiesz, te długie wieczory w biurze, to poczucie misji. Te emocje towarzyszące ustalaniu tekstu drobnym drukiem w umowie handlowej z Boliwią. Wiesz, o czym mówię. Nie wyobrażam sobie, jak ci ludzie wytrzymują takie napięcie.

- Z kim romansowała?

- Z samym senatorem. Informacje na ten temat są dość skąpe, bo oczywiście wszelkimi sposobami sprawę starano się zamieść pod dywan. Ale między wierszami można wyczytać, że sprawa przebiegała dość burzliwie. W pościeli pewnie też. Prawdziwie wielki skandal.

Podobno naprawdę była w nim zakochana.

- Skoro informacje są skąpe, to skąd to wszystko wiesz?

- Z FBI. Wielu ich ludzi nadal się ze mną koleguje. Wierz mi, tego typu sprawy pozostają w kręgu ich zainteresowań. Lubią mieć haki. Zauważyłeś, że nigdy nie obcinają budżetu FBI?

Zgromadzili tyle haków na polityków, żaden się nie odważył.

- Jak długo trwał ten romans?

- Senatorowie muszą się ubiegać o reelekcję co sześć lat, więc można powiedzieć, że pierwsze cztery spędzają, baraszkując na kozetce, po czym przez ostatnie dwa dbają o swój wizerunek. Panna Shaw skorzystała z ostatnich dwóch lat baraszkania, po czym pan senator klepnął ją w tyłeczek i pozbył się jej z biura.

- A gdzie jest teraz?

- I w tym miejscu zaczyna się robić ciekawie - rzekł Lowrey.

* * *

Oderwałem się od ściany i spojrzałem na Deveraux. Wyglądało, że u niej wszystko w porządku, bo właśnie kończyła dojadać moją porcję zapiekanki. Sięgała przez stół i dziobała kolejne kawałki, i niewiele jej już zostało do dziobania.

- Zebrałem plotki i fakty - ciągnął Lowrey. - Plotki pochodzą z FBI, fakty z bazy danych. Od czego mam zacząć?

Oparłem się o ścianę.

- Od plotek - odrzekłem. - Są zwykle dużo ciekawsze.

- Dobra. Podobno panna Shaw miała ogromny żal o to, w jaki sposób ją potraktowano.

Poczuła się wykorzystana i odrzucona, jak zużyta chusteczka higieniczna. Jak dziwka wymykająca się z hotelowego apartamentu. I zaczęła się zachowywać tak, jakby zamierzała narobić kłopotów. W każdym razie FBI tak uważa. Interesują się tą sprawą także z innych względów.

- I co się stało?

- Ostatecznie nic się nie stało. Widać strony doszły do porozumienia, bo nagle wszystko ucichło. Senator wygrał w kolejnych wyborach, a o Audrey Shaw słuch zaginął.

- I gdzie jest teraz?

- W tym miejscu przechodzimy do faktów.

- I co one mówią?

- Audrey Shaw zniknęła z powierzchni ziemi. Żadnych nowych wpisów w bazach danych.

Brak jakichkolwiek wiadomości. Nie ma śladu po nowych transakcjach ani zapłaconych podatkach. Nie kupiła nowego samochodu ani domu, łodzi ani przyczepy kempingowej, nie wzięła kredytu, nie ustanowiła zastawu, nie złożyła gwarancji, nie została aresztowana ani skazana. Zupełnie jakby trzy lata temu przestała istnieć.

- Trzy lata temu?

- Bank to potwierdza.

- Ile miała wtedy lat?

- Dwadzieścia cztery. Dziś miałaby dwadzieścia siedem.

- Sprawdziłeś to drugie nazwisko? Janice May Chapman?

- Właśnie zepsułeś mi pointę. Spieprzyłeś mi całą opowieść.
- Niech zgadnę. Chapman stanowi dokładną odwrotność Shaw. Nie ma o niej nic starszego niż trzy lata.
- Zgadza się.
- Bo były jedną i tą samą osobą - podsumowałem. - Shaw zmieniła tożsamość. Pewnie w ramach zawartego porozumienia. Dostała kupę szmalu i komplet nowych papierów. Jak w programie ochrony świadków. Może nawet odbyło się to w ramach takiego programu. Ci ludzie na pewno byliby skłonni uratować tylek senatorowi, bo on tym samym podpisałby im weksel do wykorzystania później.
- A teraz nie żyje, czyli koniec sprawy. Coś jeszcze?
- Oczywiście, że coś jeszcze - burknąłem. Pozostało najważniejsze pytanie. Właściwie nie musiałem go zadawać, bo znałem odpowiedź. Czuję, jak ta informacja świszczy w powietrzu niczym lecący ku mnie pocisk artyleryjski, wycelowany i wystrzelony tak, by rozerwać się tuż obok mojej głowy. Mimo to spytałem. - Kto by senatorem?
- Carlton Riley - powiedział Lowrey. - Senator Riley z Missouri, przewodniczący Senackiej Komisji Sił Zbrojnych.

Wróciłem do stolika akurat w chwili, gdy kelnerka stawiała na nim dwie porcje placka z brzoskwiniami i dwie filiżanki kawy. Deveraux od razu zaczęła jeść. Po dwóch zapiekankach z kurczakiem nadal była głodna. Powtórzyłem jej z lekka ocenzurowaną opowieść Lowreya. Wyciąłem z niej tylko słowa: Missouri, Carlton i Riley.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby go zapytać o Audrey Shaw? - zainteresowała się.

- Na zasadzie orzeł lub reszka - odrzekłem. - Na dwoje babka wróżyła. Albo znajoma Butlera pomyliła numery teczek, albo nie. Wolałem nie przyjmować w ciemno jednej czy drugiej wersji.

- Czy te wiadomości nam pomogą?

Dwa krótkie słówka, ale jakże pełne treści: „nam” i „pomogą”. Bo mnie w niczym nie pomogły. Przynajmniej nie w sprawie Janice May Chapman, bo co do Rosemary McClatchy i Shawny Lindsay nie byłem już tego pewny. Opowieść Lowreya rzuciła na nie nowe i trochę dziwne światło. Natomiast wiadomości Lowreya niewątpliwie przydały się Deveraux. Szansa na to, że w śmierci Chapman maczał palce ktoś z jej strony płotu, zmniejszyła się tysiąckrotnie. Również tysiąckrotnie wzrosła szansa na to, że jej śmierć była sprawką kogoś z kręgu moich zainteresowań.

- Mogą nam pomóc - powiedziałem. - Mogą trochę zawęzić pole. Bo jeśli rzecz dotyczy senatora, to za który z pięciu czy sześciu łańcuszków dowodzenia można było najszybciej pociągnąć?

- Prowadzący do Biura Łączności z Senatem - odrzekła Deveraux.

- I właśnie tam wybieram się pojutrze.

- Skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem.

- Musiałeś się domyślić.

- To był przypadkowy wybór. Potrzebowałem pretekstu do odwiedzenia

Pentagonu, to wszystko.

- Przecież to bez sensu - orzekła. - Dlaczego wojsko miałoby się mieszać do skandalu jakiegoś senatora z jego pracownicą? Przecież to czysto cywilna sprawa. Biuro Łączności z Senatem nie pomaga senatorom szukać kluczyków do samochodu, kiedy je zgubią. Musi istnieć powiązanie z wojskiem. Tymczasem między cywilnym senatorem a jego cywilną kochanką nie ma żadnego wojskowego związku, i to niezależnie od tego, gdzie ta kochanka mieszka.

Milczałem.

Przyjrzała mi się uważnie.

- Chcesz mi powiedzieć, że taki związek istnieje? - spytała.

- Niczego nie chcę ci powiedzieć. Całkiem dosłownie. Spójrz na moje wargi.

W ogóle się nie poruszają.

- Nie może istnieć żaden związek. Chapman nie służyła w wojsku i z całą pewnością w wojsku nie ma też żadnych senatorów.

Nie odpowiedziałem.

- Chapman miała brata w wojsku? O to chodzi? Albo kuzyna? Albo jakiegoś innego krewnego? Chryste, a może jej ojciec jest wojskowym? Mógłby być teraz po pięćdziesiątce.

Jedynym powodem pozostawania w tym wieku w służbie jest to, że człowiek dobrze się tam czuje, a żeby dobrze się czuć, trzeba mieć odpowiednio wysoki stopień oficerski. Czy z taką sytuacją mamy do czynienia? Chapman, Shaw, czy jak się tam naprawdę nazywała, była generalską córką?

Nie odpowiedziałem.

- Lowrey ci powiedział, że posadę stażystki załatwiła sobie dzięki rodzinnym koneksjom, tak? Co innego to może znaczyć? Bo mówimy o urzędującym obecnie senatorze, który zaciąga dług wdzięczności. To duża sprawa. Ojciec musi być co najmniej dwugwiazdkowym generałem.

Nie odpowiedziałem.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Widzę po twojej minie, co myślisz - burknęła. - Że błędę. Że wjechałam na niewłaściwy tor. Chapman nie miała krewnych w wojsku. To musi być coś innego.

Nie odpowiedziałem.

- A może sytuacja jest odwrotna? Może to senator ma krewnych w mundurach.

- Myślę, że umyka ci zasadnicza kwestia - odezwałem się wreszcie. - Jeśli Chapman stała się nagłym krótkoterminowym problemem, który wymagał nagłej krótkoterminowej akcji, to dlaczego zamordowano ją tak samo jak pozostałe ofiary sprzed sześciu i dziewięciu miesięcy, które nie miały z nią nic wspólnego?

- Chcesz powiedzieć, że to tylko zbieg okoliczności? Że to nie ma nic wspólnego z senatorem?

- Niewykluczone.

- To skąd ten cały alarm?

- Bo ich martwią reperkusje. Generalnie. Nie chcą żadnego smrodu wokół tej konkretnej jednostki.

- Bo w niej służy krewny senatora?

- Nie wchodźmy w to.

- Ale reperkusje po dwóch poprzednich zabójstwach jakoś ich nie martwiły.

- Nie wiedzieli o poprzednich zabójstwach. Bo skąd mieli wiedzieć? Ale ta śmierć ich poruszyła. Chapman różniła się od tamtych w dwóch punktach. Miała swoją teczkę z aktami i była biała.

- A jeśli to nie był zbieg okoliczności?

- To by znaczyło, że ktoś wykazał się ogromnym sprytem. Rozwiązał aktualny problem, naśladowując sprawcę dwóch poprzednich zabójstw. Idealny kamuflaż.

- Chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z dwoma różnymi zabójcami?

- Możliwe. Może McClatchy i Lindsay zginęły, zamordowane przez zwykłego bandytę, a zabójstwo Chapman świadomie upozorowano tak, żeby kojarzyło się z tamtymi. Sprawcą jest ktoś inny.

* * *

Dokończyliśmy deser i dopiliśmy kawę. Deveraux powiedziała, że ma teraz co innego do roboty, a ja spytałem, czy ma coś przeciwko temu, żebym ponownie odwiedził Emmeline

McClatchy.

- Po co? - spytała.

- Chcę z nią porozmawiać o chłopaku Rosemary. Wygląda na to, że zarówno Lindsay, jak i Chapman spotykały się z wojskowym, jeżdżącym niebieskim samochodem. Jestem ciekaw, czy McClatchy również się z nim umawiała.

- To długi spacer.

- Znajdę skrót.

Miejscowa topografia zaczynała mi się układać w głowie. Nie było sensu obchodzić trzech boków kwadratu i iść najpierw na północ do szosy do Kelham, potem na wschód, potem z powrotem na południe do chaty McClatchy. Czułem, że znajduję się z grubsza na tej samej szerokości i wystarczy przekroczyć tor na południe od przejazdu i pójść prosto na wschód, wzdłuż jednego boku kwadratu.

- Bądź dla niej delikatny. Wciąż jest bardzo przybita.

- Myślę, że już zawsze będzie. Nie sądzę, żeby taki ból szybko ustąpił.

- I nie wspominaj o ciąży.

- Nie wspomnę.

* * *

Poszedłem Main Street na południe jak do gabinetu doktora Merriama, ale zamierzałem dużo wcześniej skręcić na wschód. Po przebyciu około trzystu metrów natknąłem się na idealne miejsce. Ujrzałem niknącą wśród drzew bitą wiejską drogę. Nieco dalej sterczał zardzewiały hydrant, pomyślałem więc, że w pobliżu są zabudowania. Po trzydziestu metrach natknąłem się na pierwsze z

nich - zapadniętą, rozlatującą się rudere, w której ktoś jednak mieszkał.

Przyszło mi do głowy, że należy do kogoś z klanu McKinneyów, bo wyglądem do nich pasowała, a na kawałku ubitej ziemi, która niegdyś mogła być trawnikiem, stał ręcznie pomalowany na czarno pickup. Jednak innej marki. A także innej wielkości i w innym wieku, i tylko stosunek właściciela do pojazdu był taki sam. Widać natryskowe malowanie samochodów w warsztatach w północnowschodnim rejonie Missisipi nie cieszy się nadmierną popularnością.

Minąłem dwie niemal identyczne rudery i dopiero czwarte z kolei domostwo wyglądało nieco inaczej, ale jeszcze gorzej. Przede wszystkim stało puste, a stercząca na słupku skrzynka na listy niemal całkowicie zarosła wysoką trawą. Podobnie jak cały podjazd. Drzwi i okna były przesłonięte wysokimi chaszczami, wokół rosły chwasty, ściany były pokryte zielonym liszajem, szpary spękanego fundamentu wypełniały płożące się pędy grubości nadgarstka.

Dom stał samotnie pośrodku tysięcy metrów kwadratowych pustki, która niegdyś mogła być polem lub pastwiskiem, a którą teraz porastały tylko kępy wrzośców i młodych drzewek. Od dłuższego czasu dom był niezamieszkaany. Czasu liczonego w latach, nie miesiącach.

Tyle że z drogi skręcały do niego całkiem świeże ślady opon.

Deszcze splukały warstewkę ziemi z drobnych wzniesień i naniosły ją na drogę, tworząc w zagłębieniu przed podjazdem kałużę błota o szkliscie równej powierzchni, upały zaś spiekły go na proszek o konsystencji cementu prosto z worka. Nie było cienia wątpliwości, że przejechał tędy tam i z powrotem czterokołowy pojazd na szerokich oponach z bieżnikiem do jazdy po zwykłych szosach. Opony nie były nowe, ale dobrze napompowane i rzeźba bieżnika wyraźnie się odbiła. Ślady powstały całkiem niedawno, na pewno po ostatnim deszczu.

Zszedłem na bok, by nie zdeptać śladów opon. Przeskoczyłem przez rów, przedarłem się przez kępę sięgających pasa chaszczy i stanąłem obok podjazdu.

Widać było miejsca, gdzie opony zmiażdżyły łodygi chwastów i wysokiej trawy, wyciskając z nich ciemnozielony sok.

Co mocniejsze i bardziej elastyczne nie uległy złamaniu i wróciły do pozycji pionowej. Na niektórych widać było smugi oleju silnikowego.

Ktokolwiek przyjechał tym podjazdem, na pewno nie wszedł do środka. Nie było co do tego wątpliwości, jako że żadna z roślin obrastających drzwi i okna nie została naruszona.

Obszedłem dom i stojącą za nim niewielką wiatę na traktor i wyszedłem na puste podwórze, które ze wszystkich trzech stron otaczały drzewa. Miejsce było odizolowane i dawało się je zauważyć tylko z lotu ptaka, z których akurat dwa unosiły się w powietrzu. Dwa różogłowe sępy krążyły majestatycznie, wykonując niekończące się zawijasy.

Poszedłem dalej. Pod nogami miałem żalosne resztki po dawno zapomnianym warzywniaku, który otaczała zardzewiała siatka przeciw królikom. Być może jakiś archeolog byłby w stanie ustalić, co tu kiedyś rosło, ale nie ja. Kawałek dalej ciągnęło się niewielkie wybrzuszenie, porośnięte gęstą roślinnością. Może stary, od lat nieprzystrzygany żywopłot, który zmienił się w wylęgarnię nasion. Za nim znajdowały się dwie wykonane ludzką ręką konstrukcje ustawione tak, by ich nie było widać z domu. Jedną była stara, butwiejąca drewniana szopa z zapadniętym narożnikiem.

Drugą kobyłka do sprawiania jeleni.

Kobyłka do sprawiania dziczyzny była dużą solidną konstrukcją w kształcie litery A, zbudowaną w tradycyjny sposób z grubych drewnianych belek. Miała ponad dwa metry wysokości, bo mogłem swobodnie przejść pod górną poprzeczką. Pewnie chodziło o to, żeby można było podjechać tyłem pickupa i zrzucić martwe zwierzę między bocznymi stojakami, obwiązać sznurem tylne nogi, przerzucić sznur przez górną poprzeczkę i ciągnąc z drugiej strony, podciągnąć zwierzę tak, by zawisło głową w dół w oczekiwaniu na rzeźnicki nóż.

Metoda stara jak świat, choć sam nigdy jej nie stosowałem. Jeśli miałem ochotę na stek z dziczyzny, szedłem do klubu oficerskiego. Znacznie mniej zachodu.

Kobyłka mogła mieć z pięćdziesiąt lat, może nawet więcej. Drewno - zapewne jakieś miejscowe i odpowiednio twarde - było zdrowe, dobrze wysuszone i masywne. Powierzchnie od strony północnej były porośnięte cienką warstewką mchu. Przez lata używania górna poprzeczka została do połysku wypolerowana sznurami. Nie sposób było sprawdzić, kiedy użyto jej po raz ostatni.

Natomiast ziemię między bocznymi stojakami przekopano, i to całkiem niedawno. Co do tego nie miałem wątpliwości. Kilkucentymetrową warstwę wzruszono i usunięto. Zamiast ubitej i poczerńiałej ziemi, równie starej jak cała konstrukcja, pod stojakiem widniała płytka, świeżo wykopana niecka o rozmiarach mniej więcej metra kwadratowego.

* * *

Na podwórzu nie było nic więcej do oglądania. Szopa obok kobyłki była pusta. Ponownie przyjrzałem się domowi i uznałem, że nikt do niego ostatnio nie wchodził. Szyby w oknach pokrywał zielonkawy nalot, który można też było dostrzec na ścianach, drzwiach i klamkach.

Nie było żadnych śladów, żadnych smug, natomiast widziałem nienaruszone

pajęczyny.

Wszędzie rosły chwasty, zarówno twarde, koleczaste, jak i wiotkie, delikatne, które płożyły się gdzie popadło. Nie było widać śladów ludzkiej obecności.

Zatrzymałem się przy końcu podjazdu i rozgarnąłem chaszczę obrastającą skrzynkę na listy, standardowy, dostarczany przez pocztę blaszany pojemnik, niegdyś w kolorze szarym, teraz bezbarwny i pokryty plamami rdzy w miejscach, gdzie spod emalii wyzierała blacha.

Umieszczono ją na kwadratowym drewnianym słupku, który w latach nowości miał przekrój piętnaście na piętnaście centymetrów. Przez zupełnie spróchniałe drewno przeświecał metalowy rdzeń. Kiedyś na skrzynce widniało nazwisko ułożone z modnych przed laty samoprzylepnych, pochylonych do przodu kwadracików z literami, które w pewnym momencie ktoś zerwał. Może dawny właściciel w symbolicznym geście pożegnania z opuszczanym domem. Na blasze skrzynki niczym odciski palców pozostały wyraźne ślady po oderwanych literach.

Było ich osiem.

* * *

Ponownie przeskoczyłem przez rów i ruszyłem dalej. Minąłem kolejne dwa domy, stojące w dużych odstępach od siebie, oba zamieszkane, ale także w stanie bliskim ruiny. Dalej droga jeszcze bardziej się zwężyła i stała wyboista, ginąc w gęstwinie lasu. Następnie prowadziła prosto i przypominała już bardziej leśną ścieżkę. Miała zaledwie metr szerokości, a po obu stronach była obrośnięta tak, że chwilami musiałem się przeciskać między przesłaniającymi przejście gałęziami. Po pięćdziesięciu krokach las się skończył i wyszedłem na pustą przestrzeń, przeciętą w poprzek kolejowym nasypem mniej więcej metrowej wysokości. Na oko tereny w tej części stanu Missisipi mogą się wydawać zupełnie płaskie, ale ciągnąca wagony lokomotywa widzi to inaczej. Dla niej każde zagłębienie musi być wyrównane nasypem, każde wzniesienie ścięte na płasko.

Wspiąłem się na stromy nasyp, nogi zachrzęściły na kamiennej podsypce i stanąłem na drewnianym podkładzie między szynami. W prawo tor biegł prosto jak strzała do samej Zatoki Meksykańskiej, w lewo równie prosto prowadził gdzieś na północ. W oddali było widać przejazd i starą wieżę ciśnień. Szyny w obu kierunkach lśniły srebrzyście, wypolerowane przez toczące się stalowe koła. Tuż za torem rozciągał się kolejny pas zarośli i drzew, dalej widniało puste pole, za polem zaczynały się zabudowania.

Od północnego wschodu dobiegł mnie terkot nadlatującego helikoptera. Rozejrzałem się i wysoko na niebie dojrzałem blackhawka. Zapewne leciał do Kelham. Przez chwilę wsłuchiwałem się w narastający łoskot wirnika i jęklive wycie turbiny, widząc, jak wolno obniża pułap i schodzi do lądowania. Zbiegłem po drugiej stronie z nasypu i zanurzyłem się w las.

Przebrnąłem przez rozciągające się za nim pole, przelazłem przez ogrodzenie i wyszedłem na ulicę, która według mojej oceny biegła równoległe do tej, przy której stał dom Emmeline McClatchy. Było widać tyły domu z umieszczonymi w oknach reklamami piwa, ale dzieliło mnie od niego jeszcze kilka posesji. Na podwórzu na wprost dostrzegłem dwóch mężczyzn siedzących na białych plastikowych krzesłach. Obaj byli w podeszłym wieku i obaj bacznie mi się przyglądali. Chyba zrobili sobie krótką przerwę w jakiejś wytężonej pracy fizycznej.

Zatrzymałem się przy ich płocie.

- Czy mogę poprosić panów o przysługę? - spytałem.

Żaden nie odpowiedział, ale obaj unieśli brody na znak, że słuchają.

- Czy pozwolicie mi przejść przez wasze podwórze? Muszę się dostać na sąsiednią ulicę.

- Po co? - spytał mężczyzna po lewej. Miał twarz okoloną siwą brodą, ale bez wąsów.

- Chcę tam kogoś odwiedzić.

- Kogo?

- Emmeline McClatchy.

- Jesteś pan z wojska?

- Tak, jestem.

- To Emmeline nie chce cię widzieć. Ani nikt inny.

- Dlaczego?

- Za Bruce'a Lindsaya.

- Był waszym przyjacielem?

- No pewno.

- Gówno prawda. Powiedział mi, że nie ma tu żadnych przyjaciół. Wszyscy go przezywali, odwracali się do niego plecami i się na nim wyżywali. Więc nie udawajcie teraz, że go żalujecie.

- Strasznieś mocny w gębie, synu.

- Nie tylko w gębie.

- A co, nas też zastrzelisz?

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

Starzec wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Przechodź, synu. Tylko bądź miły dla Emmeline. To, co się stało z Bruce'em Lindsayem, od nowa nią wstrząsnęło.

Przeszedłem przez ich podwórze i chwilę potem znów usłyszałem łoskot wirnika blackhawka, który daleko przede mną startował z Kelham. Ktoś wpadł z bardzo krótką wizytą, a może coś dostarczono albo coś lub kogoś zabrano.

Patrzyłem, jak z pochylonym nosem wznosi się i odlatuje na północ.

Przelazłem przez płot na końcu podwórza i stanąłem na działce należącej do baru. Formalnie rzecz biorąc, znajdowałem się wciąż na prywatnej posesji, ale właściciele barów z założenia witają, a nie przepędzają przybyszów. Zresztą i tak nikogo tu nie było. Minąłem budynek i wyszedłem na ulicę.

W tej samej chwili pod dom Emmeline McClatchy podjechał wojskowy humvee.

Humvee to bardzo szeroki pojazd, droga zaś była bardzo wąska. Tak wąska, że wciskając się pod dom, praktycznie ją zabarykadował. Był w standardowych zielonoczarnych barwach kamuflażowych i lśnił, jakby dopiero co zjechał z taśmy produkcyjnej.

Samochód się zatrzymał i kierowca zgasił silnik. Drzwi się otworzyły i zza kierownicy wysiadł mężczyzna w połowym mundurze i wyglansowanych butach. Już w latach poprzedzających moje wstąpienie do wojska dystynkcje i plakietki z nazwiskiem zaczęto umieszczać na mundurach połowych w sposób nierzucający się w oczy, przy czym określenie „nierzucający się w oczy” było - jak wszystko w wojsku - co do milimetra zdefiniowane i tak pomyślane, by stopień wojskowy i nazwisko były praktycznie nieczytelne z odległości większej niż metr. Na pewno stali za tym wyżsi stopniem dowódcy, obawiając się, że w przeciwnym razie snajper będzie zaczynał od nich. Dlatego człowiek wysiadający z humvee mógł być zarówno starszym szeregowcem, jak i dwugwiazdkowym generałem.

Trzygwiazdkowym i wyżej już nie, bo ci nigdy sami nie siadają za kierownicę. Przynajmniej tak mi się zdaje. Bo na pewno nie robią tego, gdy jadą gdzieś służbowo. Ale prywatnie też pewnie nie. Chyba w ogóle niewiele rzeczy robią sami.

Ale przeczuwałem, kto to może być. Co nie było takie trudne. No bo komu wolno było opuszczać teren bazy i swobodnie się poza nią poruszać? Wyglądał podobnie do mnie.

Mojego wzrostu i budowy ciała, o zbliżonej do mnie karnacji. Poczułem się trochę tak, jakbym patrzył w lustro. Tyle że był o pięć lat ode mnie młodszy, i dało się to zauważyć.

Poruszał się szybko i sprężysto. Bezstronny obserwator nazwałby go pewnie młodym i tryskającym energią. Ten sam obserwator mnie pewnie nazwałby starym i wypalonym.

W tym punkcie bardzo się różniliśmy.

On też mi się przyglądał, zaintrygowany białym, kręcącym się wśród domów zamieszkałych wyłącznie przez czarnych. Pozwoliłem mu się gapić i bez słowa podszedłem na odległość niecałych dwóch metrów. Mój wzrok nadal funkcjonuje bez zarzutu i jestem w stanie odczytać nawet nierzucające się w oczy plakietki z większej odległości, niż należy, szczególnie w jasnych promieniach popołudniowego słońca Missisipi.

Na plakietce było napisane: Munro, Armia USA.

Kołnierzyk zdobiły czarne dębowe listki na znak, że jest w stopniu majora. Na głowie miał furazerkę z materiału o takim samym kamuflażowym wzorze, jak bluza i spodnie. Oczy otaczały drobne zmarszczki i właściwie tylko one świadczyły o tym, że nie urodził się wczoraj.

Miałem nad nim przewagę, bo byłem ubrany w gładką cywilną koszulę bez żadnych plakietek. Czulem bijący od niego zapach diesla i gumy i słyszałem ciche pykanie stygnącego silnika. A także szum wiatru w liściach drzewa rosnącego na podwórku McClatchy.

Dopiero po dłuższej chwili wyciągnąłem rękę i powiedziałem:

- Jack Reacher.

Podał mi swoją i też się przedstawił.

- Duncan Munro.

- Co cię tu sprowadza? - spytałem.

- Usiądźmy w samochodzie - odrzekł.

* * *

Wewnątrz humvee też jest bardzo szeroki, ale znaczną część miejsca zajmuje potężny tunel wału napędowego. Przednie siedzenia są nieduże, umieszczone daleko od siebie i kiedy się na nich siedzi, rozmowa przypomina przekrzykiwanie się przez szerokość ulicy. Ale ten brak bezpośredniej bliskości chyba nam obu odpowiadał.

- Sytuacja ulega zmianie - zaczął Munro.

- Sytuacja wciąż ulega zmianie - odrzekłem. - Musisz do tego przywyknąć.
- Odnosnego oficera pozbawiono dowództwa.
- Reeda Rileya.
- Nie powinniśmy wymieniać tego nazwiska.
- Myślisz, że masz tu podsłuch?
- Po prostu stosuję się do zaleceń.
- To on odleciał tym helikopterem?

Munro kiwnął głową.

- Jest w drodze do Benning. Wywiozą go stamtąd i gdzieś schowają.
- Dlaczego?
- Dwie godziny temu wybuchła panika. Linie telefoniczne rozgrzały się do czerwoności. Nie wiem dlaczego.
- Kelham zostało pozbawione strażników kordonu sanitarnego, oto dlaczego.
- Znow do tego wracasz? Już ci mówiłem, że nie ma żadnego kordonu sanitarnego ani żadnych strażników.
- Właśnie niedawno się na nich natknąłem. Zawzięta cywilbanda.
- Coś jak ci z Ruby Ridge[3]?
- Tylko mniej profesjonalni.
- Dlaczego ludzie tak się wygłupiają?
- Zazdroszczą nam pełnego chwały życia.
- I co się z nimi stało?
- Pogoniłem ich.
- I wtedy ktoś uznał, że należy odwołać Rileya. Nie przysporzy ci to popularności.
- Nie zależy mi na popularności. Zależy mi na tym, żeby załatwić sprawę. Jesteśmy w wojsku, nie w liceum.
- Jest synem senatora, który ma przed sobą karierę. Wiedziałeś, że korpus marines zatrudnia lobbystów?
- Coś słyszałem - odrzekłem.

- To była nasza wersja.

Spojrzałem przez szybę na dom McClatchy, na niski dach, ubłocone ściany, małe okienka i rozłożyste drzewo.

- Po co tu przyjechałeś? - powtórzyłem pytanie.

- Z tego samego powodu, z którego ty pogoniłeś cywilbandę - odparł Munro.

- Staram się załatwić sprawę.

- Jak?

- Sprawdziłem sprawę zabójstw tych dwóch kobiet, o których wspominałeś.

W papierach znalazłem notatki z parafą: Tylko do wiadomości. Poszperałem głębiej i zebrałem w całość luźne fragmenty. Wygląda na to, że kapitan Riley jest niezłym bawidamkiem. Od przyjazdu do Kelham zaliczył szereg panienek dłuższy od mojego wacka. Bardzo możliwe, że wśród nich były Janice Chapman i Shawna Lindsay. Chcę sprawdzić, czy Rosemary McClatchy też do nich należała.

- Zabawne, bo przyjechałem w tej samej sprawie.

- Wielkie umysły myślą podobnie - odrzekł ze śmiechem Munro. - Albo inaczej: durnie nie różnią się od siebie.

- Masz przy sobie jego fotografię?

Munro rozpiął prawą kieszeń tuż pod plaketką z nazwiskiem i wyciągnął cienki czarny notes.

Otworzył go, wysunął spomiędzy kartek fotografię i podał mi, wyciągając rękę ponad tunelem wału napędowego.

Po raz pierwszy zobaczyłem twarz kapitana Reeda Rileya. Zdjęcie było kolorowe, zapewne zrobione do paszportu lub innego cywilnego dokumentu, do którego wymagano podobizny bez nakrycia głowy i innych dodatków. Wyglądał na nim na młodzieńca przed trzydziestką, miał szeroką twarz o wyrazistych rysach, niezbyt masywną i nie za pociągłą. Był opalony, miał bardzo białe zęby, świecące w pogodnym uśmiechu, ciemne, krótko przycięte włosy i dość puste spojrzenie oczu okolonych siateczką drobnych zmarszczek. Wyglądał na

pewnego siebie, mocnego, znającego się na rzeczy zasrańca, podobnie jak wszyscy kapitanowie sił lądowych, których miałem okazję poznać.

Wyciągnąłem rękę ponad tunelem wału napędowego i oddałem fotografię.

- Będziemy mieli szczęście, jeśli go rozpozna. Założę się, że dla pani McClatchy wszyscy wojskowi wyglądają tak samo.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedział Munro, otwierając drzwi.

Wysiadłem po mojej stronie i poczekałem, aż obejdzie potężną maskę. - Powiem ci, czego jeszcze udało mi się dowiedzieć. To może cię zainteresować. Szeryf Deveraux nie jest lesbijką. Kapitan Riley ją też zaliczył. Wygląda na to, że mieli romans niecały rok temu.

A potem się odwrócił i ruszył przodem do drzwi Emmeline McClatchy.

* * *

Otworzyła po drugim pukaniu i powitała nas z grzeczną rezerwą. Pamiętała mnie z poprzedniej wizyty, natomiast z uwagą wysłuchiwała Munro, który się przedstawił. Zaprosiła nas do niedużego pokoju. Dwa drewniane fotele z kółkami zamiast tylnych nóżek stały przy kominku, na środku podłogi leżał szmaciany dywan. Sufit wisiał nisko nad głową, powietrze było przesiąknięte kuchennymi zapachami. Na ścianie spostrzegłem trzy fotografie w ramach: Martina Luthera Kinga, prezydenta Clintona i Rosemary McClatchy. Fotografia dziewczyny pochodziła z tej samej serii co zdjęcie znajdujące się w dokumentacji szeryfa, choć na tej jeszcze bardziej olśniewała urodą. Znajomy z aparatem fotograficznym, rolka filmu, słoneczne popołudnie, ramka, młotek i gwóźdź - skrót jej całego życia.

Emmeline i ja usiedliśmy w fotelach, Munro stanął na środku pokoju. Jego obecność w ciasnym pomieszczeniu była dla mnie trudna do zaakceptowania jako niepasująca do tego miejsca i obca. Wyjął fotografię, przyłożył ją do piersi i powiedział:

- Pani McClatchy, chcielibyśmy panią zapytać o przyjaciół pani córki

Rosemary.

- Moja córka Rosemary miała wielu przyjaciół.

- Chodzi nam głównie o jednego młodego wojskowego z bazy, z którym być może się zadawała.

- Zadawała?

- Spotykała. Inaczej mówiąc, chodziła z nim na randki.

- Niech pan pokaże to zdjęcie.

Munro nachylił się i wręczył Emmeline fotografię, a ona zaczęła jej się przyglądać, ustawiając pod różnymi kątami do światła.

- To on zabił tę białą? - spytała w końcu.

- Nie jesteśmy pewni - odrzekł Munro - ale nie możemy tego wykluczyć.

- Kiedy zginęła Rosemary, nikt mi nie pokazywał żadnych zdjęć. Do pani Lindsay też nikt nie przyniósł zdjęć po śmierci Shawny. Dlaczego?

- Wojsko popełniło poważny błąd - odpowiedział Munro. - Nie da się tego wytłumaczyć.

Mogę tylko zapewnić panią, że sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby wtedy decydował o tym któryś z nas: ja lub major Reacher. Niestety, w tej sytuacji mogę tylko przeprosić.

Podniosła na niego wzrok, ja zrobiłem to samo. A potem spojrzała na zdjęcie i powiedziała:

- Nazywa się Reed Riley i jest kapitanem w Siedemdziesiątym Piątym Pułku Komandosów.

Rosemary mówiła, że jest dowódcą kompanii Bravo, cokolwiek to znaczy.

- Zatem się spotykali?

- Blisko cztery miesiące. Planowała wspólne życie.

- A on?

- Mężczyźni wszystko powiedzą, żeby tylko dostać to, czego chcą.

- Kiedy się rozstali?

- Dwa tygodnie przed jej śmiercią.

- Wie pani, co było przyczyną?

- Myślę, że Rosemary była w ciąży - powiedziała Emmeline McClatchy.

[3] Ruby Ridge - nazwa farmy w Idaho, gdzie w roku 1992 doszło do zbrojnej konfrontacji między mieszkańcami a funkcjonariuszami FBI i U.S. Marshals Service, w wyniku której zginęły trzy osoby, a dwie inne zostały ranne.

W pokoju zapadło milczenie, które przerwała Emmeline.

- Matka zawsze wie takie rzeczy. Inaczej wyglądała i się zachowywała. Nawet pachniała inaczej. Najpierw była bardzo szczęśliwa, potem bardzo nieszczęśliwa. O nic jej nie pytałam.

Myślałam, że sama z tym do mnie przyjdzie. Wiecie, jak poczuje taką potrzebę. Ale nie było jej dane.

Zapadło milczenie i dopiero po dłuższej chwili Munro spytał:

- Czy potem widziała pani jeszcze kapitana Rileyę?

Emmeline McClatchy skinęła głową.

- Tak, tydzień po tym, jak znaleźli jej ciało. Przyszedł złożyć kondolencje.

- Myśli pani, że to on ją zabił?

- Pan jest policjantem, młody człowieku, nie ja.

- Ale myślę, że matka wie takie rzeczy.

- Rosemary wspomniała, że jego ojciec to ktoś ważny. Nie była pewna, gdzie się obraca.

Może w środowisku polityków. Tam, gdzie liczy się wizerunek. Myślę, że kapitanowi

Rileyowi pasowała dziewczyna, ale czarna dziewczyna w ciąży już nie.

* * *

Emmeline McClatchy nie dała się namówić na dalsze zwierzenia, pożegnaliśmy się więc i wróciliśmy do humvee.

- To wygląda naprawdę paskudnie - powiedział Munro.

- Z matką Shawny Lindsay też rozmawiałeś? - spytałem.

- Nie odezwała się do mnie ani słowem. Przepędziła mnie z kijem w garści.

- Na ile jest pewna informacja o Deveraux i Rileyu?

- Na sto procent. Spotykali się, on zerwał, ona bardzo to przeżywała. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, następną po niej była Rosemary McClatchy.

- To jego samochód został zmiądzony na torze?

- Według Wydziału Komunikacji z Oregonu, jego. Zidentyfikowali go na podstawie tablicy rejestracyjnej, którą odnalazłeś. Niebieski chevrolet z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Stary gruchot, nie żadna szpanerska bryka.

- Miał coś w tej sprawie do powiedzenia?

- Nie, za to miał wygadanego adwokata.

- Da się udowodnić, że to on był kochankiem Janice Chapman?

- Jednoznacznie nie. Chapman była zabawową dziewczyną i spotykała się z wieloma mężczyznami.

- W Tulane też miała opinię zabawowej.

- Tam studiowała?

- Podobno.

Munro się uśmiechnął.

- Nie byłbym zdziwiony, gdyby wszystkie tamtejsze studentki się puszczały.

- Wiedziałaś o tym, że nie nazywała się Janice Chapman?

- Jak to?

- Naprawdę nazywała się Audrey Shaw. Trzy lata temu zmieniła nazwisko.

- Dlaczego?

- Polityka. Żeby wyplątać się z dwuletniego romansu z Carltonem Rileyem.

* * *

Zostawiłem Munro z tą wiadomością, żeby ją sobie przetrawił, i zawróciłem na południe, a on odjechał na północ. Tym razem nie poszedłem na skróty i okrążyłem sąsiadów Emmeline ulicą, jak trzeba, przelazłem przez ogrodzenie, przeszedłem przez pole, odszukałem dróżkę przez las i po niecałych dwudziestu minutach byłem z powrotem na Main Street. Pięć minut później wchodziłem do budynku biura szeryfa, a po kolejnej minucie do gabinetu Deveraux.

Siedziała przy zawalonym papierami biurku i coś pisała.

- Musimy porozmawiać - rzuciłem.

Deveraux spojrzała na mnie nieco spłoszona. Być może wyczuła coś w moim głosie.

- Porozmawiać o czym?

- Czy kiedykolwiek zadawałaś się z kimś z bazy?

- Z jakiej bazy? Masz na myśli Kelham?

- Tak, z Kelham.

- To chyba moja prywatna sprawa, nie sądzisz?

- Zadawałaś się?

- Oczywiście, że nie. Oszalałaś? Ludzie z bazy to moje największe zmartwienie. Wiesz, jak wyglądają relacje między wojskiem a miejscowymi siłami porządku. Taki związek prowadziłby do najgorszego konfliktu interesów.

- A utrzymywałaś z kimś z nich stosunki towarzyskie?

- Nie, z tych samych powodów.

- Znasz tam kogoś?

- Bardzo luźno. Zwiedzałam kiedyś bazę i oficjalnie poznałam kilku wyższych oficerów. To normalne. Borykają się na co dzień z podobnymi problemami jak ja.

- Okay. - Skinąłem głową.

- Czemu pytasz?

- Spotkałem Duncana Munro przed domem McClatchy. Wygląda na to, że Rosemary McClatchy i Shawna Lindsay zadawały się z tym samym facetem. Prawdopodobnie Janice Chapman też. Munro dowiedział się, że ty również.

- Bzdura. Od dwóch lat nie byłam z żadnym mężczyzną. Nie wyczułeś tego? Usiadłem przy jej biurku.

- Musiałem spytać. Przepraszam.

- O kogo chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Musisz. McClatchy i Lindsay to moje sprawy. Dlatego to informacja

istotna dla śledztwa.

A poza tym mam prawo wiedzieć, jeśli jakiś facet wyciera sobie mną głowę.

- Reed Riley.

- Nigdy o nim nie słyszałam - burknęła.

Ale chwilę potem dodała:

- Zaraz. Powiedziałeś: Riley?

Nie odpowiedziałem.

- O mój Boże! Syn Carltona Rileya jest w Kelham? Nie miałam o tym pojęcia.

Milczałam.

- O mój Boże! - powtórzyła. - To bardzo dużo wyjaśnia.

- To jego samochód znalazł się na torze. A Emmeline McClatchy sądzi, że Rosemary była z nim w ciąży. Nie zapytałam jej o to. Sama z tym wyskoczyła.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Nie porozmawiasz. Właśnie zabrali go helikopterem.

- Dokąd?

- Gdzie mieści się najdalsza i najbardziej odizolowana baza wojskowa na świecie?

- Nie wiem.

- Ani ja. Ale stawiam dziesięć do jednego, że właśnie tam dziś wyląduje.

- Dlaczego miałby twierdzić, że się ze mną spotykał?

- Z racji rozдутego ego. Może chciał się pochwalić przed kumplami, że zaliczył cztery najpiękniejsze kobiety w Carter Crossing. Brannanowie mi mówili, że był z niego pies na baby i zawsze miał przy boku jakąś ślicznotkę.

- Nie jestem wojskową ślicznotką.

- Od wewnątrz może nie.

- Jego ojciec na pewno wie, z kim Janice Chapman miała romans.

Nic nie powiedziałem.

Przyjrzała mi się uważnie.

- No nie! - wykrzyknęła.
- No tak - mruknąłem.
- Z tą samą kobietą? Tatuś i synek? To naprawdę śmierzcząca sprawa.
- Munro nie potrafi tego udowodnić. My zresztą też nie.
- Ale możemy tak wnioskować. To zaszło o wiele za daleko, żeby się liczyć z groźbą odwetu.

- Może tak, może nie. Skąd możemy wiedzieć, jak ci ludzie myślą?
- W każdym razie nie możesz jechać do Waszyngtonu. Nie teraz. To zbyt niebezpieczne.

Będziesz tam chodził z największą na świecie tarczą strzelecką na plecach. Biuro Łączności z Senatem za dużo zainwestowało w Carltona Rileya. Nie pozwolą ci tego zniszczyć. Wierz mi, w porównaniu z Senacką Komisją Sił Zbrojnych jesteś dla nich nikim.

Skończyła zdanie i w tym momencie zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i przez chwilę słuchała, po czym zasłoniła dłonią mikrofon i powiedziała:

- Dzwoni policja z Oxfordu. Pytają o zastrzelonego reportera. Zamierzam im powiedzieć, że sprawca zabójstwa stawiał opór podczas próby aresztowania, został przez naszych funkcjonariuszy zastrzelony i sprawa jest zamknięta.

- Mnie to pasuje - odparłem i wzruszyłem ramionami.

Deveraux powtórzyła to samo do słuchawki, a potem zaczęła telefonować do różnych władz stanowych i okręgowych. Było ich wiele, więc wyszedłem z gabinetu, żeby jej nie przeszkadzać. Spotkaliśmy się dopiero o dziewiątej na kolacji.

* * *

Zaczęliśmy rozmawiać o jej rodzinnym domu. Jak zwykle zamówiła cheeseburgera, ja poprosiłem o kanapkę z pieczoną wołowiną i spytałem:

- Jak to było dorastać w takim miejscu?

- Dziwnie - odrzekła. - Oczywiście, nie miałam skali porównawczej.

Rodzice kupili pierwszy telewizor, kiedy miałam dziesięć lat. Nie chodziliśmy do kina, ale i tak przeczuwałam, że gdzieś indziej musi się coś dziać. Wszyscy tak czuliśmy. Wszystkich nękał syndrom wyspiarzy.

Potem spytała o moje dzieciństwo, więc wyrecytowałam tyle miejsc z długiej listy, ile zapamiętałam. Poczęty na Pacyfiku, urodzony w Berlinie Zachodnim, gdzie ojciec pełnił służbę w ochronie naszej ambasady, mieszkanie w kilkunastu bazach jeszcze przed szkołą podstawową, pobieranie nauk w szkołach rozsianych po całym świecie. Skaleczenia i stłuczenia wyniesione z bójek w gorących i wilgotnych zaułkach w Manili i gojące się w chłodnej i wilgotnej kwaterze w Belgii, w pobliżu siedziby NATO, natknięcie się na tych samych wrogów miesiąc później w San Diego i odnowienie konfliktu. Na koniec nauka w West Point i rozpoczęcie własnej kariery wojskowej, w ramach której odwiedziłem kilka tych samych baz, ale też wiele nowych, jako że armia wyznaje nieco odmienną filozofię od korpusu marines.

- Jak długo przebywałeś w jednym miejscu? - spytała.

- Chyba nigdy nie dotrwałem do sześciu miesięcy.

- Jaki był twój tata?

- Cichy i spokojny - odrzekłem. - Kochał obserwować ptaki, a jego praca wymagała szybkiego i efektywnego zabijania ludzi, i zawsze go to uwierało.

- Był dobrym ojcem?

- Tak, w taki trochę staroświecki sposób. A twój?

Pokiwała głową.

- Staroświecki, to określenie dobrze do niego pasuje. Był pewny, że wyjdę za mąż, a on będzie jeździł kawał drogi do Tupelo albo Oxfordu, żeby mnie odwiedzić.

- Gdzie mieszkaliście?

- Na południe od Main Street, w lewo przed pierwszym skrzyżowaniem. Wąska polna droga, czwarty dom po prawej.

- Wciąż tam stoi?

- Żałosne resztki.

- Nie został na nowo wynajęty?

- Nie, tata przed śmiercią chorował i dopuścił do tego, że mu go zabrali.

Bank, który go przejął, w ogóle się nim nie zajmował. Teraz to ruina.

- Cała zarośnięta roślinnością, liszaj na ścianach, spękane fundamenty?

Wysoki żywopłot z tyłu? Ślady po ośmioliterowym nazwisku na skrzynce na listy?

- Skąd to wszystko wiesz?

- Byłem tam. Minąłem ten dom w drodze do McClatchy.

Nie odpowiedziała.

- Widziałem kobyłkę do sprawiania dziczyzny.

Milczała.

- I grudki ziemi w twoim bagażniku, kiedy wyjmowałaś naboje do strzelby.

Do stolika podeszła kelnerka, żeby zabrać puste talerze i przyjąć zamówienie na deser. Po jej odejściu Deveraux obrzuciła mnie spłoszonym spojrzeniem. Wyglądała na zmieszaną.

- Palnęłam głupstwo - powiedziała cicho.

- Jakie głupstwo? - spytałem.

- Poluję - odrzekła. - Od czasu do czasu, dla przyjemności. Głównie na jelenie. Mięso oddaję biednym mieszkańcom, na przykład Emmeline McClatchy. Zwykle nie jedzą mięsa, bo ich na to nie stać. Czasami kawałek wieprzowiny, jak sąsiad urządzi świniobicie. Oczywiście, pod warunkiem że będzie chciał się podzielić, a nie zawsze chce. Czasami nie może sobie pozwolić na to, żeby się dzielić.

- Pamiętam. - Kiwnąłem głową. - Kiedy pierwszy raz odwiedziliśmy Emmeline McClatchy.

Zaprosiła nas na gulasz z jelenia, a ty odmówiłaś.

- Jaki sens najpierw dawać, a potem jej to zjadać? Ustrzeliłam tego jelenia tydzień wcześniej.

Nie mogłam przywieźć go do hotelu, więc pojechałam do domu taty. Od czasu powrotu tak robiłam. To dobra, solidna kobyłka. Ale potem wyskoczyłeś z tą teorią o śmierci Janice Chapman, a wtedy jeszcze cię słabo znałam. Pomyślałam, że możesz od razu powiadomić o tym dowództwo. Wyobraziłam sobie eskadrę blackhawków, jak latają i wypatrują myśliwskich kobyłek. Dlatego wysłałam cię na poszukiwanie tablicy rejestracyjnej wraku.

Chciałam, żebyś przez godzinę czymś się zajął. W tym czasie pojechałam do domu i usunęłam warstwę ziemi z krwią.

- Badanie wykazałoby, że to krew zwierzęca.

- Wiem, ale jak długo by to potrwało? Nawet nie wiem, gdzie jest najbliższe laboratorium analityczne. Może aż w Atlancie. To mogło potrwać ze dwa tygodnie, jeśli nie dłużej. A ja nie mogę sobie pozwolić na życie przez dwa

tygodnie w atmosferze podejrzeń. Całkiem dosłownie nie stać mnie na to. To moja jedyna praca i jedyne źródło dochodu. Nie wiem, gdzie i kiedy znalazłabym następną. A elektorat bywa dziwny. Zawsze pamięta, że było coś na rzeczy, ale nigdy nie pamięta, jak to się skończyło.

Pomyślałem o Stanie Lowreyu i jego ogłoszeniach w sprawie pracy. Wspaniały nowy świat dla nas wszystkich.

- Postąpiłaś bardzo głupio.
- Wiem, że głupio. Trochę spanikowałam.
- Znasz innych myśliwych? I inne tego typu urządzenia?
- Kilka znam.
- Bo nadal uważam, że te kobiety właśnie tak zabito. Nie wyobrażam sobie, jak by to można zrobić inaczej.

- Zgadzam się, i właśnie dlatego wpadłam w popłoch.
- Więc może jednak prędzej czy później trzeba będzie wezwać eskadrę blackhawków.

- Chyba że wcześniej uda nam się odnaleźć Reeda Rileya i zadać mu parę pytań.

- Zapomnij o Reedzie Rileyu. Pewnie jest już oficerem łącznikowym w bazie sił powietrznych w Thule.

- Gdzie to jest?
- Północna Grenlandia. Czubek świata. To bez wątpienia najbardziej oddalona baza sił powietrznych. Byłem tam kiedyś. Lecieliśmy Cpięc, który miał jakieś problemy techniczne, i musieliśmy lądować. Należy do systemu wczesnego ostrzegania. Przez cztery miesiące w roku słońce w ogóle nie wschodzi. Zainstalowano tam radar, który potrafi namierzyć lot piłki serwowanej na korcie pięć tysięcy kilometrów dalej.

- Masz ich telefon? - spytała.

Uśmiechnąłem się.

- Będziemy musieli zrobić to inaczej. Zobaczą, co pojutrze wypełźnie spod

kamienia.

Nic nie odpowiedziała. Powoli zabraliśmy się do jedzenia placka z brzoskwiniami. Mieliśmy dużo czasu. Nocny pociąg zapewne opuszczał dopiero bocznicę na stacji w Biloxi.

* * *

Deveraux nadal liczyła się z opinią właściciela hotelu, ale nie chciało nam się znów odgrywać komedii na schodach, dałem więc jej klucz do pokoju i wyszliśmy oddzielnie w odstępie dziesięciu minut. Pozwoliło mi to zapłacić rachunek i wypić trzecią filiżankę kawy.

Poszedłem spacerkiem do hotelu, kiwnąłem głową staremu w recepcji, wszedłem na górę i zapukałem do swoich drzwi. Elizabeth natychmiast otworzyła. Zdążyła zdjąć buty i odpiąć pas z kaburą, ale cała reszta była na swoim miejscu. Koszula od munduru, spodnie, kucyk.

Wszystko tak, jak trzeba.

Zabraliśmy się do siebie jak narkoman do podgrzewania łyżeczki z herą: pospiesznie i jednocześnie delektując się każdą chwilą, pogrążeni w nastroju oczekiwania. Jak inwestorzy niemogący się doczekać wypłaty dywidendy. Zaczęła od zsunienia gumki z kuczka.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się zza kurtyny rozpuszczonych włosów. Rozpięła pierwsze trzy guziki i ciężar plakietki z nazwiskiem i gwiazdy spowodował, że połówki koszuli rozchyliły się, ukazując głęboki trójkąt nagiej skóry. Zdjąłem buty i skarpetki i wyciągnąłem poły koszuli ze spodni. Uchwyciła palcami jednej dłoni czwarty guzik przy koszuli, palcami drugiej guzik przy spodniach i spojrzała na mnie.

- Wybieraj - powiedziała.

Wybór był trudny i musiałem się chwilę zastanowić, w końcu jednak podjąłem decyzję.

- Spodnie - odparłem, a ona bez wahania rozpięła guzik i chwilę później już stała przede mną bosa, z gołymi nogami, mając na sobie tylko beżową koszulę

od munduru. - Teraz ty masz taki sam wybór.

Elizabeth zdecydowała inaczej i zgodnie z jej życzeniem zdjąłem koszulę. Tym razem spytała mnie o bliznę po szrapnelu, a ja krótko opowiedziałem o niefortunnym zbiegu okoliczności w początkach mojej kariery, gdy w trakcie rutynowej wizyty w obozie marines w Bejrucie znalazłem się w pobliżu ciężarówki, która chwilę potem eksplodowała przed bramą obozu sto metrów ode mnie.

- Słyszałam o jakimś wojskowym żandarmie, który się tam znalazł. To byłeś ty?

- Nie wiem, kto poza mną mógł tam być.

- Wszedłeś w ruiny i zacząłeś pomagać ludziom.

- Tylko przez przypadek. Naprawdę szukałem sanitariusza dla siebie.

Dostałem tak, że mogłem sobie obejrzeć wszystko, co zjadłem na wczorajszą kolację.

- Dostałeś wtedy Srebrną Gwiazdę.

- Oraz zakażenia krwi. A mogłem się obyć bez jednego i drugiego.

Odpiąłem pasek u spodni, ona rozpięła resztę guzików przy koszuli i stanęliśmy naprzeciwko siebie w samej bieliźnie. Ten stan nie potrwał długo. Włączyliśmy prysznic, weszliśmy pod niego razem, a ja zaciągnąłem zasłonkę. Zaczęliśmy się mydlić i myć od stóp do głów, nie opuszczając żadnego zakamarka naszych ciał. Nikt nie mógł nam zarzucić braku dbałości o higienę oraz zapachu. Byliśmy pod prysznicem tak długo, że w hydroforze hotelu Toussaint's zabrakło gorącej wody. Dopiero wtedy opatuliliśmy się naręczem ręczników, żeby nie zamoczyć pościeli, przenieśliśmy się na łóżko i przystąpiliśmy do dzieła. Deveraux smakowała ciepło, ślisko i mydlenie, ja zresztą pewnie tak samo. Była giętka, silna i pełna energii, ale oboje zachowywaliśmy umiar. Nasz nocny pociąg był dopiero gdzieś między Columbus a Aberdeen i zostało mu jeszcze z sześćdziesiąt kilometrów. Około czterdziestu minut.

Czterdzieści minut to sporo czasu. Mniej więcej po dwudziestu minutach wiedzieliśmy o sobie wszystko. Dowiedziałem się, jak ona się porusza, co lubi, a co uwielbia. Elizabeth wiedziała to samo o mnie. Poznałem rytm jej serca, ruch żeber, kiedy pojękuje, oraz różne warianty jej pojękiwania. Ona nauczyła się rozpoznawać u mnie ostrzegawczy skurecz w gardle i sprawić, żeby moja skóra płonęła. Pokazałem jej, gdzie lubię być dotykany, a co mnie wystrzeliwuje na orbitę.

A potem zaczęliśmy, wolno budując napięcie, niczym armia dokonująca inwazji, jak żołnierze obserwujący zbliżający się brzeg, piloci widzący rosnący w celowniku obiekt bombardowania. Długo i powoli, bliżej i bliżej, długo i powoli, całe pięć minut. A potem szybciej i mocniej, szybciej i mocniej, szybciej i mocniej. Szklana półeczka w łazience zaczęła pobrzękiwać, w samą porę. Brzęczała i drżała. Rury w ścianach wydawały stłumiony metaliczny dźwięk. Drzwi balkonowe dygotały, wywołując inny odgłos drewnianej ramy, inny szyby, jeszcze inny metalowych okuć. Podłoga rezonowała jak skóra na bębnie, porzucony but drgnął i obrócił się na bok, leżąca na podłodze gwiazda szeryfa zaczęła wybijać szybki rytm o klepkę, beretta schowana w kieszeni moich spodni puknęła w podłogę, wezgielowie łóżka zaczęło postukiwać w ścianę we własnym rytmie.

Zbliżał się nocny pociąg.

Punktualnie jak w zegarku.

Gotowe.

Tylko że tym razem było inaczej.

Coś było nie tak.

Nie z nami, tylko z pociągiem. Towarzyszący mu dźwięk brzmiał jakoś inaczej. Dużo niżej.

Pociąg zaczynał zwalniać. Dalekiemu łoskotowi toczących się kół towarzyszyły zgrzyty i piski dociskanych hamulców. Wyobraziłem sobie żelazne kloce, dociskane z potężną siłą do stalowych obręczy, oraz zastopowane

przez nie koła, które szorując po szynach, wyrzucają w noc pióropusze iskier, a napierające na siebie wagony próbują ze wszystkich sił pchać do przodu zwalniając lokomotywę. Deveraux wyslizgnęła się spode mnie i usiadła wyprostowana ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt na ścianie, zamieniając się w słuch.

Zgrzytanie i pischczenie nie ustawało - głośnie, żalosne, tępe, niekończące się - po czym nagle zaczęło cichnąć. Po części dlatego, że bezwładność masy pociągu wyniosła go daleko poza przejazd, po części dlatego, że prawie się zatrzymał.

- Boże, nie - wyszeptała Deveraux.

Ubraliśmy się błyskawicznie i dwie minuty później byliśmy już na Main Street. Deveraux zatrzymała się przy radiowozie, wyjęła z bagażnika dwie latarki, zaświeciła jedną i mi podała.

Przeszliśmy zaułkiem między apteką a sklepem z żelastwem, minęliśmy kupę piachu w miejscu znalezienia zwłok Chapman, po czym między kantorem a barem Brannanów wyszliśmy na pustą przestrzeń przed torem. Deveraux szła jako pierwsza, niemal się zataczając, co mnie wcale nie dziwiło, bo też miałem miękkie kolana. Mimo to parła do przodu, zdecydowana pełnić swoją służbę bez względu na okoliczności.

Oczywiście kierowaliśmy się w stronę toru. Deveraux wdrapała się na nasyp, przekroczyła lśniąca srebrzyście szynę, stanęła na podkładzie i ruszyła na południe. Podążyłem za nią.

Sądziłem, że maszynista znajduje się jakieś dwadzieścia minut za nami. Przypuszczałem, że jego pociąg musi ważyć z osiem tysięcy ton, a wiedziałem co nieco o drodze hamowania pociągów o takiej masie. Czasem żandarmom - jak wszystkim gliniarzom - przychodzi kierować ruchem, tyle że w naszym przypadku chodzi o pociągi przewożące czołgi i ważące zwykle około ośmiu tysięcy ton. Sztuka kierowania ruchem w tym przypadku polega na uzmysłowieniu sobie, że nawet przy awaryjnym hamowaniu pociąg o tej masie musi się potoczyć co najmniej półtora kilometra, zanim stanie. Przeciętnemu piechurowi przebycie takiej odległości zajmuje około dwudziestu minut, a to oznaczało, że dotrzemy na miejsce jakieś dwadzieścia minut przed maszynistą.

Co mnie wcale nie cieszyło.

Choć nie spodziewałem się, by było zbyt dużo do znalezienia.

Poruszaliśmy się niemal truchtem, próbując dopasowywać długość kroków do odstępów między podkładami. Światło z naszych latarek podskakiwało i omiało tor, z trudem przebijając się przez mgiełkę dymu z masakrowanych hamulców. Zorientowałem się, że zbliżamy się do miejsca, gdzie dziś

dwukrotnie przekraczałem tor. Miejsca, do którego wiodła wąska droga po wschodniej stronie toru, by po stronie zachodniej zamienić się w leśną ścieżkę. W dzieciństwie Deveraux nieraz musiała nią chodzić. Chyba pomyślała o tym samym, bo gdy zbliżyliśmy się do tego miejsca, zwolniła i omiotła światłem latarki okolice toru.

Zrobiłem to samo i akurat wypadło na mnie, że pierwszy się na to natknąłem. To, czyli wszystko, co z niej zostało. Może nie licząc czerwonej mgielki, która zapewne wciąż jeszcze wisiała w powietrzu, osiadając na wszystkim w promieniu stu metrów, kropelka tu, kropelka tam.

Tym czymś była stopa amputowana tuż nad kostką. Cięcie było równe i gładkie. Prosta, równa linia, wzdłuż której nastąpiło cięcie jak za pomocą akustycznej broni, wysyłającej zabójcze poddźwiękowe impulsy. Widywałem już takie cięcia. Deveraux na pewno też.

Większość policjantów z drogówki zna ten widok.

Stopa była wciąż obuta. Czarny, wyczyszczony do połysku damski bucik na niskim obcasie, z paseczkiem na guzik. W buciku zachował się kawałek pończochy, której górna krawędź wyglądała jak odcięta nożyczkami. Przez cienką beżową powłoczkę prześwitywał kawałek hebanowo czarnej skóry, która kończyła się czymś, co przypominało gipsowy przekrój ludzkiej nogi, ustawiony w gablocie z pomocami naukowymi na wydziale medycyny. Kość, żyły, tkanka mięśniowa.

- To były jej buty do kościoła - powiedziała Deveraux. - W głębi serca była dobrą kobietą.

Tak mi przykro, że do tego doszło.

- Nigdy jej nie poznałem - dodałem. - Nie było jej. To były pierwsze słowa, jakie powiedział do mnie jej syn: „Mamy nie ma”.

* * *

Usiedliśmy na podkładzie pięć metrów przed stopą i zaczęliśmy czekać na maszynistę. Dotarł do nas po piętnastu minutach, ale niewiele miał do

powiedzenia. Mignięcie w blasku reflektorów, ledwie zauważalny błysk białej podszewki pod czarnym żakietem i było po wszystkim.

- To jej wyjściowy strój do kościoła - powiedziała Deveraux. - Czarny gabardynowy żakiet na białej podszewce.

Maszynista włączył hamulce, bo tego wymagał od niego regulamin kolejowy, przepisy federalne i prawo stanowe, mimo że jego zdaniem to pozbawiona sensu strata czasu.

Gwałtowne hamowanie tylko niepotrzebnie nadweręża konstrukcję pociągu i toru.

Półtorakilometrowy marsz wzdłuż toru tylko po to, żeby niczego nie znaleźć. Już mu się to kiedyś przytrafiło.

Wymienili się z Deveraux numerami referencyjnymi, nazwiskami i adresami - znów zgodnie z przepisami - po czym Deveraux spytała, czy czuje się na siłach jechać dalej i czy nie potrzebuje pomocy. Maszynista tylko machnął ręką i ruszył w drogę powrotną do swojej lokomotywy. Nie wyglądał na wstrząśniętego, jedynie na znużonego formalnościami.

* * *

Wróciliśmy na Main Street, minęliśmy hotel i weszliśmy do biura szeryfa. Na nocnej zmianie nie było nikogo. Deveraux otworzyła drzwi swoim kluczem i pozapalała światła. Zadzwoiła do Pellegrina i kazała mu przyjść w ramach płatnych nadgodzin, po czym powiadomiła lekarza, że jest potrzebny. Żaden się nie ucieszył, ale obaj szybko zareagowali i zjawili się niemal równocześnie po upływie kilku minut. Może też słyszeli hamujący pociąg.

Deveraux wysłała obu na miejsce wypadku, by zebrali, co się da. Zostaliśmy sami w biurze, prawie się do siebie nie odzywając. Obaj wrócili po niecałej pół godzinie. Lekarz pojechał do siebie, Pellegrino dostał polecenie, że ma mnie odwiedzić do Memphis. Dużo wcześniej, niż zaplanowałem, ale w pełni zaakceptowałem decyzję Elizabeth.

Nawet nie zahaczyłem o hotel. Wsiadłem do radiowozu pod biurem szeryfa, mając tylko trochę gotówki w jednej kieszeni i berettę w drugiej. Po drodze nie napotkaliśmy samochodów, co mnie nie zaskoczyło. Był środek nocy, w dodatku znajdowaliśmy się na pustkowiu. Pellegrino milczał jak zaklęty albo ze zmęczenia, albo z urazy, albo czegoś jeszcze i skupiał się tylko na prowadzeniu. Jechał tą samą drogą, którą tu przyjechałem.

Najpierw prostym odcinkiem szosy przez las na zachód, potem boczną drogą przebytą ciężarowym chevroletem, wreszcie zakurzoną dwupasmówką, którą przejechałem starym osobowym buickiem. Przekroczyliśmy granicę z Tennessee, minęliśmy Germantown, gdzie wysiadłem ze zdezelowanego pickupa, przejechaliśmy przez uśpione tereny podmiejskie na południowy wschód od Memphis i wjechaliśmy do miasta jeszcze przed świtem. Wysiadłem na dworcu autobusowym, a Pellegrino odjechał bez słowa pożegnania. Okrążył kwartał ulic, a ja, stojąc na chodniku, słyszałem, jak jego samochód skręca na wschód i cichnie w oddali.

Dzięki wczesnej porze miałem do wyboru sporo autobusów jadących na północ, ale pierwszy odjeżdżał dopiero za godzinę. Ruszyłem więc w obchód sąsiadujących z dworcem uliczek, w poszukiwaniu nocnej knajpki. Znalazłem dwie i wybrałem tę samą, w której trzy dni wcześniej jadłem lunch i gdzie jedzenie było tanie i nietrujące. Nalano mi kawy z wyszczerbionego dzbanka i usmażono jajka z bekonem na patelni, która pewnie nie zdążyła ostygnąć od czasów administracji Nixona. Pięćdziesiąt minut później siedziałem w autobusie i jechałem na północny wschód.

* * *

Pogapiłem się przez okno po prawej stronie na wschodzące słońce, potem usnąłem i przespałem większość sześciogodzinnej podróży. Wysiadłem dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wsiadałem trzy dni wcześniej - na dworcu autobusowym w miasteczku leżącym najbliżej bazy, w której

stacjonowałem. Miasteczko nie przypominało Carter Crossing poza tym, że tu też były bary, kantory pożyczkowe, sklepy z częściami samochodowymi, sklepy z bronią, sklepy z używanym sprzętem stereo - a wszystkie korzystające z żołdów wypłacanych przez Wuję Sama. Minąłem je wszystkie, wyszedłem na otwartą przestrzeń, kilometr dalej zjadłem lunch w przydrożnym barze i poszedłem dalej.

Dotarłem do bazy i swojej kwatery przed drugą po południu, znacznie wcześniej, niż założyłem. Pozwoliło mi to na skorygowanie dalszego planu działania.

Najpierw wziąłem długi gorący prysznic. Stojąc pod lejącą się wodą, czułem, jak wraz z nią spływa ze mnie zapach Deveraux. Wytarłem się do sucha, ubrałem w paradny mundur oficerski ze wszystkimi ozdóbkami i zadzwoniłem do Stana Lowreya z prośbą, by zawiózł mnie na dworzec autobusowy. Pomyślałem, że jeśli się pospieszę, na kolację będę w Waszyngtonie - dwanaście godzin wcześniej, niż pierwotnie zakładałem. Powiedziałem też Lowreyowi, żeby nie robił tajemnicy z mojego wyjazdu. Uznałem, że im więcej ludzi się o tym dowie i im dłużej będę w Waszyngtonie, tym większa szansa, że spod kamienia rzeczywiście coś wypełźnie.

* * *

O siódmej wieczorem w poniedziałek Waszyngton się wycisza. W centrali firmy o nazwie Ameryka praca nie ustaje, ale po siedemnastej przenosi się do wybranych lokali: barów, eleganckich restauracji, salonów w prywatnych domach. Nigdy w nich nie byłem, ale wiedziałem, gdzie ich szukać. Machnąłem ręką na leżące daleko od centrum hotele sieciowe, z których korzysta zwykły szarak jak ja, i skierowałem się ku rzęsijszym światłom, czystszy ulicom i wyższym cenom na południe od Dupont Circle. Co nie znaczy, że zamierzałem za cokolwiek płacić. Zgodnie z krążącą legendą, przy Connecticut Avenue mieści się elegancki hotel, w którego systemie komputerowym występuje błąd powodujący, że opłatą za noclegi zatrzymujących się w nim ludzi w mundurach

automatycznie obciążane są władze wojskowe. Może wprowadzono ten wymóg do systemu z okazji jakiejś konferencji i nigdy go nie skorygowano, może zrobił to jakiś zgorzkniały weteran z dostępem do ksiąg finansowych. Nikt tego nie wiedział, ale wieść niosła, że zatrzymujący się w tym hotelu wojskowi prędzej trafiali na cmentarz, niż musieli płacić za nocleg.

Szedłem powoli, cały czas trzymając się środka chodnika i zachowując czujność, tak by to nie rzucało się w oczy. Zerkałem w mijane szyby wystawowe i pod każdymi światłami niewinnie się rozglądałem. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Czasami ktoś mnie potrącał czy popychał, ale robili to zaaferowani przechodnie, spieszący na następne spotkanie. Bez przeszkód dotarłem do hotelu i w recepcji podałem prawdziwe nazwisko i stopień. Najwyraźniej pogłoska nie mijiała się z prawdą, bo nie poproszono mnie ani o kartę płatniczą, ani o przedpłatę w gotówce. Musiałem tylko podpisać świstek papieru, co uczyniłem z ochotą, czytelnie wpisując swoje nazwisko i stopień. Występowanie w roli przynęty i jednocześnie chowanie się pod korcem miałyoby się z celem. Zresztą nawet nie bardzo wiedziałem, co to jest korzec. Chyba jakieś naczynie do przechowywania ziarna. A jeśli tak, to udusiłbym się pod nim z braku tlenu.

Pojechałem windą na swoje piętro, powiesiłem w szafie górę od paradnego munduru i zadzwoniłem do recepcji z prośbą o przyniesienie kolacji do pokoju. Pół godziny później zasiadłem do steku z polędwicy, którego koszt też obciążał Pentagon. Zjadłem ze smakiem i wystawiłem tacę na korytarz, po czym wyszedłem z hotelu na spacer. Zarzucałem sieć, chcąc się przekonać, czy zanęcę jakiegoś typa z bocznej uliczki. Nikt się nie złapał, nikt nie reagował, nikt mnie nie śledził. Obszedłem Circle i zapuściłem się w boczną uliczkę z ambasadą Iraku na jednym końcu i ambasadą Kolumbii na drugim. Widziałem kobiety i mężczyzn o wyglądzie agentów federalnych różnych odmian, kobiety i mężczyzn po cywilnemu, ale bez wątplenia w służbie mundurowej, oraz kobiety i mężczyzn w mundurach wszystkich czterech formacji, a także licznych

mieszkańców obojga płci w eleganckich kostiumach i garniturach. Jednak nikt nawet nie ruszył palcem w moją stronę. Nikt nie był mną zainteresowany. Jakbym stanowił część wystroju miasta.

W tej sytuacji wróciłem do hotelu i położyłem się do łóżka w moim luksusowym pokoju.

Postanowiłem spokojnie poczekać na to, co się wydarzy następnego dnia, we wtorek, jedenastego marca 1997 roku.

Obudziłem się o siódmej i pozwoliłem Departamentowi Wojskowości zafundować mi śniadanie z dostawą do pokoju. O ósmej byłem wykąpany, ubrany i stałem na ulicy.

Umówienie się w Pentagonie na dwunastą przez kogoś przybywającego z tak daleka musiało sugerować, że przyjadę do Waszyngtonu dzień wcześniej i spędzę noc w hotelu, a hotele w Waszyngtonie można łatwo monitorować. Takie to już miasto. W dodatku nie próbowałem się chować pod żadnym korcem. I dlatego byłem w pełni przygotowany na to, że będą na mnie czekać w holu lub pod hotelem. Nie było nikogo ani tu, ani tam. Był pogodny, ciepły wiosenny poranek i świat wyglądał przyjaźnie oraz niewinnie.

Ostentacyjnie przespacerowałem się do najbliższego kiosku po gazetę, choć hotel oferował gościom prasę z całego świata. Kupiłem „Post” i „Times”, po czym długo szukałem banknotu i czekałem na wydanie reszty, wszystko ze spokojną i beztroską miną. Nikt nie podszedł i nikt się na mnie nie rzucił. Wsadziłem gazety pod pachę i spacerkiem poszedłem do kawiarni, gdzie usiadłem przy jednym ze stolików w ogródku, na widoku.

Nikt nawet na mnie nie spojrzał.

O dziesiątej kawa wylewała mi się już uszami, a w gazetach nie pozostała ani jedna nieprzeczytana literka. Żaden przechodzień nie wykazał mną najmniejszego zainteresowania i zaczynałem już myśleć, że przesadziłem z wyborem hotelu. Ktoś o moim statusie pewnie wybrałby hotel niższej kategorii, a takich było tu tyle, że nie dałoby się wszystkich skontrolować. Uznałem, że przeciwnicy postanowili nie zawracać sobie głowy próbą przechwycenia mnie po drodze i skupić się na celu mojej podróży. Wiedzieli, dokąd i o której się udaję, więc dopadnięcie mnie na miejscu będzie dla nich dużo łatwiejsze i efektywniejsze.

Oznaczało to, że o dwunastej lub tuż przed będą na mnie czekać w Pentagonie albo gdzieś w pobliżu. Niecałe pięć kilometrów stąd, ale z punktu

widzenia metod postępowania - na innej planecie.

* * *

Nadal był piękny poranek, postanowiłem więc przejść się piechotą. Każdy dzień mógł być ostatnim dniem życia lub wolności, zatem warto było skorzystać choćby z takich drobnych przyjemności. Poszedłem na południe Siedemnastą Ulicą, minąłem Executive Office obok Białego Domu, okrążyłem bokiem Ellipse i wkroczyłem na Mall. Machnąłem ręką na pomnik Jerzego Waszyngtona i ruszyłem w stronę pomnika Abrahama Lincolna. Obszedłem staruszka od lewej, skręciłem w ulicę prowadzącą na most Arlington Memorial i przeszedłem nim nad rozlanym szeroko Potomakiem. Wiele osób odbywało tę samą drogę samochodami, byłem jedynym piechurem. Poranni biegacze dawno już zeszli z trasy, popołudniowi siedzieli jeszcze w pracy.

W połowie mostu przystanąłem i oparłem się o balustradę. Warto zrobić to na moście, bo śledzący nie ma się gdzie schować i musi kontynuować marsz. Nikt za mną nie szedł. Przede mną zresztą też nie. Oczekałem pięć minut, stojąc z łokciami na balustradzie, jak ktoś głęboko zamyślony, ale nikt się nie pojawił. Ruszyłem przez most i trzysta metrów dalej znalazłem się w stanie Wirginia. Na wprost miałem bramę Narodowego Cmentarza Arlingtoni pięć minut później przez nią przechodziłem. Zewsząd otaczały mnie groby. Tędy prowadzi najkrótsza droga do Departamentu Obrony. Przez cmentarz. Można to potraktować jako zapowiedź przyszłości.

Zboczyłem z drogi, by złożyć uszanowanie J.F. Kennedy'emu, i drugi raz, by zrobić to samo przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Minąłem Henderson Hall, czczone przez marines miejsce pamięci, opuściłem teren cmentarza przez bramę południową i stanąłem przed Pentagonem, największym na świecie biurowcem. Ponad sześćset tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, trzydzieści tysięcy zatrudnionych, ponad dwadzieścia siedem kilometrów korytarzy i tylko trzy wejścia. Z oczywistych względów interesowało mnie wejście południowowschodnie. Zacząłem obchodzić budynek, cały czas zachowując

czujność i trzymając się w należytej odległości, aż wmieszałem się w tłum wylewający się z metra, który wciąż pęczniał. Składał się z takich ludzi, o jakich mi chodziło - o solidnym, budzącym zaufanie wyglądzie. Potrzebowałem świadków. Próby aresztowania potrafią wymknąć się spod kontroli. Czasami niechcący, czasami celowo.

Ale wszystko potoczyło się gładko, choć po wejściu do holu opadły mnie wątpliwości.

Ludzie, których wziąłem za oddział mający mnie aresztować, okazali się tylko nową zmianą w drodze do pracy, chwilowo dublującą personel. Niczym więcej. Nieniepokoiony przez nikogo dotarłem do 3C315. Trzecie piętro, krąg C, korytarz promieniowy numer trzy, moduł piętnasty. Biuro Łączności z Senatem. Miejsce pracy Johna Jamesa Frazera. Nie było u niego nikogo, kto by tu na mnie czekał. Był sam. Poleciał mi zamknąć za sobą drzwi, a ja posłuchałem. Kazał mi usiąść.

- To co masz dla mnie? - zapytał.

Nie odpowiedziałem, bo dla niego nic nie miałem. Nie spodziewałem się, że dotrę aż tak daleko.

- Jakies dobre wiadomości, mam nadzieję.

- Nie mam żadnych wiadomości - odrzekłem.

- Powiedziałeś, że masz dla mnie to nazwisko. Taką wiadomość mi zostawiłeś.

- Nie mam żadnego nazwiska.

- To dlaczego tak powiedziałeś? Po co chciałeś się ze mną widzieć?

Zawahałem się.

- Bo poszedłem na skróty - mruknąłem.

W tym momencie spotkanie umarło śmiercią naturalną. Właściwie nie miałem nic więcej do powiedzenia. Frazer dał pokaz wspaniałomyślnej tolerancji. I cierpliwości. Oświadczył, że mam przywidzenia, po czym nawet trochę się pośmiał z tego, że nie udało mi się zasłużyć nawet na aresztowanie. A

potem zrobił taką minę, jakby martwił się moim stanem zdrowia, a już na pewno moim wyglądem. Długimi włosami i zarostem. Szorstkim, ale pełnym troski tonem wuja martwiącego się o ulubionego siostrzeńca oznajmił:

- Okropnie wyglądasz. Są tu zakłady fryzjerskie. Mógłbyś z któregoś z nich skorzystać.

- Nie mogę - odrzekłem. - Tak mam wyglądać.

- W ramach swojej tajnej misji?

- Tak.

- Tak naprawdę wcale nie jest tajna, prawda? Słyszałem, że miejscowa szeryf od razu cię rozszyfrowała.

- Myślę, że mimo to warto ją kontynuować z uwagi na miejscową ludność. Wojsko nie cieszy się tam obecnie nadmierną popularnością.

- Przypuszczam, że lada chwila zostaniesz odwołany. Właściwie to nawet się dziwię, że jeszcze do tego nie doszło. Kiedy ostatnio dostałeś rozkazy?

- Dlaczego miałiby mnie odwołać?

- Wygląda na to, że nasze kłopoty w Missisipi już się skończyły.

- Naprawdę?

- Tak sędzę. Strzelanina poza ogrodzeniem bazy była dziełem nadgorliwych i samozwańczych oddziałów paramilitarnych z sąsiedniego stanu. Zajmą się tym władze stanowe w Tennessee. Nie możemy się do tego wtrącać. Nasze możliwości są ograniczone.

- Zjawili się tam na rozkaz.

- Nie sędzę. Tego rodzaju organizacje mają bardzo rozwiniętą sieć potajemnych kontaktów.

Prawdopodobnie się okaże, że to była prywatna i cywilna inicjatywa.

- Nie zgadzam się.

- To nie grupa dyskusyjna. O faktach się nie dyskutuje. W tym kraju roi się od tego rodzaju organizacji. Sami decydują o swoich akcjach. Nie ma co do tego wątpliwości.

- A te trzy martwe kobiety?
 - O ile mi wiadomo, sprawca został zidentyfikowany.
 - Kiedy?
 - Podano to do wiadomości jakieś trzy godziny temu.
 - I kim on jest?
 - Nie znam wszystkich szczegółów.
 - Ktoś z naszych?
 - Nie, o ile wiem, to ktoś z miejscowych, z Missisipi.
- Nie zareagowałem.
- W każdym razie dziękuję za przyście.
- Nie zareagowałem.
- Nasze spotkanie dobiegło końca, panie majorze.
 - Nie, panie pułkowniku, jeszcze nie - odrzekłem.

Pentagon budowano w obliczu zbliżającej się drugiej wojny światowej, a ponieważ się zbliżała, do budowy zużyto minimalne ilości stali. Stal była potrzebna do czego innego, wciąż było jej mało, jak to zwykle w przededniu wojny. Z tego powodu gigantyczne gmaszysko stanowi pomnik na cześć wytrzymałości betonu. Ogromne ilości piachu do zmieszania z cementem wydobywano prosto z dna Potomacu, całkiem niedaleko od wznoszonych murów. W sumie blisko milion ton. W rezultacie powstała niezwykle solidna konstrukcja.

I bardzo dźwiękochłonna.

W gmachu pracowało trzydzieści tysięcy osób, a ja nie słyszałem ani jednej z nich. W ogóle nic nie słyszałem. Nic poza cichutkim szumem, typowym dla biur na kręgu C.

- Nie zapominaj, że rozmawiasz z oficerem wyższym stopniem - powiedział Frazer.

- Nie zapominaj, że rozmawiasz z oficerem żandarmerii, który ma prawo aresztować każdego, od rekruta do pięciogwiazdkowego generała.

- O co ci chodzi?

- Oddział Wolnych Obywateli Tennessee przybył do Kelham na czyjś rozkaz. Myślę, że to oczywiste. Zgadzam się, że gdy się tam znaleźli, wykazali nadgorliwość. Ale odpowiedzialność za to spada w równym stopniu na nich i na tego, kto wydał im rozkaz. Na niego nawet bardziej. Odpowiedzialność zaczyna się od głowy.

- Nikt nie wydał im żadnego rozkazu.

- Zostali tam wysłani równocześnie ze mną oraz Munro. Zjechaliśmy się w tym samym czasie. W wyniku jednej decyzji, a wszystko dlatego, że na miejscu był Reed Riley. Kto o tym wiedział?

- To mogła być lokalna decyzja.

- A jaki był w tym twój udział?

- Całkowicie bierny. Miałem tylko reagować. W razie potrzeby byłem gotów posprzątać. Nic więcej.

- Na pewno?

- Biuro Łączności z Senatem z zasady działa pasywnie. Ma za zadanie gaszenie pożarów.

- I nigdy nie podejmuje własnych działań? Na przykład nie próbuje zapobiegać ich powstawaniu?

- Jak?

- Oceniając zbliżające się niebezpieczeństwo. Opracowując plan działania. Chroniąc Kelham przed namolnymi cywilami i ich niewygodnymi pytaniami. Tego zadania nie mogłeś powierzyć komandosom. Żaden dowódca jednostki na świecie nie uznałby tego za prawowity rozkaz. Jednak mogłeś użyć grupy nieformalnej. Na przykład z Tennessee, twojego rodzinnego stanu. Masz tam układy. To możliwe, nie?

- Nie, to absurdalne.

- A potem, żeby trzymać w garści całość, mogłeś postanowić założyć podsłuch na telefonach żandarmerii. Żeby zapewnić sobie wczesne ostrzeżenie, gdyby sprawy zaczęły się rozwijać w niewłaściwym kierunku.

- To też absurd.

- Zaprzeczasz, że tak było?

- Oczywiście, że zaprzeczam.

- No to zabawmy się - powiedziałem. - Rozpatrzmy to czysto teoretycznie. Gdyby ktoś tak postąpił, jak byś to ocenił?

- Jak postąpił?

- Wezwał milicję z Tennessee i założył podsłuch. Co byś pomyślał?

- Że złamał prawo.

- A czy ktoś mógłby zrobić tylko jedną z tych rzeczy, a drugiej nie? Z wojskowego punktu widzenia?

- Nie mógłby sobie na to pozwolić. Nie mógłby trzymać nielegalnych sił

wokół bazy, nie mając możliwości monitorowania, czy nie grozi im ujawnienie.

- Właśnie. A zatem ten ktoś, kto sprowadził tę cywilbandę, kazał też założyć podsłuch. Albo ten, kto kazał założyć podsłuch, sprowadził cywilbandę. Mam rację? Teoretycznie?

- Pewnie tak.

- Tak czy nie, pułkowniku?

- Tak.

- Jak dobrą masz pamięć?

- Wystarczająco dobrą.

- Jakie były twoje pierwsze słowa, gdy dziś do ciebie przyszedłem?

- Powiedziałem, żebyś zamknął drzwi.

- Nie, najpierw powiedziałeś „Witam, Reacher”, dopiero potem kazałeś mi zamknąć drzwi.

- A potem powiedziałem, żebyś usiadł.

- A później?

- Nie pamiętam.

- Zamieniliśmy parę słów na temat tłumów, jakie tu kręcą się w południe.

- Tak, pamiętam.

- A potem spytałeś, co mam dla ciebie.

- A ty nie miałeś nic.

- Co cię zdziwiło. Bo zostawiłem wiadomość, że mam dla ciebie to nazwisko.

- Tak, zdziwiłem się.

- O jakim nazwisku myślałeś?

- Nie byłem pewny. Mogło dotyczyć czegokolwiek.

- Tyle że wtedy pytałbyś o „nazwisko”, nie o „to nazwisko”.

- Może pokpiwałem sobie z twoich mrzonek, że ktoś wysłał tych amatorów do Missisipi.

Zdawałeś się tym bardzo przejęty, jakby to było coś ważnego.

- Było ważne.

- Dobra, szanuję twoje przeświadczenie. Zatem proponuję, żebyś się dowiedział, kto to zrobił.

- Już się dowiedziałem.

Frazer milczał.

- Sam się wydałeś - powiedziałem.

Nie odpowiedział.

- Nie zostawiłem ci żadnej wiadomości. Poprosiłem tylko o spotkanie. W twoim sekretariacie. Nic więcej. Nie podałem powodu. Powiedziałem jedynie, że chcę cię odwiedzić dziś w południe. O nazwisku i oddziale Wolnych Obywateli Tennessee wspomniałem w zupełnie innej rozmowie z generałem Garberem, którą najwyraźniej podsłuchałeś.

Cichutki szumek w jego pokoju zdawał się zmieniać barwę. Stawał się niższy i bardziej złowieszczy.

- Pewne sprawy cię przerastają - powiedział Frazer.

- Bardzo możliwe - odrzekłem. - Na przykład nie bardzo pojmuję, co się wydarzyło w pierwszej trylionowej części sekundy po Wielkim Wybuchu. Nie bardzo też sobie radzę z fizyką kwantową. Natomiast z wieloma innymi sprawami tak. Na przykład całkiem nieźle pojmuję Konstytucję Stanów Zjednoczonych. Słyszałeś kiedyś o pierwszej poprawce?

Gwarantuje wolność prasy. A to znaczy, że każdy reporter ma prawo podchodzić do byle jakiego ogrodzenia.

- Facet był z jakiejś radykalnej czerwonej szmaty w mieście pełnym studentów.

- A ty, jak rozumiem, jesteś leniwy. Od lat liżesz dupę Carltonowi Rileyowi i nie chce ci się zaczynać od nowa z kim innym. Wówczas musiałbyś wreszcie zacząć wypełniać swoje zasrane obowiązki.

Brak reakcji.

- Twoi chłopcy zabili też nieletniego rekruta. Szedł, żeby się zgłosić do

wojska. Jeszcze tej samej nocy jego matka popełniła samobójstwo. Te dwie sprawy też pojmuję. Bo widziałem to, co z nich zostało. Z niego i z niej.

Brak reakcji.

- Pojmuję też, że jesteś podwójnie arogancki. Po pierwsze, sądziłeś, że nie rozgryzę twojego genialnego planu, a po drugie, gdy cię przejrzałem, uznałeś, że sam sobie ze mną poradzisz.

Bez niczyjej pomocy, bez wsparcia, bez konieczności aresztowania mnie. Tylko ty i ja, tu i teraz. Muszę spytać: naprawdę jesteś taki głupi?

- A ja muszę spytać: jesteś uzbrojony?

- Jestem w paradnym mundurze oficerskim - odparłem. - Do paradnego munduru nie nosi się broni krótkiej. Możesz zajrzeć do regulaminu.

- To kto tu jest głupi?

- Nie spodziewałem się znaleźć w takiej sytuacji. Nie liczyłem, że dotrę tak daleko.

- Posłuchaj rady, synu. Zawsze bądź najlepszej myśli, ale szykuj się na najgorsze.

- Masz w szufladzie pistolet?

- Mam w szufladzie dwa pistolety.

- I zastrzelisz mnie?

- Jeśli będę musiał.

- Jesteśmy w Pentagonie. Za tymi drzwiami jest trzydzieści tysięcy osób personelu wojskowego. Wszyscy są nauczeni, że mają ruszyć w stronę odgłosu strzałów z broni palnej.

Lepiej przygotuj sobie odpowiednie tłumaczenie.

- Rzuciłeś się na mnie.

- Dlaczego miałbym się na ciebie rzucić?

- Bo dostałeś obsesji na punkcie tego, kto na jakimś zadupiu zastrzelił jakąś czarną pokrakę.

- Nikomu nie powiedziałem, że był pokraką ani że był czarny, w żadnej

rozmowie telefonicznej. Musiałeś to usłyszeć od swoich chłoptasiów z Tennessee.

- Nieważne. Ważne, że dostałeś obsesji. Kazałem ci wyjść, a ty się na mnie rzuciłeś.

Rozparłem się na krzesło, wyciągnąłem nogi przed siebie i opuściłem ręce luźno po bokach.

Przybrałem rozluźnioną pozę, jakbym się szykował do drzemki.

- Nie wyglądam zbyt groźnie, nie sądzisz? I ważę około stu piętnastu kilo. Będziesz miał kłopot z ruszeniem ciała, zanim się tu zbiegną sąsiedzi z modułów czternastego i szesnastego.

Co im zajmie jakieś półtorej sekundy. No i dopadnie cię żandarmeria wojskowa. Za zastrzelenie w wątpliwych okolicznościach jednego z nich rozerwą cię na strzępy.

- Moi sąsiedzi nic nie usłyszą. Nikt niczego nie usłyszy.

- Bo co? Masz tłumiki na tych spluwach?

- Nie potrzebuję tłumików ani spluw.

Wstał z fotela i zrobił coś bardzo dziwnego. Podeszedł do ściany i zdjął z niej oprawione w ramkę czarnobiałe zdjęcie, na którym figurował z senatorem Carltonem Rileyem.

Z odręcznym autografem, zapewne senatora. Podeszedł do biurka i położył obrazek na blacie, po czym wrócił do ściany i palcami wydłubał gwóźdź.

- Taki masz pomysł? - zdziwiłem się. - Chcesz mnie zadźgać gwoździem? Położył go obok ramki.

A potem otworzył szufladę i wyjął młotek.

- Właśnie wieszałem fotografię, gdy się na mnie rzuciłeś. Na szczęście udało mi się złapać młotek, który akurat leżał pod ręką.

Milczałem.

- Nie będzie hałasu. Wystarczy jeden dobry cios. Będę miał dość czasu, żeby zrobić z twoim ciałem, co mi się spodoba.

- Zwariowałeś - powiedziałem.

- Nie, jestem tylko oddany sprawie - odparł. - Sprawie przyszłości armii.

Młotek to dopracowane przez wieki narzędzie, które od lat nie uległo zmianom. Bo i po co?

Gwoździe też się nie zmieniły. Od zawsze wyglądają tak samo, więc niezbędne cechy użytkowe młotka też są od dawna niezmiennie. Ciężka metalowa główka na długim trzonku.

Wszystko, co trzeba, i nic ponadto. Młotek Frazera miał blisko kilogramową główkę z płaskim rozszczepionym końcem i był ciężkim, solidnym narzędziem, o wiele za ciężkim do wbijania gwoździ w ściankę działową, ale doskonale nadawał się na groźną broń.

Frazer ruszył na mnie, trzymając w prawej ręce młotek jak policyjną pałkę. Bez wahania porzuciłem myśl o skompromitowaniu go pozycją mojego ciała po śmierci i zerwałem się z krzesła. Zadziałał instynkt samozachowawczy. Niełatwo mnie przestraszyć, ale ludzie to dopracowane przez wieki twory, a korzenie wielu naszych reakcji tkwią w mglistych początkach świata. Niemal tam, gdzie mój przyjaciel Lowrey lubi zaczynać swoje opowieści.

Pokój Frazera był nieduży, przestrzeń wolna od mebli jeszcze mniejsza. Jakbyśmy mieli stoczyć bójkę w budce telefonicznej. Przebieg walki w dużej mierze zależał od przebiegłości Frazera, a podejrzewałem, że mu jej nie brakuje. Wyszedł cało z Wietnamu, Zatoki i lat nurzania się w pentagońskim szambie. Do tego trzeba mieć sporo oleju w głowie. Oceniałem go na dobre siedem w skali do dziesięciu. Może nawet osiem. Raczej nie groziło mu zdobycie

Nagrody Nobla, ale na pewno był sprytniejszy od przeciętnego urzędasza.

Co dla mnie było korzystne. Walka z przygłupem jest trudniejsza, bo nie da się przewidzieć, co takiemu strzeli do głowy. Natomiast ludzie myślący są przewidywalni.

Machnął młotkiem od prawej ku lewej na wysokości brzucha, co jest standardowym ruchem początkowym. Wygiąłem się do tyłu i cios mnie ominął. Przeczuwałem, że powtórzy zamach na tej samej wysokości, tyle że od lewej ku

prawej. Właśnie tak zrobił, ja ponownie się wygiąłem, a on znów chybił.

Typowe na początek, jak przesuwanie pionków na szachownicy.

Mocno przy tym dyszał, ale nie z powodu problemów z oddychaniem, a z czystej zajadłości.

Nie potrzebował żadnej interwencji świętej Audrey w sprawie gardła. Dusił go tylko zawziętość i podniecenie. W głębi serca był wojownikiem, a wojownicy najbardziej kochają walkę. Walka ich pochłania. Żyją po to, żeby walczyć. Nawet się przy tym zjadliwie uśmiechał, ale jego oczy widziały tylko główkę młotka i mój brzuch na jej wysokości.

W powietrzu czułem gryzący zapach jego potu. Prymitywną woń podobną do tej, jaka dobywa się z nory nocnego gryzonia.

Zrobiłem pół kroku do przodu, Frazer zaś pół kroku do tyłu i znaleźliśmy się bliżej środka pokoju, co było dla mnie ważne. Chciałby mnie znów przyprzeć do ściany, ja zamierzałem tego uniknąć.

Przynajmniej na razie.

Zamachnął się młotkiem po raz trzeci, tnąc powietrze tak gwałtownie, jakby naprawdę chciał mnie trafić, wiedziałem jednak, że nie chce. Jeszcze nie. Można to było wyczytać z jego oczu.

Wygiąłem się do tyłu i główka młotka przemknęła ze dwa centymetry od mojej bluzy. Prawie kilogram metalu na długim trzonku. Moment bezwładności spowodował, że ręka trzymająca młotek poleciała daleko do tyłu, a Frazer skrzył się w pasie o niemal dziewięćdziesiąt stopni.

Wykorzystał to do wzięcia kolejnego zamachu, jednocześnie wyciągając rękę do przodu.

Zmusił mnie do cofnięcia się. Znów znalazłem się blisko ściany.

Nadal wpatrywałem się w jego oczy.

Jeszcze nie.

Był wojownikiem, ja byłem zabijaką. On żył po to, by odnosić taktyczne zwycięstwa, ja - by móc się wysikać na grób przeciwnika. A to nie to samo.

Odmienne rozłożenie akcentów.

Zamachnął się po raz czwarty pod tym samym kątem i na tej samej wysokości, niczym miotacz na boisku futbolowym, który wykonuje jednakowe szybkie ruchy, próbując w ten sposób uśpić czujność przeciwnika i go zaskoczyć. Środek, środek, środek, a potem niski szczur w bok. Wiedziałem, że Frazer nie zaatakuje dołem. Zaatakuj górą. Dół byłby dla niego korzystniejszy, ale na mojej skali był tylko siódmką. No, może ósemką. Lecz nie dziewiątką.

Zamachnął się piąty raz, znów pod tym samym kątem i na tej samej wysokości, z taką siłą, że rozszczepiona końcówka główki świsnęła w powietrzu. Młotek na ułamek sekundy znieruchomiał, świst ucichł, po czym Frazer wykonał zamach po raz szósty na tej samej wysokości, z takim samym świstem, ale jeszcze dalej do przodu wysunął rękę. Stałem niemal pod ścianą i nie miałem gdzie się cofnąć. Nastąpił siódmy zamach na tej samej wysokości, pod tym samym kątem i z takim samym świstem.

A potem zapłonęły mu oczy.

Źrenice drgnęły w górę i ósmy zamach poszedł dużo wyżej, na wysokości mojej głowy.

Prosto w skroń. Dostrzegłem błysk płaskiej powierzchni główki młotka o prawie trzycentymetrowej krawędzi. Blisko kilogram wagi. Nie ulega wątpliwości, że młotek mógł zgruchotać mi czaszkę. Jednak tego nie zrobił, bo Frazer nie trafił.

W tym samym momencie osunąłem się pionowo w dół, uginając kolana, tak żeby głowa znalazła się trzydzieści centymetrów niżej, dla uniknięcia ciosu. Usłyszałem świst powietrza nad głową i zobaczyłem, jak pusty zamach gwałtownie obraca Frazera daleko do tyłu. Powoli się wyprostowałem i nasze kalkulacje zaczęły się od nowa. Wykorzystaliśmy już wszystkie trzy wymiary. Wykonaliśmy obaj ruchy do przodu i do tyłu, w dół i w górę. Pora na wykorzystanie czwartego wymiaru: czasu. Musiałem odpowiedzieć sobie na dwa pytania: jak szybko potrafię go uderzyć i jak szybko on się obróci.

Pytania miały kluczowe znaczenie szczególnie dla Frazera. Wyprostowując się, jednocześnie się skręciłem i mój łokieć od razu rozpoczął błyskawiczną wędrówkę. Miałem pewność, że trafię go w szyję. Matematyczną pewność. Tylko w który punkt szyi? Odpowiedź brzmiała: w ten, który nawinie się pod cios. Z przodu, z boku, z tyłu, dla mnie obojętne. Ale nie dla niego. Dla niego niektóre punkty były gorsze od innych.

Blisko kilogramowa główka młotka odciągnęła mu ramiona do tyłu tak, jak młot odciąga ramiona młociarza na olimpijskiej rzutni. W efekcie wykonał gwałtowny i niekontrolowany obrót ciałem, a mój łokieć też nie stał w miejscu. Jak masz wątpliwości, użyj łokcia. Być może to odruch zapamiętany z dzieciństwa. Stała za nim masa mojego ciała, stopę wparłem w podłogę. Wiedziałem, że cios będzie celny i skuteczny. Może nawet bardzo skuteczny.

Frazer już się zbliżał do celu, a jeszcze przyspieszał. Mógł to przeżyć, o ile cios trafi go w bok szyi, nie w kark. Takie uderzenie w kark musi być śmiertelne. Bez pudła. Wynika to z tego, jak potylicą łączy się z kręgosłupem.

Właśnie dlatego kluczowe znaczenie miały szybkość, rotacja i mimośrodowe orbity. Jednak nie dało się precyzyjnie przewidzieć. Brało w tym udział zbyt wiele ruchomych elementów.

Z początku zdawało mi się, że główne uderzenie pójdzie bardziej w bok szyi. Pod kątem, ale cios nie będzie śmiertelny. Zaraz potem uznałem, że na dwoje babka wróżyła, jednak masa kilogramowego młotka niespodziewanie pociągnęła go nieco dalej, niż sądziłem, i od tej chwili nie miałem wątpliwości, że mój łokieć wyląduje prosto na jego karku. Ani wątpliwości, że cios będzie śmiertelny.

I zupełnie tego nie żałowałem.

Może nie licząc czysto praktycznych względów.

Frazer osunął się obok biurka, nie potracając go i nie robiąc hałasu większego niż grubas opadający na sofę. Co niczym nie groziło. Nikt nie wzywa policji dlatego, że jakiś grubas siada na sofie. Podłogę pokrywał dywan, z wyglądu perski, pewnie odziedziczony po poprzednim użytkowniku pokoju, który już dawno zmarł na atak serca. Pod dywanem zapewne była posadzka, pod nią solidny pentagoński beton. Dlatego rozchodzenie się dźwięków było mocno stłumione. „Nikt niczego nie usłyszy”, oświadczył Frazer. W tej sprawie się nie pomyliłeś, zasrańcu, pomyślałem.

Wyjąłem z kieszeni munduru nielegalnie wniesioną berettę i przez dłuższą chwilę celowałem do Frazera, tak na wszelki wypadek. „Zawsze bądź najlepszej myśli, ale szykuj się na najgorsze”. Jednak Frazer się nie poruszył. Nie mógł. Połączenie szyi z głową zupełnie zwiotczało. W środku nie było kręgów. Czaszka była przytwierdzona do reszty ciała za pomocą samej skóry.

Zostawiłem go tam, gdzie upadł, i już miałem przejść na środek pokoju i się rozejrzeć, gdy drzwi nagle się otworzyły.

Do środka weszła Frances Neagley.

* * *

Miała na sobie kamuflażowy mundur polowy, na rękach lateksowe rękawiczki. Rozejrzała się po pokoju i powiedziała:

- Trzeba go przenieść pod ścianę. Tam, gdzie wisiało zdjęcie.

Stałem jak skamieniały.

- Rusz się - ponagliła.

Zebrałem się w sobie i przeciągnęliśmy go tam, gdzie mógł upaść w trakcie wieszania obrazka. Mógł się przy tym wahać do tyłu i walnąć potylicą o kant biurka. Odległości mniej więcej się zgadzały.

- Tylko jak do tego doszło? - spytałem.

- Walił młotkiem w gwóźdź - odrzekła. - Wystraszył się, że przy zamachu może się dziabnąć widełkami młotka w głowę, i nogi się pod nim ugięły.

Odruch nie do opanowania. Zaplątał się stopami w dywan i runął do tyłu.

- To gdzie jest ten gwóźdź? - spytałem.

Podniosła go z biurka i rzuciła na podłogę przy ścianie. Zabrzęczał, upadając na odsłoniętą posadzkę między ścianą a dywanem.

- A co z młotkiem?

- Leży wystarczająco blisko. Czas się zbierać.

- Muszę usunąć zapis mojej wizyty z jego terminarza.

Odchyliła klapkę kieszeni i pokazała kilka wyrwanych kartek.

- Już się tym zajęłam - powiedziała. - Zmywajmy się.

* * *

Neagley poprowadziła mnie w dół schodami i labiryntem korytarzy. Szliśmy szybko, ale nie aż tak, żeby zwrócić na siebie uwagę. Opuściliśmy budynek południowoschodnim wyjściem i ruszyliśmy w stronę parkingu. Skierowała się do części z zarezerwowanymi miejscami i podeszła do wielkiego granatowego buicka. Lśniący czystością model Park

Avenue. Może nawet nowy.

- Wsiadaj - rzuciła, otwierając drzwi.

Bez słowa usłuchałem i rozsiadłem się na beżowej skórze. Neagley dała do tyłu, skręciła kierownicę i ruszyła w stronę wyjazdu. Chwilę potem minęliśmy szlaban, pokręciliśmy się po labiryncie dróg dojazdowych i bez przeszkód wjechaliśmy na biegnącą na południe sześciopasmową autostradę, dołączając do gęstego strumienia tysiąca innych samochodów.

- W recepcji jest ślad, że wszedłem do budynku - powiedziałem.

- Używasz niewłaściwego czasu. Powinieneś powiedzieć: był ślad. Ale już go nie ma.

- Kiedy zdążyłaś to wszystko zrobić?

- Uznałam, że poradzisz sobie w konfrontacji jeden na jeden sam. Miałam rację, choć wolałabym, żebyś tyle nie gadał. Trzeba było dużo wcześniej przejść do rękoczynów.

Talentów ci nie brakuje, kochany, ale w gębie nie jesteś najmocniejszy.

- A skąd ty się tu w ogóle wzięłaś?

- Dostałam cynk.

- Jaki cynk?

- Wiadomość, że ci odbiło. I bez niczego pojechałeś do Pentagonu.

- Od kogo ten cynk?

- Aż z Missisipi. Od samej szeryf Deveraux. Poprosiła mnie o pomoc.

- Zadzwoiła do ciebie?

- Nie, urządziłyśmy seans spirytystyczny.

- Skąd jej przyszło do głowy, żeby do ciebie dzwonić?

- Martwiła się o ciebie, idioto. Ja zresztą też, jak tylko o tym usłyszałam.

- Nie było powodu się martwić.

- Ale mógł być.

- I co miałaś zrobić? - spytałem.

- Zabezpieczyć ci tyły, by mieć pewność, że nic ci się nie stanie.

- Nie pamiętam, żebym jej mówił, o której jestem umówiony.

- Wiedziała, którym autobusem pojechałeś. Zastępca ją poinformował, o której wysadził cię w Memphis, więc łatwo jej było dojść, o której wsiądziesz w autobus.

- I co ci to dziś rano dało?

- Dziś rano nic, ale wczoraj wieczorem tak. Pilnuję cię od chwili, gdy wyszedłeś z dworca autobusowego. Non stop. A tak przy okazji, to fajny hotel. Jak mnie kiedyś skasują za serwis do pokoju, to grubo za to bekniesz.

- Czyj to samochód? - spytałem.

- Z floty samochodowej. Wzięty zgodnie z procedurą.

- Jaką procedurą?

- Tą, która mówi, że w razie śmierci wyższego oficera sztabowego jego służbowy samochód wraca do floty i od razu zostaje poddany testom drogowym w celu ustalenia, czy przed przekazaniem go następnemu użytkownikowi

potrzebne są naprawy. Właśnie przechodzi test drogowy.

- I jak długo to potrwa?

- Pewnie ze dwa lata.

- Kim był ten oficer?

- To całkiem nowy samochód, nie? Więc i śmierć musiała nastąpić całkiem niedawno.

- Frazer?

- Administracja floty samochodowej woli załatwiać takie sprawy z samego rana. Wszyscy stawiali na ciebie. Gdyby ci się nie powiodło, najedlibyśmy się wstydu.

- A gdybym tylko go aresztował?

- Bez różnicy. Dla floty samochodowej nie ma znaczenia, czy ktoś umiera, czy idzie w odstawkę.

- Dokąd jedziemy?

- Oczekują cię w jednostce. Garber chce się z tobą widzieć.

- Po co?

- Tego nie wiem.

- To trzy godziny drogi.

- Usiądź wygodnie i się odpręż. Możesz w najbliższym czasie nie mieć innej okazji do odpoczynku.

- Zdawało mi się, że nie polubiłaś Deveraux.

- Co nie znaczy, że nie mogę jej pomóc, kiedy się zamartwia. Po prostu myślę, że z nią jest coś nie tak. Ile dni ją znasz?

- Cztery.

- Założę się, że mógłbyś mi powiedzieć tyle samo dziwnych rzeczy o niej.

- Chyba powinienem do niej zadzwonić.

- Już to zrobiłam - powiedziała Neagley. - Z sekretariatu podczas gdy serwowałeś Frazerowi teoretyczne dyrdymały. Chciałam ją uspokoić, że wszystko w porządku i że jesteś prawie na suchym lądzie. Ale nie odebrała.

Biuro szeryfa, a nie ma komu odebrać telefonu.

- Mogli być czymś zajęci.

- Może byli. Bo jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Sprawdziłam plotkę krążącą w sierżanckiej poczcie pantoflowej. Obsługa naziemna w Benning twierdzi, że ten blackhawk, który przyleciał w niedzielę z Kelham, był pusty. Oczywiście, nie licząc pilotów.

Chodzi o to, że nie było w nim pasażera. Reed Riley nigdzie nie odleciał. W dalszym ciągu jest w Kelham.

Posłuchałem rady Neagley i przez resztę drogi odpoczywałem. Podróż trwała znacznie krócej niż trzy godziny. Buick był dużo szybszy od autobusu, a Neagley żyłowała go dużo bardziej niż kierowca autobus. W rezultacie byliśmy na miejscu przed piętnastą trzydzieści, a to oznaczało, że nie było mnie dokładnie dobie.

Poszedłem prosto na kwaterę, zdjąłem paradną wyjściówkę, umyłem zęby i wziąłem prysznic.

Potem włożyłem Tshirt, na wierzch mundur polowy i udałem się do biura Garbera.

* * *

Garber miał dla mnie tajne akta z korpusu marines i dlatego chciał się ze mną widzieć.

Zaczęliśmy jednak od krótkiej sesji pytań i odpowiedzi, która nie przebiegła gładko. Prawdę mówiąc, poszła jak po grudzie i polegała na tym, że ja zadawałem pytania, a on na nie nie odpowiadał.

Unikał też patrzenia mi w oczy.

- Kogo aresztowano w Missisipi? - spytałem.
- Przeczytaj akta.
- Chciałbym to usłyszeć.
- Najpierw przeczytaj.
- Mają solidne dowody czy to tylko mydlenie oczu?
- Przeczytaj akta.
- Ten sam sprawca zabił wszystkie trzy kobiety?
- Najpierw przeczytaj akta.
- Chodzi o cywila, tak?
- Przeczytaj te cholerne akta, Reacher.

* * *

Garber nie pozwolił mi wynieść teczek z gabinetu. Był za nią osobiście

odpowiedzialny. Nie wolno mu było ani na chwilę spuścić jej z oka. Formalnie, bo akurat w tej kwestii pozwolił sobie na lekkie odstępstwo. Wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie samego.

Teczka miała ponad pół centymetra grubości i była w kolorze khaki, ale o innym odcieniu niż używany w armii. Karton był też lepszy gatunkowo. Gładki, sztywny i tylko trochę nadwerżony czasem. Wszystkie cztery krawędzie opatrzone czerwonymi szewronami, co zapewne oznaczało podwyższony poziom utajnienia zawartych w teczce dokumentów. Na okładce przyklejono białą etykietę z logo USMC[4], numerem sprawy i datą sprzed pięciu lat.

Obok widniała druga etykieta z nazwiskiem.

DEVERAUX, E.

Nazwisko było opatrzone symbolem stopnia wojskowego - w jej przypadku CWO5 - oraz numerem identyfikacyjnym i datą urodzenia, zbliżoną do mojej. Przy dolnej krawędzi umieszczono trzecią, zabawnie pomyloną etykietę. Zapewne pochodziła z rolki gotowych nalepek o treści: NIE OTWIERAĆ BEZ UPOWAŻNIENIA, ale nalepkę oddarto w niewłaściwym miejscu i ostrzeżenie przyjęło postać: OTWIERAĆ BEZ UPOWAŻNIENIA

NIE. Biurokracja bywa niezawodnym źródłem niezamierzonego humoru.

Tyle że zawartości daleko było do żartów.

Na początku umieszczono kolorową fotografię, ukazującą Deveraux o jakies pięć lat młodszą.

Tak jak mówiła, włosy miała bardzo krótko obcięte. Nie więcej niż tydzień przed zrobieniem zdjęcia, bo głowa z krótką ciemną szczecinką wyglądała jak porośnięta mchem. Wyglądała prześlicznie, dziewczęco i delikatnie. Przy tak krótkich włosach jej oczy wydawały się ogromne. Tryskała radością życia i energią. Widać było, że życie jej się układa i nad wszystkim panuje. Że zbliża się do trzydziestki, przeżywając okres umysłowej i fizycznej stabilizacji. Dobrze to pamiętałem z własnego doświadczenia.

Przełożyłem fotografię obrazkiem do dołu i spojrzałem na pierwszą stronicę

tekstu. Został napisany na maszynie, zapewne elektrycznej IBM z głowicą w kształcie piłeczki golfowej.

Bardzo popularnej w 1992 roku. Zresztą w 1997 było ich wciąż jeszcze dużo. Wprawdzie zaczęła się era komputerowych edytorów tekstu, ale jak to w wojsku, zmiana filozofii pisania następowała wolno i ostrożnie, a cały proces traktowano nieufnie.

Zacząłem czytać i już po kilku pierwszych zdaniach stało się jasne, że mam przed sobą podsumowanie wyników dochodzenia przeprowadzonego pod kierunkiem generała USMC, który dowodził służbą żandarmerii. Jednogwiazdkowy generał nazywał się James Dyer i prezentował zaskakująco wysoką szarżę jak na zajmowanie się sprawą personalnych niesnasek między dwiema równymi stopniem członkiniami oddziału żandarmerii marines.

Ścisłej mówiąc, między trójką żandarmów: kobietą z jednej strony oraz kobietą i mężczyzną z drugiej. Po tamtej stronie występowali Alice Bouton i Paul Evers, ich samotną przeciwniczką była Elizabeth Deveraux.

Jak każde podsumowanie, jakie kiedykolwiek czytałem, to też zaczynało się od suchego zrelacjonowania faktów. Autor przytoczył je bez emocji i bez opowiadania się po którejś ze stron, cierpliwie i bezstronnie relacjonując przebieg zdarzeń i opisując je jasnym i rzeczowym językiem. Historia zdawała się banalnie prosta i mogła być zaczerpnięta z przedpołudniowego serialu telewizyjnego. Elizabeth Deveraux i Paul Evers najpierw ze sobą kręcili, potem przestali i Evers zaczął kręcić z Alice Bouton, potem jego samochód uległ zniszczeniu, po czym Bouton została dyscyplinarnie zwolniona za wykroczenie natury finansowej.

Ot i cała historia.

Dalej następował opis wykroczenia Alice Bouton, niemal w formie dygresji. Zdaniem generała Dyera, wina Alice nie budziła wątpliwości. Fakty mówiły same za siebie. Dowody były niepodważalne. Sprawa była jasna. Oskarżyciel zachowywał się fair, obrońca był sumienny, werdykt jednomyślny, wartość

czynu nie przekroczyła czterystu dolarów. Rzecz dotyczyła pieniędzy pochodzących z nielegalnej sprzedaży broni, które skonfiskowano, opisano i włożono do zapieczętowanej plastikowej torebki w celu zaprezentowania ich na rozprawie przed sądem wojskowym. Alice Bouton zabrała je z szafki na dowody i wydała na nową sukienkę, torebkę i parę butów w sklepie w pobliżu macierzystej jednostki. Sprzedawca ją zapamiętał. W 1992 roku czterysta dolarów na zakup nowych ciuchów to dla służącej w wojsku kobiety była kupa szmalu. Gdy sklep odwiedził patrol żandarmerii wojskowej, w kasie wciąż jeszcze znajdowało się kilka trefnych banknotów, których numery seryjne zgadzały się z protokołem.

Koniec sprawy.

Koniec dygresji.

Dalej następowała relacja generała Dyera w sprawie romantycznego trójkąta. Autor bardzo dokładnie zapoznał się ze sprawą i zaczął od stwierdzenia, że wszystkie wnioski są oparte na niebudzącym wątpliwości materiale. Dla uzyskania tego materiału przeprowadzono liczne rozmowy, zebrano dane i przesłuchano wielu świadków, po czym wszystko zostało jeszcze raz sprawdzone i powiązane w całość, pomijając wszelkie elementy, co do których nie udało się uzyskać potwierdzenia z co najmniej dwóch niezależnych źródeł. Innymi słowy, zastosowano w pełni profesjonalne metody procesowe. Nawet w banku by je uznano.

Zapewnienie o rzetelności zebranego materiału kończyło się długim akapitem, w którym raz jeszcze podkreślono sumiennosc, z jaką potraktowano wszystkie dane. Oczami duszy widziałem maszynę IBM, której głowica jak golfowa piłeczka kręci się i furczy, nanosząc na papier solenne zapewnienia. W akapicie podkreślono niezachwianą wiarę Dyera w rzetelność podanych informacji, a także jego przekonanie, że jeśli dalsze postępowanie okaże się pożądane lub konieczne, zebrany materiał będzie miał w pełni wartość procesową.

Przełożyłem kartkę i zacząłem czytać opis zdarzeń. Dyer pisał zwięzłym stylem, bez wdawania się w dywagacje. Czytelnik nie mógł mieć wątpliwości, że o ile przytoczone dane nie muszą być w stu procentach prawdziwe w sensie kryminalistycznym, z całą pewnością nie ograniczają się jedynie do plotek i pogłosek i są rzetelne. Można było zaufać ich prawdziwości na tyle, na ile można ufać czemukolwiek. Dlatego w tekście Dyera brakowało zwrotów w rodzaju: „sądzę”, „uważam” czy „wydaje się prawdopodobne, że”. Po prostu relacjonował zdarzenia zgodnie z ich przebiegiem.

A przebieg był następujący: Elizabeth Deveraux ciężko przeżyła zostawienie jej przez Paula Eversa dla Alice Bouton.

Uważała się za upokorzoną, zlekceważoną, wręcz znieważoną. Była kobietą wzgardzoną i jej dalsze zachowanie pod każdym względem odpowiadało występującym w takich sytuacjach stereotypom. Nie omijała żadnej okazji do oczernienia pary kochanków i utrudniała im przebywanie razem, manipulując przydziałem obowiązków służbowych.

Nawet posunęła się do zepchnięcia samochodu Eversa z mostu.

Samochód nie był żadnym cudem, ale dla niego stanowił poważną inwestycję i ważny element życia towarzyskiego, jako że nikt nie chce się zajmować tylko obowiązkami służbowymi. Deveraux zachowała z dawnych czasów zapasowy kluczyk i którejś nocy wsiadła do auta i odjechała nim z parkingu, po czym celowo zepchnęła z nasypu przed mostem, tak że wóz wyrznął w betonową śluzę przeciwpowodziową. Uderzenie było tak silne, że samochód został niemal skasowany, a późniejsza ulewa dokończyła dzieła zniszczenia.

Po czym Deveraux zajęła się Alice Bouton.

Zaczęła od złamania jej ręki.

Przyjęta przez generała Dyera zasada dwóch niezależnych źródeł informacji znaczyła, że okoliczności nie zostały precyzyjnie ustalone, bo nie było żadnych naocznych świadków zdarzenia, Bouton twierdziła jednak, że złamanie nastąpiło

w wyniku napaści Deveraux, ta zaś temu nie zaprzeczyła. W każdym razie fakty medyczne były bezsporne. Staw łokciowy Bouton uległ przemieszczeniu, obie kości lewego przedramienia zostały złamane i ręka trafiła do gipsu na sześć tygodni.

Tych samych sześć tygodni, które Deveraux z demoniczną wręcz zawziętością poświęciła na dociekanie prawdy o rzekomej kradzieży. Przy czym mówienie o dociekanii nie miało większego sensu, początkowo bowiem nie było czego dociekać. Nikt nie zgłosił kradzieży i dopiero Deveraux jako pierwsza przeprowadziła kontrolę zawartości szafek i zrobiła remanent. Stwierdziła brak pieniędzy, jako pierwsza rzuciła oskarżenie i z obsesyjną zawziętością zajęła się udowodnieniem swych podejrzeń. Rezultat jej starań generał Dyer opisał w swojej dygresji, a efektem była rozprawa przed sądem wojskowym i jednomyślny werdykt „winna”.

Oczywiście, w kręgach żandarmerii marines zaczęto plotkować, ale werdykt uznający winę Bouton ostatecznie uwolnił Deveraux od zarzutu kierowania się prywatą. Dzięki decyzji sądu wojskowego coś, co mogło wyglądać na osobistą zemstę, stało się przykładowym postępowaniem, zgodnym z ogólnymi zasadami oraz etyką i honorem marines. Jednak granica oddzielająca te dwa rodzaje zachowań była cieniutka i generał Dyer nie miał wątpliwości, że istotną rolę w postępowaniu Deveraux odegrało dążenie do prywatnej wendety.

Dość nietypowo jak na tego rodzaju dokument, generał podjął próbę uzasadnienia swego stanowiska.

Raz jeszcze podkreślił, że w celu ustalenia faktów przeprowadzono liczne rozmowy, przesłuchano świadków i wysłuchano różnych opinii. Wśród wyrażających oceny znaleźli się przyjaciele i wrogowie, prywatni znajomi i koledzy z pracy, lekarze i psychiatrzy.

Cechą wspólną wszystkich wypowiedzi było podkreślanie niezwyklej urody Alice Bouton.

Wszyscy się zgadzali, że Bouton była wyjątkowo atrakcyjną kobietą i w jej

opisach powtarzały się określenia typu: śliczna, olśniewająca, zapierająca dech w piersiach, bombowa i niewiarygodnie piękna.

Oczywiście, wszystkie te określenia można było zastosować do Deveraux i w tej kwestii też wszyscy byli zgodni. Psychiatrzy właśnie w tym upatrywali wyjaśnienia całej sprawy.

Generał Dyer przełożył ich kliniczny żargon na język przeciętnego czytelnika, stwierdzając, że Deveraux nie potrafi ścierpieć konkurencji ani pogodzić się z sytuacją, gdy nie ona jest najpiękniejszą i najatrakcyjniejszą kobietą w swoim środowisku, i właśnie to legło u podstaw jej działań.

* * *

Ponownie przeczytałem całość od deski do deski, potem złożyłem luźne kartki w równy stosik i umieściłem w tekturowej teczce. Wtedy wrócił Garber.

[4] USMC - United States Marine Corps.

Pierwsze jego słowa brzmiały:

- Właśnie dostaliśmy wiadomość z Pentagonu. Znaleziono Johna Jamesa Frazera martwego w jego gabinecie.

- Na co umarł? - spytałem.

- Wygląda, że w wyniku przedziwnego wypadku. Najwyraźniej przewrócił się i uderzył głową o kant biurka. Jego ludzie wrócili z lunchu i znaleźli go leżącego na podłodze. Robił coś ze zdjęciem Carltona Rileya.

- To niedobrze.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest dobry moment na utratę łączności z senatem.

- Przeczytałeś akta?

- Przeczytałem.

- W takim razie wiesz, że nie musimy się martwić o senat. Ten, kto przyjdzie na miejsce Frazera, będzie miał mnóstwo czasu na wdrożenie się, nim przytrafi się nowy kryzys.

- Czy takie będzie oficjalne stanowisko w tej sprawie?

- To nie stanowisko, to prawda. Służyła w marines, Reacher. Całe szesnaście lat. Miała okazję dowiedzieć się wszystkiego o podrzynaniu gardeł. Wiedziała, jak się to robi oraz jak udawać, że tego się nie zrobiło. Dowodzi tego choćby sprawa samochodu. Bo co tu dużo mówić. Skasowała samochód Paula Eversa i skasowała samochód Reeda Rileya. Ten sam sposób działania i dokładnie ten sam powód. Tyle że tym razem była jedną z czterech pięknych kobiet. Munro twierdzi, że miała romans z Rileyem, który ją rzucił i zajął się kolejno trzema pozostałymi. Więc tym razem była potrójnie wściekła i wyszła poza łamanie rąk. Poza tym dysponowała prywatną kobyłką na pustej posesji.

- I takie będzie oficjalne stanowisko w tej sprawie? - powtórzyłem.

- To się zdarzyło.

- I co teraz?

- Teraz to sprawa władz stanowych Missisipi, i nikogo więcej. Nasz pies nie bierze udziału w tym wyścigu i nie wiadomo, co się wydarzy. Myślę, że sama siebie nie aresztuje i nie da powodu policji stanowej, by to mogła zrobić.

- Czyli machniemy ręką i się wycofamy?

- Wszystkie ofiary były cywilami. Nie miały z wojskiem nic wspólnego.

- Zatem misja skończona?

- Z dniem dzisiejszym.

- Deveraux twierdzi, że nic jej nie łączyło z Rileyem.

- Niczego innego bym się po niej nie spodziewał.

- Wiemy coś o tym generale Dyerze?

- Dwa lata temu zmarł po długiej i chwalebnej karierze. Nigdy nie zaliczył żadnej wpadki.

Był człowiekiem bez skazy.

- Dobra. - Kiwnąłem głową. - Poczynię odpowiednie kroki.

- W jakim celu?

- W celu zakończenia misji.

- Twoja misja już jest skończona. Z dniem dzisiejszym.

- Zostawiłem tam prywatne rzeczy, które chciałbym odzyskać.

- Co zostawiłeś?

- Myślałem, że tam jeszcze wrócę.

- Co zostawiłeś?

- Szczoteczkę do zębów.

- To bez znaczenia.

- Departament Obrony zrefunduje mi koszt?

- Szczoteczki do zębów? Oczywiście, że nie.

- Zatem mam prawo ją odzyskać. Albo, albo.

- Reacher, jeśli narobisz choćby ciut więcej szumu wokół tej sprawy, nie będę mógł nic zrobić, żeby ci pomóc. W tej chwili pewni ludzie na bardzo eksponowanych stanowiskach wstrzymują oddech. Jesteśmy o milimetr od tego,

żeby media zaczęły trąbić o synu senatora, mającym romans z trzykrotną morderczynią. Żadne z nich nie będzie mogło nic na ten temat powiedzieć. Ani on, ani ona, każde z innych powodów. Więc prawdopodobnie nam się upieczą, ale jeszcze tego nie wiemy. Nie możemy być pewni. W tej chwili na dwoje babka wróżyła. Wiesz, Reacher, że ją na to stać - ciągnął. - Ktoś o twoim instynkcie musi to wiedzieć. Udawała, że prowadzi śledztwo, a na tobie grała jak na skrzypcach. Najpierw próbowała się ciebie pozbyć, a gdy się nie udało, przygarnęła cię do siebie. Tak, by mieć oko na twoje poczynania. W przeciwnym razie po co by z tobą rozmawiała?

Nie odpowiedziałem.

- W każdym razie autobus do Memphis już dawno odjechał. I tak musiałbyś poczekać do jutra. A jutro spojrzysz na to w innym świetle.

- Czy Neagley wciąż tu jest? - spytałem.

- Jest. Właśnie umówiłem się z nią na drinka.

- Powiedz jej, żeby wróciła autobusem. Zabieram jej służbowy samochód.

- Masz konto w banku? - zapytał.

- Oczywiście. Jak inaczej by mi płacili?

- Gdzie mieści się twój bank?

- W Nowym Jorku. Jeszcze od czasów West Point.

- Przenieś się do jakiegoś oddziału bliżej Pentagonu.

- Dlaczego?

- Odprawy po przymusowym odejściu ze służby szybciej trafiają na konta w Wirginii.

- Myślisz, że do tego dojdzie?

- Szefowie połączonych sztabów uważają, że wojna się skończyła. Siedzą i śpiewają z Yoko Ono. Zapowiadają się duże cięcia w budżecie. W większości skrupią się na armii. Marines mają lepszy od nas PR, a marynarka i lotnictwo to w ogóle coś innego. Dlatego nasi szefowie zaczynają układać listy z nazwiskami. Właśnie nad nimi ślęczą.

- I moje nazwisko jest na jednej z nich?
- Będzie, a ja nie będę mógł nic w tej sprawie zrobić.
- Mógłbyś mi zabronić powrotu do Missisipi.
- Mógłbym, ale tego nie zrobię. Ufam, że postąpisz, jak należy.

W drodze powrotnej natknąłem się na Stana Lowreya, kumpla. Zamykał samochód, gdy podchodziłem do buicka z kluczykiem uzyskanym w biurze floty samochodowej.

- Żegnaj, stary druhu - powiedziałem.

- Zabrzmiało to dość ostatecznie - mruknął.

- Bo możemy się już nigdy nie zobaczyć.

- A co? Wpadłeś w tarapaty?

- Ja?! Skąd. U mnie wszystko w porządku. Ale słyszałem, że twoje stanowisko zawisło na włosku. Może cię tu nie być, kiedy wrócę.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, pokiwał głową i odszedł.

* * *

Buicki to samochody dla starszych pań. Gdyby mój dziadek miał siostrę, jeździłaby ona buickiem park avenue. Tyle że robiłaby to znacznie wolniej niż ja. Pojazd był miękki jak galaretki i w środku dwukrotnie od niej słodszy, ale miał potężny silnik oraz rządowe tablice rejestracyjne, co przy jeździe po autostradzie się przydaje. A wyjechałem na autostradę tak szybko, jak się tylko dało. Ściśle mówiąc, na międzystanową I-65, ruszyłem nią na południe, wzdłuż wschodniej granicy umownego korytarza, nie jak poprzednio wzdłuż zachodniej w kierunku Memphis. To znaczyło, że dojadę na miejsce od strony, której nie znałem, ale tak było bliżej, a zarazem szybciej. Na oko pięć godzin jazdy, może pięć i pół. Oznaczało to, że do Carter Crossing dotrę najpóźniej o wpół do jedenastej wieczorem.

* * *

Przejechałem przez Kentucky w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i gdy wjechałem do Tennessee, zaczęło się robić ciemno. Przez dwa kilometry obmacywałem deskę rozdzielczą w poszukiwaniu włącznika świateł, w końcu go jednak znalazłem i zapaliłem reflektory. Szeroka wstęga autostrady doprowadziła mnie do morza neonów w Nashville, po czym szybko i

bezkolizyjnie wyprowadziła na otwartą przestrzeń, gdzie zrobiło się ciemno i cicho. Prowadziłem niemal jak w transie, robiąc wszystko na wpół automatycznie, nie myśląc o niczym i dziwiąc się za każdym razem, gdy z kolejnej tablicy wynikało, że jestem coraz bliżej celu.

Przejechałem granicę z Alabamą i na drugiej napotkanej stacji zatrzymałem się, by zatankować i kupić mapę. Wiedziałem, że niedługo będę musiał skręcić na zachód w miejscową drogę, i potrzebowałem dokładnej mapy rejonu, żeby się nie pogubić. Mapy możliwej do kupienia tylko na miejscu, nie ogólnej mapy samochodowej, którą można dostać wszędzie. Kupiona mapa zgrabnie się rozkładała i pokazywała praktycznie wszystkie polne drogi w całej Alabamie. Ale nic więcej. Stan Missisipi był tylko jasną pustą plamą na obrzeżu. Zawęziłem pole i wyszukałem cztery różne drogi prowadzące na zachód. Każda mogła być tą, która mija Kelham i doprowadza do Carter Crossing. Albo żadna z nich. Po drugiej stronie granicy stanowej mogły na mnie czekać różnego rodzaju niespodzianki, a szosa mogła nagle zmienić kierunek i wrzucić mnie w labirynt lokalnych dróg. Nie dało się tego przewidzieć.

Tyle że bazę Kelham zbudowano w latach pięćdziesiątych, w czasach wciąż toczących się walk i masowej mobilizacji, a planiści Departamentu Obrony byli znani ze skrupulatności.

Pilnowali, żeby konwój rezerwistów z New Jersey czy Nebraski nie zgubił się w nieznanym terenie, i w tym celu umieszczali zakodowane znaki rozpoznawcze, wytyczające drogę do wszystkich najważniejszych lokalizacji militarnych w kraju. Ich wysiłki jeszcze się wzmożyły od czasu zbudowania sieci autostrad międzystanowych. Pierwotnie system dróg międzystanowych nazwano imieniem prezydenta Eisenhowera, i nie było to przypadkowe.

Podczas drugiej wojny światowej Eisenhower był naczelnym dowódcą sił sprzymierzonych w Europie i w owym czasie jego największym problemem wcale nie okazywali się Niemcy.

Problemem było przerzucanie ludzi i sprzętu z punktu A do punktu B

podłymi i fatalnie oznakowanymi drogami. Przyrzekł sobie wtedy, że jego następcy nie będą mieli tego problemu, gdyby wojna lądowa kiedykolwiek miała toczyć się w Ameryce. W rezultacie powstał system dróg międzystanowych, które zbudowano wcale nie dla turystów udających się na wakacje ani dla ułatwienia transportu drogowego, ale dla wojskowych. I stąd znaki rozpoznawcze. Jeśli nie zostały w międzyczasie zniszczone lub rozkradzione przez miejscowych, to mogłem po nich dotrzeć do celu jak po sznurku.

Na pierwszy znak natrafiłem przy najbliższym zjeździe z autostrady. Zjechałem z wiaduktu w kierunku zachodnim i ruszyłem betonową wstęgą, mijając rozrzucone wzdłuż niej tanie centra handlowe i warsztaty samochodowe. Po pewnym czasie punkty handlowe i usługowe skończyły się i szosa powróciła do pierwotnego wyglądu, to znaczy lokalnej drogi, wijącej się wśród pól i lasów. Od czasu do czasu mijałem jeziora z polami biwakowymi, wioski wakacyjne i przydrożne zajazdy. Na niebie świecił ogromny księżyc i wszystko wyglądało bardzo malowniczo.

Jechałem prosto przed siebie, ale na następny znak rozpoznawczy Departamentu Obrony natknąłem się dopiero po wjeździe na teren Missisipi, nieco później na jeszcze jeden. Gruba strzałka skierowana na wprost była dobrze widoczna, zakodowany symbol pod nią informował, ile drogi zostało mi jeszcze do pokonania. Mój wewnętrzny zegar pokazywał pięć po dziesiątej i pomyślałem, że jeśli się uwinę, na miejsce dotrę przed czasem.

Najwyraźniej służby techniczne Departamentu Obrony zadbały o dojazd do Kelham od wschodu równie skrupulatnie jak o dojazd od zachodu, bo droga z obu kierunków wyglądała identycznie. Miała taką samą szerokość, była tak samo wyprofilowana i zbudowana z tego samego materiału zapewne przez tego samego wykonawcę, dzięki czemu kilkanaście kilometrów przed Kelham poczułem się już całkiem swojsko. Wkrótce po prawej ukazało się pasmo lasu z ukrytym w nim ogrodzeniem. Południowowschodni kraniec Kelham. Na mojej mapie w prawym dolnym rogu.

Za oknem przesuwała się południowa granica terenu bazy, a ja zacząłem wytrzeszczać oczy, żeby nie przegapić głównej bramy wjazdowej. Byłem prawie pewny, że znajduje się dokładnie pośrodku ogrodzenia. W Departamencie Obrony lubią porządek. Gdyby służby techniczne napotkały po drodze wzniesienie, na pewno by je zniwelowały. Gdyby po drodze przytrafiło się bagno, służby techniczne by je osuszyły.

W tym przypadku wyglądało na to, że napotkali niewielkie zagłębienie terenu, bo po paru kilometrach droga zaczęła biec po blisko dwumetrowym nasypie, mając po obu stronach ciągnący się niżej teren. Potem nasyp przybrał kształt ogromnego leja, stopniowo zwężającego się w szeroką drogę dojazdową, wznoszącą się ponad otaczający ją teren.

Wyglądało to jak skrzyżowanie z odchodzącą w bok główną szosą, która na początku miała szerokość boiska do futbolu. Może nawet większą, tyle że nieco dalej się zwężała.

Krzyżowała się z szosą pod kątem prostym, ale nie było ostrych narożników ani ciasnych skrętów. Rogi były ścięte, łuki łagodne. Niewątpliwie z myślą o pojazdach gąsienicowych, a nie długich i szerokich limuzynach.

Lej w bok od szosy stanowił tylko początek drogi dojazdowej, kawałek dalej kończyła się ona ślepo pod masywną główną bramą Kelham, która wyglądała imponująco. Po bokach ciągnęły się wręcz fortyfikacje, których częścią

składową był potężny budynek wartowni. Obsada wartowni liczyła dziewięć osób, nieco bliżej szosy cywilne władze okręgu reprezentowała samotna sylwetka zastępcy szeryfa Butlera. Siedział w radiowozie zaparkowanym ukośnie do drogi, na kawałku ziemi niczyjej, w miejscu, gdzie szosa okręgowa przechodziła w drogę wojskową.

Wrota bramy wjazdowej były na oścież otwarte, a na drodze panował ożywiony ruch. Baza była jasno oświetlona i tętniła życiem. Wyglądało na to, że wszystko wróciło do normy.

Ludzie kręcili się tam i z powrotem niezbyt gromadnie, ale też nie pojedynczo. Większość jechała samochodami, ale zdarzali się też motocykliści. Więcej było wracających, bo zbliżała się dwudziesta druga trzydzieści i jutro od rana czekały ich obowiązki, ale garstka twardzieli dopiero ruszała na podbój. Pewnie instruktorzy. I oficerowie. Mieszkańcy bazy, których nie obowiązywała ścisła dyscyplina. Zwolniłem, jadąc za dwoma samochodami, następny wyjechał z bramy i wjechał na szosę za mną, i nagle znalazłem się w czteropojazdowej kawalkadzie. Sunęliśmy na zachód pod prąd strumienia wracających do bazy pojazdów.

Zbliżając się do południowozachodniego krańca Kelham, próbowałem wypatrzeć miejsce mojej rozprawy sprzed dwóch dni, ale było zbyt ciemno. Chwilę potem wyjechaliśmy z lasu i dostrzegłem zbliżający się z naprzeciwka radiowóz Pellegrina. Jechał wolno, jakby samą obecnością chciał uspokoić rozochoczonych kierowców wracających do bazy. Zaraz potem minęliśmy dzielnicę dla czarnych, podskoczyliśmy kolejno na torze i chwilę później wszyscy wykonaliśmy ciasny skręt w Main Street, by zaparkować na placu przed ciągiem barów, kantorów pożyczkowych, sklepów z częściami samochodowymi, bronią i używanym sprzętem stereo.

* * *

Wysiadłem z buicka i stanąłem na otwartej przestrzeni, mniej więcej w połowie odległości między barem Brannanów a rzędem zaparkowanych

samochodów. Pusty plac zamienił się w deptak, gdzie wojskowi snuli się od baru do baru lub stali grupkami, rozmawiając i parszcząc śmiechem. Jedni i drudzy mieszały się i przemieszczali, jakby uczestniczyli w skomplikowanej choreografii. Nikt nie szedł prosto z jednego miejsca w drugie. Ludzie kręcili się wśród samochodów, przystawali, gadali, poklepywali się po plecach, przemieszczali się od jednej grupki znajomych do następnej.

Widać też było sporo kobiet. Więcej, niż oczekiwałem. Nie miałem pojęcia, skąd się tu ich tyle wzięło. Musiały przyjeżdżać z daleka. Niektóre towarzyszyły partnerom, inne stały w mieszanych grupkach, jeszcze inne trzymały się we własnym gronie. Musiało się tu kręcić około setki mężczyzn i około osiemdziesięciu kobiet, na pewno drugie tyle siedziało jeszcze w barach. Prawdopodobnie wszyscy mężczyźni należeli do kompanii Bravo, wciąż jeszcze mieli urlop po ostatniej misji i nadrabiali stracony czas. Wyglądali tak, jak przypuszczałem.

Dobrze wyszkoleni sumienni żołnierze, którzy w ciągu dnia służby dają z siebie sto procent swych niemałych możliwości, a wieczorem wyładowują nadmiar energii. Pełni dobrej woli i gotowi do chwalebnych czynów. Wszyscy mieli na sobie nieformalne uniformy żołnierzy na przepustce: dzinsy, Tshirty i kurtki. Niektórzy wyglądali na bardziej spiętych i czujniejszych, co pewnie świadczyło o tym, że są tu nowi. Inni starali się za wszelką cenę błyszczeć w towarzystwie, ale na ogół wszyscy wyglądali i zachowywali się tak, jak przystało na rasową jednostkę sił lądowych, która wyszła z koszar, żeby się zabawić. Słysząc było krzyki i nawoływania, większość zachowywała się dość hałaśliwie, ale w głosach nie było agresji ani złości. W powietrzu nie czuło się napięcia. Nikt nie okazywał żalu o niedawne uwięzienie. Po prostu cieszyli się, że jest już po wszystkim.

Mimo to przypuszczałem, że miejscowa władza i tak wstrzymuje oddech. Byłem pewny, że Elizabeth Deveraux ma na wszystko oko. I nie miałem wątpliwości, gdzie jej szukać.

Potrzebowała centralnej lokalizacji, krzesła, stołu i okna oraz zajęcia, które umili jej oczekiwanie. W Carter Crossing było tylko jedno takie miejsce.

Wyplątałem się z tłumu, ominąłem bar Brannanów i wszedłem w alejkę prowadzącą do Main Street. Przeszedłem obok kupy piachu, którym zasypano ślad po zwłokach Janice Chapman, i wyszedłem między apteką a sklepem z żelastwem, po czym skręciłem w prawo i ruszyłem w stronę knajpy.

* * *

Tym razem sala była prawie pełna. W porównaniu z tym, jak prezentowała się poprzednio, wręcz pękała w szwach. Prawie jak na Times Square. Przy stolikach siedziało dwadzieścia sześć osób, w tym szesnastu wojskowych w czterech grupkach po czterech przy czterech oddzielnych stolikach. Wszyscy byli młodzi i rośli, siedzieli blisko siebie, niemal stykając się ramionami, głośno rozmawiając i pokrzykując do kolegów przy innych stolikach. Kelnerka niemal biegiem wpadała do kuchni i wypadała z niej, a ja pomyślałem, że pewnie biega tak od rana i próbuje nakarmić chłopaków stęsknionych za niewojskowym żarciem. Ale wyglądała na uszczęśliwioną. Bramy Kelham w końcu się otworzyły i rzeka dolarów znów zaczęła płynąć, a ona mogła liczyć na napiwki.

Pozostałych trzech wojskowych jadło kolację w towarzystwie dziewczyn. Cała szóstka siedziała parami przy dwuosobowych stolikach, każda para zwrócona do siebie twarzami, nachylona ku sobie i prawie stykająca się głowami. Sprawiali wrażenie szczęśliwych ludzi.

I jakżeby inaczej? Cóż może być wspanialszego od romantycznej kolacji we dwoje w najlepszej restauracji w mieście?

Przy tym co zawsze stoliku urzędowali właściciele hotelu, niemal zagubieni w tłumie otaczającej ich dorodnej młodzieży. Starsza pani jak zwykle czytała książkę, jej mąż przeglądał gazetę. Jak na nich było już dość późno i pomyślałem, że są chyba jedynymi pracownikami sektora usług w mieście, którzy w tej chwili nie sterczą przy kasie i nie inkasują pieniędzy. Ale nikt z Kelham nie potrzebował dziś noclegu, a hotel Toussaint's nie oferował żadnych

innych atrakcji. Nawet kawy. Najwyraźniej właściciele woleli przeczekać najazd hałaśliwego tłumu w znanym i bezpiecznym miejscu, niż wsłuchiwać się w krzyki i hałasy dobiegające zza okien hotelu.

W głębi sali przy dwuosobowym stoliku siedział samotnie major Duncan Munro. Ubrany w mundur polowy pochylał się nad talerzem. Jak zwykle na posterunku, choć zapewne jego misja została zakończona kilka godzin wcześniej. Ale był rzetelnym i obowiązkowym żandarmem, który do końca jest profesjonalistą. Pomyślałem, że pewnie dostał rozkaz powrotu do Niemiec i właśnie czeka na transport.

Oczywiście, w sali była też Elizabeth Deveraux. Siedziała samotnie przy stoliku blisko okna, na wszelki wypadek czujnie wsłuchując się w odgłosy za oknem. Też na posterunku. Pewnie nie chciała dopuścić, żeby hałastrą z placu rozlała się na Main Street. Tego oczekiwał od niej elektorat. Była w mundurze, włosy związała w koński ogon. Wyglądała na przemęczoną, ale i tak olśniewała urodą. Przez chwilę się jej przyglądałem, dostrzegła mnie, radośnie się uśmiechnęła i odsunęła nogą krzesło.

Chwilę odczekałem, po czym podszedłem do jej stolika i usiadłem.

Milcząc, Deveraux obejrzała mnie uważnie od góry do dołu, jakby chciała sprawdzić, czy nie doznałem żadnych obrażeń, a może tylko przywyknąć do mnie w mundurze. Wciąż miałem na sobie mundur polowy, w który się przebrałem w domu po powrocie z Waszyngtonu. Miała przed sobą kogoś zupełnie innego.

- Dużo pracy? - zacząłem.

- Naprawdę dużo od dziesiątej rano. Otworzyli bramę i cały tłum wylał się z bazy jak fala powodziowa.

- Jakieś kłopoty?

- Żaden wracający do Kelham nie zaliczyłby testu na trzeźwość, ale poza tym spokojnie.

Butler i Pellegrino są na służbie i przypominają o naszej obecności. Tak na wszelki wypadek.

- Widziałem ich.

- A jak tobie poszło?

- Bezowocnie. Niestety, wybrałem zły moment. Jeden z tych niefortunnych zbiegów okoliczności. Facet, z którym byłem umówiony, zginął tragicznie. Niczego nie osiągnąłem.

- Tak też myślałam. Dostawałam komunikaty od Frances Neagley aż do chwili, gdy zaczęły się kłopoty. Od ósmej do dziesiątej rano siedziałeś w kawiarni, piłeś kawę i czytałeś gazetę.

W tym czasie coś musiało się wydarzyć. Sądzę, że gdzieś około dziewiątej. Może ktoś zadzwonił. W każdym razie ktoś musiał podjąć jakąś decyzję, bo godzinę później bomba wybuchła. Nagle wszystko wróciło do normy.

- To prawda - powiedziałem. - Myślę, że doszło do ujawnienia jakiejś informacji. Chyba czegoś bardzo istotnego.

- Wiesz, co to mogło być?

- A tak przy okazji, dzięki, że się o mnie martwiłaś. Bardzo mnie to

wzruszyło.

- Neagley też się o ciebie martwiła. To znaczy od chwili, gdy jej powiedziałam, w jakiej sprawie pojechałeś. Nie musiałam jej namawiać.

- W sumie okazało się całkiem bezpiecznie. Czujęm ciarki, zbliżając się do Pentagonu, ale to wszystko. Dość długo zwlekałem. Poszedłem pieszo przez cmentarz. Zajrzałem po drodze do

Henderson Hall. Znasz to miejsce?

- Oczywiście. Byłam tam setki razy. Mają świetnie zaopatrzone konsum. Czujesz się w nim jak u Saksa przy Piątej Alei.

- Z pewnym gościem wdałem się w rozmowę o tobie i niejakim generale Jamesie Dyerze.

Powiedział, że Dyer cię znał.

- Dyer? - zdziwiła się. - Naprawdę? Ja go znałam, ale wątpię, żeby on znał mnie. Ale jeśli tak było, to tylko mi pochlebia. To była naprawdę wielka fisza. A jak się nazywał ten, z którym rozmawiałeś?

- Paul Evers.

- Paul?! - wykrzyknęła. - Chyba żartujesz. Przez lata pracowaliśmy razem. Nawet przez pewien czas się spotykaliśmy. Niestety, okazało się to jedną z moich pomyłek. To zdumiewające, że musiałeś akurat na niego się natknąć. Jaki ten świat mały, co?

- Dlaczego uważasz to za pomyłkę? Wydawał się całkiem fajny.

- Bo jest fajny. Naprawdę miły facet, tylko nam nie wyszło.

- I dlatego go rzuciłaś?

- Mniej więcej. Właściwie zrobiliśmy to wspólnie. Oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nie będzie. Pytanie brzmiało: kto pierwszy zdobędzie się na odwagę. W każdym razie nie był załamany.

- I kiedy to było?

Zastanowiła się.

- Pięć lat temu - powiedziała w końcu. - Zdaje się, jakby to było wczoraj. Jak

ten czas leci.

- A potem wspomniał jeszcze o twojej koleżance Alice Bouton, jego następnej dziewczynie po tobie.

- Chyba jej nie znałam. Nawet nie pamiętam tego nazwiska. Paul wygląda na szczęśliwego?

- Wspomniał coś o jakimś samochodzie.

- Dziewczyny i samochody! - parsknęła Deveraux. - Czy mężczyźni nigdy o niczym innym nie rozmawiają?

- Ponowne otwarcie bram Kelham oznacza, że problem znalazł się po twojej stronie płotu - zauważyłem. - Inaczej wojsko by się na to nie zdecydowało. Teraz to sprawa cywilnych władz Missisipi. To nie ktoś z naszych, to ktoś z waszych. Takie będzie ich oficjalne stanowisko. Masz w tej sprawie jakieś przemyślenia?

- Myślę, że armia powinna się podzielić ze mną swoją wiedzą. Jeśli ich przekonała, przekona też mnie.

- Armia chodzi swoimi drogami. Niczym się z tobą nie podzieli.

- Munro mi powiedział, że dostał nowe rozkazy - oznajmiła Deveraux po chwili milczenia. - Jak sądzę, ty też.

Skinąłem głową.

- Wróciłem tylko po to, żeby zakończyć sprawę. Tylko tyle.

- A potem gdzieś cię wyślą. Do następnego zadania. Praktycznie tylko o tym dziś myślę.

O Janice Chapman zacznę myśleć jutro.

- I o Rosemary McClatchy. I o Shawnie Lindsay.

- I o Brusie Lindsayu i jego matce. Uczynię w ich sprawach wszystko, co będę mogła.

Nie zareagowałem.

- Jesteś zmęczony? - spytała.

- Nie bardzo.

- Muszę pomóc Butlerowi i Pellegrinowi. Są na nogach od świtu. Zresztą chcę być na drodze, kiedy ostatni maruderzy wyruszą do bazy. Z reguły są najbardziej upierdliwi i najbardziej nawaleni.

- Wrócisz do hotelu przed północą?

Pokręciła głową.

- Raczej nie. Dziś będziemy musieliśmy się obyć bez pociągu.

Nie odpowiedziałem, a ona znów się uśmiechnęła - tym razem jakby trochę smutno - po czym wstała od stolika i wyszła.

* * *

Pięć minut później kelnerka wreszcie do mnie dotarła, a ja poprosiłem o kawę. I placek z brzoskwiniami, dodałem po namyśle. Kelnerka rozmawiała ze mną jakoś inaczej, jakby z większą rezerwą. Pracowała w pobliżu bazy wojskowej i musiała wiedzieć, co znaczą czarne liście dębu na kołnierzyku. Spytałem, jak minął jej dzień, a ona odparła, że dobrze.

- Żadnych kłopotów? - upewniłem się.

- Żadnych - odrzekła.

- Nawet ze strony tego w kącie? Tego drugiego majora? Słyszałem, że potrafi być szorstki.

Odwróciła głowę i spojrzała na Munro.

- Jestem pewna, że jest prawdziwym dżentelmenem.

- Zechce pani poprosić, żeby się do mnie przysiadł? Proszę dla niego też zamówić placek.

W drodze do kuchni zatrzymała się przy jego stoliku i przekazała moje zaproszenie, uzupełniając je uśmiechem. Wskazała ręką w moją stronę, jakby trudno było wypatrzeć mnie w tłumie. Munro spojrzał podejrzliwie, wzruszył ramionami i wstał od stolika. Podczas jego przemarszu przy mijanych stolikach zapadała nagle cisza. Czuło się, że nie jest zbyt popularny wśród żołnierzy. Ale w końcu od czterech dni trzymał ich w ryzach.

Usiadł na krześle Deveraux, a ja bez żadnych wstępów spytałem:

- Ile ci wyjawili?
- Absolutne minimum - odparł. - Tajne przez poufne, tylko tyle, ile musisz wiedzieć, tylko dla twoich oczu. Cały ten cyrk.
- Bez nazwisk?
- Bez. Zakładam, że szeryf Deveraux musiała im powiedzieć coś, co oczyściło naszych chłopaków z podejrzeń. Cóż innego mogło się wydarzyć? Tyle że jak dotąd nikogo nie aresztowała. Mam ją na oku od rana.
- Czym się zajmowała?
- Pilnowaniem tłumu, wypatrywaniem zapowiedzi burd. Było spokojnie. Nikt nie ma pretensji do niej ani do miasta. Czego nie da się powiedzieć o mnie.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- O świcie - odrzekł. - Podwiozą mnie do Birmingham w Alabamie, potem pojedę autobusem do Atlanty w Georgii, następnie polecę deltą do Niemiec.
- Wiedziałaś, że Riley nie opuścił bazy?
- Tak.
- I co o tym sądzisz?
- Trochę mnie to zdumiało.
- W jakim sensie?
- Doboru czasu. W pierwszej chwili pomyślałem, że to tylko ruchy pozorowane, jak to zwykle w polityce, ale potem poszedłem po rozum do głowy. Przecież nie spalaliby czterystu litrów paliwa odrzutowego dla czyjegoś kaprysu, nawet dla syna senatora. Czyli gdy ten blackhawk startował z Benning, Riley naprawdę miał się znaleźć na jego pokładzie, tyle że zanim doleciał do Kelham, rozkazy się zmieniły. To znaczy, że dotarła do nich jakaś ważna informacja w czasie, gdy helikopter był już w powietrzu. Czyli dwa dni temu, w niedzielę, zaraz po lunchu. Mimo to w żaden sposób nie zareagowali aż do dziś, a dziś jest wtorek.
- Dlaczego?
- Tego nie wiem. Nie ma żadnego uzasadnienia dla zwłoki. Wygląda na to,

że przez dwa dni przetrzymali tę nową informację. W innych okolicznościach byłoby to godne pochwały. Tyle że w tym przypadku to kompletnie bez sensu. Jeśli ta nowa informacja była na tyle ważna, by podjąć natychmiastową decyzję o zatrzymaniu Riley'a w Kelham w niedzielę po południu, to dlaczego nie wystarczyła do otwarcia bram bazy? Trochę tak, jakby w niedzielę byli skłonni podejmować poufne decyzje w sprawach osobistych, ale nie w urzędowych. Bo te podjęli dopiero dziś rano. A skoro tak, co przez ten czas się zmieniło? Co jest dziś, czego nie było w niedzielę?

- Nie mam pojęcia - odparłem, ale nie zrobiłem tego szczerze. Bo tak naprawdę istniało tylko jedno wytłumaczenie. Jediną istotną różnicą między niedzielnym popołudniem a wtorkowym rankiem było to, że w niedzielę byłem w Carter Crossing, a we wtorek rano tysiąc trzysta kilometrów stąd.

I nikt się nie spodziewał, że tu wrócę.

Nie miałem pojęcia, co to może oznaczać.

Kelnerka kręciła się jak fryga, żeby obsłużyć klientelę, zostawiłem więc Munro czekającego na ciasto i alejką wróciłem na plac przed barami. Wyszedłem między barem Brannanów a kantorem pożyczkowym i stwierdziłem, że dużo samochodów odjechało, a tłum mocno się przerzedził, bardziej, niż to wynikałoby z liczby pozostałych pojazdów. Widać w barach wciąż panował ożywiony ruch, a goście wykorzystywali cenne minuty swobody przed powrotem do koszar.

Najbardziej był okupowany bar Brannanów, wewnątrz panował ścisk zdecydowanie ponad miarę. Nie wiedziałem, czy okręg Carter dysponuje własną strażą pożarną, ale jeśli tak, jej komendant powinien dostać zawału na ten widok. W barze ze stu wojskowych i kilkadziesiąt kobiet było stłoczonych jak sardynki w puszcze, wszyscy chronili drinki, trzymając je na wysokości twarzy. Panował harmider - typowo barowa kakofonia rozmów, śmiechów i odgłosów wciąż otwieranej i zatrząskiwanej kasowej szufladki. Dolary znów płynęły wartkim strumieniem.

Prześciśnięcie się przez tłum do baru zajęło mi całe pięć minut. Przyglądałem się mijanym twarzom - niektórym z bardzo bliska, innym z daleka - ale Reeda Riley'a nie dostrzegłem.

Bracia Brannanowie mieli pełne ręce roboty z laniem piwa, inkasowaniem zapłaty, wydawaniem reszty i upychaniem wilgotnych dolarówek w słoju na napiwki. Kręcili się i wymijali w ciasnej przestrzeni za barem, poruszając się z gracją niczym tancerze. Jeden z nich zauważył mnie i wysuwając brodę, mrużąc oczy i kręcąc głową, wykonał rytualne gesty bardzo zajętego barmana. Przypomniał sobie, że jestem żandarmem, i wyciągnął ku mnie szyję na znak, że jednak znajdzie dla mnie parę sekund. Nie wiedziałem, czy mam przed sobą Jonathana, czy Huntera.

- Widział pan tu dziś Reeda? Tego, o którym rozmawialiśmy? - spytałem.

- Był tu ze dwie godziny temu - odrzekł. - Teraz pewnie siedzi tam, gdzie o

tej porze wabią tańszymi drinkami.

- Czyli gdzie?

- Dokładnie nie wiem, ale na pewno nie tu.

Wzruszył ramionami i podjął swoje płasy za barem, a ja zacząłem przeciskać się do wyjścia.

* * *

Wróciłem do knajpy po szesnastu minutach od wyjścia i stwierdziłem, że podczas mojej nieobecności kelnerce udało się przynieść ciasto i Munro był już w połowie pałaszowania swojej porcji. Wziąłem do ręki wideleczyk, a on przeprosił, że na mnie nie zaczekał.

- Myślałem, że nie wrócisz - powiedział.

- Często spaceruję pomiędzy daniami - wyjaśniłem. - Zdaje się, że tak robią w Missisipi, a dobrze jest się stosować do miejscowych zwyczajów.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale nic nie powiedział.

- Co robisz w Niemczech? - spytałem.

- Ogólnie?

- Nie, szczególnie. Gdy pojutrze rano zjawisz się w swoim biurze, to co będzie na ciebie czekało?

- Niewiele.

- Nic pilnego?

- A bo co?

- Bo tu zamordowano trzy kobiety. A sprawca jest nadal na wolności.

- To nie podlega naszej jurysdykcji.

- Pamiętasz fotografię wiszącą na ścianie u Emmeline McClatchy? Zdjęcie Martina Luthera Kinga? To on powiedział, że wystarczy, by przyzwoici ludzie pozostali bierni, a zło zapanuje.

- Jestem wojskowym gliniarzem, a nie przyzwoitym człowiekiem.

- Powiedział też, że zaczniemy umierać wtedy, gdy dotrze do nas prawda, a my ją zignorujemy.

- Nie płacą mi za filozofowanie.
- I jeszcze jedno: stwierdził, że jedna niesprawiedliwość zagraża
sprawiedliwości w ogóle.

- Co chcesz ode mnie?

- Żebyś tu został jeszcze jeden dzień.

Dojadłem do końca deser i udałem się na poszukiwania Elizabeth Deveraux.

* * *

Gdy po raz drugi wychodziłem z knajpy, była dokładnie dwudziesta trzecia
trzydzieści jeden.

Skręciłem w prawo i ruszyłem w stronę biura szeryfa. Budynek był
zamknięty na głucho, a parking pusty. Poszedłem dalej i dotarłem do szosy
prowadzącej do Kelham. W stronę skrzyżowania płynął od miasta nieprzerwany
strumień samochodów. W niektórych siedziało po kilka kobiet i te skręcały w
lewo, większość jednak wiozła po czterech lub pięciu mężczyzn i te skręcały w
prawo. Kompania Bravo wracała do domu. Może od północy w Kelham
obowiązywała cisza nocna. Spojrzałem w stronę barów i dostrzegłem, że
wszystkie samochody poza moim buickiem opuszczają parking. Niektóre
dopiero ruszały, inne stały już w kolejce, by dołączyć do powrotnej kawalkady.

Ruszyłem lewym poboczem, by się oddzielić szerokością jezdni od aut
jadących do Kelham.

Wypito tego wieczoru morze piwa, a w 1997 koncepcja niepijącego
kierowcy nie była zbyt popularna, szczególnie w wojsku. Nad szosą unosił się
tuman kurzu i ostre światła reflektorów z trudem go przebijały, silniki wyły na
wysokich obrotach. Dwieście metrów dalej samochody podskakiwały na
przejeździe, dodawały gazu i ginęły w ciemnościach.

Deveraux siedziała w radiowozie zaparkowanym na poboczu tuż za
przejazdem, przodem do mnie. Szedłem ku niej, co chwila wyprzedzany przez
kolejny samochód z wojakami kompanii Bravo. W ciągu minuty, którą zajęło mi
dotarcie do toru, minęło mnie co najmniej trzydzieści samochodów z co

najmniej dziewięćdziesięcioma wojakami, ale nie zdążyłem do niego dojść, gdy strumień pojazdów się przerzedził. Wprawdzie ostatni maruderzy wciąż mnie jeszcze wyprzedzali, odstępy między samochodami rosły do pięciu, dziesięciu, potem dwudziestu sekund, a ich kierowcy coraz bardziej przyspieszali, goniąc punktualniejszych kolegów.

Musiałem chwilę odczekać, by bezpiecznie przeprowadzić się na drugą stronę toru. Na mój widok Deveraux otworzyła drzwi i wysiadła. Przez chwilę staliśmy obok siebie w blasku samochodowych reflektorów.

- Jeszcze pięć minut i nikogo tu nie będzie - powiedziała. - Ale muszę poczekać na Butlera i Pellegrina. Nie mogę się zmyć przed nimi. To nie byłoby fair.

- A kiedy oni wrócą? - spytałem.

- Przejazd pociągu trwa pełną minutę. Teoretycznie to niedługo, ale jak się cały dzień pracowało, to się niemiłosiernie dłuży. Na pewno będą chcieli przejechać przed północą.

- Jak długo przed północą?

- Niestety, niewystarczająco długo - odrzekła z uśmiechem. - Za pięć dwunasta, coś koło tego. Za późno, żeby wrócić do hotelu.

- Szkoda.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Wsiadaj, Reacher.

* * *

Uruchomiła silnik, odczekała, aż przejadą ostatni maruderzy z kompanii Bravo, po czym wjechała na przejazd i skręciła ostro w prawo, ustawiając samochód w poprzek szosy, równoległe do toru. Delikatnie naciskając pedał gazu i ostrożnie manewrując kierownicą, wjechała prawymi kołami na prawą szynę tak, że lewe znalazły się pośrodku toru, a samochód przechylił się pod dość znacznym kątem. A potem ruszyła do przodu z jedną ręką na kierownicy, drugą opartą na udach. Prowadziła pewnie i niezbyt szybko, ale się nie wlokła.

Minęliśmy wieżę ciśnień i pojechaliśmy dalej. Lewe koła podskakiwały po podkładach, prawe sunęły gładko po szynie. Widać było, że Deveraux doskonale panuje nad samochodem.

W pewnym momencie zahamowała i przechylony w lewo pojazd stanął.

Prawie na środku toru.

Dwadzieścia metrów na północ od wieży ciśnień.

Dokładnie tam, gdzie samochód Reeda Rileya czekał na walnięcie przez pociąg.

W miejscu, skąd wzdłuż toru zaczynały się okruchy szkła.

- To nie twój pierwszy raz, prawda? - powiedziałem

- Nie, już to robiłam - odrzekła.

- Teraz będzie najtrudniejsze - dodała. - Wszystko zależy od dobrania właściwego pędu. - Skręciła kierownicę ostro w lewo i podczas gdy przednie prawe koło ześlizgnęło się z prawej szyny, gwałtownie dodała gazu, pomagając lewemu kołu przeskoczyć przez lewą szynę.

Samochód podskoczył, noga Deveraux pozostała na pedale gazu i pozostałe koła kolejno zrobiły to samo, piszcząc gumą opon o stalową szynę. Zdjęła nogę z gazu i zatrzymała się równoległe do toru. Jego kamieniste podłoże zaczynało się nie więcej niż półtora metra od mojego okna. - Uwielbiam to miejsce - powiedziała. - Z powodu rowu przy szosie trudno się tu dostać. Ale warto się potrudzić. Dość często tu staję.

- O północy? - spytałem.

- Wyłącznie - odrzekła.

Odwróciłem głowę i spojrzałem w tylną szybę. Widać było krzyżówkę toru z szosą. Więcej niż czterdzieści metrów od nas, mniej niż pięćdziesiąt. Przez chwilę nic się nie działo, ruch na szosie ustał. Po chwili przemknął jeden samochód, pędząc od strony Kelham ku miastu. Duży radiowóz z lampami na dachu i emblematem na drzwiach.

- Pellegrino - powiedziała Deveraux. Ona też odwróciła głowę i patrzyła. - Pewnie schował się w jakimś zakamarku sto metrów dalej i kiedy minął go ostatni spóźnialski, policzył do dziesięciu i popędził do domu.

- Butler stał przy samej bramie Kelham - zauważyłem.

- Tak, będzie się teraz ścigał z czasem. I tylko on nam może przeszkodzić. Gdy przejedzie, to gwarantuję, że zostaniemy tu sami jak palec. To małe miasteczko, Reacher. Wiem dokładnie, kto co robi.

Mój wewnętrzny zegar wskazywał dwudziestą trzecią czterdzieści dziewięć, a to znaczyło, że wyścig Butlera wymaga precyzyjnego wyliczenia czasu. Zapewne pojedzie setką, więc przejechanie pięciu kilometrów zajmie mu trzy minuty. Ale te trzy minuty zaczną tykać dopiero od momentu, gdy go minie

ostatni maruder, a przynajmniej kiedy ujrzy na horyzoncie światła jego samochodu. Ale może się też zdarzyć, że ten ostatni będzie jechał powoli i ostrożnie z racji wypitego piwa, zwłaszcza że chwilę wcześniej minął przyczajony na poboczu radiowóz Pellegrina. Z mojego wyliczenia wynikało, że Butler nadjedzie za jedenaście minut, czyli dokładnie o północy. Nie omieszkałem powiedzieć tego głośno.

- Urwie się wcześniej - zawyrokowała Deveraux. - Przez ostatnie dziesięć minut niewiele się działo i jakieś pięć minut temu ruszył spod bramy. Tak sędzę. W każdej chwili może przejechać przez tor.

Oboje wpatrywaliśmy się w szosę.

Nic nie jechało.

Otworzyłem drzwi, wysiadłem i stanąłem na krawędzi kamienistej podsypki. Od lewej szyny dzielił mnie nie więcej niż metr. Obie lśniły w świetle księżyca. Ocenilem, że pociąg musi się znajdować jakieś piętnaście kilometrów na południe. Może właśnie mija Mariettę.

Deveraux wysiadła po swojej stronie i stanęliśmy obok siebie, oparci o bagażnik radiowozu.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt jeden. Zostało dziewięć minut. Wlepialiśmy wzrok w szosę.

Nic nie jechało.

Deveraux podeszła dwa kroki do przodu auta i otworzyła tylne drzwi.

- Na wszelki wypadek - wyjaśniła. - Lepiej bądźmy gotowi.

- Za ciasno - mruknąłem.

- Nie lubisz robić tego w samochodzie?

- Nie projektują ich na moje wymiary.

Spojrzała na zegarek.

- Nie zdążymy wrócić na czas do hotelu.

- Zróbmy to tu. Na ziemi - powiedziałem.

Po jej twarzy przemknął uśmiech.

A potem uśmiechnęła się szeroko.

- Mnie to odpowiada - powiedziała. - Jak Janice Chapman.

- O ile rzeczywiście tak było. - Ściągnąłem bluzę munduru i rozpostarłem ją na chwastach obok toru.

Nie przestawaliśmy wpatrywać się w szosę.

Nic nie jechało.

Odpięła pas z kaburą i położyła na tylnym siedzeniu w radiowozie.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt cztery. Zostało sześć minut. Ukląknęłam i przytknąłam ucho do szyny. Słysząc było daleki metaliczny szmer, ale tak cichy, jakby go nie było. Pociąg znajdował się jakieś dziesięć kilometrów na południe.

Patrzyliśmy w stronę szosy.

Od wschodu pojawiła się blada luna.

Nadjeżdżał samochód.

- Poczciwy stary Butler - powiedziała Deveraux.

Łuna pojaśniała i w nocnej ciszy usłyszeliśmy szum opon i jęk żyłowanego silnika. Chwilę potem luna zmieniła się w dwie oddzielne wiązki światła, wzmógł się hałas pędzącego samochodu i po lewej pojawił się radiowóz Butlera, który na pełnej szybkości wjechał na tor.

Wyrzuciło go w powietrze, z piskiem opon i w tumanie kurzu wylądował po drugiej stronie i już go nie było.

Do dwunastej zostały cztery minuty.

Tym razem nie było mowy o finezji i elegancji. Zrzuciliśmy buty i ściągnęliśmy spodnie, porzucając wyrafinowanie na rzecz chuci. Deveraux ułożyła się na mojej bluzie, ja położyłem się na niej i wsparłszy się na dłoniach, zacząłem wypatrywać świateł lokomotywy. Jeszcze nie było ich widać. Zostały trzy minuty.

Objęła nogami moje biodra i od razu zaczęliśmy szybko i gwałtownie - niecierpliwie, zawzięci, nadnaturalnie pobudzeni. Dyszała, jęczała i rzucała

głową na boki, gniotąc dłońmi materiał mojego Tshirtu i ciągnąc ku sobie. Całowaliśmy się łapczywie. Elizabeth wygięła plecy w łuk, szorując głową po ziemi, prężąc szyję, otwierając oczy i wpatrując się w odwrócony do góry nogami świat za nią.

Ziemia zaczęła drżeć.

Jak poprzednio drzenie z początku było ledwo zauważalne i jak poprzednio towarzyszył mu łagodny pomruk, jakby gdzieś daleko zatrzęsała się ziemia. Kamyki w podsypce toru zaczęły skrzypieć, podkłady dygotać, a szyny śpiewać. Kamienie zgrzytały i podrygiwały, ziemia pod moimi rękami i kolanami zaczęła dudnić basowo. Uniosłem głowę, zamrugalem powiekami, wyteżyłem wzrok i dojrzałem daleki blask reflektorów. Znajdująca się dwadzieścia metrów od nas wieża ciśnień zawibrowała, słoniowa trąba się zakołysała. Ziemia pod nami tak dygotała, że zaczęło nami podrzucać. Śpiew szyn zamienił się w jęk przechodzący w wycie.

Lokomotywa długo i żałośnie zabuczała, rozbrzmiały dzwonki ostrzegawcze na przejeździe.

Pociąg pędził w naszą stronę wciąż daleki, by chwilę potem znaleźć się tuż przy nas, niemal na nas, potwornie masywny i potwornie głośny.

Jakby nastał koniec świata.

Ziemia pod nami zatańczyła, wyrzucając nas na kilka centymetrów w powietrze. Runęła na nas potężna fala czołowa, zaraz potem lokomotywa przemknęła tuż obok, jej ogromne koła znalazły się nie dalej niż półtora metra od naszych głów. Za nią pędził niekończący się sznur wagonów, zgrzytających i stukających na spoinach szyn, nurzając nas w stroboskopowych rozbłyskach księżycowej poświaty. Przyłgnęliśmy do siebie i trwaliśmy w bezruchu przez niekończące się sześćdziesiąt sekund. Ogłuszeni hukiem, zdrętwiali od uderzeń wibrującej ziemi, smagani podrywaniem przez pęd piachem. Deveraux wcisnęła głowę pode mnie, wydała przeciągły bezgłośny jęk, rzuciła głową na boki i zaczęła mnie grzmocić pięściami w plecy.

A potem przejechał ostatni wagon.

Odwróciłem głowę i spojrzałem za oddalającym się sto kilometrów na godzinę pociągiem.

Wiatr się uspokoił, drgania ziemi ustały, przechodząc najpierw w lekkie wstrząsy, by po chwili zupełnie zaniknąć. Dzwonki ostrzegawcze na przejeździe przestały brzęczeć, a szyny jęczeć i wróciła niezmacona niczym nocna cisza. Przez chwilę leżeliśmy na plecach na łożu z polnych chwastów, ciężko dysząc, spoceni i wyczerpani, oszołomieni i ogłuszeni wewnętrznymi i zewnętrznymi doznaniem sprzed chwili. Moja bluza była zmiętoszona w kłęb. Kolana i ręce miałem pościerane i podrapane do krwi. Pomyślałem, że Deveraux jest pewnie w gorszym stanie, i odwróciłem głowę, by na nią spojrzeć. Siedziała z wlepionym we mnie wzrokiem, trzymając w dłoni moją berettę.

W korpusie marines beretta nie cieszyła się taką popularnością jak w armii. Deveraux poradziła sobie z moją dość sprawnie, ale bez większego entuzjazmu. Wysunęła magazynek i wyjęła pocisk z komory, upewniła się, że komora jest pusta, przesunęła suwak i zamknęła komorę.

- Przepraszam - powiedziała. - Wymacałam to w kieszeni twojej bluzy i chciałam sprawdzić, co to. Uwierało mnie w tyłek. Będę miała siniaka.

- To ja przepraszam. Twój tyłeczek zasługuje na wszystko co najlepsze. To skarb narodowy lub przynajmniej regionalna atrakcja.

Uśmiechnęła się, niepewnie dźwignęła na nogi i ruszyła na poszukiwanie majtek. Poły koszuli zwisały luźno, ale wszystkiego nie zasłaniały. Sińca jeszcze nie było.

- Po co nosisz broń? - spytała.

- Z przyzwyczajenia.

- Spodziewałeś się kłopotów?

- Wszystko jest możliwe.

- Ja swoją zostawiłam w samochodzie.

- To samo zrobiło wielu ludzi, którzy już nie żyją.

- Jesteśmy tu tylko my dwoje.

- O ile nam wiadomo.

- Paranoik z ciebie.

- Ale żywy. A ty jak do tej pory nikogo nie aresztowałaś.

- W armii odwołali alarm, czyli wiedzą, kto to zrobił. Powinni mnie powiadomić.

Nic nie powiedziałem. Poszedłem w jej ślady, podniosłem się i sięgnąłem po spodnie.

Ubraliśmy się, podskakując na jednej nodze i wzajemnie się podpierając, potem postawiliśmy nogi na tylnym zderzaku i zawiązaliśmy buty. Deveraux wjechała na tor jak przy parkowaniu tyłem i cofnęła się po nim do przejazdu, po

czym skręciła kierownicę i ruszyła szosą w stronę miasteczka. Pięć minut później wylądowaliśmy w łóżku w moim pokoju. Zasnęła natychmiast, ja nie. Leżałem w ciemnościach, gapiłem się w sufit i rozmyślałem.

* * *

Głównie o ostatniej rozmowie z Leonem Garberem. Moim dowódcą. Przyzwoitym facetem i przyjacielem, na ile to mogłem ocenić. Ale skrytym. „To prawda - powiedział. Służyła w marines, Reacher. Całe szesnaście lat. Miała okazję dowiedzieć się wszystkiego o podrzynaniu gardeł. Wiedziała, jak się to robi oraz jak udawać, że tego się nie zrobiło”.

A potem się obruszył i dodał: „Ktoś o twoim instynkcie musi to wiedzieć”. Podpuściłem go jeszcze: „Mógłbyś mi zabronić powrotu do Missisipi” - powiedziałem, a on odpowiedział:

„Mógłbym, ale tego nie zrobię. Nie tobie. Ufam, że postąpisz, jak należy”.

Bez końca odtwarzałem w myślach tę rozmowę.

Prawda.

Instynkt.

Jak należy.

W końcu usnąłem, nie mogąc się ostatecznie zdecydować, czy Garber chciał mi coś powiedzieć, czy o coś mnie prosił.

* * *

Głębokie, biorące się z wieloletniego doświadczenia przekonanie, że najlepszy jest ten drugi raz, zostało po przebudzeniu poddane poważnej próbie, bo piąty też się okazał rewelacyjny.

Oboje byliśmy odrobinę obolali i sztywni po naszych ekscesach na wolnym powietrzu, więc przystąpiliśmy do dzieła powoli i ostrożnie, w czym bardzo dopomogło ciepłe i wygodne łóżko. Poza tym żadne z nas nie wiedziało, czy zdarzy się szósty raz, co z piątego czyniło szczególną okazję. Po wszystkim leżeliśmy w milczeniu, po czym Deveraux spytała, kiedy wyjeżdżam, a ja odpowiedziałem, że nie wiem.

* * *

Zjedliśmy w knajpie śniadanie, potem ona poszła do pracy, a ja postanowiłem zadzwonić.

Spróbowałem się połączyć z Frances Neagley, ale okazało się, że jeszcze nie wróciła do biura w Waszyngtonie. Pewnie telepała się nocnym autobusem. Nie pozostało mi nic innego, jak zadzwonić do Stana Lowreya, który odebrał po pierwszym dzwonku.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedziałem.

- Dziś nie będzie żadnych dowcipasów? Nie dziwisz się, że mnie tu zastajesz?

- Nie zdążyłem nic nowego wymyślić. Chciałem rozmawiać z Neagley, nie z tobą.

Powinieneś jak najszybciej się z nią porozumieć. Jest od ciebie lepsza w te klocki.

- Od ciebie też. Czego chcesz?

- Szybkich odpowiedzi.

- Na jakie pytania?

- Gdzie najprędzej można znaleźć jednostkę marines, przy której jest betonowa śluza.

- W południowej Kalifornii - odrzekł Lowrey. - Niemal na pewno w bazie Pendleton, na północ od San Diego.

- Słusznie. Muszę odnaleźć żandarma z korpusu marines, który służył tam pięć lat temu.

Nazywa się Paul Evers.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że jego starzy nazywali się Evers i podobało im się imię Paul.

- Dlaczego chcesz go odnaleźć?

- Bo chcę mu zadać parę pytań.

- Chyba o czymś zapominasz - mruknął Lowrey.
- Mianowicie?
- Służę w armii, nie w korpusie marines. Nie mam dostępu do ich akt.
- I dlatego musisz w to włączyć Neagley. Ona będzie wiedziała, jak to zrobić.
- Paul Evers - powtórzył wolno, jakby to sobie zapisywał.
- Dzwon do Neagley - powtórzyłem. - To pilne. Odezwę się.

* * *

Rozłączyłem się, wrzuciłem kilka następnych monet i zadzwoniłem do Munro pod numer, który podał Deveraux. Słuchawkę podniósł ktoś inny i oznajmił, że Munro o świcie wyjechał do Birmingham w Alabamie. Powiedziałem, że znam jego plany, i poprosiłem rozmówcę o upewnienie się, czy Munro rzeczywiście tak zrobił. Spełnił moją prośbę i po rozmowie z kwatermistrem obsługującym wizytujących oficerów poinformował mnie, że istotnie do tego nie doszło i Munro wciąż jeszcze jest na miejscu. Podał mi numer do jego kwatery, podziękowałem mu, rozłączyłem się i ponownie zadzwoniłem.

Odebrał Munro, któremu wyraziłem wdzięczność za przesunięcie wyjazdu.

- Tylko chciałbym wiedzieć po co - burknął. - Bo na razie chowam się w kwaterze i nic więcej nie robię. Jak wiesz, nie cieszę się tu zbyt dużą popularnością.

- Nie jesteś w wojsku dla popularności.

- Czego chcesz?

- Chcę poznać dzisiejsze plany Rileya.

- Po co?

- Bo chcę go o coś spytać.

- To może być dość trudne. Z tego, co wiem, będzie zajęty przez cały dzień.

Może uda ci się go złapać w porze lunchu, o ile w ogóle będzie miał czas na jedzenie. A jeśli nawet, to zje bardzo wcześnie.

- Nie, chcę, żeby przyjechał do mnie do miasta.

- Niczego nie kapujesz. Atmosfera uległa radykalnej zmianie. Kompania Bravo wyszła z cienia. Ojciec Riley'a przylatuje z wizytą.

- Pan senator? Dzisiaj?

- Około pierwszej po południu. Ma oficjalnie pochwalić kompanię Bravo za ich osiągnięcia podczas misji w Kosowie.

- Jak długo to potrwa?

- Znasz polityków. Ma wizytować jakieś gówniane ćwiczenia po południu, ale idę o zakład, że się rozochoci i spędzi wieczór na popijawie z chłopakami.

- Dobra. Coś wymyślę.

- Coś jeszcze?

- No cóż, skoro nie masz nic do roboty, to mógłbyś mi co nieco opowiedzieć.

- Jakie co nieco?

Automat zaczął pikać, że mój czas się kończy, powiedziałem więc:

- Teraz ty zadzwoń do mnie na koszt Wuj'a Sama. - Odczytałem mu numer umieszczony na tarczy i odwiesiłem słuchawkę. Chciałem zapłacić za śniadanie, ale zanim zdążyłem podejść do stolika, telefon zaczął dzwonić.

- Jakie co nieco? - powtórzył Munro.

- Głównie o swoich wrażeniach z Kelham. Czy, twoim zdaniem, jest rozsądny powód, żeby kompanie Alpha i Bravo stacjonowały właśnie tutaj?

- A gdzie miałyby stacjonować?

- Gdziekolwiek na wschód od Missisipi.

- Kelham leży na uboczu - rzekł Munro. - To ułatwia zachowanie dyskrecji.

- Mnie też tak powiedziano, ale ja tego nie kupuję. W każdej bazie przeprowadza się tajne operacje. Dyskrecję da się zachować wszędzie. A Kosowo nikogo nawet nie interesuje. Kto miałby się w tym grzebać? Ale wybrali Kelham już rok temu. Dlaczego? Czy widziałeś w Kelham coś, co tę bazę wyróżnia spośród wszystkich innych?

- Nie - odrzekł Munro. - Właściwie nie. Na pewno oferuje wszystko, co potrzeba, ale nic poza tym. Myślę, że głównie chodziło o podesłanie czterystu portfeli do umierającego miasteczka.

- Otóż to - potwierdziłem. - Czyli decyzja polityczna.

- A co nie jest decyzją polityczną?

- Jeszcze jedno. Znasz okoliczności, w jakich Janice Chapman znalazła się w tym zaułku, tak?

- Mam nadzieję. Sądząc po wczorajszym dniu, szeryf Deveraux uważa Main Street za strefę wyłączoną. Pilnuje, żeby zabawowe towarzystwo ograniczało się do placu między barami a torem. A skoro tak, Main Street i zaułek były puste. To by oznaczało, że sprawca mógł zaparkować na Main Street i wnieść ciało od tej strony.

- Ile by to potrwało?

- Nieważne, i tak nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Może minutę, może dwadzieścia.

- Ale czemu akurat tam, a nie gdzie indziej, piętnaście kilometrów dalej?

- Pewnie chodziło o to, żeby szybko znaleziono ciało.

- W wielu dużo bardziej odosobnionych miejscach też by je znaleziono.

Dlaczego akurat tam?

- Nie wiem - odrzekł Munro. - Może sprawca miał ściśle wyliczony czas. Może gdzieś w pobliżu był ktoś, kto mu towarzyszył, na przykład w knajpie albo w jednym z barów. Może mógł tylko na moment wyskoczyć i musiał szybko załatwić sprawę. Może nie mógł pozwolić sobie na dłuższą nieobecność, bo ktoś mógłby to zauważyć. Może musiał poświęcić względy bezpieczeństwa na rzecz szybkości działania. A to by mu narzucało miejsce w pobliżu.

- Możesz mi poświęcić jeszcze jeden dzień? - spytałem. - Możesz tu zostać jeszcze jutro?

- Nie mogę. I tak dostanę ochrzan za dzień spóźnienia. Nie mogę przeciągać struny.

- Cykor.

Munro parsknął śmiechem.

- Przykro mi, stary. Jeśli dzisiaj się nie uporasz, to będziesz musiał sam się z tym borykać.

Zapowiedź wizyty senatora Carltona Rileya spowodowała, że miasteczko znów opustoszało, jakby bramy Kelham ponownie zamknięto. Wątpiłem, by oficjalnie zakazano wychodzenia z bazy, ale komandosi to karne wojsko, a byłem pewien, że dowódca bazy dał im niedwuznacznie do zrozumienia, że stuprocentowa frekwencja podczas wizyty senatora jest ze wszech miar wskazana. Wyszedłem z knajpy i stwierdziłem, że na Main Street powróciła martwota, a mój buick był jedynym samochodem parkującym na placu przy barach i wyglądał żałośnie, jak porzucony. Wsiadłem, podjechałem pod hotel, zabrałem z pokoju szczoteczkę do zębów i uregulowałem rachunek za noclegi. A potem postanowiłem się rozejrzeć.

Zacząłem od pustej działki między knajpą a biurem szeryfa, skąd przejechałem dwieście metrów na południe do miejsca, gdzie Main Street robiła się kręta. Jechałem szybko, ale nie na złamanie karku. Skręciłem w lewo w uliczkę z dzieciństwa Deveraux i dotarłem do jej rodzinnego domu, czwartego po prawej. Zajęło mi to w sumie czterdzieści pięć sekund.

Przejechałem przez wyschniętą błotnistą kałużę i wjechałem na teren posesji. Minąłem opustoszały dom, przejechałem przez ciągnące się za nim podwórze, minąłem żywopłot i dojechałem do kobyłki do sprawiania zwierzyny. Skręciłem ostro w lewo, podjechałem do niej tyłem, otworzyłem klapę bagażnika i wysiadłem.

Łączny czas: minuta i piętnaście sekund.

Drzewa rosły po lewej, po prawej i na wprost, całkowicie osłaniając miejsce, które nawet w dziennym świetle sprawiało wrażenie bardzo odosobnionego. Odegrałem niemą scenę z uniesieniem ciała, przecięciem pasków na przegubach rąk, przecięciem pasków na kostkach nóg, przeniesieniem ciała do samochodu i włożeniem do bagażnika. Jeszcze cztery razy nachyliłem się, zdejmując wymagowane podkładki, więzy, paski i szale z przegubów rąk i kostek u nóg. Następnie podszedłem do kobyłki i udałem, że podnoszę wiadro z krwią,

przenoszę do samochodu i wstawiam do bagażnika obok ciała.

Zamknąłem klapę i usiadłem za kierownicą.

Łączny czas: trzy minuty i dziesięć sekund.

Wyjechałem tyłem, zawróciłem i skręciłem na drogę, po czym wróciłem do Main Street, przejechałem te same dwieście metrów na północ i stanąłem przy krawężniku między sklepem żelaznym a apteką. Tuż u wylotu zaułka.

Łączny czas: cztery minuty i dwadzieścia pięć sekund.

Plus dodatkowa minuta na rozlanie krwi w ulicze.

Plus dodatkowa minuta na przeniesienie ciała Janice Chapman.

Plus piętnaście sekund na powrót do punktu wyjścia.

Łączny czas całej operacji: sześć minut i czterdzieści sekund.

Wszystko razem.

Może wystarczająco długo, żeby ktoś zauważył nieobecność, może nie.

* * *

Ustawiłem swój wewnętrzny zegar na cztery minuty i dwadzieścia pięć sekund i pojechałem na północ, potem na wschód aż do przejazdu kolejowego. Zatrzymałem się dokładnie pośrodku i sprawdziłem wynik. Łączny czas: cztery minuty i pięćdziesiąt pięć sekund. Plus minuta na przeniesienie ciała Rosemary McClatchy do rowu, trzydzieści sekund na powrót do samochodu i dwadzieścia sekund na powrót do punktu wyjścia.

Łączny czas całej operacji: sześć minut i czterdzieści pięć sekund.

Odrobinę dłużej, ale w tym samym przedziale czasowym.

Nie pojechałem do przyzmy żwiru, na której porzucono ciało Shawny Lindsay. Mijało się to z celem. To miejsce było z innej bajki. Wymagało dwudziestominutowej wycieczki i stanowiło odstępstwo od reguły szybko-szybko. A to znaczyło, że okoliczności tego zdarzenia musiały być odmienne. Sprawcy nikt nie towarzyszył i nie było presji czasu. Mógł sobie pozwolić na powolną jazdę i ostrożne omijanie wybojów na drodze, załatwienie sprawy i równie powolny powrót.

W doborze miejsca porzucenia ciała Shawny Lindsay było natomiast coś innego, co wzbudziło moją ciekawość: rodzaj pojazdu, jakiego w tym celu użyto. No bo jaki samochód mógł dwukrotnie tamtędy przejechać, nie wywołując zaciekawienia ani komentarzy? Jaki samochód miał prawo kręcić się tam po nocy?

* * *

Chwilę posiedziałem w buicku, potem podjechałem pod knajpę, wszedłem do środka i zmieniłem kolejny banknot na rulonik ćwierćdolarówek. Wykręciłem numer Neagley i tym razem zastałem ją przy biurku.

- Spóźniłaś się dziś do pracy - burknąłem.
- Trochę. Jestem tu już od pół godziny.
- Przykro mi z powodu autobusu.
- Nie było tak źle. - Podróżowanie środkami transportu publicznego było dla Neagley udręką, bo groziło jej niepożądanym kontaktem fizycznym z kimś obcym.

- Dostałaś wiadomość od Stana Lowreya? - spytałem.
- Tak, i już mam dla ciebie odpowiedź.
- W ciągu pół godziny?
- To było łatwe, niestety. Paul Evers od roku nie żyje.
- Co się stało?
- Nic podejrzanego. Wypadek. Helikopter, którym leciał, rozbił się w Lejeune. Nawet pisały o tym gazety. W Seahawku urwała się łopata wirnika. Zginęło dwóch pilotów i trzech pasażerów. Jednym z nich był Paul Evers.

- Dobra. Plan B. Interesuje mnie drugie nazwisko: Alice Bouton. - Przeliterowałem jej. - Od pięciu lat w cywilu. Dyscyplinarnie zwolniona z korpusu marines. Poproś o pomoc Stana

Lowreya. Jest od ciebie lepszy w te klocki.

- Jedyne, co ma Lowrey, czego ja nie mam, to znajomości w banku.
- Właśnie. Dlatego powinnaś do niego zadzwonić. Duże firmy wiedzą o

wiele więcej o cywilach niż my.

- Po co to wszystko robimy?
- Sprawdzam pewną wersję.
- Nie, chwytasz się brzytwy. Oto co robisz.
- Tak sądzisz?
- Elizabeth Deveraux jest winna jak sam grzech, Reacher.
- Czytałaś akta?
- Tylko kalkowe kopie.
- Właściwie powinno się rzucić monetę.
- Bo co?
- Bo może na dwoje babka wróżyła. Jeszcze nie wiemy.
- Wiemy, Reacher.
- Ale nie na pewno.
- Twoje szczęście, że nie masz samochodu - prychnęła i przerwała

połączenie.

Odwiesiłem słuchawkę, lecz nie zdążyłem zrobić nawet kroku, gdy zadzwonił telefon z pierwszą dobrą wiadomością tego dnia.

Dzwonił Munro, żeby mi powiedzieć, że wypił kawę. A dokładniej, że udało mu się pociągnąć za język stewarda, który przyniósł mu tę kawę. Rozmowa dotyczyła planowanych na dziś uroczystości i Munro usłyszał, że stewardzi liczą się z tym, iż będą bardzo zajęci, ale wkrótce po kolacji mesa oficerska będzie świecić pustkami. Podczas ostatniej wizyty w Kelham senator zaprosił wszystkich na popijawę do miasta, do baru Brannanów, najwyraźniej uznając, że tak będzie bardziej autentycznie. Należało się spodziewać, że tym razem postąpi podobnie.

- Świetnie - powiedziałem. - To dobra wiadomość. Z tego wniosek, że Reed Riley przyjedzie do miasta, w dodatku nie sam, ale z ojcem. O której kończy się kolacja?

- Steward twierdzi, że będzie trwała do ósmej.

- Świetnie - powtórzyłem. - Na pewno ojciec z synem wyjadą z bazy razem. Chcę, żebyś miał ich na oku od chwili, gdy wyjadą za bramę, ale tak, żeby się nie zorientowali. Potrafisz to zrobić?

- A ty byś potrafił?

- Myślę, że tak.

- To czemu wątpisz, czy ja potrafię?

- Zapewne moja wrodzona nieufność. Bez względu na to, co się będzie działo, miej oczy otwarte do ósmej, a gdybyś mnie potrzebował, dzwoń pod ten numer. Przez resztę dnia będę się tu kręcił.

- Dobra - odrzekł Munro. - Do zobaczenia. To znaczy, ja cię zobaczę, ale czy ty mnie, to już zupełnie inna sprawa.

* * *

Odwiesiłem słuchawkę i poszedłem poprosić kelnerkę, by zechciała odbierać telefon, o ile ktoś do mnie zadzwoni. Poprosiłem ją, żeby zapisywała nazwiska telefonujących. Pozostało mi już tylko czekać na informacje, spotkanie twarzą w twarz i próbę wyciągnięcia ostatecznych wniosków.

Wyszedłem przed knajpę i ustawiłem się twarzą do słońca.

Sprzedawca ze sklepu z męską odzieżą po drugiej stronie Main Street zrobił to samo. Widać chciał zaczerpnąć powietrza. Po lewej dwóch starszków przysiadło na ławeczce przed apteką, ściskając w dłoniach laseczki wciśnięte między kolana. Generalnie miasteczko było jak wymarłe. Nikt nie szedł ani nie jechał.

Wszędzie panowała cisza.

Aż do chwili pojawienia się frajerów z Kelham.

* * *

Było ich czterech. Domyśliłem się, że reprezentują w Kelham miejscową służbę łączności z senatem i przyjechali wcześniej, aby przygotować grunt. Podobnie jak ekipa agentów Secret Service oczyszcza teren przed wizytą prezydenta. Wyłonili się z zaułka za plecami starszków na ławeczce. Pomyślałem, że pewnie zajrzeli do Brannanów, by uprzedzić ich o wieczornym najeździe, i właśnie od nich wracają. Niewykluczone, że obgadali kwestię wystawienia przez nich faktury za cały wieczór, a jeśli tak, to pozostawało mi życzyć braciom dużo szczęścia. Podejrzewam, że czekanie na pieniądze z Biura Łączności z Senatem może być długim i frustrującym doświadczeniem.

Wszyscy mieli na sobie mundury oficerskie: dwaj porucznicy, kapitan i podpułkownik jako dowódca. Podpułkownik miał około pięćdziesiątki i był nieźle spasiony. Należał do grupy rozmemłanych oficerów sztabowych, którzy w polowym mundurze wyglądają karykaturalnie, jak ktoś bez kostiumu na balu przebierańców. Zatrzymał się na chodniku i wsparł na biodrach zwinięte w pięści dłonie. Rozejrzał się i mnie zauważył. Ja też miałem na sobie mundur polowy, czyli formalnie należałem do swoich. Zwrócił się do jednego z poruczników i wydał mu przez ramię polecenie. Stał za daleko, żebym mógł dosłyszeć słowa, ale z ruchu warg domyśliłem się, że powiedział coś w rodzaju: „Powiedz temu tam, żeby tu razdwa przywłókł swoje dupsko”. Pewnie chciał mnie spytać, dlaczego nie przebywam w bazie i nie dbam o stuprocentową

frekwencję w podniosłym wydarzeniu.

Porucznik nie miał tak dobrego wzroku jak ja, więc ruszył w moją stronę dziarskim krokiem pewnego siebie oficera i dopiero podchodząc bliżej, dostrzegł moje dystynkcje oficerskie.

Mina szybko mu zrzędnęła, zatrzymał się na regulaminowy metr dwadzieścia ode mnie, zaszalutował i zameldował:

- Panie majorze, pan pułkownik chciałby zamienić słowo z panem.

Zwykle traktuję poruczników przyjaźnie - w końcu nie tak dawno nim byłem - ale akurat z tym nie miałem ochoty się cackać.

- Zgoda, chłopcze. Powiedz mu, że może podejść.

- Panie majorze, myślę, że on by wolał, żeby to pan podszedł do niego.

- Chyba coś ci się pomyliło. Czyżbyś brał mnie za kogoś, kto nie ma w dupie tego, co woli twój pułkownik?

Chłopak przybladł, dwa razy mrugnął, zrobił w tył zwrot i pomaszerował z powrotem. Chyba zdążył ułożyć sobie w głowie strawniejszą wersję mojej odpowiedzi, bo nie nastąpiła natychmiastowa eksplozja. Podpułkownik jeszcze przez moment się wahał, po czym ruszył w moją stronę. Zatrzymał się niecały metr ode mnie, a ja mu służbiście zaszalutowałem, żeby jeszcze bardziej zamącić mu w głowie.

Zaszalutował i spytał:

- Czy my się znamy, majorze?

- To zależy od tego, pułkowniku, jak bardzo pan rozrabiał. Był pan kiedyś aresztowany?

- Już wiem, pan jest tym drugim majorem żandarmerii, odpowiednikiem majora Munro.

- Albo on moim. W każdym razie obaj życzymy panu udanego dnia.

- Dlaczego pan tu jeszcze jest?

- A dlaczego miałoby mnie nie być?

- Poinformowano mnie, że sprawa została wyjaśniona i zamknięta.

- Będzie wyjaśniona wtedy, gdy ja ją za taką uznam. Na tym polega praca policyjna.

- Kiedy ostatnio otrzymał pan rozkazy?

- Kilka dni temu - odrzekłem. - O ile wiem, pochodziły od pułkownika Johna Jamesa Frazera z Pentagonu.

- Pułkownik nie żyje.

- Zatem niewątpliwie jego następcą będzie miał dla mnie nowe rozkazy.

- Mogą minąć tygodnie, zanim ktoś zostanie mianowany na jego miejsce.

- No to jestem uziemiony.

Cisza.

- No dobra, w każdym razie niech pan dziś wieczór się nie wychyla - powiedział po dłuższej chwili milczenia grubas. - Jasne? Senator nie może zauważyć, że kręci się tu ktoś z wydziału śledczego żandarmerii. I żadnych nawiązań do niedawnych podejrzeń, ani słowa. Czy to jasne?

- Prośba odnotowana - odparłem.

- To więcej niż prośba.

- Więcej niż prośba to rozkaz, a pan nie należy do moich zwierzchników.

Grubas miał ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu dał za wygraną. Bez słowa okręcił się na pięcie i ruszył w stronę swoich przydupasów. W tym samym momencie dosłyszałem dzwonek telefonu. Dźwięk przez zamknięte drzwi był ledwo słyszalny, ale i tak zdążyłem podbiec do aparatu przed kelnerką.

Dzwoniła Frances Neagley z biura w Waszyngtonie.

- Bouton to bardzo rzadkie nazwisko - powiedziała.

- Lowrey kazał ci tak powiedzieć?

- Nie, Stan chce wiedzieć, czy jest spokrewniona z Jimem Boutonem, tym futbolistą.

Nazwisko jest tak nietypowe, że pewnie jest jego daleką krewną. Mówię to po godzinie wytężonej pracy, której wynik jest taki, że nie znalazłam nikogo o nazwisku Bouton, nie mówiąc już o Alice Bouton. Muszę jednak podkreślić, że obecnie nie jestem w stanie sięgnąć do dokumentacji marines głębiej niż trzy lata wstecz, więc Bouton nie może w niej figurować.

Co więcej, jeśli została dyscyplinarnie zwolniona, to trudno ją będzie odnaleźć po pełnionym stanowisku czy wysokości zarobków.

- Może mieszkać w jakiejś przyczepie - wtrąciłem - i to nie w pobliżu Pendleton, bo południowa Kalifornia jest za droga. Pewnie wyniosła się gdzieś dalej.

- Mam dostać informacje z FBI oraz od kolegi z kadr USMC. Mają zajrzeć do starych papierów. Stan ciśnie swojego znajomego w banku. Choć ktoś taki może nawet nie mieć konta. Mieszkańcy przyczep rzadko je mają. Chciałam tylko cię poinformować, że próbujemy. Coś na pewno wygrzebiemy.

- Kiedy?

- Mam nadzieję, że do wieczora.

- Postaraj się najpóźniej do ósmej.

- Zrobię, co będę mogła.

Odwiesiłem słuchawkę i postanowiłem zostać w knajpie na lunch.

* * *

Oczywiście niecałe dziesięć minut później zjawiała się też Deveraux, żeby coś zjeść, ale może także, żeby mnie znaleźć. Weszła do środka i stanęła na tle rozświetlonego słońcem okna.

Lśniące włosy otaczały jej głowę jak aureola, przez lekko prześwitującą koszulę widziałem kontury jej ciała, a może tylko domyślałem się czegoś dobrze znanego. Koszula uwydatniała krągłość jej piersi.

Zauważyła, że się jej przyglądam, i ruszyła w moją stronę, ja zaś nogą odsunąłem krzesło przy stoliku. Usiadła rozpromieniona światłem zza okna.

- Jak ci minął ranek? - spytała z uśmiechem.

- A tobie?

- Na brak zajęć nie narzekałam.

- Zrobiłaś jakieś postępy?

- W sprawie czego?

- Tych trzech nierozwiązanych zabójstw.

- Najwyraźniej wojsko mnie w tym wyręczyło. Chętnie podejmę ten temat, gdy tylko podzielą się ze mną wiedzą.

Nie odpowiedziałem.

- No co? - burknęła.

- Nie wyglądasz na specjalnie przejętą kwestią poznania nazwiska sprawcy.

- Czym mam się przejmować?

- Wojsko twierdzi, że to jakiś cywil.

- To już wiem.

- I wiesz też kto?

- Co?

- Kto to zrobił?

- Uważasz, że wiem?

- Wiem, jak w takich sprawach bywa. Że pewnych ludzi nie da się ruszyć.

Na przykład kogoś takiego jak pani Lindsay. Bo założmy, że zamiast rzucić się pod pociąg, zdobyłaby broń i kogoś zastrzeliła. Jej byś nie aresztowała.

- Do czego zmierzasz?

- Zmierzam do tego, że w każdej społeczności są tacy, których szeryf nie ruszy.

Przez dłuższą chwilę milczała.

- Może - powiedziała w końcu. - Kimś takim mógłby być, na przykład, stary Clancy, ale on nikomu nie poderzwał gardła. A każdego innego bym aresztowała, bez względu na to, kim by był.

- Rozumiem.

- Może uważasz, że źle wypełniam swoje obowiązki?

Nie odpowiedziałem.

- Albo że przestałam być czujna, bo nie mamy tu przestępczości.

- Wiem, że macie tu przestępczość - odrzekłem. - I zawsze ją mieliście. Myślę, że twój ojciec miał do czynienia z przestępstwami, jakich nawet nie potrafię sobie wyobrazić.

- Tylko co?

- Brakuje wam doświadczenia w prowadzeniu śledztwa. Nigdy go nie mieliście. Jestem gotów się założyć, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto twój ojciec od razu wiedział, kto jest winny, i to ze wszystkimi szczegółami. Czy mógł w tej sprawie coś zrobić, to już inna kwestia. I założę się też, że ta jedna sprawa na sto pozostawała nierozwiązana.

- Chcesz powiedzieć, że jestem złym śledczym?

- Chcę powiedzieć, że praca szeryfa okręgowego różni się od zadań śledczego. Szeryf musi umieć trzymać w ryzach lokalną społeczność. W tym jesteś dobra. Do prowadzenia śledztw masz śledczego. Tyle że akurat teraz go brak.

- Masz coś jeszcze czy możemy zamówić?

- Jeszcze jedno.

- Mianowicie?

- Nigdy nie zadawałaś się z Reedem Rileyem?

- Reacher, co jest grane?

- Zadaję ci pytanie.

- Nie, nigdy nie zadawałam się z Reedem Rileyem.

- Na pewno?
- Reacher, proszę.
- Na pewno?
- Nawet nie wiedziałam o jego istnieniu. Już ci to mówiłam.
- Dobra. To zamówmy coś.

* * *

Była na mnie wściekła, ale chyba bardziej głodna niż wściekła, bo nie zdobyła się na to, żeby wstać od stolika. Zresztą przejście do innego stolika nie dawało. Aby zademonstrować oburzenie, musiałaby jak burza wypaść z knajpy, a zrobienie tego na pusty żołądek było dla niej zbyt trudne.

Zamówiła zapiekankę z kurczakiem.

Ja poprosiłem o panierowany ser.

- Jest coś, o czym mi nie mówisz - mruknęła.

- Tak sądzisz?

- Wiesz, kto jest sprawcą.

Nie odpowiedziałem.

- Wiesz, prawda? Wiesz, kto to zrobił. Więc w tym wszystkim nie chodziło o to, czy ja wiem kto. Chodziło o to, że ty wiesz.

Nie odpowiedziałem.

- Kto to jest?

Milczałem.

- Chcesz powiedzieć, że to ktoś, kogo nie będę chciała lub nie będę mogła aresztować? To bez sensu. Oczywiście, to świetny pomysł, żeby wojsko zrzuciło winę na kogoś, o kim wiadomo, że nie zostanie aresztowany. To rozumiem. Bo bez aresztowania nie będzie ani zarzutów, ani przesłuchań. Nikt nie stanie przed sądem, a sąd nikogo nie skaze. Będzie po sprawie. Wszyscy będą mogli się rozejść i żyć długo i szczęśliwie. Tylko skąd armia wie, kogo nie będę chciała aresztować? A tak przy okazji, nikogo takiego nie ma.

- Nie wiem, kto to jest - powiedziałem. - Jeszcze nie.

Zjedliśmy, prawie się do siebie nie odzywając, po czym zamówiliśmy po kawałku placka.

Z brzoskwiniami, oczywiście. I kawę.

- Odwiedzili cię ci frajerscy piarowcy z Kelham? - spytałem.

Kiwnęła głową.

- Tak, tuż przed wyjściem na lunch.

- Czyli wiesz, co szykuje się na wieczór.

- Od ósmej wszyscy mają stać na baczność.

- Zgodziłaś się?

- Znają zasady. Jeśli będą się ich trzymać, to ja im w niczym nie przeszkodzę.

Zadzwoił telefon i Deveraux aż podskoczyła. Odwróciła głowę i wpatrzyła się w niego tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszała jego dzwonka.

- To do mnie - mruknąłem.

Podszedłem do automatu i podniosłem słuchawkę. Dzwonił Munro.

- Znam szczegóły wyjazdu do miasta, jeśli cię to interesuje - powiedział. - Jak wiesz, Reed

Riley nie ma własnego auta, weźmie więc wojskowy wóz w kolorze oliwkowym. On za kierownicą, ojciec jako jego jedyny pasażer. Transportowcy dostali polecenie, że samochód ma być gotowy do wyjazdu punktualnie o dwudziestej.

- Dzięki. Dobrze wiedzieć. A o której planują powrót?

- Capstrzyk wyznaczono na dwudziestą trzecią. Wiadomość jest przekazywana nieoficjalnie z ust do ust, ale to przesądzone. Wypicie paru piw dodaje autentyzmu. Wypicie zbyt wielu może być krępujące. Taka panuje opinia. Dlatego zaczną wracać do bazy od dziesiątej trzydzieści w górę. Start samolotu senatora zaplanowano o północy.

- Dzięki. Dobrze wiedzieć - powtórzyłem. - Już jest?

- Dwadzieścia minut temu przyleciał wojskowym learem.
- I przedstawienie już się zaczęło?
- Pierwszy punkt programu za jakąś godzinę.
- Mógłbyś mi podrzucić swoje zapiski z rozmów?
- Po co?
- Bo chciałbym coś sprawdzić. Jak tylko senator usiądzie na dupie na co najmniej dziesięć minut, podrzuć mi je do knajpy, jeśli możesz.

Munro obiecał, że to zrobi, odwiesiłem więc słuchawkę i wróciłem do stolika. Deveraux już się szykowała do wyjścia.

- Przykro mi - powiedziała. - Muszę wracać do roboty. Mam mnóstwo pracy, trzy niewyjaśnione zabójstwa na głowie.

Wstała i w milczeniu ruszyła do drzwi.

* * *

Chcąc skrócić oczekiwanie, wybrałem się na spacer. Obszedłem budynek biura szeryfa i od drugiej strony wszedłem na plac na tyłach Main Street. Biegący po lewej tor kolejowy spowijała martwa cisza, bary i sklepy po prawej były otwarte, ale puste. Wszędzie trwało sprzątanie. Zajmowały się nim czarne kobiety w średnim wieku, wyposażone w mopy i wiadra w rękach. Robiły to pod okiem właścicieli posesji, podekscytowanych perspektywą wieczornej wizyty amerykańskiego senatora, który być może osobiście zaszczyści któregoś z nich swoją obecnością. Największy harmider panował u Brannanów. Odsuwano meble, wymiatano śmieci, uzupełniano zapasy w lodówkach. Przecierano nawet szyby w oknach.

W kantorze pożyczkowym obok baru Brannanów nie było nikogo. To tam przed śmiercią pracowała Shawna Lindsay. Na jej miejsce przyjęto już następną młodą kobietę, nie tak urodziwą jak Shawna, ale zapewne równie dobrą w rachunkach. Siedziała na wysokim stołku za kontuarem, tuż pod podświetloną planszą Western Union. Miałem dużo czasu, postanowiłem więc zajrzeć do środka. Na dźwięk otwieranych drzwi kobieta uniosła głowę i obdarzyła mnie

promiennym uśmiechem, jakby właśnie na mnie czekała. Pewnie dziś byłem jej pierwszym klientem.

Poprosiłem o wyjaśnienie, jak działa cały system, i po kilku uzupełniających pytaniach dowiedziałem się, że mogę zadzwonić do swojego banku i zadysponować przesłaniem środków z konta do dowolnego takiego punktu w całej Ameryce. Żeby to zrobić, muszę podać w banku ustalone wcześniej hasło i wylegitymować się tym samym hasłem lub dokumentem tożsamości w punkcie wypłacającym pieniądze. Pamiętajcie, że był rok 1997 i sprawy bezpieczeństwa były traktowane dużo mniej rygorystycznie. Wiedziałem, że w okolicy

Pentagonu działa mnóstwo banków, bo trzydzieści tysięcy pracowników to rzesza potencjalnych klientów. Postanowiłem, że przy najbliższej bytności w Waszyngtonie przeniosę konto do jednego z nich, zapiszę numer telefonu i ustalę hasło. Tak na wszelki wypadek.

Podziękowałem młodej kobiecie, wyszedłem i wstąpiłem do sklepu rusznikarskiego. Kupiłem amunicję do beretty - opakowanie z dwudziestoma sztukami dziewięćmilimetrowych parabelek - i zapasowy magazynek na piętnaście naboji. Upewniłem się, że magazynek pasuje i dobrze działa. Większość, która przy zakupie broni nie sprawdziła jej, nadal żyje, ale z całą pewnością nie wszyscy. Umieściłem w zamku nowy nabój w miejsce wpakowanego w głowę kurdupła i wsadziłem spluwę do jednej kieszeni, nowy magazynek i cztery pociski luzem do drugiej.

I na tym zakończyłem zakupy. Nie potrzebowałem używanego sprzętu stereo ani żadnej części samochodowej, zawróciłem więc do zaułka Janice i wróciłem do knajpy. Kelnerka podeszła, żeby mnie poinformować, że nie było żadnych telefonów. Przez chwilę stałem zamyślony, potem podeszedłem do automatu, wrzuciłem monetę i wykręciłem numer centrali

Departamentu Skarbu. Ten sam, pod który dzwoniłem z kuchni Lindsayów. Odebrała ta sama uprzejma kobieta w średnim wieku.

- Z kim mogę pana połączyć? - spytała.

- Z biurem Joego Reachera, proszę - odparłem.

Usłyszałem te same szmery i trzaski, i ten sam szum w słuchawce, po czym młoda kobieta - niewątpliwie ta w plisowanej spódniczce i białym sweterku - podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Biuro pana Reachera.

- Zastałem pana Reachera? - spytałem.

Od razu poznała mnie po głosie - zapewne dlatego, że był taki podobny do głosu Joego - i odrzekła ze smutkiem:

- Przykro mi, jeszcze nie wrócił. Wciąż przebywa w Georgii. Tak sędzę. To znaczy... mam taką nadzieję.

- Sprawia pani wrażenie zaniepokojonej - zauważyłem.

- Bo trochę jestem.

- Proszę się nie martwić. Joe jest dużym chłopcem i poradzi sobie ze wszystkim, czym

Georgia może go zaskoczyć. O ile mi wiadomo, nawet nie ma alergii na orzeszki ziemne.

Odwiesiłem słuchawkę, wszedłem do sali i usadowiwszy się w najdalszym kącie przy dwuosobowym stoliku, zacząłem czekać na Munro, odliczając czas na moim wewnętrznym zegarze.

* * *

Zgodnie z obietnicą Munro zjawił się godzinę po naszej rozmowie, plus pięć minut na dojazd.

Zaparkował nierzucający się w oczy samochód przy krawężniku, wszedł do środka i wypatrzył mnie w mrocznym kącie sali. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął cienki notes w czarnej okładce, który już wcześniej widziałem.

- Możesz go zatrzymać - powiedział, kładąc go na stole. - Nikomu więcej nie będzie potrzebny. Nikt nie szykuje mu miejsca w państwowym archiwum.

Skinąłem głową.

- Dopiero co jakiś podpułkownik ostrzegł mnie, żeby nie robić żadnych

aluzji do niedawnych podejrzeń.

Munro pokiwał głową.

- Mnie też zaserwowali tę gadkę. A nawiasem mówiąc, jest na ciebie naprawdę wkurwiony.

Czymś mu się naraziłeś?

- Mam nadzieję.

- Bo pisze na ciebie raport do Garbera.

- Papieru w kiblu nigdy za dużo.

- Z kopiami do wszystkich świętych, będziemy sławni. - Spojrzał na mnie ze smutkiem i bez słowa pożegnania zawrócił do wyjścia.

Otworzyłem notes i zacząłem czytać.

Pismo Munro było drobne, ale czytelne. Przejrzyste zapiski zajęły około pięćdziesięciu stroniczek małego formatu. Notował przebieg dwóch lub trzech rozmów, potem krótko je reasumował i przechodził do kolejnych dwóch czy trzech. Dzięki temu notatki były robione na bieżąco, a wynikające z nich wnioski znajdowały się pod ręką. Wnioski pozwalały lepiej ogarnąć całość, a zapiski stanowiły dla nich materiał źródłowy. Skrupulatny i sumienny sposób przesłuchiwania. Munro był dobrym gliniarzem. W notesie tkwiła wetknięta na końcu fotografia Reeda Rileya. Pomyślałem, że pewnie używał jej jako zakładki przy czytaniu notatek.

Tematem przewodnim na wszystkich pięćdziesięciu stroniczkach była Janice May Chapman.

Munro bardzo szybko wpadł na to, że ona i Riley byli parą, choć nie dowiedział się tego od Reeda. Prawdę mówiąc, czegokolwiek innego też nie. Od pierwszej chwili Riley był wrogo nastawiony i odpowiedzi ograniczył do podania nazwiska, stopnia i numeru identyfikacyjnego. Ale dla śledczego pokroju Munro nie stanowiło to problemu.

Przeprowadził rozmowy z żołnierzami kompanii Bravo i wydobyl z nich wszystkie fakty, oskrzydlaając ich i zachodząc od tyłu. Zebrał fragmenty rzucanych mimochodem uwag i połączył w spójną całość.

Ludzie Rileya wypowiadali się o nim w sposób, z jakim wielokrotnie się już stykałem. Był za młody na bycie legendą i nie sprawdził się na tyle, żeby stać się gwiazdą, ale miał swoistą charyzmę. Po części brała się z pozycji ojca, po części z jego własnych cech przywódczych, jednak nie był lubiany. Wprawdzie z rozmów przebijała lojalność podwładnych wobec dowódcy, ale była ona wymuszona i dodatkowo jeszcze podbita wrodzoną niechęcią wszystkich żołnierzy do żandarmerii wojskowej. Nikt nie powiedział nic złego o Rileyu, ale także nic dobrego. Czytając między wierszami, stworzyłem sobie w myślach obraz bufona i efekciarza, któremu brakowało cierpliwości i rozwagi, za to nie

zbywało na roszczeniach i pretensjach do innych. W wolnych od poważnych zagrożeń okolicznościach misji w Kosowie nie stanowiło to większego problemu, gdyby jednak Riley urodził się o jedno pokolenie wcześniej i z takim nastawieniem trafił do Wietnamu, szybko dosięgłaby go zabłąkana kulka w plecy lub felerny granat rozerwałby mu się w rękach. Zdarzało się to dużo lepszym od niego.

Nie ulegało wątpliwości, że przed poznaniem Chapman spotykał się z Shawną Lindsay, bo wielokrotnie widywano ich razem, a wcześniej chodził z Rosemary McClatchy. Ich też widziano w barach, w knajpie i w niebieskim chevrolecie model 57. Wiele wypowiedzi było przesiąkniętych wonią testosteronu, gdy młodzi mężczyźni jeden po drugim mówili o brytanie gryzącym po kolei wszystkie urodziwe dziewczyny w mieście i robiącym to bez wysiłku.

Chrup, chrup i następna.

Według żołnierzy kompanii Bravo, te budzące zazdrość podboje zaczęły się od Elizabeth Deveraux. Była dobrze znana od czasu kurtuazyjnej wizyty w Kelham, którą złożyła na początku misji w Kosowie. Przechodzili wtedy bardzo intensywne szkolenie i nie było mowy o przepustkach czy urlopach, tymczasem brytan i tak wyskakiwał nocą i dobierał się do swojej zdobyczy. Pochwalił się tym któregoś wieczoru przy ognisku i piwie podczas pierwszej tury kompanii Bravo w Kosowie. W wypowiedziach żołnierzy dało się słyszeć złośliwe politowanie dla kolegów szkolących się w bazie, nadal przeświadczonych, że

Deveraux to lesbijka. A także satysfakcję z tego, że dzięki brytanowi - samcowi alfa i jego niezawodnym metodom - chłopcy z kompanii Bravo wiedzą lepiej. Nie lubili go, ale go podziwiali.

Poza tym w notesie nie było nic ciekawego. Jeszcze chwilę wpatrywałem się w podobiznę Riley, potem wetknąłem ją między kartki i schowałem notes do kieszeni bluzy. Pozostało mi czekać.

* * *

Reszta popołudnia mijała wolno i bezproduktywnie. Godziny wlokły się jedna za drugą, nikt do mnie nie dzwonił, miasteczko było jak wymarłe. W pewnej chwili usłyszałem daleką detonację i pomyślałem, że uroczystości w Kelham toczą się zgodnie z planem. Od czasu do czasu wypijałem kawę i zjadałem kawałek placka, ale większość czasu spędziłem w stanie bliskim ośpienia. Miałem oczy otwarte, lecz praktycznie spałem, wolno oddychając i oszczędzając energię jak przy hibernacji. Miejscowi wpadali pojedynczo i parami, coś zjadali, coś wypijali i wychodzili. O szóstej przyszli Brannanowie na wczesną kolację, chcąc się posilić przed czekającą ich wieczorną zawieruchą. Pomyślałem, że to bardzo rozsądne.

Podobnie postąpiło jeszcze kilka innych osób, zapewne właściciele innych barów. Zajrzało też parę kobiet sprzątających bary, które wpadały po drodze do domu. O siódmej za oknami zrobiło się ciemno, o wpół do ósmej pojawiła się starsza para z hotelu na wieczorny posiłek - ona jak zwykle z książką, on jak zwykle z gazetą.

Chwilę później zadzwonił Stan Lowrey i wieczór zaczął nabierać rozpędu.

Lowrey zaczął od przeprosin, że tak późno mnie zawiadamia, ale sam dopiero co dowiedział się o tym od kolegi żandarma z Fort Benning, gdzie stacjonuje Siedemdziesiąty Piąty Pułk Komandosów. Okazało się, że podpułkownik oddelegowany do jednostki w Kelham zadzwonił do sztabu i poinformował zwierzchników, iż na miejscu wciąż przebywa dwóch oficerów z wydziału śledczego żandarmerii, z których jeden kwateruje w bazie, a drugi kręci się po mieście i jest z niego istny cierń w dupie. Ponieważ zwierzchnikom zależało, by wizyta senatora Rileya upłynęła w jak najlepszej atmosferze, postanowili wysłać na miejsce specjalną ekipę, która zaopiekuje się rzeczonymi oficerami do końca wizyty senatora. Tak na wszelki wypadek. Lowrey powiedział, iż ekipa jakiś czas temu wyleciała blackhawkiem do

Kelham i niewykluczone, że już wylądowała.

- Żandarmi? - powiedziałem. - Nie będą się do mnie wtrącać.

- Nie żandarmi. Komandosi. Prawdziwi twardziele.

- Ilu?

- Sześciu. Pewnie trzech ma się zająć majorem Munro, a trzech tobą.

- Z jakimi rozkazami?

- Nie wiem. Ilu potrzeba, żeby cię spacyfikować?

- Więcej niż trzech twardzieli. - Spojrzałem w okno, ale na ulicy panował spokój. Nie było ani pojazdów, ani pieszych. - O mnie się nie martw, Stan. Gorzej z Munro. Na wieczór potrzebuję dwóch par rąk. Jeśli go uziemią, to będę miał kłopot.

- Zrobią to na pewno - powiedział Lowrey. - Ciebie pewnie też. Podobno chłopcy nie znają się na żartach.

- Możesz do niego zadzwonić i też go ostrzec? - spytałem. - Oczywiście, o ile jeszcze go nie dopadli. - Podałem Lowreyowi numer telefonu i usłyszałem szmer towarzyszący zapisywaniu. - Czy twój człowiek w banku wygrzebał coś w sprawie Alice Bouton?

- Zero - orzekł Lowrey. - A cały dzień szperał. Ale Neagley nadal jeszcze próbuje.

- Zadzwoń do niej i powiedz, żeby wyjęła palec z tyłka i zabrała się do roboty. Potrzebne mi rezultaty. Przekaż jej, że gdybym nie mógł z nią rozmawiać, to upoważniam ją do przekazania wiadomości kelnerce.

- Dobra, trzymaj się - rzucił Lowrey i rozłączył się.

Wyszedłem na chodnik i rozejrzałem się. Nigdzie żywego ducha. Pomyślałem, że komandosi w pierwszej kolejności sprawdzą bary i pewnie zaczną od Brannan's. Bo jeśli będę chciał rozrabiać, to zapewne właśnie tam. Przeszedłem zaułkiem i ostrożnie wyjrzałem na plac przed barami.

Rzeczywiście, stał tam wielki i złowieszczy zielony humvee, niepozostawiający wątpliwości, kto mógł nim przyjechać. Pomyślałem, że zamierzają wywieźć mnie nim siłą do Kelham i zamknąć razem z Munro. Przetrzyimaliby nas tam pod kluczem do wyjazdu senatora, potem przeprosili za nieporozumienie i wypuścili.

Każdy ma jakiś plan, póki nie dostanie po mordzie.

Wystawiłem głowę zza węgła baru Brannanów i zajrzałem przez okno do środka. Lokal lśnił czystością. Stoliki i krzesła stały równo ustawione wokół centralnego punktu, zapewne dla senatora i jego syna. Mieli na nich zasiąść najważniejsi akolici, dalej było dużo miejsc stojących dla plebsu. Za barem widać było Jonathana i Huntera Brannanów, którzy po swym przedwieczornym posiłku wyglądali na zrelaksowanych i pełnych energii.

Przed nimi stało trzech facetów w polowych mundurach.

Wszyscy byli rośli i żaden nie wyglądał na nowicjusza. Jeden sierżant i dwóch starszych szeregowych. Ich mundury świadczyły o tym, że ich właściciele niejedno już przeszli, buty były podniszczone, ale dokładnie wyczyszczone. Poryte zmarszczkami opalone twarze patrzyły obojętnie. Ot, po prostu czysti zawodowcy. Co jest określeniem głupawym, bo o zawodowcach da się powiedzieć wiele, ale nie ma w nich nic czystego ani prostego. Choć i tak

nie miało to większego znaczenia, bo o wszystkim decyduje sierżant. A ja jeszcze nie spotkałem sierżanta, który nie zmagalby się z bolesną świadomością, że od naczelnego wodza dzieli go osiemnaście szczebli zaszeregowania i że wszyscy na tych szczeblach tylko pierdzą w stolki, za to za dużo lepsze pieniądze.

Czyli cokolwiek by zrobił, nad nim jest osiemnaście grup ludzi gotowych bezlitośnie się na nim wyżywać.

Wycofałem się spod okna i wróciłem do knajpy.

* * *

W środku były trzy osoby: właściciele hotelu i facet w jasnym ubraniu, którego tu wcześniej widziałem. Trzy to dobra liczba, choć nie rewelacyjna. Z drugiej strony skład tej trójki był bliski ideału. Lokalni biznesmeni, solidni obywatele, doświadczeni i mogący łatwo się oburzyć. W dodatku można było liczyć, że starsza para z hotelu posiedzi przy stoliku parę godzin, co było ważne. Mogło się bowiem okazać, że w związku z poszukiwaniami Neagley będę potrzebował czasu.

Wszedłem do środka i stanąłem obok automatu, a kelnerka pokręciła głową na znak, że nie było żadnych telefonów. Zajrzałem do lokalnej książki telefonicznej i wyszukałem numer baru Brannan's, potem wrzuciłem monetę i zadzwoniłem. Odebrał jeden z braci, a ja rzuciłem krótko:

- Oddaj słuchawkę sierżantowi.

Nastąpiła chwila pełnego zdumienia milczenia, po czym usłyszałem stuknięcie słuchawki o blat baru i szmery towarzyszące przekazaniu jej z ręki do ręki. A potem męski głos burknął:

- Kto mówi?

- Ten, kogo szukacie. Jestem w knajpie.

W słuchawce zapadła cisza.

- Teraz powinienes osłonić słuchawkę dłonią i spytać szeptem barmana, gdzie się mieści knajpa, i błyskawicznie wysłać tam swoich ludzi. A potem

zacząć coś nawijać, by odpowiednio długo przytrzymać mnie przy telefonie. Ale oszczędzę ci trudu. Knajpa znajduje się jakieś dwadzieścia metrów na zachód i pięćdziesiąt metrów na północ od miejsca, gdzie teraz jesteś. Wyślij jednego ze swoich ludzi uliczką na lewo od baru, drugiego wokół budynku biura szeryfa w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Sam możesz wejść od tyłu przez kuchnię, parę kroków od miejsca, gdzie stoi wasz humvee. W ten sposób odetniecie mi możliwe drogi ucieczki. Ale nie szkodzi. Nie mam zamiaru nigdzie uciekać.

Spokojnie na was poczekam. Znajdziecie mnie przy stoliku w rogu pod ścianą.

Odwiesiłem słuchawkę i ruszyłem ku czteroosobowemu stolikowi w kącie pod ścianą.

Pierwszy pojawił się sierżant, jako że miał najkrótszą drogę do pokonania. Wszedł wolno i ostrożnie przez kuchnię i pozwolił, by drzwi same się za nim zamknęły. Odwróciłem się lekko na krześle i uniosłem rękę w geście pozdrowienia. Chwilę potem otworzyły się drzwi frontowe i wszedł zapewne ten, który przyszedł zaułkiem, drugą z kolei najkrótszą drogą. Po minucie wpadł lekko zadyszany trzeci wojak. Miał do pokonania najdłuższą drogę i najbardziej się spieszył.

Wszyscy trzej ustawili się w przejściu między stolikami, dwóch na prawo ode mnie, jeden na lewo.

- Siadajcie - odezwałem się. - Bardzo proszę.
- Mamy rozkaz odstawić pana do Kelham - oznajmił sierżant.
- Niestety, nic z tego nie będzie, sierżancie.

Nie odpowiedział.

Mój wewnętrzny zegar pokazywał kwadrans przed ósmą.

- Sprawa wygląda następująco, chłopcy - oświadczyłem. - Próba wyprowadzenia mnie stąd wbrew mojej woli wywoła poważne zamieszanie. Myślę, że co najmniej trzy czy cztery stoły i krzesła zostaną połamane. Do tego mogą dojść fizyczne urazy uczestników zajścia. Kelnerka oczywiście uzna, że wszyscy jesteśmy z kompanii Bravo, bo nikt inny nie ma teraz prawa opuszczać bazy w Kelham. Wierzcie mi, że bardzo pilnie to śledzi, bo od tego zależą jej napiwki. Wie także, że lada chwila w barze Brannanów zjawi się dowódca kompanii Bravo, więc natychmiast uda się do niego na skargę. A to z całą pewnością zakłóci chwilę prywatności ojca i syna. Co wszystkim, a szczególnie wam, może bardzo zaszkodzić.

Brak reakcji.

- Proszę, siadajcie chłopcy - powtórzyłem.

Wszyscy trzej usiedli, ale nie tam, gdzie chciałem. Nie byli tacy głupi. To jeden z problemów związanych ze służbą ochotniczą. Można dobrać

kandydatów. Siedziałem przy czteroosobowym stoliku, twarzą do wyjścia. Gdyby wszyscy trzej usiedli przy moim stoliku, miałbym swobodę ruchu, jednak nie zrobili tego. Sierżant zajął miejsce naprzeciwko, ale dwaj starsi szeregowi usiedli po drugiej stronie przejścia, przy dwuosobowym stoliku. W dodatku odwrócili krzesła pod kątem, tak że jeden był gotów do natychmiastowej akcji, gdybym próbował rzucić się do wyjścia, drugi - gdybym spróbował ruszyć w stronę kuchni.

- Powinniście skosztować placka z brzoskwiniami - powiedziałem. -
Naprawdę smaczny.

- Żadnych placków - burknął sierżant.

- Ale coś powinniście zamówić, bo inaczej kelnerka wyrzuci was za włóczęgostwo. A jak odmówicie wyjścia, będzie wiedziała, do kogo zadzwonić.

Brak reakcji.

- Jest tu też kilka osób postronnych. Naprawdę nie powinniście zwracać na siebie uwagi.

Znaleźliśmy się w impasie.

Za dziesięć ósma.

Telefon przy drzwiach milczał.

Podeszła kelnerka, sierżant wzruszył ramionami i zamówił trzy porcje placka i trzy kawy.

Drzwi się otworzyły i do środka weszły kolejne dwie osoby. Młoda kobieta w ładnej sukience i młody mężczyzna w dżinsach i wiatrówce. Usiedli przy dwuosobowym stoliku, naprzeciwko właścicieli hotelu. Nie wyglądali na takich, którzy z byle powodu dzwonią na skargę do swojego kongresmena, ale im więcej świadków, tym lepiej.

- Jak będzie trzeba, posiedzimy tu przez cały wieczór - odezwał się sierżant.

- Dobrze wiedzieć. Bo ja tylko czekam na telefon i zaraz potem wychodzę.

- Przykro mi, ale nie mogę panu pozwolić na jakiegokolwiek rozmowy. Takie mamy rozkazy.

Nie odpowiedziałem.

- Ani na wyjście stąd. Chyba że zgodzi się pan pojechać z nami do Kelham.

- Zdawało mi się, że tę sprawę już omówiliśmy - powiedziałem.

Brak reakcji.

Telefon milczał.

Za pięć ósma.

* * *

O ósmej facet w jasnym ubraniu zapłacił i wyszedł, starsza pani z hotelu odwróciła kartkę książki, ale poza tym nic więcej się nie działo. Telefon milczał. Pięć po ósmej z zewnątrz dobiegły pierwsze hałasy - szum opon samochodowych - i wyczułem zmianę atmosfery.

Rosło napięcie. Kompania Bravo zaczynała się zjeżdżać do miasta, początkowo pojedynczo czy po dwóch, potem większymi grupkami. Domyślałem się, że konwojowi samochodów przewodził Reed Riley w pożyczonym aucie sztabowym, mając ojca jako pasażera.

Pomyślałem też, że senator stoi teraz przy wejściu do baru Brannanów, wita podwładnych syna i z przyklejonym uśmiechem zaprasza ich do środka.

Trzej pilnujący mnie komandosi skończyli swoje porcje placka. Jedli je na zmianę, tak że dwóch z nich ani na moment nie spuszczało mnie z oka. Byli całkiem niezli. Na pewno nie najgorsi spośród tych, z jakimi zdarzało mi się zmierzyć. Zjawiała się kelnerka i zebrała ich talerze. Wyglądało na to, że wyczuwa, co się dzieje, bo przechodząc, obrzucała mnie zatroskanym spojrzeniem. Nie miałem wątpliwości, po czyjej jest stronie. Mnie już znała, ich widziała po raz pierwszy. Ode mnie dostała sporo napiwków, od nich ani jednego.

Hałas na zewnątrz zdawał się narastać.

Telefon milczał.

Przez kilka następnych minut rozmyślałem o ich humvee. Wiedziałem, że ma pod maską potężny silnik dieslowski General Motors, jest wyposażony w

trzybiegową automatyczną przekładnię, waży ponad cztery tony oraz rozwija maksymalną szybkość do stu kilometrów na godzinę, co nie kwalifikuje go do miana najszybszego pojazdu na świecie, ale daje piętnastokrotną przewagę szybkości nad pieszym. A to wystarczy.

Czekałem.

Tuż po ósmej trzydzieści doszło naraz do trzech zdarzeń. Pierwsze było niefortunne, drugie niespodziewane i w rezultacie trzecie dość niezręczne.

Niefortunne było to, że para młodych ludzi, dziewczyna w ładnej sukience i chłopak w wiatrówce, opuściła knajpę. Chłopak położył pieniądze na stoliku, oboje wstali i wzięwszy się za ręce, wyszli. W ich ruchach można było wyczuć pewną niecierpliwość. Najwyraźniej to nie wieczorna modlitwa zaprzętała teraz ich myśli.

Niespodziewane było wyjście starszej pary. Kobieta zamknęła książkę, mężczyzna złożył gazetę, oboje wstali i podreptali do wyjścia. Zapewne z powrotem do hotelu, dużo wcześniej niż zwykle, bez żadnego widomego powodu. Chyba że uznali, iż senator Riley tak się rozochocił, że postanowi zrezygnować z powrotnego lotu i zostanie na noc w miasteczku.

W tym momencie kelnerka przebywała w kuchni, w sali pozostały tylko cztery osoby - ja i moi trzej opiekunowie.

Sierżant się uśmiechnął.

- Tylko my zostaliśmy - zauważył z przekąsem.

Nie odpowiedziałem.

- Nie ma już osób postronnych. I nie sądzę, żeby kelnerka lubiła się skarżyć. Raczej nie. Wie, że jej miejsce pracy może łatwo trafić na listę miejsc zakazanych, na przykład na miesiąc.

Albo dwa. Albo na tak długo, że będzie musiała przejść na zasiłek dla bezrobotnych.

Nachylał się nad stołem, nie spuszczać ze mnie wzroku. Jego dwaj podkomendni siedzieli nachyleni nad stołem po drugiej stronie przejścia, z

łokciami opartymi na kolanach i lekko rozstawionymi stopami. Oni również nie spuszczaali ze mnie wzroku.

Wtedy nastąpiło to trzecie zdarzenie.

Zadzwonił telefon.

Trzej komandosi byli naprawdę dobrzy. Nawet bardzo dobrzy. Automat telefoniczny starego typu z tarczą i wielkim metalowym dzwonkiem w środku najpierw dzwonił przez wlokącą się długo sekundę, a potem przechodził w pogłos trwający drugą wlokącą się sekundę, po czym cała sekwencja powtarzała się tak długo, aż ktoś podniósł słuchawkę lub telefonujący się zniechęcił. Staromodny, miły dla ucha dźwięk, który od stu lat brzmiał tak samo. Tym razem pierwszy cykl nawet nie zdążył wybrzmieć do końca, gdy wszyscy trzej komandosi ruszyli do akcji. Szeregowy po mojej lewej natychmiast zerwał się na nogi, skoczył za mnie, położył ciężkie ręce na moich ramionach, wgniół mnie w krzesło i jednocześnie przechylił do tyłu, praktycznie mnie obezwładniając. Siedzący przede mną sierżant natychmiast pochylił się jeszcze bardziej i położywszy łapy na moich nadgarstkach, przygwoździł mi dłonie do stołu.

Trzeci zerwał się z krzesła, zwinął dłonie w pięści i stanął w przejściu, gotów rzucić się na mnie przy najmniejszym ruchu.

Wręcz popisowa akcja.

Nie próbowałem stawiać oporu.

Siedziałem bez ruchu, nie starając się nawet wstać.

Każdy ma jakiś plan, ja też.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Po trzech dzwonekach drzwi do kuchni się otworzyły i stanęła w nich kelnerka. Jednym rzutem oka ogarnęła scenę przy moim stoliku, bez słowa ominęła szeregowego stojącego w przejściu i ruszyła do telefonu. Podniosła słuchawkę, chwilę słuchała, spojrzała w moją stronę i nie odwracając wzroku, zaczęła coś mówić do słuchawki, jakby opisując sytuację, w której się znalazłem.

Sądziłem, że słuchającą jest Frances Neagley.

A może tylko na to liczyłem.

Kelnerka znów przez chwilę słuchała, potem ramieniem docisnęła słuchawkę do ucha, wyjęła kelnerski bloczek z długopisem i zaczęła notować. Pisała i pisała. Całe długie wypracowanie.

Przełożyła stroniczkę i pisała dalej. Stojący za mną szeregowy nie przestawał wciskać mnie w krzesło. Siedzący przede mną sierżant nie przestawał przygniatać moich rąk. Stojący w przejściu żołnierz przysunął się bliżej. Kelnerka poruszała wargami, jakby w myślach powtarzała obce sobie słowa. W końcu przerwała pisanie, przebiegła wzrokiem zapiski, przełknęła ślinę i dwukrotnie zamrugnęła, jakby to, co miało teraz nastąpić, było najtrudniejsze.

Odwiesiła słuchawkę, wydarła z bloczka dwie zapisane kartki i trzymając je w wyprostowanych palcach, ruszyła w naszą stronę. Szeregowy zabrał łapy z moich ramion, sierżant puścił mi ręce, stojący w przejściu usiadł.

Kelnerka szła środkowym przejściem, wpatrując się po drodze w zapisane kartki. Dołączyła do nas, jakby była piątym członkiem naszej grupki, spojrzała na dystynkcje na kołnierzach i zwróciła się do sierżanta:

- Mam dla pana podwójną wiadomość.

Sierżant skinął głową, a ona zaczęła czytać.

- Po pierwsze, kimkolwiek pan jest, powinien pan dla swojego dobra, a także armii Stanów Zjednoczonych, natychmiast uwolnić tego oficera, bo, po drugie, bez względu na to, kim pan jest, jakie otrzymał pan rozkazy i co sądzi o sprawie, najpewniej to oficer ma rację, a pan najpewniej się myli. Komunikuje to równy panu stopniem podoficer, któremu leży na sercu najwyższe dobro armii oraz pańskie.

- Przyjąłem do wiadomości - mruknął sierżant.

Tylko tyle.

Niewątpliwie Neagley, pomyślałem. Sprytny ruch.

Kelnerka położyła na stole drugą zapisaną kartkę tekstem do spodu i przesunęła ją w moją stronę, robiąc to szybkim, dobrze wyćwiczonym ruchem,

jakim podsunęła milionowi klientów milion rachunków za posiłek.

Przytrzymałem ją lewą dłonią i ułożyłem prawą w gotowości do ruchu.

Nikt się nie poruszył.

Kelnerka jeszcze przez chwilę stała przy stoliku, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni.

Kciukiem lewej dłoni uniosłem leciutko krawędź kartki, jak to robią podglądający kartę pokerzyści, i odczytałem pierwsze dwie linijki tekstu. Siedem słów. Pierwszym był dwuliterowy skrót, jakże typowy dla Neagley. Skrót Wg, znaczący według. Dalsze sześć słów brzmiało: szefostwa kadr Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych, a to z kolei znaczyło, że informacja zawarta w tekście pochodzi z najważniejszego źródła i jest w związku z tym rzetelna, w pełni wiarygodna. Czyste złoto.

Na tym etapie to mi wystarczyło.

Puściłem krawędź kartki, pozwalając, by przylgnęła płasko do stołu, treścią do spodu.

Rozsunąłem kciuk i dwa pierwsze palce i zebrałem kartkę jak szczypcami, składając ją tekstem do wewnątrz. Przejechałem paznokciem prawego kciuka po zgięciu, dokładnie go zaprasowując, i wsunąłem kartkę do prawej kieszeni tuż pod plakietką z moim nazwiskiem, dołączając ją do czarnego notesu Munro.

Była za dziesięć dziewiąta wieczorem.

Spojrzałem na sierżanta i powiedziałem:

- No cóż, wygraliście. Jedźmy do Kelham.

Wyszliśmy przez kuchnię, bo tędy prowadziła najkrótsza droga do zaparkowanego na placu humvee. Szliśmy gęsiego, prowadził sierżant, ja szedłem wciśnięty między dwóch starszych szeregowych. Idący za mną trzymał rozplaszczoną dłoń na moich plecach i lekko mnie popychał, idący przede mną miętosił dłonią przód mojej bluzy i lekko mnie ciągnął. Nocne powietrze było rześkie, nie było ani zimno, ani ciepło. Plac przed barami był zastawiony zaparkowanymi samochodami. Pięćdziesiąt metrów w prawo od nas stała grupka mężczyzn, tworząc półkole przed wejściem do baru Brannanów. Wszyscy byli w mundurach, zachowywali się cicho i kulturalnie. Większość trzymała w rękach butelki z piwem, zapewne kupione gdzie indziej i przyniesione na widownię głównej atrakcji wieczoru. Byłem gotów się założyć, że senator rozkoszuje się otaczającą go atmosferą podziwu i uwielbienia, a jego syn udaje, że nie robi to na nim wrażenia.

W otoczeniu samochodów osobowych humvee prezentował się bardzo okazale. Był naprawdę ogromny. Obok, w należytej odległości, stał matowozielony sedan. Zapewne wypożyczony przez Reeda Riley'a pojazd sztabowy i ze względów prestiżowych postawiony blisko emanującego potęgą kolosa, co polityk robi instynktownie.

Sierżant zwolnił kroku i wszyscy trzej ścieśniliśmy się za nim, potem zmieniliśmy kierunek i pomaszerowaliśmy w stronę transportera równomiernym, niezbyt szybkim i niezbyt wolnym krokiem. Nikt nawet na nas nie spojrzał. Byliśmy tylko czterema sunącymi w mroku sylwetkami, zresztą wszyscy i tak patrzyli w drugą stronę.

Drzwi humvee nie były zamknięte na klucz. Sierżant otworzył tylne lewe, obaj komandosi ustawili się za mną i mogłem tylko wsiąść do środka. Wewnątrz śmierdziało brezentem i ludzkim potem. Sierżant poczekał, aby jego dwaj podkomendni usadowili się w środku, jeden obok niego z przodu, drugi obok mnie z tyłu, po drugiej stronie półokrągłej obudowy wału napędowego. Dopiero

gdy żołnierze zwrócili ku mnie twarze, sierżant usiadł za kierownicą, nacisnął przycisk rozrusznika i uruchomił silnik. Silnik zabuczał głębokim dieslowskim basem na wolnych obrotach, sierżant poprawił się na siedzeniu, wrzucił bieg i zapalił światła.

Pojazd ospale ruszył do przodu i podskakując na nierównościach, skierował się ku drodze do Kelham. Minęliśmy rzędy zaparkowanych aut, budynek biura szeryfa, sierżant machinalnie zerknął we wsteczne lusterko, po czym spojrzął w lewo, aby kawałek dalej skręcić w prawo.

- Jakie przeszkolenie przeszliście, chłopcy? - spytałem.

- Naramienne wyrzutnie rakietowe ziemia powietrze - odpowiedział sierżant.

- A policyjne?

- Nie.

- Mogłem się domyślić, bo mnie nie obszukaliście. A należało.

Prawą ręką wyjąłem berettę, lewą szarpnąłem sierżanta za kołnierz z taką siłą, jakbym go chciał udusić. Przyciągnąłem jego plecy do oparcia przedniego siedzenia i wgniotłem muszkę pistoletu w prawe ramię tuż nad pachą.

Transportery humvee są bardzo solidnie zbudowane i mają stalowe ramy siedzeń. Trzymałem go przygwożdżonego do oparcia, a on nie miał szans się ruszyć. Nawet nie bardzo mógł oddychać.

- Wszyscy siedzą bez ruchu i zachowują spokój.

Bez oporu wykonali oba polecenia. Sierżantowi groziło trwałe uszkodzenie ucha lub karku.

Zapewne nie wierzyli, że mógłbym go zabić. Żaden żołnierz, choćby nie wiem jak zdesperowany, nie zabija drugiego żołnierza. Jednak poważny postrzał przez miękką tkankę mięśniową tuż w prawo od łopatki był całkiem możliwy i mógł spowodować straszliwe skutki. Na pewno oznaczałby koniec kariery zawodowej, więc w jego rozumieniu byłby końcem życia. Czekająby go już tylko wieczne bóle, zasiłek dla inwalidów i domowe sprzęty dla leworęcznych.

Odrobinę zluźniłem ściskający jego szyję kołnierz, ale nadal mocno go

dociskałem do oparcia.

- Skreć w lewo - zarządziłem.

Skrecił w odnogę prowadzącą na zachód.

- Jedź prosto przed siebie.

Wjechał w prowadzący w kierunku Memphis tunel ze splątanych konarów drzew.

- Szybciej - rozkazałem.

Przyspieszył i już po chwili potężny pojazd, podrygując i głośno mrucząc, gnał niemal setką.

Nasze dalsze losy zależały od zwykłej arytmetyki. Była dziewiąta wieczór, prosta jak strzełił droga ciągnęła się przez nieco ponad sześćdziesiąt kilometrów, szanse spotkania kogokolwiek były bardzo nikłe. A mnie wystarczyło pół godziny i pięćdziesiąt kilometrów.

- Utrzymuj tę szybkość - poleciłem.

Sierżant jechał prosto przed siebie.

* * *

Pół godziny później znaleźliśmy się w szczerym polu, blisko pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Carter Crossing i jakieś piętnaście od skrzyżowania z drogą na Memphis.

- Dobra, wystarczy - powiedziałem. - Tu stajemy.

Jedną ręką trzymałem sierżanta za kołnierz, drugą wciskałem mu pistolet w ramię, i nawet nie przyszło mu do głowy stawiać opór. Zdjął nogę z gazu, przez chwilę pojazd toczył się na luzie, po czym sierżant nacisnął hamulec i stanęliśmy. Przeszawił dźwignię zmiany biegów na „parking”, zdjął ręce z kierownicy i znieruchomiał. Może przeczuwał, co go czeka, może nie.

Zwróciłem się do żołnierza siedzącego obok mnie.

- Zdejmuj buty - poleciłem.

Od tej chwili już chyba wszyscy domyślili się, co ich czeka. Początkowo znieruchomieli, jakby zbierając się, by zaprotestować, ja jednak spokojnie

odczekałem. Szeregowy zajmujący miejsce obok mnie wzruszył ramionami i zaczął rozsznurowywać buty.

- Skarpetki też - rzuciłem.

Chłopak ściągnął skarpety i jak dobry żołnierz zwinął je w kłębek i wetknął do buta.

- Teraz bluza.

Chłopak zdjął bluzę.

- Spodnie.

Zapadła kolejna długa chwila milczenia, po czym chłopak rozpiął spodnie, uniósł tyłek znad siedzenia i zsunął spodnie do kolan. Przeniosłem wzrok na żołnierza na przednim siedzeniu.

- Teraz ty - powiedziałem. - Tak jak on, po kolei cztery rzeczy.

Bez słowa zaczął się rozbierać, a ja na koniec kazałem mu pomóc sierżantowi zrobić to samo.

Nie chciałem, żeby sierżant choć na moment pochylił się do przodu i wyzwolił z uścisku. Gdy wszyscy byli rozebrani, zwróciłem się do chłopaka obok.

- Teraz wysiądź i zrób dwadzieścia kroków do przodu.

- Módl się, żebyśmy cię więcej nie spotkali, Reacher - syknął sierżant.

- Wręcz przeciwnie, mam nadzieję, że się spotkamy - odpowiedziałem. - Bo jestem pewny, że po przemyśleniu całej sprawy zechcecie mi podziękować za to, że nie wyrządziłem wam krzywdy. A mogłem to bez trudu zrobić, wy beznadziejni amatorzy.

Milczeli.

- Wysiadać - rozkazałem.

Chwilę potem wszyscy trzej stali na drodze boso i bez mundurów, w samych gatkach i podkoszulkach. Mieli około pięćdziesięciu kilometrów do miejsca, w którym chcieli się znaleźć. W najlepszych warunkach dotarcie tam musi im zająć od siedmiu do ośmiu godzin marszu, a nierówna boczna droga na pewno

takich warunków im nie zapewniała. Gdyby nawet jakimś cudem ktoś się po drodze napatoczył, nie mieli szans na to, żeby ten ktoś ich podwiózł. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zatrzyma się po ciemku, żeby zabrać do samochodu trzech bosych wariatów w samej bieliźnie.

Usiadłem za kierownicą, na wstecznym odjechałem jakieś sto metrów, zawróciłem i ruszyłem w drogę powrotną. Towarzyszyło mi tylko głębokie buczenie silnika i kwaśny fetor wojskowych butów i skarpetek. Mój wewnętrzny zegar pokazywał dwudziestą pierwszą trzydzieści pięć, a to znaczyło, że jeśli lżejszy o trzy osoby humvee rozbuja się do stu pięciu kilometrów na godzinę, do Carter Crossing dojadę o dwudziestej drugiej zero trzy.

Okazało się, że z potężnego diesla udało mi się wycisnąć trochę więcej. Dwie minuty przed dziesiątą zjechałem z szosy, ukryłem humvee w kępie drzew na skraju lasu i resztę drogi przebyłem piechotą. Pieszy dużo mniej rzuca się w oczy niż czterotonowy transporter wojskowy.

Jednak nie było przed czym się kryć. Main Street była zupełnie opustoszała. Gdyby nie światło w oknach knajpy i dwa stojące pod nią tuż obok siebie samochody - mój buick i radiowóz Deveraux - Main Street można by uznać za wymarłą. Podejrzewałem, że Deveraux pilnuje porządku na głównej ulicy, ale zbytnio się nie wysiła. Obecność senatora praktycznie gwarantowała spokój podczas całego wieczoru.

Minąłem Main Street, poszedłem w stronę Kelham i zatoczywszy łuk od strony toru, skradając się za ostatnim rzędem zaparkowanych samochodów, dotarłem na wysokość baru Brannanów, przed którym wciąż stał zbity tłumek, a około pięćdziesięciu mężczyzn ciasnym półkolem otaczało wejście. W środku kłębił się tłum stojących, siedzących nie byłem w stanie dojrzeć. Przeciskając się między samochodami osobowymi i pickupami, podszedłem bliżej, wsłuchany w cichszy niż poprzednio gwar. Tym razem rozmawiano dużo spokojniej, nikt nie krzyczał, wszyscy starali się zachowywać poprawnie.

Minąłem odstęp między pierwszym a drugim rzędem samochodów i wszedłem między dwudziestoletniego cadillaca i starego SUVa GMC Jimmy.

- Cześć, Reacher - rozległ się cichy głos.

Munro stał oparty o tył SUVa, niemal zupełnie niewidoczny w panującym mroku. Nie wyglądał na spiętego.

- Cześć, Munro - rzuciłem. - Cieszę się, że jesteś. Choć muszę przyznać, że specjalnie na to nie liczyłem.

- I wzajemnie.

- Stan Lowrey dodzwonił się do ciebie?

Munro skinął głową.

- Tak, tylko trochę za późno.
- Trzech dryblasów w mundurach?
- Trzech z obsługi moździerza z Siedemdziesiątego Piątego.
- I gdzie są teraz?
- Siedzą związani sznurem do telefonu, zakneblowani własnymi podkoszulkami i zamknięci na klucz w moim pokoju.
- Brawo. - Rzeczywiście nieźle się spisał. Jeden na trzech, w sytuacji całkowitego zaskoczenia, a mimo to świetnie sobie poradził. Godne podziwu. Niewątpliwie Munro nie był mięczakiem.

- A tobie kto się trafił?
- Specjaliści od naramiennych rakietników.
- I gdzie są teraz?
- W połowie drogi z Memphis, bez butów, bluz i spodni.
Białe zęby Munro rozbłysły w uśmiechu.
- Mam nadzieję, że mnie nigdy nie delegują do Benning - parsknął.
- Riley jest w środku?
- Przyjechał z tatusiem jako pierwszy i grają gospodarzy. Rachunek musiał już przekroczyć trzysta dolarów.

- Wciąż obowiązuje godzina policyjna?
Kiwnął głową.
- Ale pewnie zostaną do końca i będą pędzić na złamanie karku. Wiesz, jak to jest. Atmosfera zrobiła się całkiem fajna i nikt nie będzie chciał się ruszyć jako pierwszy.

- Dobra - powiedziałem. - Dopilnuj, żeby Riley wyjechał stąd na końcu. Jego samochód ma opuścić plac dosłownie jako ostatni, i to nie sekundę czy dwie po poprzednim. Co najmniej minutę. Zrób wszystko, żeby tak się stało, dobrze? Bardzo mi na tym zależy.

Gdyby chodziło o kogoś innego, pewnie próbowałbym podrzucić pomysły, jak to zrobić - od przebicia opony po zwrócenie się do starego Riley'a o autograf

- ale uświadomiłem sobie, że Munro żadnych podpowiedzi nie potrzebuje.

Wymyśli to samo co ja i może wpadnie mu do głowy coś jeszcze.

- Rozumiem. - Munro kiwnął głową.

- A potem zajmij się Elizabeth Deveraux. Chcę, żebyś ani na chwilę nie spuszczał jej z oka, bez względu na to, gdzie będzie. I znów: zrób wszystko, co należy.

- Rozumiem - powiedział. - Właśnie siedzi w knajpie.

- I niech tam zostanie. Nie pozwól jej wybrać się na wieczorny obchód.

Wy tłumacz jej, że w obecności senatora nikt nie będzie rozrabiał.

- Ona to wie. Zastępcom dała dziś wolne.

- Dobrze wiedzieć. Życzę powodzenia, i dziękuję.

Przecisnąłem się znów między cadillakiem a SUVem, przemknąłem przez otwartą przestrzeń, minąłem ostatni rząd aut i opuściłem plac tą samą drogą, którą przyszedłem. Pięć minut później byłem już po drugiej stronie przejazdu kolejowego, ukryty w zaroślach przy drodze do Kelham. Znów pozostało mi tylko czekać.

* * *

Munro trafnie ocenił panujący nastrój, bo nikt się nie ruszył przed dwudziestą drugą trzydzieści. Widać senator tworzył wokół siebie specyficzną aurę. W przeszłości bywałem świadkiem podobnych spotkań i choć byłem pewny, że gdyby senator nagle zajął się ogniem, nikt z kompanii Bravo nawet by go nie obsikał, żeby go ugasić, to wszyscy zdawali się zafascynowani jego obecnością. Pewnie dobrze zapamiętali rozkaz dowódcy bazy: „Macie być mili dla senatora i okazywać mu szacunek”. Właśnie dlatego żaden z żołnierzy się wcześniej nie urwał, bo nikt nie chciał być tym pierwszym. Minęła dwudziesta druga trzydzieści, a na drodze wciąż nic się nie działo.

Dwudziesta druga trzydzieści pięć.

Dwudziesta druga czterdzieści.

O dwudziestej drugiej czterdzieści pięć tama pękła i się zaczęło.

Usłyszałem głucho dudnienie, jakby cała dywizja pancerna ruszała do boju, i ujrzałem w oddali obłoczki dymu z rur wydechowych oraz błyski reflektorów aut, których kierowcy przepychali się do wyjazdu z parkingu. Świecące w moją stronę reflektory ułożyły się w niekończący się łańcuszek świateł i trzydzieści sekund później pierwszy samochód ostro podskoczył na przejeździe kolejowym i pognął dalej. To samo zrobiły kolejne, których było za dużo, by je próbować liczyć. Jechały o parę metrów od siebie, zbite w ciasną gromadę niczym auta na torze wyścigowym dla wraków. Silniki rzeziły na wysokich obrotach, łyse opony klapały na przejeździe, powietrze wypełniło się słodkawą wonią benzyny bezołowiowej. Przejechał stary cadillac i zdezelowany SUV GMC, między którymi przeciskałem się na parkingu, za nimi chevrolety, dodge'e, fordys, plymouthy, jeepy i chryslery; osobowe i półciężarowe, z napędem na cztery koła i dwuosobowe kabriolety.

Ciągnęły kawalkadą, wioząc żołnierzy uradowanych powrotem do koszar i dumnych ze spełnionego obowiązku.

Po dziesięciu minutach konwój zaczął rzednąć, a przerwy między samochodami się wydłużać.

W oddali było widać, jak ostatni maruderzy pospiesznie opuszczają plac parkingowy, a przejazd obok mojej kryjówki kolejnego tuzina pojazdów zajął już całą minutę. Żaden z nich nie był matowozielonym pojazdem sztabowym. Na samym końcu kawalkady ciągnął prychający ze starości pontiac sedan, a ja odprowadziłem go wzrokiem. „Gdy przejedzie, to gwarantuję, że zostaniemy tu sami jak palec”, powiedziała wczoraj Deveraux. Pontiac podskoczył na torze i zniknął w ciemnościach.

Wyszedłem na szosę i ustawiwszy się twarzą w kierunku wschodnim, przyglądałem się niknącym w oddali czerwonym światłom pozycyjnym. W ciemnościach rozplynał się też dźwięk silnika i woń spalin. Odwróciłem się i jak na dany znak na placu parkingowym rozbłysły reflektory pojedynczego samochodu. Dwie wiązki światła zachybotwały w górę i w dół, omiotły plac na

boki i skierowały się w stronę wyjazdu z parkingu, wprost na mnie.

Światła jeszcze kilka razy podskoczyły na wertepach i uspokoiły się na gładkiej nawierzchni szosy.

Mój wewnętrzny zegar pokazywał za minutę jedenastą.

Ruszyłem szosą w stronę miasteczka, minąłem tor, przeszedłem jeszcze dziesięć kroków i stanąłem na brzegu jezdni z wyciągniętą ręką, jak to robią gliniarze z drogówki.

Światła reflektorów wydobyły mnie z ciemności z odległości jakichś stu metrów. Czując ich blask na twarzy i widząc swoją wyciągniętą rękę, wiedziałem, że Reed Riley dostrzegł mnie.

Musiał zdjąć nogę z gazu, bo usłyszałem, jak obroty silnika zmieniają ton i samochód zwalnia. To czysty odruch. Żołnierze wojsk lądowych spędzają mnóstwo czasu za kierownicą, a stojący na drodze ludzie w polowych mundurach często im w tym pomagają lub nimi kierują, informując gestami rąk o konieczności skrętu w tę czy tamtą stronę lub nakazując chwilowe zatrzymanie.

Stałem bez ruchu z wyciągniętą przed siebie ręką i matowozielony samochód sztabowy zatrzymał się nie dalej jak metr od moich kolan. Teraz moje oczy znajdowały się powyżej świateł reflektorów i mogłem dojrzeć twarze Riley'a i jego ojca. Siedzieli obok siebie i żaden nie wyglądał na zaskoczonego lub zniecierpliwionego moim pojawieniem się. Obaj byli gotowi poświęcić minutkę na rutynowe sprawy porządkowe. Riley wyglądał tak jak na zdjęciu, senator był jego starszą wersją, trochę szczuplejszą, z nieco większymi uszami i nosem, bardziej zadbaną i elegancką. Ubrany był jak typowy wizytujący bazę wojskową polityk, czyli jak ostatnia łajza. Miał na sobie drelichową bluzę khaki w stylu Ike'a[5], włożoną na zwykłą cywilną koszulę bez krawata. Na bluzie zostało naszyte okrągłe logo Senatu Stanów Zjednoczonych, jakby ten organ amerykańskiej legislatury stanowił jednostkę bojową.

Podszedłem do drzwi od strony Riley'a, a on opuścił szybę i obrzucił mnie hardym spojrzeniem, zaraz jednak dojrzał dębowe liście na moim kołnierzyku i mina mu zrzędała.

- Tak, panie majorze? - powiedział.

Bez słowa otworzyłem tylne drzwi i wsiadłem, przesuwając się na środek kanapy. Obaj mężczyźni odwrócili głowy i wlepili we mnie wzrok.

- Panie majorze? - powtórzył Riley.

- O co chodzi? - dodał jego ojciec.

- Zmiana planów - odparłem.

Czułem od nich woń piwa, dymu i potu.

- Spieszę się na samolot - sapnął senator.

- Dopiero o północy. Wcześniej nikt nie będzie pana szukał.

- Co to, u diabła, znaczy? Wie pan, kim ja jestem?

- Tak - odrzekłem. - Wiem.

- Czego pan chce?

- Bezwzględne posłuszeństwa - odparłem i po raz drugi tego wieczoru wyjąłem berettę.

Zrobiłem to szybkim, płynnym ruchem, jak wykonujący sztuczkę magik. W jednej chwili moja dłoń była pusta, w drugiej wypełniła ją połyskująca groźnie stal. Odbezpieczyłem broń.

Pstryknięcie było ciche, ale w panującej ciszy zabrzmiało groźnie.

- Popelnia pan poważny błąd, młody człowieku - oświadczył senator. - Pańska wojskowa kariera właśnie dobiegła końca. Wyłącznie od pana zależy, czy stanie się coś gorszego.

- Milczeć! - warknąłem. Wyciągnąłem rękę i chwyciłem Riley'a za kołnierz dokładnie tak, jak sierżanta. Tyle że tym razem umieściłem muszkę we wgłębieniu za prawym uchem. Sama miękka tkanka, żadnej kości. Akurat dobre miejsce.

- Podjedź dalej! - rozkazałem. - Bardzo wolno. Na przejeździe skręć w lewo i wjedź na tor.

- Co? - Riley się zachłysnął.

- Słyszałeś.

- Ale zaraz nadjedzie pociąg.

- Dopiero o północy. Bierz się do roboty, żołnierzu.

Zadanie nie było łatwe. Riley instynktownie starał się pochylić nad kierownicą, żeby lepiej widzieć drogę, ale trzymająca go za kołnierz ręką mu

na to nie pozwalala. Tkwił w żelaznym chwycie; wciskałem mu plecy w oparcie fotela i jednocześnie pchałem go do przodu. Mimo to nieźle sobie poradził. Wjechał na przejazd, skręcił kierownicę i ustawił się w poprzek szosy. Wprowadził prawe przednie koło w rowek z szyną, ruszył prosto przed siebie i zjechał z asfaltowej nawierzchni szosy. Oba prawe koła pozostały na szynie, lewe zaczęły pokonywać podkłady. Dobra robota. Niemal tak dobra jak Deveraux.

- To nie pierwszy raz, co? - zauważyłem.

Nie odpowiedział.

Wolniutko sunęliśmy do przodu, mocno przechyleni w lewo. Prawe koła toczyły się gładko po szynie, lewe najeżdżały na kolejne podkłady i zjeżdżały z nich, kołysząc samochodem niczym morskie fale łodzią. Minęliśmy starą wieżę ciśnień, przejechaliśmy jeszcze dziesięć metrów i kazałem mu się zatrzymać.

- Tutaj?

- To miejsce w sam raz.

Łagodnie zahamował i samochód zatrzymał się, nadal przechylony w lewo. Nawet na moment nie zwalniałem chwytu za kołnierzyk ani nacisku lufy za uchem. Widoczne przez przednią szybę szyny biegły prosto na północ jak dwie srebrzyste kreski w świetle księżyca, zbiegając się ku sobie i niknąc w oddali.

- Kapitanie, teraz proszę lewą ręką otworzyć wszystkie okna - poleciłem.

- Po co?

- Obaj śmierzicie, a robi się jeszcze gorzej, możecie mi wierzyć.

Riley wymacał przyciski i najpierw zjechała szyba po stronie jego ojca, potem moja, następnie druga tylna po przeciwnej stronie.

Wnętrze samochodu przewiało chłodne nocne powietrze.

- Senatorze, proszę się przechylić i zgasić światła.

Chwilę trwało, nim namacał wyłącznik, ale wykonał polecenie.

- Teraz proszę przekręcić kluczyk, wyjąć go i mi podać.

- Ale stoimy na torze kolejowym - zaprotestował.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Wie pan, kim jestem?

- Już mnie pan o to pytał, a ja odpowiedziałem. Teraz proszę robić, co mówię. A może najpierw powinienem dołożyć się do pańskiej kampanii? Jeśli tak, to za mój wkład proszę uznać to, że nie przestrzeliłem pańskiemu synowi kolana.

Senator cicho odchrząknął. Parę razy zdarzyło mi się słyszeć takie chrząknięcia wtedy, gdy rzucany żart tak naprawdę nie był żartem albo gdy trudna sytuacja stawała się jeszcze trudniejsza, albo gdy nocny koszmar okazywał się jawą. Przechylił się, przekręcił kluczyk i wyciągnął do mnie rękę.

- Proszę go rzucić na tyle siedzenie - poleciłem.

Kluczyk upadł obok mnie i zsunął się po kanapie.

- Teraz obaj załóżcie ręce za tył głowy.

Pierwszy posłuchał senator, a ja odsunąłem berettę od głowy Reeda, by umożliwić mu wykonanie polecenia. Puściłem kołnierz, odchyliłem się na siedzeniu i powiedziałem:

- Ile wynosi prędkość wylotowa pocisku z beretty kaliber dziewięć milimetrów?

- Nie mam pojęcia - odrzekł senator.

- Ale pański syn powinien wiedzieć. Zainwestowaliśmy mnóstwo czasu i pieniędzy w jego szkolenie.

- Nie pamiętam - burknął Reed.

- Blisko czterysta metrów na sekundę - wyjaśniłem - a wasze rdzenie kręgosłupowe znajdują się w odległości niecałego metra ode mnie. Czyli w ciągu jednej czterechsetnej sekundy ten z was, który choć drgnie, zginie lub zostanie kaleką. Jasne?

Cisza.

- Czekam na odpowiedź.

- Jasne - powiedział Riley.

- Czego pan od nas chce? - dorzucił jego ojciec.
- Potwierdzenia. Chcę mieć pewność, że wszystko dobrze rozumiem.

[5] Ike jacket - krótka bluza wojskowa ze ściągaczem w pasie, wprowadzona do użytku w armii dowodzonej przez gen. Dwighta „Ike’a” Eisenhowera podczas II wojny światowej.

Podniosłem kluczyk i wsadziłem do kieszeni, potem szeroko odstawiłem lewą nogę i wparłszy stopę, rozsiadłem się na przechylonej kanapie.

- Kapitanie - zacząłem - okłamał pan swoich ludzi, że miał pan romans z szeryf Deveraux, prawda?

- Jakim prawem próbuje pan nas przesłuchiwać? - zachnął się senator.

- Za czterdzieści dziewięć minut nadjedzie pociąg - przypomniałem.

- Jest pan szalony?

- Nie, tylko trochę wkurzony.

- Synu, nie odpowiadaj na żadne pytania tego typu.

- Kapitanie, proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Tak, w sprawie Deveraux skłamałem.

- Dlaczego?

- Z powodu dowódczej strategii, ludzie chcą mnie podziwiać.

- Senatorze, dlaczego kompanie Alpha i Bravo przeniesiono z Benning do Kelham?

Przez dobrą minutę stary sapał i fukał, jednak w końcu odparł:

- Bo tak było wygodniej politycznie. Missisipi zawsze ma wyciągniętą rękę. Albo już wetkniętą do czyjejś kieszeni.

- A nie z uwagi na Audrey Shaw? Nie dlatego, że pan uznał, iż pańskiemu chłopcu należy się prezent z okazji objęcia dowództwa?

- Kompletna bzdura.

- Ale na to wyszło.

- Czysty zbieg okoliczności.

- Nieprawda.

- No dobrze, można to uznać za bonus. Uznałem, że będzie fajnie. Ale nic poza tym. Tak ważnych decyzji nie podejmuje się w oparciu o czyjeś widzimi się.

- Kapitanie, proszę opowiedzieć o Rosemary McClatchy.

- Spotykaliśmy się, potem przestaliśmy - burknął Riley.
- Była w ciąży?
- Jeśli była, to mi o tym nie powiedziała.
- Chciała, żebyście się pobrali?
- Niech pan nie żartuje, majorze. Przecież sam pan wie, że każda z nich jest gotowa się wydać za każdego z nas.

- Jaka ona była?
- Niepewna siebie. Doprowadzała mnie tym do szału.
- Co pan poczuł, kiedy ją zabito?
- Żal. To było okropne.
- Proszę opowiedzieć o Shawnie Lindsay.

W tym momencie senator uznał, że dłużej nie będzie się ze mną cackał. Zaczął odwracać się do mnie twarzą, by się na mnie rozedrzeć, ale od razu uzmysłowił sobie, że nie wolno mu się ruszać. Szarpnęło go do przodu jak starą kobyłę, która nadziała się na nowe elektryczne ogrodzenie, a on zapatrzył się przed siebie, ciężko dysząc. Jego syn nawet nie drgnął. Więc jednak byli gotowi mnie słuchać. A jeszcze bardziej dziewięciomilimetrowego otworu lufy.

Dziewięć milimetrów to trzydzieści pięć setnych cala. Ciut mniej niż kaliber.38, ale dużo więcej niż kaliber.25. To bardzo przekonujący argument.

Stary Riley raz jeszcze sapnął.

- O ile mi wiadomo, sprawa została wyjaśniona. Sprawa śmierci Lindsay i tej drugiej.

- Kapitanie, proszę mi opowiedzieć o trupach kobiet w Kosowie.
- W Kosowie nie ma żadnych trupów kobiet - zachnął się jego ojciec.
- Poważnie? To znaczy, że żyją wiecznie?
- Oczywiście, że nie żyją wiecznie.
- Wszystkie umierają we śnie?
- Były mieszkankami Kosowa i wszystko działo się w Kosowie. To sprawa lokalna. Tutejsze zabójstwa też są lokalną sprawą, dotyczącą kogoś

miejscowego. Wojsko oczyszczono z podejrzeń. Właśnie to celebrowaliśmy dziś wieczór. Pan też powinien tam być. Z sukcesów należy się cieszyć. Chciałbym, żeby więcej ludzi to rozumiało.

- Kapitanie, ile pan ma lat? - spytałem.

- Dwadzieścia osiem - odrzekł Riley.

- Senatorze, co by pan powiedział na to, gdyby w wieku trzydziestu trzech lat pański syn nadal był kapitanem?

- Byłbym bardzo zawiedziony.

- Dlaczego?

- Bo to oznaczałoby niepowodzenie. Nikt nie powinien pozostawać przez pięć lat w tym samym stopniu. Musiałby być kretynem.

- I właśnie to było ich głównym błędem.

- Słucham?

- Słyszał pan.

- Jakich „ich”? O kim pan mówi?

- Ma pan dziadka?

- Miałem, dawno temu.

- Ja też. Był moim dziadkiem, ale także dziadkiem kilkorga innych wnuków. Było nas w sumie blisko dziesięcioro. W czterech oddzielnych rodzinach. I choć o tym wiedziałem, zawsze mnie to dziwiło.

- O czym pan, u diabła, bredzi?

- To samo dotyczy służby łączności z senatem. Jesteśmy w czynnej służbie, są grube ryby w Waszyngtonie i jest pan. Jako nasz dziadek. A jest pan też dziadkiem dla korpusu marines, który ma oddzielną służbę łączności z senatem. Zresztą zapewne dużo lepszą od naszej i zapewne są gotowi zrobić dla pana wszystko. Dlatego do nich zwrócił się pan o pomoc, a oni popełnili kilka błędów.

- Czytałem ich raport. Nie było w nim żadnych błędów.

- Przez pięć lat w tym samym stopniu? Deveraux nie należy do kobiet, które

przez pięć lat nie awansują. Sam pan powiedział, że trzeba by być kretyńcem, a ona nie jest kretynką. Domyślam się, że pięć lat temu była w stopniu CWO3 i w ciągu kolejnych lat dwukrotnie awansowała.

Ale pańscy pomocnicy z korpusu marines palnęli głupstwo i wpisali zaszeregowanie CWO5 w aktach, które rzekomo dotyczyły sytuacji sprzed pięciu lat. Pamiętali, żeby użyć jej starej fotografii, ale nie cofnęli o pięć lat zegara jej służbowego zaszeregowania. I to był błąd.

Zgubił ich pośpiech.

- Jaki pośpiech?

- Janice Chapman była biała. Nagle znalazł się ktoś, czyja śmierć musiała być poważnie potraktowana. A od niej droga wiodła do was. Nie było czasu do stracenia.

- Co to za brednie?

- To wymagało szalonego pośpiechu i dlatego podjął pan szaleńczą akcję. Zwodził nas pan, odmawiając dostępu do akt, żeby zyskać na czasie. W końcu się udało i w niedzielę po południu akta były gotowe do przekazania, tyle że wiadomość o tym dotarła do pana, gdy helikopter lecący po syna był już w powietrzu. Dlatego wrócił z Kelham bez niego. Ale z upublicznieniem dokumentów wolał pan zaczekać do wtorku. Pierwotnie wymyśliłem sobie dość dęte wytłumaczenie. Uznałem, że opóźnienie wynikało stąd, iż w niedzielę jeszcze tu byłem, a we wtorek już mnie nie było. Jednak się myliłem. Potrzebował pan dwóch dni, żeby sztucznie postarzyć te dokumenty. To był prawdziwy powód. Trzeba je było trochę potarmosić, nadać im patyny.

- Twierdzi pan, że akta zostały sfalszowane?

- Wierzę, że to dla pana szok. Bo pan wiedział o tym od dziewięciu miesięcy, może od sześciu, może dopiero od tygodnia, a teraz się okazuje, że wiedzą wszyscy.

- Co wiedzą? - spytał Reed Riley.

Zwróciłem ku niemu twarz. On też patrzył prosto przed siebie, ale czuł, że

mówię do niego.

- Może Rosemary McClatchy była niepewna siebie, bo nie miała niczego poza urodą. Może była zazdrosna i może stąd zrodził się pomysł kobiety niszczącej rywalki. Rosemary też była w ciąży, a ty zdążyłeś sprawdzić miejscową szeryf, bo tak postępuje ambitny dowódca kompanii. Dla ciebie to było łatwiejsze niż zwykle, bo dzięki swoim układom wiedziałeś o pustym domu. A ponieważ jesteś skończoną kanalią, zabrałeś biedną Rosemary McClatchy i tam ją zaszlachtowałeś.

Brak reakcji.

- I to ci się spodobało - dodałem.

Brak reakcji.

- Więc to powtórzyłeś. I tym razem ulepszyłeś metodę. Już nie było mowy o porzucaniu ciała w przydrożnym rowie. Byłeś gotów zrobić coś bardziej przemyślanego i bardziej finezyjnego.

Może Shawna Lindsay też liczyła na małżeństwo i marzyła o zamieszkaniu razem w małym domku, więc podrzuciłeś jej ciało na plac budowy takiego domku. Mogłeś swobodnie się poruszać po okolicy o każdej porze. Wielki brytan w niebieskim samochodzie, polujący na ofiary. Należałeś do tamtejszej scenerii.

- Zerwałem z Shawną na wiele tygodni przed zabójstwem. Jak to wyjaśnisz?

- Kiwniesz na nie palcem, a one pędzą do ciebie z powrotem, prawda?

Bez odpowiedzi.

- Na tej samej zasadzie podrzuciłeś ciało Janice Chapman koło baru, bo była zabawową dziewczyną. Niewykluczone, że tamtej nocy postawiłeś sobie dodatkowe wyzwanie. Do trzech razy sztuka. Różnorodność ubarwia życie. Może powiedziałeś chłopakom, że musisz iść do kibla, po czym wymknąłeś się i zrobiłeś wszystko w czasie potrzebnym na wizytę w kiblu. Na moje oko zmieściłeś się w sześciu minutach i czterdziestu sekundach. Co dla Deveraux byłoby niewykonalne. I w tym miejscu próba wrobienia jej zaczyna się rozłazić.

Czy nikt nie pomyślał, jak wygląda? Nie dałaby rady zdjąć normalnie zbudowanej kobiety z kobyłki do sprawiania dziczyzny ani przenieść zwłok do samochodu.

- Te akta są autentyczne - powtórzył senator Riley.

- Zaczynają się całkiem prawdopodobnie. Ktoś wymyślił zupełnie niezłą opowieść.

Zazdrosna kobieta, złamana ręka, brakujące czterysta dolarów. Całkiem zmyślnie. Czytający mógł samodzielnie wyciągnąć wnioski. Jednak ktoś stchórzył i już przestało być zmyślnie, bo dodano bijącą w oczy czerwoną lampkę. Opowieść uzupełniono o rozbity samochód, a pan zadzwonił do syna i kazał mu podrzucić auto na tor.

- To jakieś brednie.

- Dla tej historii z samochodem na torze nie ma innego wyjaśnienia. Pomysł był bezsensowny i niczemu innemu nie służył. Chodziło o to, by każdemu, kto zajrzy do tych akt, skojarzyło się to z Deveraux.

- To są autentyczne akta.

- Za dużo w nich trupów. Może dałoby się przełknąć Jamesa Dyera. Starszy wiekiem wysoki oficer, pewnie schorowany. Ale Paul Evers? Zbyt poręczny ten jego wypadek. Jakbyście się bali, że ktoś może zacząć pytać. A martwi nie mogą odpowiadać. To prowadzi nas do Alice

Bouton. Czyżby miało się okazać, że ona też nie żyje? Czy jest nadal wśród żywych? A jeśli tak, to co by mogła powiedzieć o złamanej ręce?

- Te akta są w pełni autentyczne, Reacher.

- Umie pan czytać, senatorze? Jeśli tak, to mógłby pan to przeczytać? -

Wyjąłem z kieszeni złożoną karteczkę z kelnerskiego bloczka i rzuciłem mu na kolana.

- Nie wolno mi się ruszać - burknął.

- Pozwalam panu ją przeczytać.

Podniósł kartkę, machnął nią, zajrzał na drugą stronę, potem znów na

wierzch. Obrócił o sto osiemdziesiąt stopni i zaczerpnął powietrza.

- A pan ją czytał? Wie pan, co tu jest napisane? - spytał.

- Nie, nie czytałem. Nie muszę. Mam wystarczająco dużo, żeby pana dopaść. Zawahał się.

- Tylko proszę niczego nie przekręcać - ostrzegłem. - Przeczytam ją zaraz po panu. Tak na wszelki wypadek.

Nabrał powietrza i zaczął czytać.

- Według szefostwa kadr Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych...

Przerwał i podniósł wzrok.

- Muszę mieć pewność, że to nie jest objęte tajemnicą wojskową - powiedział.

- Czy to ważne?

- Nie ma pan certyfikatu dopuszczenia do tajnych informacji. Mój syn też nie.

- To nie jest tajne. Proszę czytać dalej.

- Według szefostwa kadr Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych w korpusie nigdy nie służyła Alice Bouton.

Uśmiechnąłem się.

- Została wymyślona - powiedziałem. - Nikt taki nie istniał. To bardzo partacka robota.

Zaczynam się zastanawiać, czy się nie pomyliłem. Może machnęliście ręką na szczegóły nie raz, a dwa razy. Może sprawa rozbitego samochodu pojawiła się jako pierwsza, a Alice Bouton dopisano w ostatniej chwili dla większego efektu. I już zabrakło czasu na nadanie jej wiarygodnej tożsamości.

- Armię należy chronić. Chyba pan to rozumie.

- Strata dla armii jest zyskiem dla korpusu marines. A dla nich też pan jest dziadkiem, więc w sumie nie miało to znaczenia. Panu zależało na chronieniu syna.

- Gdyby chodziło o kogoś innego w jego jednostce, zachowalibyśmy się tak

samo.

- Gówno prawda. To zupełnie wyjątkowa sytuacja. Bezprecedensowa. Rzecz dotyczyła was dwóch i nikogo więcej.

Brak reakcji.

- A tak przy okazji, ja chronię armię.

Nie zamierzałem ich zastrzelić. Wprawdzie patolog miałby duże trudności z ustaleniem przyczyny śmierci, ale ostrożny człowiek nigdy nie podejmuje zbędnego ryzyka. Dlatego odłożyłem pistolet na siedzenie, wyciągnąłem prawą rękę, położyłem dłoń płasko na tyle głowy senatora i pchnąłem do przodu tak, że czołem walnął w kant deski rozdzielczej. Dość mocno. Ręka ludzka potrafi wybić piłkę baseballową z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, więc wybicie głowy z szybkością pięćdziesięciu nie jest niemożliwe.

A producenci samochodowych pasów bezpieczeństwa przekonują nas, że niespodziewane uderzenie głową z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę potrafi zabić. Choć w tym przypadku nie chodziło mi o uśmiercenie senatora. Chciałem go tylko na jakiś czas wyłączyć z akcji.

Przesunąłem prawą rękę i ująłem Reeda Rileya pod brodę. Opuścił ręce zza głowy, próbując oderwać moją rękę od twarzy, a ja w ich miejsce położyłem lewą dłoń i mocno pociągnąłem w dół. Pchnięcie z jednoczesnym pociągnięciem, góradół, lewa rękoprawa ręka, jak w imadle. Jakbym chciał zmiażdżyć jego głowę. Zaraz przesunąłem prawą rękę po jego brodzie tak, że wewnętrzna strona nasady dłoni wparła się w jego usta. Jego naskórek przypominał papier ścierny. Golił się dziś wcześniej rano, a teraz dochodziła północ. Przesunąłem lewą dłoń po głowie, aż wewnętrzna strona dłoni ześlizgnęła się po brwiach i zatrzymała na mostku nosa. Wyciągnąłem się i ścisnąłem palcem i kciukiem jego nos.

Dalej zadziałała naturalna reakcja ludzkiego organizmu, który uznaje, że się dusi.

Najpierw próbował ugryźć mnie w rękę, a nie mógł rozewrzeć zębów. Zbyt

mocno wpierałem się w jego usta. Mięśnie szczęk są silne, ale tylko przy zwieraniu. Rozwieranie nigdy nie było ewolucyjnym priorytetem.

Przettrzymałem. Próbował oderwać od twarzy moje dłonie.

Przettrzymałem. Zaczął się wiercić na siedzeniu i walić piętami w podłogę. Przettrzymałem.

Wygiał się w łuk. Przettrzymałem. Wyciągnął ku mnie szyję.

Zmieniłem chwyt, obróciłem mu głowę i skręciłem kark.

Nauczył mnie tego Leon Garber. Może gdzieś to podpatrzył, a może kogoś tak potraktował.

Był do tego zdolny. Duszenie ofiary ułatwia sprawę. Duszący się zawsze wyciąga szyję. Taki niefortunny odruch. Robiąc to, sam kładzie szyję pod topór. Garber zapewnił mnie, że to zawsze działa. Mnie też nigdy nie zawiodło.

Chwilę później tak się stało w przypadku senatora. Był słabszy od swojego syna, ale twarz miał śliską od krwi ciekącej z nosa rozbitego o kant deski rozdzielczej, musiałem więc włożyć mniej więcej tyle samo wysiłku.

Wysiadłem dokładnie o dwudziestej trzeciej dwadzieścia osiem. W tym momencie pociąg znajdował się jeszcze pięćdziesiąt kilometrów na południe i być może mijał krzyżówkę z drogą 78 na wschód od Tupelo. Zatrzasnąłem drzwi, ale wszystkie okna zostawiłem otwarte.

Wrzuciłem kluczyk na kolana Riley'a i odwróciłem się, by odejść.

I poczułem, że kilka kroków po lewej ktoś stoi.

I ktoś inny, parę kroków po prawej.

Byłem oskrzydłony. Miałem berettę i mogłem jednego z napastników położyć, ale nie obu naraz. Stali za daleko od siebie.

Czekałem.

I wtedy przemówiła postać z prawej:

- Reacher?

- Deveraux?

- I Munro - dodała postać z lewej.

- Co wy tu, u diabła, robicie? - sapnąłem.

Zaczęli się zbliżać, a ja starałem się ich nie dopuścić do samochodu.

- Dlaczego tu jesteście?

- Naprawdę myślałeś, że Munro uda się mnie zatrzymać w knajpie? - parsknęła Deveraux.

- Szkoda, że nie zdołał. Nie chciałem was do tego mieszać.

- Kazałeś Rileyowi otworzyć okna. Żebyśmy wszystko słyszeli.

- Nie, chciałem przewietrzyć samochód. Nie wiedziałem, że tu jesteście.

- A dlaczego nie chciałeś nas mieszać?

- Bo nie chciałem, żebyście słuchali tego, co o was mówią, i chciałem, żeby Munro wrócił do Niemiec z czystym sumieniem.

- Ja mam zawsze czyste sumienie - mruknął Munro.

- Ale łatwiej jest udawać głupka, kiedy naprawdę się nie wie.

- Nigdy nie miałem trudności z udawaniem głupka. Niektórzy nawet myślą,

że wcale nie udaję.

Dwudziesta trzecia trzydzieści jeden. Pociąg był jeszcze czterdzieści sześć kilometrów na południe. Odeszliśmy, stąpając po podkładach i zostawiając za sobą zielony sztabowy samochód z jego pasażerami. Minęliśmy starą wieżę ciśnień, dotarliśmy do krzyżówki z szosą i skręciliśmy na zachód. Czterdzieści metrów dalej na poboczu stał radiowóz Deveraux.

Munro podziękował za podwiezienie, stwierdzając, że pójdzie skrótem pod bar Brannanów, gdzie zaparkował wzięty z bazy samochód. Oświadczył, że chce jak najprędzej wrócić do Kelham, uwolnić zamkniętych komandosów i trochę się zdrzemnąć przed wyruszeniem o świcie w drogę. Dość sztywno uścisnęliśmy sobie dłonie i szczerze podziękowałem mu za pomoc. Ruszył przed siebie i po paru krokach zniknął w ciemności.

* * *

Deveraux podwiozła mnie na Main Street i zatrzymała się pod hotelem. Dwudziesta trzecia trzydzieści sześć. Pociągowi zostało trzydzieści osiem kilometrów.

- Już się stąd wymeldowałem - powiedziałem.

- Ale ja nie - odrzekła.

- Najpierw muszę zadzwonić.

Skorzystaliśmy z kantorka za recepcją. Położyłem na biurku dolara i wykręciłem numer do biura Garbera. Nie wiedziałem, czy podsłuch został zdjęty, ale nie miało to większego znaczenia. Odebrał oficer dyżurny. Oznajmił, że jest porucznikiem, pełni nocną służbę i jest praktycznie sam. Spytałem, czy ma pod ręką kawałek papieru i długopis. Na oba pytania odparł twierdząco, więc poprosiłem, żeby się przygotował do krótkiego dyktanda. Dodałem, żeby w nagłówku napisał „pilne” i położył kartkę na biurku Garbera, tak żeby zauważył ją od razu po wejściu do gabinetu.

- Gotowy? - spytałem.

Odrzekł, że tak.

- W sennym miasteczku Carter Crossing w stanie Missisipi - zacząłem - wczoraj wieczorem doszło do tragedii. Samochód wiozący senatora Stanów Zjednoczonych, Carltona Rileya, wpadł pod pędzący pociąg. Za kierownicą samochodu siedział syn senatora, kapitan armii amerykańskiej Reed Riley, który pełnił służbę w pobliskiej bazie wojskowej w Fort Kelham.

Senator Riley, reprezentujący w senacie stan Missouri, był przewodniczącym Senackiej Komisji Sił Zbrojnych. Kapitan Riley, uważany za wschodzącą gwiazdę armii amerykańskiej, dowodził jednostką regularnie uczestniczącą w specjalnych misjach. Obaj ponieśli śmierć na miejscu. Szeryf Carter, Elizabeth Deveraux, stwierdziła, że tutejsi kierowcy często urządają sobie wyścigi, starając się przeskoczyć przez tor tuż przed nadjeżdżającą lokomotywą, by nie czekać na przejazd długiego pociągu towarowego. Panuje opinia, że kapitan Riley, od niedawna służący na tym terenie i znany ze skłonności do ryzyka, źle wyliczył czas i nie zdążył przejechać.

Przerwałem.

- Wszystko zapisałem - zameldował porucznik.

- Drugi akapit. Senator wraz z synem wracali do Fort Kelham z towarzyskiej imprezy, którą zorganizowano w pobliskim miasteczku dla uczczenia pomyślnego zakończenia śledztwa w sprawie serii zabójstw na tamtejszym terenie, prowadzonego przez szeryf Deveraux.

Mordercza seria ciągnęła się dziewięć miesięcy, a wśród pięciu ofiar znalazły się trzy tutejsze młode kobiety, miejscowy nastolatek i reporter z pobliskiego Oxfordu w stanie Missisipi.

Sprawcą zabójstw okazał się biały członek szowinistycznej milicji z sąsiedniego stanu Tennessee, który kilka dni wcześniej zginął w lasach otaczających Fort Kelham, zastrzelony przez miejscowych przedstawicieli prawa podczas próby aresztowania.

- Zapisałem - powtórzył porucznik.

- Proszę to teraz przepisać na maszynie - poleciłem i odłożyłem słuchawkę.

Była dwudziesta trzecia czterdzieści trzy. W tym momencie pociąg znajdował się jeszcze dwadzieścia osiem kilometrów od Carter Crossing.

* * *

Pokój numer siedemnaście przypominał swoim skromnym wystrojem pokój numer dwadzieścia jeden, a Deveraux nie podjęła starań, żeby go choć trochę ocieplić. Jej ubrania leżały w dwóch otwartych walizkach na podłodze, zapasowy mundur wisiał na karniszu od firanki, na nocnym stoliku leżała książka. I to wszystko.

Usiedliśmy obok siebie na łóżku, oboje oszołomieni ostatnimi wydarzeniami.

- Zrobiłeś wszystko, co należało - powiedziała. - Sprawiedliwości stało się zadość, a przy tym armia nie ucierpiała. Jesteś dobrym żołnierzem.

- Na pewno do czegoś się przyczepią - mruknąłem.

- Ale jestem zawiedziona zachowaniem tych z korpusu marines. Nie powinni byli się zgodzić, zadali mi cios w plecy.

- Niezupełnie. Zrobili, co mogli. Byli pod silną presją. Udali, że idą na współpracę, ale w swojej historyjce zawarli parę zakodowanych wskazówek. Dwa trupy i jedna zmyślona postać? Albo ta sprawa z twoim stopniem? To musiały być celowe błędy. Popełniono je po to, żeby można było podać w wątpliwość prawdziwość akt. To samo dotyczy Garbera. Oficjalnie cię oskarżał i opluwał, ale tak naprawdę odgrywał komedię. Zachowywał się tak, jak się tego po nim spodziewano, a jednocześnie namawiał mnie do myślenia.

- Uwierzyłeś w te bzdury, kiedy je po raz pierwszy przeczytałeś?

- Szczerze?

- Niczego innego się nie spodziewam.

- Nie odrzuciłem ich od razu. Potrzebowałem paru godzin na przemyślenie.

- Jak na ciebie to długo.

- Bardzo długo.

- Zadawałeś mi dziwne pytania.

- Tak, wiem. Przepraszam.

Milczenie.

Pociąg był dwadzieścia pięć kilometrów od nas.

- Nie przepraszaj. Pewnie sama bym uwierzyła - powiedziała.

Co było miłym gestem z jej strony. Przechyliła się i pocałowała mnie.

Wstałem i poszedłem do łazienki, by zmyć z rąk ostatnie ślady krwi Carltona Riley'a, potem kochaliśmy się po raz szósty i znów było wspaniale. Podłoga zadrżała jak na dany znak, szklanka na półce w łazience zabrzęczała, drzwi balkonowe zadzwoniły, drzwi wejściowe zaskrzypiały, rzucone na podłogę buty podrygiwały, łóżko dygotało i lekko się przesuwało. Przysięgłbym, że na koniec usłyszałem metaliczny dźwięk, jakby ktoś gdzieś daleko i krótko walnął w czynel, jakby nastąpiła eksplozja i cząsteczki rozpadły się na atomy. Zaraz potem łoskot nocnego pociągu ucichł w oddali.

* * *

Potem poszliśmy razem pod prysznic, następnie ubrałem się i przyszykowałem do drogi oraz stawienia czoła konsekwencjom. Deveraux dzielnie się uśmiechnęła i powiedziała, że bym bez wahania wpadał, jeśli będę w tych okolicach, ja z podobną miną przyrzekłem, że na pewno to zrobię.

Wyszedłem z hotelu, wsiadłem do buicka i ruszyłem na wschód. Minąłem imponującą bramę Kelham i po dojechaniu do Alabamy skręciłem na północ. Była głęboka noc i drogi były puste, więc przed świtem dotarłem na miejsce.

Zaszyłem się w swojej kwaterze i przespałem cztery godziny, by po przebudzeniu stwierdzić, że wersja pospiesznie podyktowana oficerowi dyżurnemu Garbera została niemal słowo w słowo przyjęta przez armię jako oficjalnie obowiązujący opis przebiegu wydarzeń.

Rozmowy po kątach prowadzono ściszonymi, pełnymi szacunku głosami i od razu zaczęto przebąkiwać o przyznaniu Reedowi Rileyowi pośmiertnie Medalu za Zasługi Wojskowe, by w ten sposób uczcić jego służbę w niewymienionym z nazwy obcym kraju. W uznaniu bliżej nieokreślonych zasług

i pozycji jego ojca w następnym tygodniu w kościele w Waszyngtonie miała być odprawiona uroczysta msza żałobna.

Nie przyznano mi żadnego odznaczenia i nie zorganizowano dla mnie uroczystości. Odbyłem tylko półgodzinną rozmowę z Garberem, podczas której usłyszałem, że moje sprawy źle stoją.

Grubas z ekipy piarowców Kelham postawił na swoim i jego skarga złożona w Benning odbiła się szerokim echem, w bardzo niefortunnym momencie. Do skargi dołączono pisemny raport i w rezultacie trafiłem na listę do przymusowego zwolnienia ze służby. Garber zapewnił mnie, że dzięki moim zasługom istnieje możliwość przywrócenia mnie do służby, a on jest w stanie to załatwić. Nie miał co do tego wątpliwości. W ten sposób zapłacą mi za milczenie, a on jest gotów w tym pośredniczyć.

Powiedziawszy to, zamilkł.

- O co chodzi? - spytałem.

- O to, że twoje życie w wojsku nie będzie warte funta kłaków. Nigdy nie dochrapiesz się awansu. Zostaniesz dożywotnim majorem, nawet jeśli dożyjesz setki. Dostaniesz przydział do służby magazynowej w New Jersey. Mogę cię usunąć z listy do zwolnienia, ale nikt cię nie usunie z listy tych, którzy podpadli. Tak to wygląda w wojsku. Dobrze o tym wiesz.

- Uratowałem wojsku dupę.

- I wojsko ci tego nie zapomni. Będą to pamiętać, ile razy nawiniesz im się przed oczy.

- Zostałem odznaczony Purpurowym Sercem i Srebrną Gwiazdą.

- Kiedyś. A co ostatnio dla mnie zrobiłeś?

Urzędnik z biura Garbera wręczył mi formularz i objaśnił procedurę. Mogłem go złożyć osobiście w Pentagonie lub wysłać do nich pocztą. Ale i tak musiałem zwrócić auto Neagley, usiadłem więc za kierownicą i ruszyłem do Waszyngtonu. Dotarłem na miejsce pół godziny przed zamknięciem banków, wybrałem pierwszy z brzegu i przenieśliem do niego swoje konto. W ramach

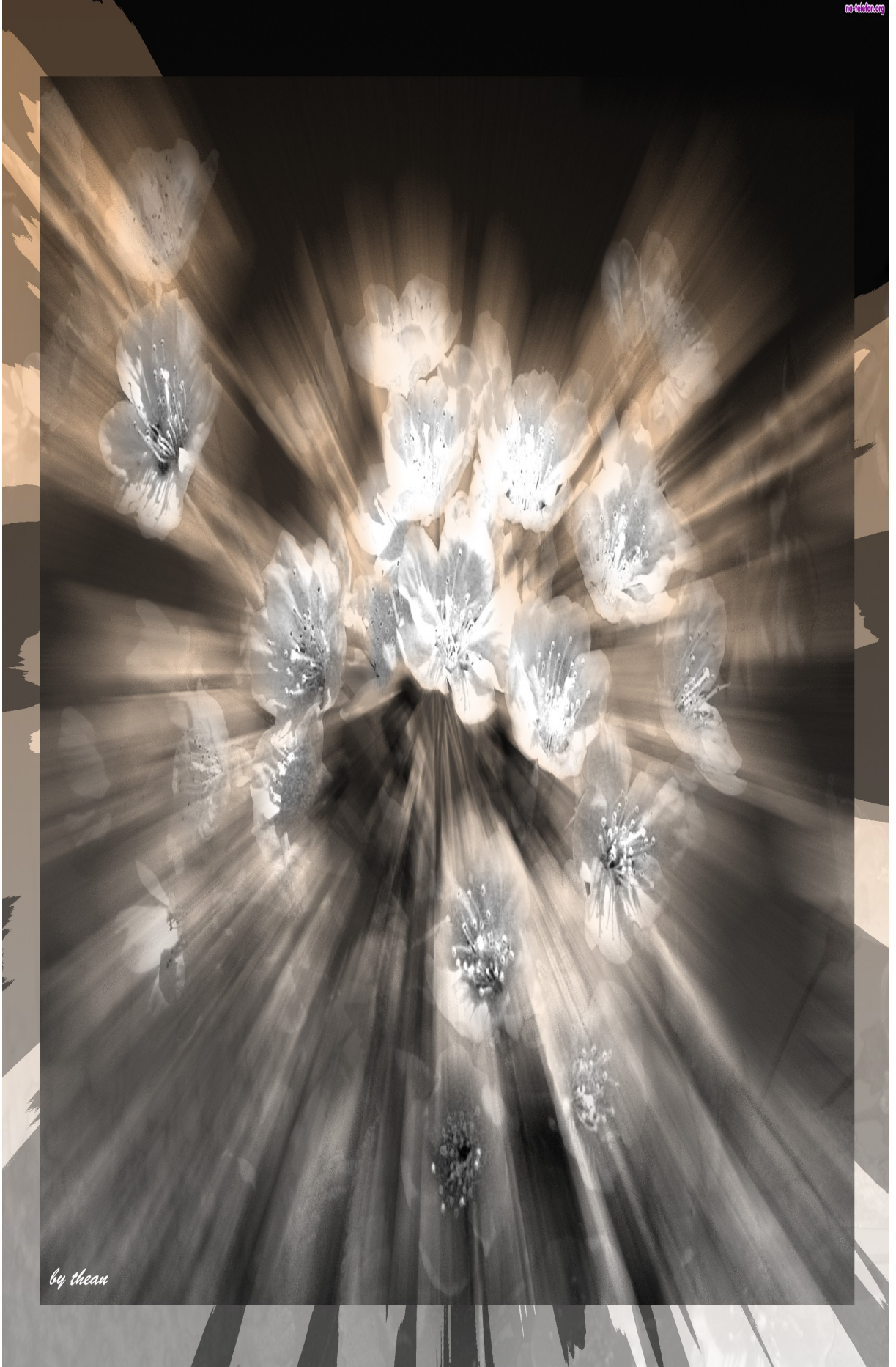
akcji promocyjnej zaoferowali mi do wyboru piekarnik elektryczny lub odtwarzacz CD. Podziękowałem za jedno i za drugie, ale poprosiłem o ich numer i ustaliłem hasło na telefon.

A potem pojechałem do Pentagonu. Wybrałem wejście przez główny dziedziniec, doszedłem do połowy i stanąłem. Obojętny tłum opływał mnie z obu stron, jak nurt wysepkę na rzece.

Ku zniecierpliwieniu jednego z idących poprosiłem o pożyczenie pióra, podpisałem formularz i wrzuciłem go do skrzynki na dziedzińcu. Zawróciłem, przeszedłem przez cmentarz i wyszedłszy przez główną bramę, zanurzyłem się w plątaninę dróg między cmentarzem a rzeką.

Miałem trzydzieści sześć lat i byłem obywatelem kraju, którego niemal nie znałem. Było w nim mnóstwo miejsc do odwiedzenia i rzeczy do zobaczenia. Czekały na mnie wielkie miasta i wiejskie krajobrazy. Czekały góry i doliny. Czekały rzeki. Czekały muzea, muzyka, motele, kluby, knajpy, bary i autobusy. Pola bitew i miejsca urodzenia słynnych ludzi, legendy oraz drogi. Czekало towarzystwo innych, jeśli sobie tego zażyczę, lub samotność.

Wyszedłem na pierwszą z brzegu drogę, postawiłem jedną stopę na poboczu, drugą wysunąłem na jezdnię i uniosłem rękę z wystawionym kciukiem.



by thean